

Mortka Marcin

Miecz i kwiaty t 2

Rozdział pierwszy

KTÓRY TRADYCYJNIE ROZPOCZYNA SIĘ WĘDRÓWKĄ DO TyRU, LECZ TYM RAZEM ZAKŁÓCA JĄ POJAWIENIE SIĘ PEWNEGO STAREGO znajomego. Niekoniecznie przyjaznego

Pasma szarej mgły zazdrośnie przesłoniły brzeg i zlały się z ołowianym niebem niczym złośliwe mor-twory pragnące zmylić nienawykłych do żeglugi wędrowców. Na pokładzie wielkiej galery panowała cisza, jedynie fale ustępowały przed ostrym dziobem okrętu z pełnym wzburzenia sykiem. I to one właśnie, a nie odległy, zatopiony wśród mgieł ląd, przyciągały teraz uwagę Gastona de Baideaux.

Niedawno pasowany rycerz stał na dziobie okrętu oparty łokciami o burtę i wbijał wzrok w kotłujące się masy wody.

„Kiedy to odbyłem tę samą podróż? - zapytywał sam siebie w myślach. - Kiedy przybyłem morzem do Tyru? Dwa miesiące temu? Trzy?”

Im staranniej próbował policzyć dni, tym większe ogarniało go zdumienie. Z rachuby jasno wynikało, że nie spędził w Ziemi Świętej więcej niż trzech miesięcy, lecz jemu samemu wydawało się, że od chwili przybycia do Tyru minęły całe lata. Patrzył na swoje pięści, jak zwykle kurczowo zaciśnięte, ale twardsze, poznaczone bliznami. Co chwila odgarniał włosy wymykające się spod hełmu, nadal jasne, ale pozbawione dawnego połysku, wyprężone sryjskim słońcem. Pocierał policzki, wychudłe i zszarzałe od zarostu, przymykał oczy ongiś roześmiane, pełne życia, teraz zetlałe, pociemniałe.

Nigdy dotąd nie sądził, że można się tak bardzo zmienić w tak krótkim czasie.

„Jestem innym człowiekiem - pomyślał po raz setny. - Całkiem innym”.

Nie mógł oderwać wzroku od rozcinanych dziobem okrętu fal, kotłujących się i syczących. Żaden inny widok nie oddałby jego nastroju tak doskonale. Żaden inny nie podkreśliłby tak bardzo chaosu panującego pośród jego myśli. Z szaroburej kipieli wyłaniały się twarze, niektóre wzburzone, inne smutne, zrozpaczone, nienawistne. Vi-vienne de Grenier. Adalbert. Balian z Ibelinu. Robert de Sabie. Ismail ibn Abdul. Joscelin de Royes.

Vivienne de Grenier.

Gaston poczuł nagły skurcz w sercu i odwrócił zażawione oczy ku horyzontowi skrytemu za szklistymi, nieruchomymi wodami. Słońce, które wychynęło zza postrzępionych, zimnych chmur, powlekło je srebrzystym blaskiem, równie bezdusznym i obojętnym jak błysk stali. Czarna bandera zakonu łopotała ze wzdargą.

- Coś mi mówiło, że trzymając się ciebie, robię dobry interes z przeznaczeniem - usłyszał za sobą. - Anibym jednak przypuszczał, że stanę na dziobie galery szpital-ników jako rycerz barona Ibelinu.

Vittorio oparł łokcie o okrężnicę i zapatrzył się w blade słońce pochłaniane przez chmury. Blask na grzbietach odległych fal gasł, lecz nie przestawał jarzyć się w oczach Italczyka, gdy ten obrzucał towarzysza badawczymi spojrzzeniami.

- Nie jesteś rycerzem barona Ibelinu - powiedział sucho Gaston. - Podobnie jak ja. Gdyby miał nas za takich, nie pozwoliliby nam odejść.

- Wiesz to ty, wiem to ja - wydał wargi Vittorio. -Nie wiedzą inni, a ja mam zamiar zrobić z tego użytek. Imię Balian otwiera w tym świecie wiele drzwi.

- W tym świecie nie ma już wielu drzwi.

- O właśnie! - Oczy Vittoria rozbliły nieco mocniej. - Przyglądam ci się od rana, jak sterczysz tu na dziobie i wbijas wzrok w wodę, a od twojej miny solone ryby się psują. Myślę sobie: „Oho, młody de Baideaux znowu toczy boje z czarnymi myślami”. Podchodzę, by się przekonać, i od razu wiem, że mam rację.

- A co cię to obchodzi?

- Co mnie to obchodzi? - powtórzył Italczyk, prostując się. - Widzisz, Gaston, zawdzięczam ci sporo. Zaskarbiliśmy sobie wdzięczność barona Ibelinu, zostaliśmy przez niego pasowani i opatrzeni na drogę, wreszcie zwolnieni z obowiązku walki o Akkę, co, nie ukrywam, powitałem z wielką ulgą. Oblężenia to kiepski interes, jest coś wart dopiero w chwili przedarcia się przez mury, co zważywszy na stan umocnień, nastąpi raczej nieprędko. Nosiłbym cię, chłopie, na rękach, gdyby nie to, że chcesz wrócić do Tyru. Czyli tam, gdzie wszystko się zaczęło.

- A co jest złego w Tyrze?

- Co złego? - Vittorio odgarnął włosy, złośliwie cisnące się do oczu. - Ano choćby komandoria templariuszy, którzy z ochotą zacisną nam szpony na gardłach.

- Nie boję się templariuszy.

- Ba, ja też nie. Sęk w tym, że Tyr to miasto niemałe, ale oblężone. Saraceni nie czyhają co prawda pod samymi bramami, za to blokują wszystkie trakty prowadzące w głąb Outremer. Trudno będzie uciec, gdy te diabły z czerwonymi krzyżami zechcą nas dorwać i zbawić rozżarzonymi prętami.

- Nie ma ich tam wielu. Wysłali pod Akkę znaczny hufiec.

- Ja też mam taką nadzieję. A wiesz, czyją matką jest nadzieja?

- Vittorio, ja tam muszę dotrzeć!

- Musisz - znów powtórzył Italczyk. - To też wyczytałem z tych twoich grymasów. Dlaczego, Gastonie? Inwestycja? Cóż, w to bym raczej powątpiewał. Należysz do tych ludzi, którzy zdają sobie sprawę z wagi pieniądza dopiero wtedy, gdy zaczną im go brakować. Lęk przed templariuszami? Brak ochoty, by piąć się na mury Akki? Nie, to też nie wchodzi w rachubę. Ciebie nie stać na zdrowy rozsądek. A zatem zemsta? Ba, przyklasnął-bym takiej decyzji, ale coś mi się nie wydaje, by którykolwiek z twoich adwersarzy był teraz w Tyrze. Chyba że wiesz coś więcej niż ja. A zatem, o zgrozo, pozostaje nam miłość.

- Nie! - parsknął Gaston i odwrócił wzrok ku rufie, za którą śmigały mewy, błyskając podbrzuszkami w nagłych zwrotach.

- Jasne, że nie, jasne... Gaston, wierzę w to, że kiedyś nauczysz się robić mieczem, ale tracę nadzieję, że kiedyś opanujesz szlachetną i jakże opłacalną sztukę łgania w żywe oczy. Skąd ten szalony pomysł, że Vivienne de Grenier dotarła do Tyru?

Młody de Baideaux przymknął powieki i z całej siły zacisnął dłonie na okrężnicy, jakby chciał udrzeć z niej kawał drewna i walnąć nim Italczyka w czaszkę.

- Nie interesuje mnie hrabianka de Grenier - wykrztusił. - Nic a nic.

- A zatem? Gaston, Bernard jest twoim sługą i pójdzie za tobą wszędzie, bo tak mu rozkażesz, ale ja i Anzelm związaaliśmy swój los z tobą dobrowolnie. Chcemy...

- Roger - rzucił nagle zasepiony rycerz.

- Co? - zdziwił się Vittorio.

- Roger de Baideaux. Mój brat. Chcę odnaleźć mego brata.

- Aha - z głosu Italczyka przebijało rozbawienie. -No tak. Zaskoczyłeś mnie. Ba, i to bardzo! Problem jednakże pozostaje problemem. Bez względu na to, czego będziemy szukać w Tyrze, trzeba nam dwóch rzeczy: bezpieczniejszego powodu naszego przybycia, takiego, w który ludzie uwierzą. No i niezawodnej drogi ucieczki, najlepiej morskiej.

Gaston otworzył oczy i aż zamrugał, jakby spojrzął prosto w słońce - bezlitosne słońce Ziemi Świętej, nie ten nikły blask spływający z nieba w morze. Nad lądem wisiały mgły gęstsze niż dotychczas, połyskliwe fale odbijały blade światło zachmurzonego nieba. Wiatr osłabł i ogromny trójkątny żagiel załopotał ostrzegawczo. Obaj odwrócili się ku rufie, gdzie czuwał brat Giovanni, dowodzący galerą rudobrody szpitalnik w czarnej tunice bojowej zakonu. Z jego ust nie zniknął wzgardliwy uśmieszek, z którym przyglądał się zarówno swej załodze, jak i żywiołom. Widząc go po raz pierwszy, de Baideaux pomyślał, iż być może ów grymas maskuje brak doświadczenia, lecz starczyła pierwsza seria rozkazów, by zrozumiał, że się mylił. Załoga - głównie italscy i prowansalscy żeglarze - wykonywała jego polecenia sprawnie i bez szemrania.

- Racja - powiedział po chwili zastanowienia. - Nie ma co, racja. Problem w tym, że nie mam pojęcia, jak się za to zabrać. Błędne pojęcia, Vittorio.

Szpitalnik znów wykrzyknął kilka rozkazów, które donośnie powtórzyli jego oficerowie. Dolny pokład nagle ożył - galernicy na lewej burcie, w większości jeńcy muzułmańscy, wyrwani z marazmu świstem batów, natarli na wiosła. Ogromny dziób galery, zakończony zanurzonym w falach taranem, zaczął powoli skręcać w kierunku lądu wciąż skrytego za mglistą przesłoną. Pochmurną twarz Italczyka niespodziewanie rozjaśnił bezczelny uśmieszek.

- No to zacznij dziękować Bogu, że przydał ci mnie za towarzysza - rzekł Vittorio. - Coś mnie naszło. Hej, bracie!

Ostatnie słowa skierowane były do młodego szpitalnika, jedyne poza kapitanem rycerza zakonu na pokładzie. Właśnie przybiegł na dziób i wychyliwszy się przez okrężnicę, wypatrywał czegoś w oddali, nie bacząc na bryzgi słonej wody.

- Hej, bracie! - zawołał Vittorio.

Szpitalnik otarł mokrą od wody twarz i zerknął na Italczyka. Był jasnowłosym mężczyzną o szczupłej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi i kwadratowym, obsypanym rzadkim zarostem podbródkiem. Sine plamy pod oczami wskazywały, że niewiele ostatnio zaznał snu lub dopiero co wyrwał się ciężkiej chorobie, lecz same oczy - przymrużone, błyszczące, niewiarygodnie wprost niebieskie - sugerowały ogromną przenikliwość.

- Nie chcę wam przeszkadzać... - Vittorio po mistrzowsku udał strapienie. - Broń Boże, róbcie swoje, bracie. Na rozmowy o Bogu zawsze znajdzie się czas.

- Nie jestem zajęty - odparł szpitalnik w langue doil, a potem rzucił kilka słów do jednego z majtków po italsku. W obu tych językach mówił z osobliwym, twardym akcentem, ale zrozumiale, bo żeglarz natychmiast porzucił buchtowanie liny i ruszył biegiem w kierunku kapitana.

Usłyszawszy jego rozkaz, Vittorio natychmiast zerknął ponad famieniem zakonnika. Gaston uczynił to samo, lecz dopiero po dłuższej chwili dostrzegł ciemny kształt statku idącego przeciwnym kursem znacznie bliżej lądu.

- Na morzu zawsze łatwiej rozmawiać o Bogu niż na lądzie - ciągnął szpitalnik z uśmieszkiem. - Może przez to, że człowiek nie ustaje w modlitwach, by ta krypa nie rozleciała się na kawałki.

- Lub by tamta na horyzoncie nie okazała się egipską.

- To chrześcijańska galera - wyjaśnił rycerz. - Ma krzyż na topie masztu.

Gaston i Vittorio jak na komendę spojrzeli na odległy okręt, ale nie zdołali dostrzec żadnego szczegółu poza tym, że szedł pod żaglem. Młody de Baideaux gwizdnął z podziwem, a Italczyk odkasznął, jakby nagle stracił pewność siebie.

- Bystrość waszego wzroku dorównuje głębi waszej wiary, bracie - oznajmił. - A ta wydaje się wprost niezmierną. Skąd u was taka miłość do Pana naszego, bracie?

- Skąd? - zdumiał się jasnowłosy szpitalnik. - Wątpię, czy takie dylematy rozstrzyga ktokolwiek w zakonie, czy nawet w całym Outremer. Tym, którym przyszło władać resztkami naszych ziem w Ziemi Świętej, ani do głowy przyjdzie pytać dlaczego bądź skąd. Wystarczy im, że komuś w ogóle się jeszcze chce.

- A dlaczego? - indagował Vittorio. - Dlaczego wam się chce? Byłem pod Akką, widziałem równe szeregi braci w czarnych tunikach i zapytywałem sam siebie, skąd u nich to męstwo, skąd to nieprzejednanie.

- Doprawdy? - Zakonnik zmrużył oczy, przez co wydały się jeszcze bardziej przenikliwe. - Ja też stawałem pod Akką. Naprawdę, panie, znaleźliście czas na przemyślenia w trakcie bitwy?

- Myśli te naszyły mnie dopiero po wszystkim, bracie. - Niezbity z tropu Italczyk zwiesił głowę w idealnej imitacji przygnębienia. - Dopiero po tym, jak uświadomiłem sobie naszą marność, naszą grzeszność. Gdzie tkwi źródło waszej siły, bracie? Poczucie jedności? Psalm? Chorągiew? A może owe tuniki zbrojne w najświętszy znak?

- Nic z tych rzeczy. - Szpitalnik spoważniał. - Nic. Siłę nam daje tylko wiara. Przeświadczenie, że to, co robimy, jest słuszne. To ostatnie, wierzcie mi, panie, jest rzadkim przywilejem w naszych czasach.

- Wiara! - podchwycił Vittorio z emfazą. - Lecz cóż lepiej przedstawia naszą wiarę, cóż lepiej symbolizuje jej moc od znaku krzyża! Szczęśliwy ten, kto rusza do boju z krzyżem na piersi, szczęśliwy ten, kto może się z nim obnosić wśród rodaków. Dałbym wszystko za owo szczęście dla siebie i mych przyjaciół. Każdą cenę, jaką oznaczycie!

- Chodzi o nasze tuniki? - zmarszczył brwi zakonnik i zamrugał powiekami. - Ależ one są za darmo.

- Za darmo? - zachłysnął się Italczyk. - Cóż tedy powinienem uczynić, by zdobyć takie dla mnie i moich towarzyszy?

- Udać się do domu zakonnego w Tyrze - oznajmił rycerz, zbierając się do odejścia - by złożyć śluby zakonne.

I odszedł, nim Vittorio zdołał wykrztusić choćby słowo. Gaston, którzy przysłuchiwał się tej wymianie zdań, skwitował ją krzywym uśmiechem.

- Jak miło - mruknął pod nosem. - Z nas dwóch zwykle to ja wychodziłem na durnia. Co, Vittorio? - zapytał głośniejszym głosem. - Jak ci się podoba wizja życia zakonnego dla naszej wesołej gromadki? Anzelm już kiedyś próbował i o mały włos skończyłoby się to tragicznie.

Wymownie zerknął przez ramię na rycerza z Ar--Ramli, który z półprzymkniętymi oczyma siedział na śródokręciu oparty o maszt, pogrążony w zadumie bądź drzemce.

- Zamknij pysk, de Baideaux - obruszył się Italczyk. -Przynajmniej próbowałem. Templariusze traktują szpitalników ze wzdargą lub w najlepszym razie z obojętnością. Na pewno nie zwróciliby na nas uwagi, gdybyśmy założyli ich tuniki.

- Wybacz - westchnął Gaston. - Wiem, że próbowałeś.

Zamilkli obaj. Dziób potężnej galery skreślił jeszcze bardziej w stronę lądu, a załoga, ponaglona szorstkimi rozkazami kapitana, zwinęła żagiel. Zwalisty, łysy We-necjanin o twarzy pokrytej dziobami strzelił z bata, ponaglając wiosłarzy na prawej burcie, a potem zaczął podawać rytm dla obu grup. Rzędy szerokich piór wiosła jednocześnie rozryły połyskliwą, oleistą powierzchnię fal,

ciężki okręt skoczył naprzód niczym rumak dźgnięty ostrogą. Łąd jednakże nadal krył swe tajemnice za rozciągniętą zasłoną mgieł.

Gaston naraz pomyślał, że wcale nie pali mu się do Tyru.

- Pies by ich trącał, banda nieużytych klechów w kolczugach - złorzeczył Vittorio. - Myślą sobie, że pożarli wszystkie rozумы, a tymczasem...

- Przestań biadolić.

Czas płynął wolno, odmierzany równomiernym pluskiem zanurzających się łopat wiosel. Wiatr świstał, niesforne fale wciąż nacierały na dziób galery i cofały się rozbite na pianę. Gaston usiłował zebrać rozbiegane myśli, przymusić je, by odnalazły rozwiązanie problemu, lecz na próżno. Z kipieli znów zerkały na niego widmowe twarze. Vivienne de Grenier. Robert de Sabie. Josce-lin de Royes. Vivienne...

- Parszywe psy... - warknął niespodziewanie Italczyk, przerywając mu zadumę.

- Dałbyś już temu spokój - uniósł głowę de Bai-deaux. - Przyzwyczaj się lepiej do myśli, że nie każdy w Outremer złapie się na twą potoczystą gadkę. Ten szpitalnik...

- Ja nie o tym! - syknął Vittorio. - Patrz!

Młody rycerz powiódł wzrokiem za drżącym lekko palcem towarzysza, wymierzonym prosto w coraz bliższą obcą galereę. Ta kierowała się wyraźnie na okręt szpitalników, choć nie bez pewnych trudności. Gaston naliczył na burcie dwanaście otworów, w większości zamkniętych, a nieliczne wystające z nich wiosła uderzały w wodę nierównomiernie, aż cud, że okręt w ogóle się poruszał. Większość marynarzy zajęta była zaganianiem świń do prowizorycznej zagrody na półpokładzie dziobowym, pozostali machali z przejęciem w stronę okrętu zakonników i krzyczeli coś jeden przez drugiego.

- Niby na co mam patrzeć? - zmarszczył brwi Gaston. - Wygląda na to, że mają niezły bajzel tam na pokładzie, ale...

Jedna ze świń wyrwała się opasłemu majtkowi i popędziła wzdłuż burty. Dwa kolejne wiosła znieruchomiały, gdy wioślarze dołączyli do szaleńczego pościgu. Prowansalscy i weneccy majtkowie dowcipkowali głośno, nawet rudy szpitalnik dowodzący galerą krzywił się w szyderym uśmiechu.

Poblady lekko Vittorio przygryzł wargę.

- Patrz uważnie. Żaden z tych marynarzy nie ma brody czy turbanu. Ganiają za świniami, a na maszcie mają krzyż. Nikt by nie zwątpił, że to chrześcijanie, prawda?

- Prawda - odparł wolno de Baideaux. Ostrożność zjeżyła grzbiet, prychnęła niespokojnie.

- Ano właśnie.

Italczyk odwrócił się, zanim jego towarzysz zdążył zadać kolejne pytanie, i popędził ku rufie, przyciągając zaskoczona spojrzenia majtków, a nawet niektórych wioślarzy. Potracony przezeń Anzelm skoczył na równe nogi. Bernard, dotąd drzemający w cieniu burty, poderwał się nagle i zamrugał oczyma, instynktownie łapiąc za swój kij. Vittorio zaś, odtrąciwszy blokującego mu drogę jasnowłosego szpitalnika, przypadł do schodków prowadzących na rufę i gorączkowymi gestami nakłonił kapitana, by ten zszedł na dół. Potem zaczął mu coś pospiesznie tłumaczyć, pomagając sobie bogatą gestykulacją.

Gaston poczuł, jak po plecach biegną mu ciarki. Obrzucił raz jeszcze spojrzeniem przybliżającą się galereę i też ruszył ku rufie, z początku wolno, lecz rosnący niepokój przyspieszył jego kroki. Wraz z Anzelmem dotarli do szpitalnika i Vittoria, akurat by usłyszeć ostatnie zdanie Italczyka.

- To zaś już jest sprawa między mną a moim spowiednikiem - oznajmił ten i cofnął się o krok, jakby ustępując przed surowym spojrzeniem kapitana. Rudobrody rycerz przez dłuższą chwilę mierzył go wzrokiem wychylony w przód niczym buhaj szykujący się do szarży, po czym raz jeszcze spojrział na nadpływający okręt i kiwnął lekko głową.

- Bracie Jakubie - zaczął chrapliwym głosem, zakładając ramiona na piersi, aż zachrząściły ogniwa kolczugi - słyszeliście słowa naszego towarzysza. Każcie napinać kusze, lecz czyńcie to w ukryciu. Rozdajcie też cichaczem ludziom broń z kufrów.

Młody szpitalnik, który zatrzymał się przy Anzelmie, bez słowa kiwnął głową i ruszył biegiem w stronę zbrojowni, przywołując gestami kilku marynarzy.

- I błagam was, bracie - zawahał się Vittorio - nie wychodźcie na rufę. Tu kryje was burta i...

- Przed chwilą gadaliście, dobry rycerzu, że wszystko ma wyglądać naturalnie - burknął kapitan. - Hej, wy tam! Na dziób i drzeć się! Drzeć się wniebogłoso! Machać do tych szmaciarzy, uśmiechać się i drzeć!

I jakby nigdy nic spojrzął ku słońcu skrytemu za sta-lowoszarą przesłoną chmur. Poblądły Vittorio odwrócił się do zaskoczonych towarzyszy.

- Co się tak gapicie? - warknął.

- O co w tym wszystkim chodzi? - wyjąkał Gaston. - Vittorio, skąd ty...

- To nie czas ni miejsce - pokręcił głową Italczyk, lecz z jego twarzy nie zniknął wyraz obrzydzenia, jakby mierzyła go sama rozmowa na ten temat. - Starczy wam wiedzieć, że to „Rais”, okręt Białego Muhamma-da, największego skurwiela, jakiego wyrzygało piekło od czasów Marco Guiscarda. Za burtą tamtej balii kryje się dobra setka uzbrojonych po zęby sukinsynów gotowych utopić nasz pokład we krwi, gdy tylko, niby to nieszczęśliwym trafem, przywałą nam dziobem w burtę.

- Odważą się zaatakować okręt zakonu szpitalni-ków? - zapytał spokojnym głosem Anzelm, unosząc lekko brwi.

- A cóż miałoby ich powstrzymać? - skrzywił się Vittorio. - Po Hittinie? Po upadku Jerozolimy? Kim są dla tych łupieżców szpitalnicy, Anzelmie? Zresztą Muham-mada trzeba by poszczuć smokami, żeby odstąpił od ataku. Gotujcie się lepiej do boju.

Wskazał dłonią marynarzy, którzy pospiesznie, ale karnie, bez śladów paniki napinali kusze i rozkładali oszczepy oraz topory abordażowe. Niektórzy przemykali zgarbieni w cieniu rzucanym przez burty, roznosząc broń, inni, zasłaniając głowy tarczami, już uklękli z nagimi mieczami w garści, jeszcze paru przyczaiło się za wiosłarzami, by wpakować belt w plecy, pierwszego, który spróbuje buntu. Tymczasem na dziobie kilku Pro-wansalczyków nawoływało zbliżającą się galere, a na rufie stanął brat Giovanni, zwalisty, potężny, z nieodłącznym szyderczym uśmiechem.

Gaston poczuł nagłą suchość w gardle.

- Ty go znasz... Dlatego rozumiesz po arabsku - powiedział, usiłując zamaskować chwilę słabości. - Ale co się stało z twoją niechęcią do narażania inwestycji?

- Nazwij to ryzykownym wkładem własnym - wycedził Vittorio, dopinając hełm. - Wiesz, ile za taką galere można zgarnąć?

- Łup przypadnie szpitalnikom - ostudził go Anzelm, wiążąc przed walką swe rzadkie, siwiejące włosy. - W całości. A nawet gdybyś o tym nie wiedział, nadal umiesz liczyć. „Stu chłopów”, powiedziałeś. Taka galera mieści dwakroć tyle.

Młody szpitalnik, który właśnie poinstruował dziobatego Wenecjanina, by przestał popędzać wiosłarzy, i zgarbiony biegł w kierunku dziobu, zatrzymał się zaintrygowany.

- Dokładnie - powiedział, przekrzywiając lekko głowę. Był blady, ale głos jego brzmiał pewnie. - A tymczasem wraz ze mną, wami i bratem Giovannim jest nas tu pięciu pasowanych, prócz tego ze trzy tuziny zbrojnych żeglarzy. Nie będzie łatwo.

„A więc to tak w języku zakonu określa się beznadziejną bitwę” - pomyślał Gaston, w głębi duszy licząc na to, że odpowie mu inny głos, równie cyniczny. Niestety, nie doczekał się.

- Nie uszlibyśmy „Rais” nawet na mniejszym i lżejszym okręcie, Anzelmie - wycedził Vittorio, zaciskając mocno szczęki. Na nieogolonych policzkach migotały mu czerwone plamy. - A już na pewno nie przy tym wietrze. Ty zaś, mężny bracie, nie troskaj się zanedo. Mamy dwa potężne atuty po swej stronie. Po pierwsze, Biały Muhammad to zwykły rzeźnik, a nie wojownik. Całkiem traci głowę, wgdę napotyka na stanowczy opór.

- A drugi atut? - uniósł lekko brwi brat Jakub.

- Ten malkontent. - Vittorio klepnął w ramię niewzruszonego Anzelma, zmuszając się do grymasu, który w innych okolicznościach zapewne przypominałby uśmiech. - Wierz mi, bracie, zaraz ujrzysz coś, z czego nie warto się spowiadać.

Anzelm skrzywił się i odwrócił głowę, jakby chciał rzucić jakąś gorzką uwagę, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

Głosy piratów, wciąż wywrzaskujących rubaszne powitania, zagłuszały już chlupot fal o burzę zakonnej galery. Niedaleko zakołysał się top pojedynczego masztu wrogiej jednostki.

- To już sprawa między mną a moim spowiednikiem - rzucił jasnowłosy rycerz, po czym skinął głową na pożegnanie i z nagim mieczem w garści przypadł do swoich ludzi zastygłych z naciągniętymi kuszami.

- Tędy! - wskazał Vittorio.

We trzech przypadli do pustej ławki galerników, nad nimi, niczym ogromny Anioł Stróż, zamarł czujny Bernard ze swą nieodłączną łagą i ciężkim toporem. Gaston odważył się i wyjrzał na mgnienie oka przez otwór na wiosło. Ujrzał brudnożółtą pianę okalającą dziób nadciągającego okrętu, a potem postrzępione, wypłowiałe łachmany stłoczonych na dziobie żeglarzy. Niektórzy wymachiwali kordelasami i maczugami, jakby podnieceni wizją zbliżającego się starcia zapomnieli o narzuconej im roli.

Brat Giovanni zbiegł po schodkach, krzyknął coś ze wszystkich sił. Prowansalczyki na dziobie galery natychmiast skryli się za burzę, porwali kusze. Wioślarze, wyczuwając napięcie, kulili się na ławkach, niektórzy obrzucali błagalnymi spojrzeniami biegających zbrojnych, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

Jakub rozejrzał się po raz ostatni i skinął głową, napotkawszy spojrzenie Gastona. Piraci wrzeszczeli, fale chlupotały. Serca waliły niczym kowalskie młoty.

- Masz rację - odezwał się nagle Vittorio zachrypłym głosem.

-Co?

- Masz rację, Gaston. To stąd znam arabski. A co do inwestycji, właśnie muszę jedną zamknąć raz na zawsze. I nie przeszkadzaj mi w tym.

Rozdział pierwszy 13

Młody de Baideaux kiwnął głową i z trudem rozluźnił dłoń, dotychczas zaciśniętą kurczowo na mieczu. Myślami był gdzieś indziej.

„Dlaczego się nie odzywasz? - zapytał w duchu. -Dlaczego milczysz, zwłaszcza teraz, gdy cię naprawdę potrzebuję?”

Przerażała go wizja walki na ciasnym, śliskim od krwi, rozkołysanym pokładzie, w ciżbie i ścisku, wśród rozszalałych, ogarniętych pasją mordowania piratów. Przerażała go do tego stopnia, że był skłonny zwrócić się o pocieszenie nawet do diabła. Zresztą ostatnie doświadczenia utwierdziły go w przekonaniu, że diabeł nie taki zły, jak go malują.

A ponadto bywa przydatny.

Niestety, ten nie odezwał się ani razu od pasowania i nadal milczał, w przeciwieństwie do piratów, którzy wrzeszczeli coraz głośnie. Błady jak ściana Vittorio szeptał bezgłośnie jakieś modlitwy. Bernard wydymał wargi i potrząsał kudłami.

- Nie wiem, czemu się z tobą zadaję, de Baideaux -wychrypiał niespodziewanie Anzelm. - Niewiele mi z tego przychodzi. Tym, którzy mają z nami do czynienia, przychodzi z tego jeszcze mniej.

Gaston zerknął przez ramię. Oczy rycerza z Ar-Ramli, zwężone niczym u zwierzęcia, jaśniały dziko, zarost na jego policzkach zdawał się ciemnieć, brwi grubieć.

- A Vittorio... - wychrypiał. - A Vittorio zaczyna mnie...

I umilkł, jakby jego nagle zwierzęce gardło nie było już w stanie wykrztusić ludzkich słów. Po plecach Gastona znów przemknął dreszcz. Odwrócił się przestraszony.

- Kuszniczy! - wrzasnął brat Giovanni.

I jak to zwykle bywa, napięcie rozładowało się w jednej chwili, niczym nabrzmiała moc burzy, gdy tylko uderzy pierwszy piorun. Kilkanaście postaci, dotąd skulonych wzdłuż burt, poderwało się nagle, kilkanaście kuszy wymierzyło w dziób wrogiego okrętu, kilkanaście beltów zanurkowało prosto w rozwrzeszczaną piracką ciżbę.

Młody de Baideaux nie potrafił strzelać z kuszy, ale wiedział, że z tej odległości nie trzeba wcale celować. Ryki bólu i pełne zaskoczenia krzyki potwierdziły jego domysły. Kątem oka dostrzegł, jak niektórzy z marynarzy rzucają kusze i porywają za oszczepy.

- Pamiętaj, Gaston! - warknął Vittorio. - Ani się waż biec za mną!

Chciał odpowiedzieć, lecz nie zdążył. Niespodziewanie okręt szpitalników zatrząsł się od potężnego uderzenia w burtę, pokład zadygotał, w okężnicy tuż nad jego głową utknęła kotwiczka. Wrzaski przerażonych galerników i rozjuszonych piratów wprost ogłuszały, niebo przesłonił jakiś ogromny cień. Gaston zamierzył się do ciosu na ślepo, lecz ktoś go szarpnął, przewrócił na deski pokładu. Oszołomiony zerknął na Bernarda, który przypadł do stojącego na burcie pirata, uniknął opadającej maczugi, wbił mu łagę w brzuch i zepchnął w dół, prosto w fale kołujące się między burtami obu okrętów. Zaraz na pokład zeskoczył inny napastnik, krępy osiłek z półnagim torsem. Zginął natychmiast ścięty przez Anzelma, a Vittorio chlasnął mieczem kolejnego, uwalniając ryk bólu. Po deskach pokładu, tuż przed oczyma pobladłego de Baideaux, płynęły strużki krwi.

- Bij! - ryczał rudobrody brat Giovanni, nacierając z ogromnym toporem.

Gaston naraz uświadomił sobie, że zrywa się na równe nogi, jakby jego ciało posłuszne było innej, potężniejszej sile. Jego miecz przeciął powietrze i przyszpilił chudego Maura powalonego sekundę wcześniej łagą Bernarda, a potem śmignął w bok i rozorał czyjeś wytatuowane ramię. Na odruchowo wzniesioną tarczę spadł jakiś cios, aż młody rycerz zatoczył się, lecz odpowiedział na ślepo, poprawił kolejnym cięciem.

Nie było już wahań, rozterek czy strachu. Otoczony mrowiem wciąż zeskakujących z burt nieprzyjaciół Gaston walczył jak oszalały, tnąc, pchając i co rusz unosząc tarczę. Obok niego miotał się Anzelm, wykrzywiony, spotworniały, z oczyma lśnącymi purpurą, siejący wokół spustoszenie. Dalej walczył Vittorio, płynnie, niczym w śmiertelnym tańcu, uchylający się od wrogich uderzeń, sam zaś tnący na zimno, z wyrachowaniem. Nad nimi górował monstrualny Bernard, straszliwy niczym ranny niedźwiedź. Sługa rodu de Baideaux uderzał swoją łagą z szybkością zgoła zaskakującą u tak potężnego mężczyzny, lecz z siłą łatwą do przewidzenia. Strącał piratów z burt, zanim zdolali odzyskać równowagę, a tym, którzy zdążyli zeskoczyć na pokład, miażdżył kości i rozbijał czaszki.

Najbardziej zacięty bój toczył się jednak na śródokręciu, gdzie główny impet przyjęli obaj szpitalnicy oraz garstka marynarzy. Tam prawdziwych cudów waleczności dokonywał brat Jakub.

Po młodym szpitalniku nie było już znać słabości. Uskakiwał przed wrogimi ciosami z gracją, unikał nawet tych najtrudniejszych, zupełnie jakby szal bitwy obudził w nim szósty zmysł, a sam

uderzał z niewysłowioną wprost precyzją, przy której talent szermierczy Vittoria zdawał się zwykłą rąbaniną. Jego miecz, unurzany we krwi, wprost tańczył mu w dłoniach, a przymrużone oczy błyszczały niczym zimne i bezlitosne kryształki lodu.

Gaston zapatrzył się o jedno uderzenie serca za długo. Zakrzywiony arabski saif rąbał go w brzuch, rozrywając tunikę i wybijając powietrze z płuc, lecz szczęśliwie nie czyniąc żadnej szkody pysznej mediolańskiej kolczudze podarowanej mu przez barona Ibelinu. Oszołomiony młodzieniec ciął na ślepo, chybił, nachylił się instynktownie i pchnął z całej siły. Ciemnoskóry, kędzierzawy pirat w wypłowiałych szarawarach z niedowierzaniem spojrzął na frankijski miecz tkwiący w jego brzuchu, a potem zmiotła go laga cichego jak śmierć Bernarda.

Pirat jednak nie chciał umrzeć. Zatoczył się po śliskim pokładzie, padł na kolana, potem na łokcie. Próbował wstać, ale ogromny sługa przypadł doń skwapliwie i walnął końcem kija w potylicę.

Ponad szcęk oręża, krzyki chroniących się pod ławkami wioślarzy i ryk nacierających wzniosł się nagle czyjś tubalny głos. Gaston uniósł głowę i dojrzał tęgiego mężczyznę w kolczudze, który wyrósł na burcie galery i wskazał swym długim saifem broniących się Franków. Całkiem siwą brodę Saracena, dotąd zatkniętą za pas, wyswobodził powiew wiatru i rozwiął jak porporzec.

„Biały Muhammad!” - pomyślał Gaston.

- Jallal - ryknął przywódca piratów. - Jallal Twarz słynnego herszta wykrzywił grymas nienawiści. Bicz, który niespodziewanie pojawił się w jego lewej dłoni, zamigotał i wypalił krwawą pręgę na plecach któregoś z opieszalych podwładnych. Gdy strzelił w powietrzu, piraci natarli z jeszcze większą zajądlnością.

Wtedy Gaston dostrzegł Vittoria, który z niespotykaną u niego determinacją runął ku burcie.

- Stój! - wrzasnął de Baideaux, ale głos go zawiódł. - Stój, szaleńcze!

Nawet najgłośniejszy krzyk nie byłby w stanie przebić zgiełku walki. Zaalarmował natomiast Anzelma, który przydusił właśnie kolanami powalonego przeciwnika i zamasztył chłasnieniem rozciął mu gardło. Jarzące się purpurą przymrużone ślepie rycerza-wilkołaka odnalazły Gastona, kosmaty łeb ze szpiczastymi uszami zwrócił się w stronę burty, resztki ludzkiego rozsądku, które nie uległy szalowi bitwy, podjęły decyzję.

Zerwał się do biegu w tym samym momencie co jego młody towarzysz.

Nie widzieli już szalonego Italczyka, który utonął w mrowiu przeciwników kotłujących się u stóp Mu-hammada, ale parli przed siebie, z wściekłością rąbiąc, tnąc i miażdżąc, obojętni na ból, niewrażliwi na strach. Oczy Anzelma płonęły zwierzęcą żądzą mordy, a zawzięta twarz Gastona mówiła, że nie ustąpi nigdy, przed niczym. Kilku piratów zawahało się, jeden czmychnął na bok, lecz przed nimi wciąż wyrastali nowi. Vittorio ciągle walczył; świadczył o tym zakrwawiony miecz wciąż wznoszący się nad obwiązane chustami głowy nacierających, ale coraz wolniej, coraz słabiej.

Wtem na burcie tuż obok Muhammada wyrósł kolejny pirat, muskularny, łysawy Nubijczyk, który poderwał do ramienia kuszę i wymierzył w dół, tam gdzie miotał się Genuńczyk.

- Nie! - wrzasnął de Baideaux.

Anzelm parsknął i napiął wszystkie mięśnie.

I nagle walka zamarła. Na ten krótki, niewytłumaczalny moment oczy wszystkich, zarówno obrońców, jak i napastników, żywych i konających, muzułmanów i chrześcijan, przyciągnęła postać odmieńca z Ar-Ramli, który raz odbiwszy się od desek pokładu, zdawał się szybować nad głowami walczących. W dłoni przekłętego rycerza błysnął sztylet, ramię wystrzeliło niczym kiel skorpionia i czarnoskóry kusznik zatoczył się, bluzgając krwią. Anzelm zaś wylądował na burcie, w niepojęty sposób odzyskał równowagę i zwrócił ślepie ku Muhammadowi. Spomiędzy jego

zaciśniętych kłów wydarł się najpierw głuchy warkot, a potem mrozący krew w żyłach skowyt potępieńca i niczym zimne tchnienie burzy ogarnął pokład okrętu.

Poszarzały na twarzy Muhammad upuścił bicz, cofnął się o krok. Jego stopa poślizgnęła się, natrafiwszy na plamę krwi.

- Allach Akbar! - zawył, upadając.

Widok wyjącego potwora rodem z najgorszych koszmarów i własnego przywódcy bełkoczącego z przerażenia, czołgającego się nieporadnie po zakrwawionym pokładzie w jednej chwili odebrał oszołomionym piratom wszelką zaciekłość.

Pierwszy zrozumiał to Bernard.

Okuta żelazem laga zatoczyła łuk, z hukiem rozcinając powietrze, i strzaskała szczękę barczystemu Marokańczykowi z ogoloną czaszką, a potem cofnęła się i wbiła w brzuch innego.

Anzelm warknął przeciągle, zeskoczył na pokład sprężyste niczym dziki kot, błysnął sztyletami.

- Adgloriam Dei! - krzyknął zachrypnięty brat Giovanni.

A Gaston dostrzegł Vittoria, który chwiejnie wstał i uniósł miecz nad próbującym powstać Muhammadem. I wtedy olśniła go myśl.

- Nie! - wrzasnął.

Zdażył. Odbił klingę Italczyka w ostatniej chwili, nim ta rozcięła gardło kulącego się pirata.

Wściekłość w oczach Vittoria przeszła w zdumienie.

- Co? - warknął, cofając się. - Co ci, kurwa, odbiło?

- Oszczędź go! - wysapał Gaston.

- Mówiłem ci, nie mieszaj się, bo...

- Oszczędź! Na razie oszczędź! Zaufaj mi, oszczędź!

Podniósł czubkiem miecza jakąś zapomnianą linę i rzucił ją na pirata.

- Zwiąż go i oszczędź powtórzył dobitnie. - On nam się przyda. A zabić go będziesz mógł zawsze.

Vittorio westchnął ciężko i pochylił się, by skrepować jeńca. Przerażeni piraci z wrzaskiem wyskakiwali za burtę ścigani przez Bernarda, Anzelma i obu szpi-talników.

Rozdział drugi

W KTÓRYM ZOSTAWIAMY NA MOMENT NASZYCH KRZYŻOWCÓW, BY PODSŁUCHAĆ KILKA TRUDNYCH ROZMÓW, KTÓRE W PRZYSZŁOŚCI ZADECYDUJĄ O ICH LOSIE

Eo spękanych, pozbawionych życia zboczach górskiego masywu spływały jeszcze rdzawe strugi zacho-tońca, ale tu, w najwyższej komnacie wieży strzegącej twierdzy Al-Kadmus, panował niemalże całkowity mrok. Kwietne wzory na kobiercach obwieszających ściany nie atakowały już oczu kolorami, spłowiwały, roztopiły się w półmroku w szare, bezkształtne plamy. Wąziutkie okienka strzelnic wpuszczały jedynie tyle światła, by móc rozpoznać oblicze człowieka, który rozsiadł się na niewielkim zydelku.

A było to oblicze, które raz ujrzane zapadało w pamięć na resztę życia. Emir Ismail widywał je wielokrotnie i wciąż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przypomina prastare góry Persji, z których jego gość ponoć przybył. Oblicze to zdawało się jak one wyniosłe i jak one obojętne, choć emir wiedział, że potrafi okazać straszliwy, nieokiełznany gniew. Zmarszczki wokół oczu były niczym pęknięcia w zboczach góry, biegły w dół policzków, rozszerzając się w głębokie, ciemne szczeliny, aż nikły w gęstwinie siwej brody Czoło, nieodmiennie zmarszczone, przywodziło na myśl rozpadliny wyryte zębem czasu, a same oczy, ciemne, zawsze nieodgadnione, zwiastowały burzę.

Również cisza panująca w komnacie zdawała się przypominać góry swą doniosłością. Poświst wiatru i rzenie koni rozkulbaczanych na dziedzińcu twierdzy wydawały się pochodzić z innego świata. Tu, w najwyższej komnacie, czas zastygł. Emir Ismail czekał na wyrok.

Ten zaś, który miał ów wyrok wydać - przywódca ni-zarytów, syryjskiego odłamu asasynów, sławetny Rashid ad-Din Sinan, zwany przez Franków Vetulus de Monta-nis, czyli Starzec z Gór - ani drgnął.

Ismail przełknął ślinę i rozprostował zwilgotniałe od potu dłonie, do tej pory zaciśnięte w pięści. Oddałby wszystko, by siwobrody poruszył się i wyrzekł choćby słowo, nawet jeśli miałyby ono nieść mu śmierć.

A przecież wszystko miało wyglądać inaczej! Siedział w ciemnej komnacie, patrzył na milczącego złowieszczo mistrza i nie mógł wprost uwierzyć, że jeszcze niecałą godzinę temu jechał konno na czele swych Turków i wyobrażał sobie chwilę tryumfального dotarcia do Masjafu. Bez końca napawał się wizją członków sekty patrzących nań z podziwem, gdy wjeżdża do twierdzy owiany sławą wojenną, wlekąc za sobą piękną frankijską brankę i dostojnika templariuszy, a przed sobą prowadząc Ukrytego Imama. Wyobrażenie to rozwiało niespodziewanie pojawienie się kilkunastu konnych łuczników, którzy z rozkazu Sinana mieli eskortować go aż do Al-Kadmusu, najbliższej twierdzy nizarytów. Wyprowadzony z równowagi Ismail usiłował sobie to wytłumaczyć koniecznością zachowania tajemnicy nawet wobec braci w sekcie - w końcu wieść o odnalezieniu Ukrytego Imama mogła doprowadzić do wielkiego wzburzenia - niemniej w chwili gdy wskazano mu schody na najwyższe piętro wieży, poczuł ukłucie niepokoju. W drodze na szczyt kilkakrotnie przetrząsnął pamięć w poszukiwaniu jakichkolwiek popełnionych błędów, ale nie znalazł nic, co mogłoby wywołać wściekłość Sinana. Tymczasem coś takiego najwyraźniej musiało istnieć.

- Efendi... - zaczął, gdy uznał, że nie znieśnie już dłużej świdrującego spojrzenia przywódcy sekty. - Efendi, ja błagam...

Starzec położył palec na ustach równie suchych jak piach na trakcie.

- Nie mów nic - odezwał się głosem zaskakująco cichym i melodyjnym. - Pozwól mi się na ciebie napatrzeć, Ismailu. Gdy milczysz, zdajesz się człowiekiem poważnym i odpowiedzialnym. Pozwól mi się napawać tym złudzeniem, Ismailu.

- Złudzeniem? - Emir przełknął ślinę. - Efendi, ja...

- Wiem - kiwnął głową Starzec z Gór - wojowałeś z Frankami. Pojmałeś w niewolę Joscelina de Royes. Odnalazłeś Ukrytego Imama. Co najważniejsze, odbiłeś swą ukochaną z rąk niewiernych.

- To nieprawda! - zaprzeczył gorąco Ismail. - Niech sępy wydziobią mi wątrobę, jeśli choć przez chwilę poniechałem naszej misji! Jestem żarliwym wojownikiem naszej wiary i...

- Ciii - Sinan znów ułożył palec na ustach - bezpiecznie jest wskazywać sępom swą wątrobę, gdy wokół szaleje wojna i żarcia mają w bród. Ech, i złudzenie przysło!

- Efendi - jęknął Ismail.

- Żarliwy wojownik naszej wiary, który za pieniądze ukradzione ojcu wystawia oddział najemników i wojuje z Frankami o ukochaną. Żarliwy wojownik naszej wiary, który wraca do Masjafu w glorii i chwale, wlekąc złapanego przypadkiem templariusza i bezdomną niemowę, którą posądza o to, że jest Ukrytym Imamem. Wiesz, jak zachowują się prawdziwi synowie Nizara? Prawdziwi wojownicy naszej wiary? Wiesz, na czym polega ich dżihad?

Zapytany przygryzł wargę.

- Nie wiesz - skonstatował Starzec. - No cóż... Chcesz wina? - zapytał nieoczekiwanie.

- Ale przecież... - Młody emif otworzył szeroko oczy. - Ale przecież picie wina jest nieczyste! To wbrew naszemu prawu! Przeciwno szariatowi! Nie wolno...

- Ho, ho, oto zostałem pouczony przez prawdziwego wyznawcę naszej wiary! - zakpił Sinan. - Nie słyszałeś plotek, które docierały z Persji? Nie cieszyłeś się w duchu na wieść o tym, że ponoć w Alamucie, perskiej kolebce naszej wiary, zarzucono szariat, Ismailu synu Abdula? Że wolno pić wino i jeść wieprzowinę, o ile komuś będzie smakować?

- To przecież tylko... - zaczął wzburzony emir, ale posłusznie zamilkł, widząc, że Starzec szykuje się do dłuższej tyrady.

- ...plotki? - dokończył za niego Sinan, marszcząc krzaczaste brwi. Płaty wyschniętej skóry zbiegły się na czole, jakby dwie skały nagle uderzyły o siebie. - A co byś począł, gdyby okazały się prawdziwe?

- Jestem pokornym człowiekiem i nie wystąpię przeciwko waszym naukom.

- Doprawdy? Tymczasem my wszyscy, cała sekta, jesteśmy synami Nizara, Ismailu, i jak jeden mąż występujemy przeciwko fałszywym wyznawcom Proroka. Jesteśmy jak ten wąż, który kąsa niewiernych i zdrajców śmiertelnym jadem. A o tym, że węże skórę zmieniają, wie każde dziecko.

Powstał z sapaniem i podszedł do stolika, na którym stała opleciona wikliną fiasza wina.

Ostatnie promienie słońca rozświetliły czerwony płyn nalewany do kielicha.

- Znasz historię naszej sekty, Ismailu - ciągnął, zwilżywszy gardło. - Wiesz dobrze, że od wielu pokoleń walczyliśmy o słuszną sprawę. Nauczaliśmy, objaśnialiśmy, nawracaliśmy, a gdy było trzeba, topiliśmy sztylety w sercach zdrajców. Ani razu nie zwróciliśmy się przeciwko naszemu przywódcy z Alamutu, ani razu nie wystąpiliśmy przeciwko szariatowi. Czy wiesz, że sam Hasan ibn Sabbah, wielki hudźdża mówiący w imieniu imama, ten, który nauczył nas wszystkich absolutnego posłuszeństwa, nakazał zabić dwóch spośród swoich synów, bo zgrzeszyli przeciw szariatowi? Jednego z nich za zabójstwo brata-nizaryty, a drugiego... Cóż, za spożywanie wina właśnie.

Zakasłał i upił jeszcze łyk. Niespodziewanie wykrzywił usta, jakby cierpki napój stał się gorzki.

- Te czasy należą do przeszłości, Ismailu - powiedział chrapliwym głosem. - Otrzymaliśmy wieści z Ala-mutu. Przywódca nas wszystkich, Hasan ibn Muham-mad, oznajmił, że czas oczekiwania na imama, który poprowadzi nas do dalszej walki, wreszcie minął.

- Wiem! - wykrzyknął z entuzjazmem emir. - Wiem, ojczyzna nas wszystkich, oby wrogie ostrza trzymały się z dala od ciebie. Odnalazłem...

Nastroszone brwi Starca znów ściągnęły się gniewnie na czole. Ismail urwał i opuścił wzrok, uniesienie w jego sercu w jednej chwili zastąpił lęk.

- Odnalazłeś kaim al-kijamę - dopowiedział za niego, odstawiając wino. - Władcę zmartwychwstania, Ukrytego Imama. Oczekiwanego przez nas Proroka, który miał ogłosić odrodzenie świata, a wedle twych słów raczył objawić się w postaci małej dziewczynki. Tak, wiem. Twoje szczęście, Ismailu synu Abdula, że wcześniej pchnąłeś do Masjafu gońca z tą radosną wieścią. Ogromne szczęście. Albowiem kiedy ty hulałeś ze swymi najemnikami po bezdrożach Syrii, Hasan ibn Mu-hammad, przywódca nas wszystkich, w połowie rama-danu oznajmił, że Ukryty Imam przemawia jego ustami. Nastąpiła kijama. Zmartwychwstanie. Nie ma co dłużej na niego czekać, albowiem kaim al-kijama mówi do nas ustami Hasana.

Nawet gdyby ciało Rashida ad-Dina Sinana rozdarł skryty w jego wnętrzu ifryt, zdumienie Ismaila na pewno nie byłoby większe. Klęczał z otwartymi szeroko oczyma i rozdziawionymi ustami, nie wydając ani dźwięku, aż wreszcie kamienne oblicze Starca z Gór poruszył grymas przypominający uśmiech.

- Tak - prychnął lekko i dopił wino. - Po tym, co właśnie usłyszałeś, wieść o zniesieniu szariatu nie powinna tobą zbytnio wstrząsnąć. A tak się stało. Hasan uwolnił nas spod ciężaru Świętego Prawa. To, co swego czasu braliśmy za plotki, okazało się prawdą. Do tej pory zwano

nas z pogardą hashshiyiti, palaczami haszyszu. Tylko patrzeć, a nasi bracia w islamie wymyślą jakieś kpiarskie określenie związane z winem. A przyznam ci szczerze, że nie wiedzą, co tracą. Trypolitańskie jest naprawdę dobre.

Nagłym ruchem odstawił kielich, gliniący, lecz powleczony glazurą, która zalśniła wszystkimi kolorami tęczy. Gdy spojrzął na Ismaila, wzrok Starca na nowo stał się chłodny i przenikliwy.

- Skąd wiesz, że to dziecko jest Ukrytym Imamem? - spytał ostro.

- Nnnooo - zawahał się Ismail. - To się wie. Starczy na nie... na nią... spojrzeć i już...

- A może tylko ci się wydaje?

- Nie, jestem tego pewien. Przecież od dawna jestem jednym z was, efendi, od dawna z wami się modłę i walczę. Oczekuję...

- Nie oczekuj. Już po wszystkim. Ukryty Imam objawił się w Alamucie, mówi ustami Hasana i nakazuje, byśmy go we wszystkim słuchali. A to dziecko? Cóż, jest tylko zwykłą przybłądą.

- Ale...

- Ismailu - wychrypiął cicho i złowieszczo Rashid ad-Din Sinan - wbij sobie do głowy, że kiedy czegoś nie pojmujesz, najlepiej jest czekać w pokorze, póki ci ktoś tego nie wyłoży.

Wszystko to, co ujrzałeś w owej dziewczynce, jest teraz warte tyle, co zeschnięte wielbłądzie ścierwo. Hasan ogłosił, że Ukryty Imam mówi jego ustami, przeto ja, ty i każdy inny nizaryta w Syrii, wszyscy będziemy składać Bogu podziękowania za jego oświecenie. Hasan ogłosił odstąpienie od Świętego Prawa i tak też postąpimy. Tak będzie, bo tak długo, póki ja przewodzę syryjskim nizarytom, nikt nie zrobi nic, co by wywołało wrzenie w naszym gronie. Tak długo, póki za wolą Boga oddycham, chodzę i walczę, syryjscy nizaryci nie zdradzą Alamutu.

Uratowałem ci życie, Ismailu.

Zrozpaczony, wstrząśnięty emir uniósł spojrzenie.

- Życie? - wyjąkał.

- Naprawdę nie rozumiesz, co by się stało, gdyby wieści o twoich dokonaniach dotarły do Alamutu, do uszu Hasana? - Sinan wyszczerzył zęby, zaskakująco białe i równe. - Naprawdę nie potrafisz przewidzieć reakcji naszego przywódcy na wieść o tym, że jakiś syryjski emir twierdzi, że odnalazł Ukrytego Imama? Że słowa jego, Hasana, tym samym są jedynie stekiem bzdur?

Ismail ponownie zwiesił głowę. Nie czuł już strachu, a jedynie obojętność przemieszana z rozpaczą.

- Potrafię - wyrzekł głucho.

- Skoro uratowałem ci życie, to teraz nadam mu nowy sens. - Głos Starca z Gór przeszedł w zmijowy szept. - Zapomnij o swych najemnikach. Jeszcze tej nocy wyjawię im prawdę skrytą w naszej wierze i zaproponuję, by udali się wraz ze mną do Masjafu i służyli naszej sprawie. Tak, wiem, że wystawiłeś ten oddział za własne pieniądze. Ludzie jednakże dają znacznie więcej za ocalenie żywota. Wezmę też templariusza i dziecko, by uchronić cię przed sobą samym. Ty zaś zostaniesz tu,

w Al-Kadmusie - ciągnął. - Wraz z ową niewiastą fran-kijską, której odbicie kosztowało cię tyle wysiłku, oraz owym księdzem. Czy mówisz ich mową?

- Nie, efendi. Do tej pory...

- To się jej naucz. Od swej branki naucz się wszystkiego o ich życiu dworskim, od księdza wszystkiego o ich wierze. I czekaj, albowiem wkrótce wyznaczę ci godną misję. Zaszczytą, wspaniałą misję, która stanie się twoim dżihadem.

Poblądły Ismail przygryzł wargę. Przełknął ślinę, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie odezwał się ani słowem.

- Chyba że... - Sinan dostrzegł jego wahanie i zmrużył oczy. - Chyba że chciałbyś udać się z nami do Masja-fu, a potem pokazać nowym braciom swe oddanie wobec sekty, skacząc z wieży na bruk dziedzińca?

Emir opuścił głowę jeszcze niżej.

Baron Balian z Ibelinu przymknął oczy i z westchnieniem odłożył pióro. Nie chciał już patrzeć na niedokończony list, który zamierzał posłać bratu Baldwinowi -temu samemu, co jeszcze przed tragedią pod Hittinem odmówił złożenia hołdu Gwidonowi z Lusignan i od kilku lat służył księciu Antiochii Boemundowi.

Litery zamazywały mu się przed oczami, wykrzywiały, koślawiały, nie chciały utworzyć słów, a te zdań. Nigdy nie przepadał za piórem ani za inkaustem, ale sztukę stawiania liter opanował dobrze, o niebo lepiej od wielu innych baronów Outremer. Nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że od czasu choroby pisanie szło mu znacznie gorzej.

Podobnie rzecz się miała z myśleniem i podejmowaniem decyzji. Niesnaski między Konradem z Montferra-tu oraz Gwidonem de Lusignan, które przyczyniły nieco po walnym starciu z wojskami Salah ad-Dina, wybuchły wkrótce ze zdwojoną siłą. Obaj wodzowie zgoła zapomnieli o toczącym się niemrawo oblężeniu Akki i z werwą tworzyli wokół siebie koterie, a tarcia między nimi przybierały na sile, tym bardziej że wkrótce oczekiwano przybycia cesarza Fryderyka Barbarossy z potężną armią niemiecką, a potem Ryszarda króla Anglii i Filipa króla Francji, również z niemałymi hufcami. Większość baronów z Konradem na czele spodziewała się wsparcia ze strony Filipa, który był nominalnie seniorem baronów syryjskich. Stronnictwo im przeciwne pokładało większe nadzieje w Ryszardzie, seniorze Gwidona. Wyglądało na to, że z chwilą przybycia obu monarchów przepychanki polityczne znów nabiorą tempa.

Z tego właśnie względu Balian miał nadzieję, że pierwszy przybędzie cesarz Fryderyk, który jedyny obrał drogę lądową. Jeśli bowiem ktokolwiek w chrześcijańskim świecie mógłby narzucić swój autorytet skłóconym wodzom, był to właśnie ów sędziwy, lecz słynący z nieustępliwości i mocy charakteru Niemiec.

„Przynajmniej do czasu wyzwolenia Jerozolimy i ustanowienia nowego króla - myślał baron. - Z chwilą ich odjazdu bałagan rozpocznie się na nowo, ale przynajmniej odzyskamy nasze państwo”.

Znów westchnął. Sam popierał cynicznego, po-pędliwego Konrada, podobnie jak większość baronów syryjskich i zakon szpitalników, ale oddałby wszystko, by nie musieć już uczestniczyć w niekończących się naradach i dysputach. Oddałby wszystko, by wyrzucić pióro, schować bogate szaty, móc po prostu porwać za miecz i walczyć.

Otworzył oczy. Poły namiotu poruszały się niespokojnie targane wilgotnym wiatrem znad morza, ogniki świec dygotały w tym samym rytmie. Niedokończony list leżał tuż przed nim, naglący, niczym wyrzut sumienia.

Balian otarł pot z czoła i ujął za pióro.

W tej samej chwili poła namiotu uniosła się podniesiona przez strzegącego wejścia rycerza i do środka weszła Maria Komnena. Zimny podmuch wtargnął do namiotu, gasząc świece.

- Mario! - powitał ją baron, wstając. Przez twarz bizantyjskiej królowej przemknął kurtuazyjny uśmiech, ale jej spojrzenie pozostało chłodne.

- Och, widzę, że przerywam ci pisanie listów, mężu? -odezwała się kpiąco. - To wspaniale, że znów chwyciłeś za pióro. Kogo tym razem zaprosisz pod Akkę? Króla Sycylii?

Samozwańczego cesarza Cypru Izaaka Komnena? A może samego papieża?

- Nie przyszłaś tu szydzić - rzekł zmęczonym głosem Balian. - Jesteś na to zbyt dumna. A więc po co?

Królowa westchnęła i usiadła na karle, zbierając swe suknie. Jej blada, ziemista cera tworzyła ostry kontrast z haftowaną złotą nicią i zdobioną perłami szatą. Na jej obliczu, podobnie jak u innych niewiast, które towarzyszyły swym mężom pod Akką, odcisnęły się trudy obłączenia.

- Chcę wracać do Tyru, Balianie - powiedziała. - Chcę być z dziećmi. Nic tu po mnie, sam dobrze wiesz. Co więcej, każdy kolejny dzień sprawia, że czuję się gorzej.

- Dlaczego? - zapytał, choć dobrze znał odpowiedź. Mimo że starał się ze wszystkich sił, za nic nie mógł przełknąć goryczy po straszliwej kłótni, która wybuchła między nimi po odbiciu Marii z rąk Turków. Gdyby mógł cofnąć czas, na pewno po raz drugi nie zrugałby małżonki za samowolne opuszczenie Tyru. W chwili gdy cisnęła mu w twarz pisane jego ręką listy wzywające do pilnego przyjazdu pod Akkę, listy, których nigdy nie wysyłał, poczuł, że jego świat wali się w gruzy.

Krewka Bizantyjka, widząc osłupienie męża, natychmiast przejęła inicjatywę. Wrzaskiem, którego pozazdrościłyby jej najstraszliwsze demony zemsty, domagała się, by aresztował i przesłuchał Vivienne de Grenier rzekomo widzianą wśród Turków, by zażądał wyjaśnień i zadośćuczynienia od templariuszy, by wreszcie przesłuchał Gastona de Baideaux i starego Kerima, Ismailo-wego posłańca.

Balian zaś nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Nie mógł aresztować Vivienne, ponieważ nie było ku temu podstaw - hrabianka de Grenier w chwili ich powrotu znajdowała się w obozie, nie mogła więc być wśród porywaczy. Nie zażądał też jakichkolwiek wyjaśnień od templariuszy, bo sędziwy brat Rupert de Saint Jerome, który przejął obowiązki zaginionego, najprawdopodobniej poległego mistrza, należał do ludzi nad wyraz krewkich i podejrzliwych. Wystarczyłby mu jakikolwiek pretekst, by wywołać kolejny konflikt między stronnictwami Franków, a to mogłoby ostatecznie pogrzebać nadzieje na zwycięstwo. Gastona de Baideaux pozbył się z wielką skwapliwością, zanim okręciła go sobie wokół palca własna małżonka i doprowadziła do rozkręcenia spirali intryg. Zaś Kerim...

Cóż, z Kerimem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

- Czujesz się gorzej - powtórzył. - Dlaczego?

- Dlatego, Balianie - wycodziła - że boli mnie twoje podejście. Zrozum, po tym, czego dokonałeś dla Outre-mer... Po Hittinie i obronie Jerozolimy wszyscy cię mieli za bohatera. Ja również. Tylko że...

- Tylko że prawdziwy bohater zrobiłby wszystko, by odnaleźć i pokarać porywaczy jego żony - stwierdził ponuro Balian. - Tłumaczyłem ci już, że templariusze...

- Gównu mnie templariusze obchodzą! - krzyknęła, aż zakołysały się płomyki ostatnich palących się świec. - Masz tego całego Kerima! Weź go na spytki! Potraktuj rozżarzoną żelazem, wbij kilka szpil pod paznokcie, cokolwiek! Skoro jako chrześcijański rycerz brzydzisz się torturami i zadawaniem cierpienia bezbronnym, to oddaj go mnie! W te pędy ściagnę tu doktora Petrusa z Tyru i...

- Nie - rzekł twardo Balian. - Nie ma mowy.

Po plecach spłynęły mu ciarki na wspomnienie łysego, wychudłego Bizantyjczyka o wylupiastych, gadzich oczach, którego Maria zawsze zabierała ze sobą i zachwalała jako doskonałego lekarza. Jak widać, lekarz ów miał jeszcze inne talenty, znacznie bardziej pasujące do jego aparycji. stronnictwami Franków, a to mogłoby ostatecznie pogrzebać nadzieje na zwycięstwo. Gastona de Baideaux pozbył się z wielką skwapliwością, zanim okręciła go sobie wokół palca własna małżonka i doprowadziła do rozkręcenia spirali intryg. Zaś Kerim...

Cóż, z Kerimem sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej.

- Czujesz się gorzej - powtórzył. - Dlaczego?

- Dlatego, Balianie - wycodziła - że boli mnie twoje podejście. Zrozum, po tym, czego dokonałeś dla Outre-mer... Po Hittinie i obronie Jerozolimy wszyscy cię mieli za bohatera. Ja również. Tylko że...

- Tylko że prawdziwy bohater zrobiłby wszystko, by odnaleźć i pokarać porywaczy jego żony - stwierdził ponuro Balian. - Tłumaczyłem ci już, że templariusze...

- Gównu mnie templariusze obchodzą! - krzyknęła, aż zakołysały się płomyki ostatnich palących się świec. - Masz tego całego Kerima! Weź go na spytki! Potraktuj rozżarzoną żelazem, wbij kilka szpil pod paznokcie, cokolwiek! Skoro jako chrześcijański rycerz brzydzisz się torturami i zadawaniem cierpienia bezbronnym, to oddaj go mnie! W te pędy ściągnę tu doktora Petrusa z Tyru i...

- Nie - rzekł twardo Balian. - Nie ma mowy.

Po plecach spłynęły mu ciarki na wspomnienie łysego, wychudłego Bizantyjczyka o wylupiastych, gadzich oczach, którego Maria zawsze zabierała ze sobą i zachwalała jako doskonałego lekarza. Jak widać, lekarz ów miał jeszcze inne talenty, znacznie bardziej pasujące do jego aparycji.

- Balianie, ja tego dłużej nie zniosę! - wrzasnęła. - Ten przeklęty Arab jest kluczem do tajemnicy! On wie, kto zlecił moje porwanie, on wie, dlaczego tak się stało! Tymczasem siedzi w namiocie obok związany jak prosiak, a ty nawet nie chcesz go wziąć na spytki! Każda twoja odmowa, Balianie, jest jak wymierzony policzek. Chcesz mnie znieważyć? Upokorzyć? Baron przyknał oczy. Drobiniki śliny Marii padały na jego twarz.

„Dobrze. Skoro chcesz wiedzieć...” - pomyślał.

- Przesłuchałem Kerima - powiedział chrapliwym głosem. - Bez użycia tortur. Powiedział mi kilka rzeczy, Mario. I właśnie to, co powiedział, sprawia, że trzymam go dalej. I że nigdy ci go nie oddam.

- Tak? - Bizantyjska królowa ujęła się pod boki. - A cóż takiego usłyszałeś, co postanowiłeś przede mną zataić?

- To asasyn.

- Asasyn?

- Członek sekty nizarytów, podwładny Starca z Gór. Przynajmniej w tym jednym Hugo de Lovance się nie mylił. Ci Turcy, którzy cię porwali, Ismail, Kerim, wszyscy są asasynami, Mario. Zapadła długa chwila milczenia. Wiatr poruszał ścianami namiotu.

- Co to oznacza? - zapytała w końcu wzburzonym głosem.

- Nie mam pojęcia.

- Do tej pory sądziłam, że...

- Że asasyni to zakurzeni szaleńcy, którzy kryją się po zapadłych dziurach? A może że są legendą, podobnie jak smoki czy dżiny? - Balian skrzywił się ponuro. - Nie, są prawdziwi. I jest ich wielu. Mieszkają w swoich twierdzach wysoko w górach Syrii, a także wśród nas, w naszych miastach i wsiach. Uprawiają ziemię, handlują, podróżują. Kryją się, bo pozostali muzułmanie nienawidzą ich równie mocno jak nas, ale to właśnie czyni ich silnymi. Nikt nie wie, w co właściwie wierzą, ani też co daje im taką moc, ale dla swego przywódcy, którego my zwiemy Starcem z Gór, zrobią wszystko. Wszystko, Mario. Jeśli ten im każe, powstaną z cienia i rzucą się z nożami na każdego, choćby nawet był otoczony kręgiem rycerzy, i zabiją go, nawet jeśli sami przy tym zginą. Mówi się, że ich matki lżą i nienawidzą synów, którzy uszli z życiem podczas prób zabójstwa. Mówi się, że to oni przed laty zamordowali hrabiego Rajmunda w Trypolisie, mówi się, że kalifowie abbasydscy, których uznali za uzurpatorów, drżą przed nimi ze strachu, mówi się, że sam Salah ad-Din woli z nimi nie zadzierać. Dlatego - odetchnął ciężko - dlatego naprawdę nie wiem, dlaczego postanowili cię porwać. Asasyni nie porywają ludzi, Mario.

Zabijają ich publicznie, na ulicy, w możliwie największym tłumie, a potem pozwalają się przez ten tłum rozszarpać, by wszyscy wiedzieli, że chętnie poświęcą życie, byle tylko osiągnąć swój cel. By ich sława poprzedzała ich sztylety.

Maria nagle podniosła się z karła. Jej dłoń, już nie biała i wymuskana jak niegdyś, opadła na ramię męża z dawną miękkością.

- Ty miałaś już z nimi do czynienia, prawda? - zapytała cichym głosem.

- Tak - odparł. Jego spojrzenie rozmyło się, jakby spoglądał w daleką przeszłość. - Tak, miałem. Niedługo przed Hittinem. I gdyby nie pewien templariusz, nie rozmawialibyśmy tu teraz.

- To dlatego nie chcesz rozmówić się z bratem Ru-pertem?

- Nie. Nie chcę się z nim rozmówić, bo jest nadętym bufonem i ta rozmowa nic nam nie da. Powinniśmy...

Niespodziewanie poła przesłaniająca wejście do namiotu drgnęła. Do środka zajrzał zaniepokojony Amal-ryk de Puigney.

- Baronie! - zawołał i dopiero wtedy dostrzegł Marię. - Pani! - uklonił się niezdarnie. - Stało się coś... eee... dziwnego. Hrabianka Vivienne de Grenier znikła.

- Uciekła? - wykrzyknęła zdumiona Bizantyjka i spojrzała z tryumfem na Baliana.

- Nie. Chyba nie. Zresztą... - rycerz nie potrafił ubrać myśli w słowa. - Zresztą najlepiej będzie, jeśli raczycie pójść ze mną.

Nad morzem wzbierała kolejna burza i chmury nabrzmiewały czernią. Chłodne wichry targały namiotami, usiłowały przewrócić tyczki z proporcami, szarpały za włosy i płaszcze ludzi, którzy skuleni przemykali po rozległym obozowisku. Tylko na południowym zboczcu wzgórza Turon, nieopodal obozu templariuszy, zgromadził się tłum gapiów, w większości pospólstwa, ale widać było również kilku rycerzy. Wszyscy odwrócili się i z szacunkiem rozstąpili przed Balianem, Marią i prowadzącym ich rycerzem z Puigney.

- Nikt nie ma pojęcia, co się wydarzyło - tłumaczył Amalryk, omijając kałużę. Co rusz odwracał się ku Balianowi, a wtedy wiatr porывał kosmyk jego siwych włosów i wpychał mu go do oczu. - Posłaliśmy po biskupa Beauvois, może on coś poradzi.

- Biskupa? - zdumiał się baron. Maria zakłęła, wyciągając stopę z grząskiego błota.

- Widno, że to siły nieczyste, panie, nic innego -wzruszył ramionami Amalryk. - Co było robić?

- Jasne, jeszcze klechy nam w tym całym bałaganie potrzeba - warknął Balian z Ibelinu. - Co to za jeden? -Wskazał bladego jak ściana rycerza, który chwiał się na nogach podtrzymywany przez zaniepokojonych towarzyszy.

- Niejaki Gilbert de Moissille z orszaku Henryka z Bar - burknął Amalryk i podkreślił węsą.

- To on całe to zamieszanie wywołał, gdy zakradł się do hrabianki

o świcie i... No, zaraz sami zobaczycie, panie. Mówią, że na zabój w hrabiance zakochany, ale po mojemu to plotki go zwabiły.

- Jakie plotki?

- No, sami wiecie - spurpurowiał rycerz z Puigney. -Że ona nowo przybyłym pielgrzymom dogadzać...

Maria Komnena, wyszarpująca trzewik z kolejnej błotnej pułapki, uniosła głowę, by obrzucić Amalryka zaciekawionym spojrzeniem, lecz wtedy straciła równowagę. Balian w ostatniej chwili złapał ją pod łokieć i uchronił od upadku, ale czystości jej sukni nie zdo-

Rozdział drugi

łał uratować. Wtedy jak na złość ich twarze smagnęły pierwsze krople deszczu.

- Chodźmy tam wreszcie! - rozkazał baron Ibelinu.

Niemalże natychmiast po wejściu do namiotu hrabianki dostrzegli wtuloną w kącie sylwetkę. Balian odetchnął głęboko, a Maria krzyknęła cicho, zasłaniając dłonią usta.

Długie, skołtunione nieco włosy opadały na nagie ramiona dziewczyny i nawet w szarym świetle przebijającym przez szpary namiotu widać było, że nie są rude. Oczy, rozwarłe szeroko, błyszczące strachem, również były ciemne - nie zaś błękitne jak u Vivienne. Skulona postać, okryta jedynie lekką halką, drżała spazmatycznie, choć raczej z przerażenia aniżeli z zimna. Obok niej na ziemi leżało roztrzaskane lustro.

- Nazywam się Vivienne de Grenier - bełkotała nieskładnie. - Jestem Vivienne, jestem Vivienne...

- A nie mówiłem, że tu biskupa trza? - mruknął Amalryk. - Co najmniej biskupa.

Maria odzyskała rezon pierwsza. Nagłym ruchem zerwała kapę z łoża i okryła nagie, dygoczące ramiona dziewczyny, a potem ujęła ją pod pachę, by pomóc powstać. Spojrzenie, którym obrzuciła małżonka, niesło mieszaninę zgrozy i tryumfu.

- Nazywam się... - bełkotała dziewczyna, pociągając nosem.

- Katarzyna de Fourier - dokończyła Maria, prowadząc ją w stronę łoża. - O tym, dlaczego sądzisz inaczej, pomówimy później, moje dziecko. Jak już się rozgrzejesz i wypijesz coś ciepłego.

- Czy to oznacza, że Vivienne, którą widywaliśmy po powrocie do obozu, tak naprawdę wcale nią nie była? - wykrztusił oszołomiony Balian, patrząc na dwórkę układaną do łoża przez jego małżonkę.

- Jak już powiedziałam, mężu, dowiemy się tego później - odparła Maria, naciągając koc na dygoczące ciało Katarzyny. Jej oczy załśniły tryumfem. - Jak to biedactwo się rozgrzeje i wypije jakiś kordiał. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to tak. Ja naprawdę widziałam Vivienne wśród Turków.

Baron przez dłuższą chwilę milczał, marszcząc czoło.

- Nie wiem, z jakich diabelskich mocy de Grenier skorzystała i po co - odezwał się w końcu chrapliwym głosem - ale dowiem się tego. Amalryku!

- Tak, panie?

- Szykuj się do drogi. Odwieziesz królową Marię do Tyru. I przywieziesz doktora Petrusosa.

Adalbert uniósł wzrok ku niebu, które z wolna nabrzmiewało burzowymi chmurami. Czarne obłoki napływały znad postrzępionych wierzchołków gór niczym forpocza sił ciemności gotowych zalać cały świat.

Do tureckich najemników, eskorty emira Ismaila oraz Vivienne de Grenier, zdążył się już przyzwyczaić, choć cieszyło go, że trzymają się z daleka. Jednak ci ludzie, którzy otoczyli ich niespodziewanie na szlaku, a potem przywiedli do zamczyska, budzili w nim bezbrzeżną trwogę. Poruszali się zwiewnie niczym duchy i niczym one bezszelestnie, ale długie miecze u pasów i łuki przewieszane przez plecy sugerowały aż nadto, że są z krwi i kości. Najgroźniejsze były jednak ich twarze, ogorzałe, harde, pozornie beznamiętne i pozbawione emocji, ale gdy dawny kapelan rodziny de Baideaux zaglądał głębiej w ich oczy, odkrywał bezbrzeżne pokłady dzikości i szaleństwa. Szósty zmysł uwolniony pod wpływem przerażenia szeptał mu, że ci ludzie pomimo swej dyskrecji, pomimo milczenia zdolni byli do najokrutniejszych i najbardziej szalonych czynów.

Słowo, które szeptem powtarzali między sobą Tur-kowie - równie przestraszeni jak i on sam - dopełniło obrazu.

Asasyń.

Twierdza, do której doprowadzili orszak Ismaila, również budziła lęk. Zębate, spłowiałe od słońca mury pięły się wysoko na tle wyspanych ze wszelkiej wilgoci szczytów, nad którymi górowała masywna wieża, ale próżno było szukać w niej jakiegokolwiek życia. Bramy rozwarłe przez kilku innych asasynów, równie milczących i nieodgadzionych, ukazały przybyszom pokryty kamiennymi płytami dziedziniec i rząd chatynek przylepionych do murów. Na samym środku dziedzińca stała wieżyca, dokąd dwóch zbrojnych natychmiast powiodło Ismaila. Dwóch innych odprowadziło na bok Joscelina de Royes i zmusiło, by usiadł na ziemi, kolejni zabrali gdzieś ślaniającą się na nogach Vivienne. Turcy, pozornie niepilnowani przez nikogo, usiedli w pyle pod jedną ze ścian.

Adalbertem i dziewczynką nie zajmował się nikt.

- Może też usiądziemy? - zaproponował kapelan rodu de Baideaux, ale dziewczynka nawet nie drgnęła. Stała i wpatrywała się w najwyższe okno wieży, a na jej brudnej, szczupłej twarzy widniała powaga.

„Boże, miej nas w swej opiece - powtarzał w myślach Adalbert. - Boże, nie zapominaj o nas nawet tu, w jaskini Dawidowej...”

Czas płynął powoli. Asasyńscy wojownicy przemykali po zakurzonym dziedzińcu, zaiste podobni duchom w swych jasnych burnusach, ale rzadko kiedy zamieniali więcej niż kilka słów. Duchowny przyglądał im się ukradkiem, usiłował zapamiętać twarze, ale bez skutku. Oblicza nieznanym natychmiast rozplywały się w jego pamięci, umykały wszelkie cechy indywidualne, pozostawał jedynie obraz nieodgadnionego, ogorzałego, pociętego zmarszczkami oblicza.

Czas płynął. Twierdzą władła kamienna cisza, nawet jaszczurki zalegały bez ruchu na wciąż ciepłych płytach dziedzińca. Turcy rozmawiali o czymś po cichu. Jeden Joscelin de Royes ośmielił się skalać ciszę, żądając czegoś chrapliwym głosem. Kopniak któregoś ze strażników zamknął mu jednak usta.

Niebo czerniało niczym dusza mordercy. Adalbert ujął dłoń dziewczynki, chcąc dodać jej otuchy. Przełknął ślinę, już miał powiedzieć coś pocieszającego, ale wtedy to ona uściśniła jego rękę i uśmiechnęła się pogodnie. I odeszła od niego o krok.

- Co się dzieje?! - zawołał zdumiony ksiądz.

Niebo przecięła żyłka błyskawicy. Wrota wieżycy nagle rozwarły się, ze środka wyszła grupa asasynów. Kilku z nich ruszyło ku koniom, które przywiązano zaraz za bramą, nie rozkulbaczając ich, ale pozostali zmierzali prosto ku dwójce jeńców. Ich burnusy unosiły się na wietrze niczym szaty potępieńców.

- Oni... - wychrypiał Adalbert. - Oni chyba... Dziecko, wróć tu do mnie. Wróć natychmiast! Wyciągnął rękę, chcąc ją złapać, ale dziewczynka wywinęła mu się i ze stanowczością dorosłej osoby pokręciła głową.

- Oni chcą cię zabrać! - wykrzyknął zrozpaczony kapelan.

Chciał ją przyciągnąć do siebie, lecz wtedy między nim a dzieckiem wyrosła postać w burnusie, czyjeś sękaty łonie pochwyliły jego pulchny nadgarstek, ciemne, nienawistne oczy zamigotały pogardą.

Na ciemniejącym niebie błysnęła kolejna błyskawica. Adalbert ujrzał, jak asasyni idą ku koniom, a dziecko posłusznie stąpa między nimi. Potem widok zaćmiły mu łzy rozpacz.

- Zostawcie ją! - wykrzyknął łamiącym się głosem. - Zostawcie!

Nie ujrzał tej sceny nikt, kto mógłby zanieść opowieść między chrześcijan. Ani młody rycerz de Baideaux, ani cyniczny, zawsze skory do kpin Vittorio, ani ponury Anzelm z Ar-Ramii nie ujrżeli, jak tłusty, obśmiewa-ny, nieraz wydrwiony braciszek niespodziewanie zbiera w sobie siłę, odtrąca zaskoczonego asasyna, wrywa mu sztylet zza pasa i tnie na odlew po twarzy, a

potem skropiony cudzą krwią biegnie na ratunek dziewczynce, której imienia nigdy nie poznał. I nikt nie widział, jak wali się na płyty podwórca kopany, okładany pięściami, smagany batem, lecz wciąż przytomny, wciąż ścigający gasnącym wzrokiem dziecko wsadzone na konia, uprowadzane. Krzyczał, lecz jego słowa tonęły w tumulcie walki. Ona też krzyczała, lecz głos nie opuszczał jej ust - jak zwykle.

I wreszcie otuliła go ciemność. Nie ujrzał już, jak ściskany mocno nóż wypada ze słabnącej dłoni i odkopnięty przez kogoś z asasynów ląduje pod butem Joscelina de Royes. Nie ujrzał Starca z Gór, który nagle pojawił się w drzwiach, samym zmarszczeniem brwi rozpędzając zbiegowisko. Nie widział łez na policzkach dziewczynki.

Otoczony ciemnością krzyczał z bólu i rozpacz, lecz nikt go nie słyszał.

Ciemne chmury zbierały się nad syryjską ziemią, jakby chciały ostatecznie odgradzić nędzne resztki rozbitego Outremer od tego, dla kogo je stworzono. I wreszcie lunął z nich deszcz, rzęsy, wściekły, gotów splukać ziemski padół z owoców ludzkiego grzechu. Suche wadi natychmiast wezbrały rozszalałymi potokami. Spienione strugi płynęły po zboczach wzgórza Turon, zabierając co słabiej przymocowane do gruntu namioty. Ulewa smagała wzburzone, znarowione fale morza, usiłując pochwycić i wtłoczyć w odmęty każdy, najdzielniejszy nawet okręt. Świat pochylał w milczeniu kark przed gniewem natury.

Nie wszyscy jednak tak uczynili. Nie zrobił tego Vit-torio, który wściekle rąbał liny zwalonego masztu, grożącego pociągnięciem galery w głębiny. Co rusz ocierał mokrą od deszczu twarz i odwracał się ku beczce ze słodką wodą, gdzie siedział Biały Muhammad strzeżony przez Bernarda, a jego oblicze wykrzywiał grymas tak okrutny, że bladła przy nim nawet furia sztormu.

Nie widział ulewy Joscelin de Royes, który pędził przez noc na zdyszonym, spienionym koniku ukradzionym asasynom. Jak szalony gnał na zachód, ku brzegom morza. Nie pił, nie jadł, nie odzywał się, zatrzymywał, tylko by konia napić, i dalej gnał. Z rzadka skręcał ku przydrożnym osadom, gospodom czy karawansera-jom, walił pięścią w drzwi i okiennice, potem rozmawiał z kimś przyciszonym, ale dobitnym głosem. Gdy ruszał w dalszą drogę, jego orszak był silniejszy o kolejnego uzbrojonego po zęby męża.

Nie widziała ulewy Vivienne de Grenier, która siedziała na skraju drewnianego łoża w ciemnej, nawiedzanej przez przeciągi komnacie Al-Kadmusu i wpatrywała się martwym wzrokiem w dygoczącą od powiewów wiatru okiennicę. Od godziny mechanicznymi ruchami przecierała swe łono, lecz wspomnienie oblepiającego je nasienia Ismaila wciąż było żywe, wciąż czuła jego zniechęconą wilgoć. Po posiniaczonym policzku płynęły łzy.

A deszczowe chmury nadal płukały Ziemię Świętą, jakby aniołowie w swej naiwności ciągle wierzyli, że w ten sposób można pozbyć się drażącego ją grzechu.

Rozdział trzeci

W KTÓRYM POJAWIA SIĘ PIERWSZY TROP I DLA RÓWNOWAGI DWÓCH KOLEJNYCH NIEPRZYJACIÓŁ

Qaston po raz kolejny odniósł wrażenie, że Tyr wyniósł ślepotę i głuchotę ponad wszystkie inne przymioty.

Owszem, zauważono wchodzącą do portu galereę szpitalników, której wygląd świadczył dobitnie o niedawno stoczonej walce z wrogiem, żywołem albo i jednym, i drugim. Owszem, mniejszy, acz słynny okręt piracki, który owa galera przywiodła, przyciągnął wiele ciekawskich spojrzeń, lecz nic ponadto. Kotłujące się na nadbrzeżu tłumy żeglarzy, nadzorców, drobnych kupców i uliczników najróżniejszej maści szybko, skwapliwie wracały do przerwanych rozmów, jakby tutejsi ludzie za wszelką cenę chcieli wymazać ze swej świadomości pamięć o trwającej przecież

wojnie. W istocie, odcedzo-ne z rycerzy i zwykłych wojaków, którzy w wielkiej liczbie pociągnęli pod Akkę, prastare fenickie miasto wydawało się jeszcze bardziej oddane handlowi i wszelakim rozrywkom niż wcześniej. Złote dachy pałaców wręcz płonęły w promieniach słońca, kołujące nad nimi ptaki morskie krzyczały głośno, dodając swą beztroskę do pokrzykiwań tyreńczyków.

Młody de Baideaux uciekł spojrzeniem ku Italczyko-wi, który stał u szczytu trapu i perswadował coś cierpliwie rudobrodemu bratu Giovanniemu, słuchającemu go z rosnącą niecierpliwością. Słowa tonęły wśród wszechogarniającego gwaru, ale Gaston dobrze wiedział, czego dotyczy rozmowa.

- A zatem wnet przyjdzie nam się rozstać - powiedział ktoś za jego plecami. Gaston drgnął i odwrócił się.

Brat Jakub poprawił podartą tunikę zakonną z dumą należną szacie ze złotogłowiu i spojrzał bystro na Pikardyjczyka. Lekka bryza bawiła się jego jasnymi lokami, które uciekały spod opasujących głowę bandaży.

- Chyba że... - urwał na chwilę. - Chyba że nie uznaliście naszej rozmowy za żart i naprawdę chcielibyście wstąpić w szeregi braci zakonu świętego Jana Chrzciciela. Po Hittinie...

- Nie uznałem jej za żart - przerwał mu Gaston. -Jednakże nie zdążyłem jeszcze nagrzeszyć na tyle porządnie, by szukać schronienia i pokuty wśród braci.

- Pozostaje mi więc życzyć wam powodzenia. - Jakub uśmiechnął się samymi tylko ustami i wyciągnął prawicę, z której wciąż nie domyśl śladów krwi.

Pikardyjczyk pokiwał głową. Już miał ucisnąć dłoń zakonnika, gdy kątem oka dostrzegł, jak brat Giovanni odwraca się z gniewną miną od Italczyka i schodzi z trapu prosto ku nadjeżdżającemu konno rycerzowi zakonnemu w brunatnej szacie. Vittorio aż poczerwieniał z wściekłości i eksplodował serią żywiołowych, obrazowych przekleństw. Kątem oka wychwycił jednak tężące spojrzenie brata Jakuba, który położył dłoń na rękojeści miecza i już chciał ruszyć w jego stronę, więc zbiegł po trapie, by w jednej chwili, z isticie italską zwinnością zmieszać się z tłumem.

Nie omieszkał jednak obdarzyć przyjaciela przelotnym, lecz wielce znaczącym spojrzeniem.

„Nie wyszło mu - pomyślał ze zgrozą Gaston, a jego serce zmroził lód. - Psia jucha, a zatem pora na plan rezerwowy”.

- Ucisnę waszą prawicę - odezwał się szybko do młodego szpitalnika - jeno nie teraz. Co byście powiedzieli, bracie, na szklanicę chłodnego wina w którejś z tawern? Siedlibyśmy sobie wspólnie, powspominali bitwę...

- Wybaczcie, panie. - Jakub cofnął dłoń, a jego uśmiech ochłodził jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe. - Muszę przypilnować załogę, by pokład sprzątnęła, a potem przyszykowała okręt do ponownego wyjścia w morze. Przecież to Genuieńczycy, najleniwsza hołota tego padołu, wybacz, Panie, me grzeszne słowa. -Mówiąc to, spojrzał wymownie w niebo, lecz w tonie jego głosu nie było ani cienia pokory.

- Bóg nie obrusza się o prawdę - rzucił jowialnie Gaston, mrugając porozumiewawczo okiem, lecz rycerz zakonny zignorował żart.

- W międzyczasie zaś mus mi jeńca do komandorii odstawić - dokończył oziębło - i w kościele uklęknąć, Stwórcy za zwycięstwo podziękować. Pijcie sobie, panie, do woli, jeśli wam to radość sprawia.

- Nie, nie sprawia - szybko zaprzeczył de Baideaux. -Wybaczcie, ja... Ja chyba sam spędziłem za dużo czasu w towarzystwie pewnego Genuieńczyka. Zaczynam się zarażać lenistwem. Zapomnijmy o winie, bracie. Ja oraz mój pachoł zostaniemy z wami, pomożemy. Było nie było, brat Giovanni był przecież łaskaw darować nam opłatę za rejs w podzięce za udział w walce.

„Zasrany sęp, oby mu Żydzi oczy łyżkami wyjedli! -bluznął w duchu. - Za uratowanie okrętu powinien nas złotem obsypać!”

Na wspomnienie osobliwej wdzięczności kapitana galery odczuł narastającą wściekłość, ale mimo to widok twarzy szpitalnika, na której pojawił się bardziej ludzki uśmiech przyzwolenia i wdzięczności, obudził w nim bardzo nieprzyjemny wyrzut sumienia.

„Psia jucha! - powtórzył w myślach. - Ale cóż, skoro dar przekonywania Vittoria zawiódł, nie mamy innego wyboru. Byłbyś ze mnie dumny, co, Diable?”

Lecz ten nadal milczał.

Było już późne popołudnie, gdy zeszli z pokładu galery, którą Gaston zdążył serdecznie znienawidzić. Nie miał jednakże czasu ni sposobności na okazanie ulgi, gdyż natychmiast po zagłębieniu się w wąskie, zalane chłodnym cieniem uliczki miasta serce zaczęło mu bić jak szalone.

Szli w szczęściu - młody szpitalnik Jakub, który wysforował się na czoło, za nim Bernard wraz z dwoma młodymi giermkami przysłanymi z komandorii jako eskorta znużonego, powłóczęgo nogami Maura, a na końcu Gaston milczący niczym chmura burzowa. Szli wśród kramarzy, których desperacja w zachwalaniu swego towaru rosła wraz ze zbliżaniem się wieczoru, szli wśród koszów z oliwkami i daktylami, wśród amfor z oliwą, wśród straganów z tanim płótnem i sprzętem krawieckim. Szli, a ich stopy grzęzły w błocie przemieszonym z gnijącymi owocami, pomyjami z pobliskich jadalni, resztkami wypatroszonych ryb i Bóg jeden wie czym jeszcze. Lub raczej wolały nie wiedzieć.

Szli, a każdy krok przybliżał Gastona do arcytrudnej chwili.

- To dobry pomysł - szepnął Vittorio i z niepokojem odwrócił zalani } deszczem twarz ku galenikom, lecz żaden z nich nic nie usłyszał, żaden z nich nawet nie drgnął. Ich plecy, obleczone w koszule mokre od potu i wody, nadal pochylały się w równym rytmie nad wiosłami.

- Tak, w pierwszej kolejności spróbujemy po dobroci. Może ten ponury zakonnik odda nam pirata tak po prostu, z wdzięczności. Szpitalnicy wiedzą, co to wdzięczność, nie?

- Nie - warknął Anzelm. Odległa błyskawica wbiła się w morze i oświetliła na moment ostrą, ściągniętą twarz rycerza z Ar-Ramli. - Nie wiem, co ci przyszło do głowy, Vittorio. Słyszałeś o zakonie, który sam by się splamił tym, do czego namawia maluczkich?

- W tej sytuacji zastosujemy drugi plan Gastona -wyjaśnił mu beztrąsko Italczyk. - I proszę cię, Anzelmie, nie mów, co o nim sądzisz. Ja to wiem. I zgadzam się z tobą.

Zgodnie z przewidywaniami Vittoria, który znał Tyr jak własną kieszeń, Jakub nie skierował się prosto ku domowi zakonnemu, lecz skręcił na niewielki, pustoszejący właśnie bazar sprzedawców drobiu. Po wyjściu armii pod Akkę handlarze raptownie spuszczały ceny i nawet skracali tradycyjne targowanie, byle tylko wyprzedzić gdaczącą, kwaczącą i srającą zawartość swych wiklinowych koszy, ale nawet oni nie zamierzali przestawać na bazarze dłużej, niż nakazywała tradycja. Znad brudnych kałuż, po których powierzchni dryfowały piórka, unosiły łby wynędzniałe, wychudłe psy i odchodziły, skomląc, oglądając się za siebie.

Przy końcu bazaru, tam gdzie odbijała uliczka prowadząca do komandorii, weseliło się kilku mężczyzn. Gaston poczuł, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

- To będzie najbardziej ryzykowna część naszego planu - szepnął Gaston i patrzył na Vittoria, desperacko doszukując się aprobaty z jego strony. - Nie wiemy, czy szpitalnicy wyślą kogoś po tego twojego pirata. Mam szczerą nadzieję, że nie, bo jak przyślą chociaż dwóch rycerzy, to możemy dać sobie spokój i szukać innego sposobu na wyrwanie się z Tyru.

- Ufaj w miłosierdzie boskie, niedowiarku - rzucił Italczyk i zaklął, gdy twarz obmył mu bryzg wody z nad burty - oraz w rozum swojego mądrzejszego przyjaciela. Rycerze walczą pod

Akka, poza tym wątplię, by wysyłali poczet zbrojnych po zwykłego łajdaka, którego można na powrozie przyprowadzić.

- Tak czy owak, może być trudno...

- Nie, nie będzie - przerwał mu Italczyk i nachylił się, bo galera znów opadła w dolinę fali. Bryzgi przeszły górą i obmyły Anzelma, który siedział nieruchomo, słuchając ich rozmowy z mieszaniną niedowierzania i lekceważenia. - Nie martw się niczym. Zaufaj mi.

Zaden z rozweselonych mężczyzn nie wyglądał na takiego, któremu rycerz zakonny poświęciłby choć chwilę uwagi. Pasowany mąż w kolczej zbroi, z zaciętym mieczem u boku i z tarczą przewieszoną przez plecy, w dodatku z białym krzyżem zakonu szpitalni-ków na tunice nie ma bowiem zwyczaju zauważać zarośniętych zbirów w złachmanionych koszulach i znoszonych, brudnych kaftanach. Nie zwraca też uwagi na topory, noże i zwykłe maczugi, których właściciele raczą się winem. Choć może - jako stróż porządku i sprawiedliwości w całym świecie chrześcijańskim - powinien, bo przecież rzadko się zdarza, by zwykłe oprychy nabierały wina prosto z beczki stojącej na środku ulicy.

A zgoła nigdy się nie zdarza, by obrzucali rycerza--zakonnika bezczelnymi uśmiechami i szczerzyli do niego żółte, wyszczerbione zęby.

Brat Jakub zrozumiał to, dopiero kiedy jeden ze zbirów, chudzielec o szczurzej gębie, z czaszką owiniętą czerwoną chustą, jednym skokiem znalazł się przed nim. Jego towarzysz, drab w sponiewieranym kaftanie kolczym, wyrósł za jednym z giermków, zaś szczerbaty Nubijczyk w turbanie - za drugim. Pozostali zacisnęli brudne garście na rękojeściach toporów i noży.

- Odstąpcie - rozkazał hardo szpitalnik. Jego dłoń nawet nie drgnęła w kierunku rękojeści miecza.

- Natychmiast odstąpcie.

Gaston usłyszał groźbę w jego głosie. Zbyt dobrze pamiętał popisy szermiercze zakonnika z pokładu galery, by jej nie docenić.

„Boże, ta ulica zaraz spłynie krwią! - pomyślał w panice. - Coś ty powiedział tym łotrom, Vittorio? Jak daleko pozwoliłeś im się posunąć?”

Chudzielec o czerwonej gębie zastąpił szpitalniko-wi drogę. Uśmiechał się szyderczo, ukazując szerniałe pieńki zębów. Młody de Baideaux widział kątem oka, jak ostatni kramarze zwijają się w popłochu, jak pustoszeje bazar, a wynędzniałe psy unoszą pyski, wietrząc świeżą krew.

- Bo co? - zaczepnie zapytał drab w czerwonej chuście. Mówił w langue d'oil ze śpiewnym italskim akcentem.

„Jednej rzeczy muszę się nauczyć. - Gaston dyskretnie zacisnął dłoń na rękojeści miecza. - Rzeczywiście Adalbert miał rację, mówiąc, że wszystko, co złe, nieudane lub zwyczajnie głupie, pochodzi z Italii”.

I wyszarpnął miecz z pochwy, obrócił srebrzystą klingę, po czym rąbnął rękojeścią w głowę bliższego z giermków zakonu.

I się zaczęło!

Jakub dobył miecza, zakręcił zabójczego młyńca, spuścił ostrze na bark zaskoczonego Italczyka z czerwoną chustą na łbie. Trysnęła krew, trafiony wrzasnął przeraźliwie, zrobił kilka chwiejnych kroków, ale zakonnik już odwracał się rozjuszony, bynajmniej nie zbity z tropu, gotowy do walki.

Wtedy ujrzał Gastona nad ciałem ogłuszonego giermka.

Jego oczy rozszerzyły się, pokręcił głową, rozpaczliwie próbując zrozumieć sytuację. Wtedy natarł na niego szczerbaty Nubijczyk, uderzył w niego szeroką klatką piersiową, niemalże przewrócił. Zakonnik potknął się, odbił od bruku, podniósł z nagim ostrzem w dłoni i wściekłym ogniem w oczach. Skoczył na przeciwnika, lecz nagle zatrzymał się, zwiotczał, opadł bezwładnie na bruk upstrzony ptasimi piórkami.

- Dość tego! - warknął stojący nad ciałem nieprzytomnego szpitalnika Vittorio, wążąc drewnianą łagę w dłoni. - Trzymajże go, Bernardzie.

Biały Muhammad sięgnął po miecz, który wypadł z dłoni bratu Jakubowi, ale Bernard w odpowiedniej chwili szarpnął za sznur. Maur wybałuszył oczy, zacharczał i opadł na bruk. Italczyk wyłuskał sznur z dłoni Bernarda i z lubością zasadził mocnego kopniaka w bok pirata.

- Czas nagli, Gastonie. Pamiętasz nasze ustalenia?

- Pamiętam.

- To biegnij.

- Tłumaczyłem ci - mówił Vittorio. Młody de Baideaux nie widział w mroku jego twarzy, ale mógłby przysiąc, że ściągają gniew. - Nie ma już Żydów w Tyrze, Gastonie! Wszyscy się zwinęli w obawie, że nasi uznają ich za winnych swej klęski i na nich powetują sobie poniesione straty! Skądś wiedzieli o upadku Jerozolimy, na długo nim do Tyru dotarli pierwsi posłańcy. Odpłynęli parę dni przed nimi, a każdy z okrętów zanurzał się aż po okrężnicę od wywożonego majątku!

- Jeden z nich został. Wiem, widziałem go tej nocy, gdy napadliście na turkopoli. Muszę go odnaleźć.

Galera znów skoczyła na fali, młody Pikardyjczyk padł na mokry, śliski pokład. Jeszcze nie wstał, a Vittorio, znacznie sprawniejszy w poruszaniu się po rozkołysanym pokładzie, już klęczał przy nim.

- Gaston, planujemy zamach na zakon szpitalników! - wycharczał mu do ucha. - Wiesz, co się stanie, jak wyjdzie na jaw, że jeszcze przy tym z Żydami się obwąchujemy? Z mordercami Pana naszego? Wiesz, że po upadku Jeruzalem te szuje wykupiły za grosze majątki naszych nobili?

- Pies ich trącał! - sapnął Gaston, dźwigając się na łokciu. - Tu chodzi o mego brata. Wy uwolnicie pirata, a ja udam się do Żydów. Jak trafić do ich dzielnicy, Vittorio?

Italczyk sapnął z bezsilności. I wyjaśnił.

Zapadał zmierzch. Powietrze, które nie zdążyło się dobrze nagrzać w słabnącym jesiennym słońcu, teraz przeszywało chłodem przy najmniejszym podmuchu wiatru. Nie zważali jednak na zimno, tylko wpatrywali się uporczywie w ciemną, spowitą w półmroku kamieniczkę, jakby liczyli na to, że ulegnie mocy ich spojrzeń i wyjawi sekrety właścicieli. Ta jednak milczała, obojętna na ich wzrok w tym samym stopniu, co na skaczący po jej ścianach poblask nieodległych ogni bawiących się na ulicach włóczęgów czy na echa śpiewów wiecznie rozbawionego miasta.

- Może powinniśmy zastukać? - spytał z wahaniem Gaston.

Nie oczekiwał odpowiedzi, ale kątem oka dostrzegł wzruszenie ramion Bernarda. Parsknął obruszony i popędzony własnym wyrzutem sumienia ruszył w kierunku solidnych, okutych żelazem drzwi, zalanych cieniem kamiennej rozpory.

- Otwierać! - załomotał, aż poniosło się echo. - Otwierać, sprawę mam do was! Gadać nam mus! Otwórzcie, niech was szlag trafi! - powtarzał i walił w drzwi, ale odpowiadało mu tylko echo i wrzaski miasta rozbawionego pomimo zimna.

Z coraz ciemniejszych cieni wyodrębniło się kilka kształtów, ani chybi żebraków i włóczęgów, lecz rozmyły się co do jednego, gdy do uderzającego we wrota Gastona podszedł potężny Bernard.

- Otwórzcie, kurwie syny! - wrzasnął zrozpaczony rycerz i szarpnął za kołatkę. - Otwórzcie!

Olbrzymi giermek z zaskakującą łagodnością położył dłoń na ramieniu swego pana, drugą ręką wskazał nieodległy port, ale młody Pikardyjczyk targnął się i załomotał raz jeszcze.

- Nazywam się Gaston de Baideaux! - zawołał. - Otwórz, parchu, bo... bo...

Dwa przeraźliwie chude psy nagle zaprzestały walki o żyłasty, wżgardzony nawet przez szczury ochłap z jatek, zaczęły wietrzyć nerwowo i łapczywie. Potem znikły w ciemności w tej samej chwili, gdy wolno, z wahaniem, otworzyły się drzwi kamieniczki.

- Jako rzekliście, panie? - zapytał drobny człowieczek na progu. - Jak wasze miano?

- Gaston... - wykrztusił rycerz. - Gaston de Baideaux... Brat Rogera. Ja...

Patrzył w okolone siatką zmarszczek, załzawione oczy staruszka i znów w wyobraźni ujrzał chwilę, kiedy w asyście trójki turkopolu opuszczał ciemnicę templariuszy, kiedy pędził wraz z nimi w dół ulicy, roztrzacając na boki nielicznych przypadkowych przechodniów. W tym drobnego, przestraszonego Żydowina, który omiótł go spłoszonym spojrzeniem i wypowiedział jego nazwisko rodowe.

„Boże - pomyślał. - Ja się nie pomyliłem, prawda? Ty wykrzyknąłeś de Baideaux na mój widok, jestem pewien, że to ty...”

- Zaiste - rzekł po chwili staruszek. - Zaiste jesteście bratem Rogera. Ani chybi, tak samo patrzycie, tak samo zwieracie usta, nawet postawę macie tę samą... Dzielną, rycerską...

I dalej wpatrywał się w Gastona, a ten odpowiadał spojrzeniem. Wzrok młodzieńca prześlizgnął się po wielkim, garbatym nosie, pomarszczonych policzkach, rzadziej brodzie i drżących lekko dłoniach, a potem znów pomknął ku górze, ku jego ławym oczom.

- Widziałem cię kilka miesięcy temu na jednej z ulic Tyru - powiedział mocniejszym głosem rycerz. - I postanowiłem cię odnaleźć, boś rozpoznał we mnie syna barona de Baideaux. Brata Rogera, jak mniemam.

- Juści, Rogera - kiwnął głową starzec. - Wejdźcie, panie.

I cofnął się o krok, i skłonił głowę, zapraszając niespodziewanego gościa w ciemne czeluście domu. Gaston zrobił krok.

Może ledwie wyczuwalne drżenie w ostatnich słowach starca, może osobliwy, nagły błysk w jego oczach, a może po prostu instykt wojownika, w każdym razie coś sprawiło, że Bernard zabulgotał i szarpnął swego pana za ramię. Młodzieniec zatoczył się.

- Co... - zaczął.

Dalszy ciąg zdania przeciął bełt z kuszy. Przemknął tuż obok prawego ramienia de Baideaux, brzęknął o rozporę i zafurkotał odbity. Nim jednak znieruchomiał na skraju przybrudzonej łajnem kałuży, ogromne plecy Bernarda znikły w ciemnościach domu. Dobiegł stamtąd łomot, huk przewracanych mebli i wrzask jakiegoś młodego człowieka.

- Nie! - krzyknął Żyd. - Nie, ostaw! On niewinny!

Gaston zerwał się na równe nogi. Krew huczała

w jego żyłach niczym górski strumień. Wpadł do domu, złapał staruszka za ramię, rzucił nim brutalnie o ścianę. Z popękanych ust Żyda wydarł się jęk bólu.

- Rozumiem, że nie chcesz gadać o moim bracie, parchu - wycodził. - Szkoda, bo ja tylko po to przebiełem się przez galerę pełną piratów i zadarłem z zakonem szpital-ników. Więc będziesz mówił.

- Zastanowiłeś się, czy ci to w ogóle potrzebne? - Twarz Anzelma była poważna, a nieodległa błyskawica przydała jej śmiertelnej bladości. - Nie sądzisz, że poszukując brata, popadniesz w jeszcze większe tarapa-ty?

- Nie można popaść w większe tarapaty.

- Chcecie porwać pirata z rąk szpitalników. Nie wystarczy ci to, że masz na pieńku już z jednym zakonem?

- Potrzebujemy tego Maura, i to bardzo. - Gaston nawet nie zdążył przetrzeć mokrego czoła, bo już musiał złapać się liny, gdy galera znów opadła w dolinę fali. - Bez jego pomocy nie

wydstaniemy się z Tyru. Ja zaś muszę się dowiedzieć, kim był mój brat, by wyjaśnić sobie konflikt z przynajmniej jednym zakonem.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- Dlaczego miałbyś się tym przejmować?

- Bo pamiętam słowa rycerza z zieloną tarczą! - rzucił Anzelm, z trudem hamując gniew. - Bóg jeden wie kim on jest, ale wierzę jego słowom! Wierzę i pamiętam, że to ty masz mnie uwolnić od mojej klątwy. Tylko niby jak?! Bo jeśli nadal będziesz szafował swym życiem... Jego dalsze słowa przerwał upiorny trzask, a potem na tle burzowych chmur zamajaczyła kolumna przewracającego się masztu.

Bernard poruszył węgle w palenisku, żar opromienił wyschniętą, kredowobiałą, niemalże trupią twarz sędziwego Żyda i pobladłą, posiniaczoną twarz jego młodziutkiego krewniaka, dzieciaka nieledwie, który próbował ustrzelić Gastona z kuszy. Obaj siedzieli przywiązani do krzeseł - starzec co chwila poruszał wystającą grdyką, jakby przetykał ślinę, policzki młodzika były mokre od

Młody rycerz zaś milczał. Gestem, który wydał mu się stosowny do sytuacji, ułożył sobie miecz na kolanach i gładził dłonią jego klingę. Przenosił spojrzenie z jednego więźnia na drugiego i marszczył brwi, a jego pospieszne, chaotyczne myśli podsuwały mu dziesiątki pytań, które chciałby zadać. W końcu zdecydował się na to najprostsze.

- Dlaczego chcieliście mnie zabić?

Starzec ani drgnął, nadal wpatrywał się zażawionymi, mlecznymi oczyma w szerokie plecy Bernarda. Młodzik chciał zaszlochać, ale wszelkie dźwięki tłumił knebel wepchnięty przemocą przez ogromnego sługę Pi-kardyjczyka.

- Nie chcesz mówić - stwierdził zmęczonym głosem de Baideaux. - Szkoda. Bernardzie, miałbyś ochotę wbić ten pogrzebacz w rzyć któremuś z nieprzyjaciół Pana naszego? Skurwieli, którzy Go do krzyża przybili?

Szeroki, obleśny uśmiech służącego starczył za całą odpowiedź.

- Tak sądziłem. Wiesz, tak sobie myślę, że na to stare próchno szkoda sił marnować.

Zacznij od szczeniaka.

Olbrzym pochwycił za pogrzebacz i przeciął nim powietrze, aż zahuczało. Rozżarzony koniuszek rozjarzył się złowieszczą żółcią.

Gaston zerknął na starca i tak jak sądził - Żydowi starczyło zaciętości ledwie na kilka kroków Bernarda. Gdy sługa stanął za plecami dygoczącego ze strachu, zapłakanego młodzika, starzec nagle drgnął.

- Boś przeklęty! - zaskrzeczał przerażony, z wybałuszonymi oczyma. - Bo twój brat nieszczęście na nasz ród sprowadził! Modliliśmy się o zgubę jego i wszystkich innych de Baideaux, którzy życiem swym sprawiedliwości Jahwe urągają!

- Aha - mruknął Gaston.

„Byłbyś ze mnie dumny, Diable” - pomyślał, a głośno rozkazał:

- Odłóż no to narzędzie do ognia, Bernardzie. Chyba ostygło. A ty, Żydzie, rozpocznij swoją historię. Najepiej od chwili, kiedy pierwszy raz spotkałeś się z moim bratem.

Zapadła cisza przerywana jedynie cichymi sykami drew w palenisku i odległym pokrzykiwaniem pijanych band żołdactwa. W półmroku izby twarz staruszka, wyschnięta, ściągnięta grymasem rozpacz, przypominała oblicze jakiegoś nieszczęsnego, bezimiennego pielgrzyma, którego trupa odsłoniły piaski pustyni Negeb. Zaiste minęła wieczność, nim wreszcie otworzył usta.

- Nie wiem, kim był wasz brat - odezwał się cichym, zdławionym głosem. - Nie wiem, skąd przybył, dlaczego przyjął śluby zakonne, ani też jaką piastował pozycję wśród swoich konfratrów. Wiem tylko tyle, że pokochał dziewczynę z naszego rodu.

Niespodziewanie spojrział na młodego rycerza, a w jego mętnych oczach błysnął gniew.

- Tak, oto nasze nieszczęście! - zawył i szarpnął chudymi ramionami, jakby chciał rwać sobie rzadkie włosy z głowy. - Oto klęska plemienia Izraela! Zaiste ciężko doświadczasz nas, Panie, skoro nawet najświętsze z uczuć zamieniasz w bicz spadający na plecy dzieci Twoich mamnych...

Głowa jego opadła, piersią wstrząsnął bezgłośnie szloch. Gdzieś wyły psy. Gaston zamarł w milczeniu.

- Pokochał Żydówkę! - wypalił starzec z furją. - On, dumny rycerz zakonny, raczył zauważyć nędzne dziewczę z plemienia Izraela. Ona, głupia powika, miłująca cały świat, nie posłuchała słów ojca swego, słów nas wszystkich, zapomniała o cierpieniach naszego rodu, oddała mu swe serce! Saro, ech, Saro, dlaczegoś nam to uczyniła?

I nagle przed oczyma młodego rycerza pojawiła się pobladła twarz śmiertelnie rannego templariusza, Roberta de Sabie, odnalezionego w Dar il-Hasan.

„Przecież on również wymówił to imię” - pomyślał oszołomiony. Po plecach przemknął mu dreszcz. Nagle poczuł, że jeszcze nigdy nie był tak blisko rozwiązania zagadki.

- Jak się poznali? - szepnął do Żyda, całkiem zapomniawszy, że jeszcze przed chwilą groził mu torturami.

- Długo nie chciała nam wyznać prawdy, nie uległa się nawet ręki ojcowej - odpowiedział równie cichym głosem starzec. - Dopiero matce swej zdradziła, że brat wasz od pohańbienia ją ocalił. Dwóch konfratrów swych ubił, którzy na cześć jej nastawali. Biada nam, biada...

- Biada? - oprzytomniał nagle Gaston. - Wolałbyś, by krewną waszą pohańbiono, Żydzie?

- Wszystko jest lepsze od losu, który ich miłość na nas sprowadziła - ten westchnął. - Wszystko. Nawet cześć Sary, córki Jakubowej. Wasz brat zadurzył się w niej ponoć, ledwie ją spojrzeniem omiótł, a ona, głupia, uczucie odwzajemniła. Nawidzili się okrutnie i schodzili się bez mała przez rok, on w tajemnicy przed swymi konfratrami, ona w sekrecie przed starszymi gminy. Dopiero gdy od tych ich schadzek Sarze na rzyganie poranne zbierać się zaczęło, jej mac zrozumiła, w czym sprawa.

- I co było dalej? - dopytywał się de Baideaux, jego serce biło szybko.

- Granice były podówczas niespokojne, miało się bowiem na wielką rozprawę z Salah ad-Dinem. Wasz brat przebywał wówczas daleko od Tyru. Zapewne nie wiedział, jaki los własna chuć mu urządziła, ale cóż nas to obchodziło? Ben Jakob, niewiele się namyślając, interesy swe co lepsze reszcie rodziny przekazał, za pieniądze niemały, rzecz jasna, a potem chudobę spakował i ku Damazkowi wyruszył, by tam wśród wrogów Franków, a wśród krewniaków swoich na stałe osiąść. Krnąbrną Sarę ze sobą wziął, choć oporna wielce była. Mądry Ben Jakob nie chciał, by córka jego z gojem, a nadto zakonnikiem żyła. Mądry, acz bezsilny wobec wyroków Jahwe...

Stary Żyd wznosił oczy ku niebu.

- W Samarii karawanę Ben Jakoba Beduini opadli -ciągnął. - My lud wojaczki niezwykajny i byliby wyrznięli zbroje naszych, gdyby hrabia Ibelinu nie przybył w sukurs. Jechał z orszakiem rycerskim przez ziemie swoje i ledwie o tragedii usłyszał, a natychmiast miecza dobył i na karki poganom spadł, do samego piekła ich pogonił. U jego boku zaś walczył brat wasz, Roger de Baideaux.

- Przypadek?

- Przypadek?! - powtórzył rozzwierającym głosem starzec. - Kara boska, a nie przypadek! Kara boska, jeno za jakie grzechy, nie wiadomo, bo świętszego męża od Ben Jakoba w całej gminie nie było. Wasz brat nic nie wiedział o tym, że ojciec wywoził Sarę do Damazku, ale

przypadkiem, pogan ścigając, ujrzał ją na wozie. Nie mógł jej zabrać, nie wolno mu było, misję ponoć jako-waś miał. Ale wrócić po nią obiecał. Choćby i do sultań-skiego miasta.

-1 wrócił?

- Wrócił - głucho przytaknął Żyd. - Niedługo po ogromnej klęsce, którą Salah ad-Din królowi Gwidonowi raczył... Znaczący się po Hittinie. Dostałem ci list od Ben Jakoba, w którym z gniewem i rozpaczą opisał, jak to templariusz w przebraniu Beduina do miasta się dostał, córę jego porwał i uwiózł w nieznane.

- W nieznane - powtórzył po raz trzeci Gaston i odwrócił ku starcowi złe spojrzenie. - Akurat! Wy, Żydzi, zawsze zwąchacie, skąd wieje wiatr. Zawsze wiecie, gdzie interesy wasze parszywe najlepiej prowadzić, zawsze się zorientujecie, skąd zagrożenie nadciąga. Słyszałem, żeście z Tyru uciekali na dobrych parę dni przed tym, jak wieści o Hittinie do miasta dotarły. Wątpię tedy, wielce wątpię, by Ben Jakob ów psi instynkt postradał, gdy Rogera przyszło mu szukać.

- Do czego zmierzacie, panie? - Stary Żyd przełknął ślinę.

- Jestem pewien, że wiecie, gdzie jest Roger. I Sara.

Bernard, który kucał przy palenisku i powoli, niemalże zamyślony przesuwając się po grzebaczem wśród posypanych węglach, uniósł nagle głowę. I odwrócił ją ku Gastonowi z niemym zapytaniem. W oczach parobka błysnęły przestrogi.

- Co znowu? - poderwał się de Baideaux i pochwycił za miecz.

Nie miał pojęcia, jak tłumaczyć osobliwy dar Bernarda, ale jakiś czas temu zdecydował, że lepiej będzie go nie lekceważyć. Po prostu zbyt wiele razy nagły niepokój bądź wręcz raptowne przebudzenie ogromnego giermka oznajmiało nadchodzące niebezpieczeństwo.

Jednym susem znalazł się przy drzwiach. Odkopnął leżącą na ziemi beużyteczną kuszę i ostrożnie wyjrzał w mrok. Wrzaski i ochryple śpiewy pijanych żołnierzy przybrały na sile, z pobliskiej, skrytej przed jego oczyma uliczki wyfrunął gliniany dzban i roztrzaskał się o ścianę. Huk oraz spadające okruchy wystraszyły przyczajonego, przeraźliwie wychudłego psa, który odskoczył w inny cień.

Jego żółte ślepia nie przestawały jednak wpatrywać się w młodego rycerza.

- O kurwa - szepnął Gaston. - Widziałeś to? - spytał Bernarda, który bezszelestnie wyrósł tuż za nim. - Widziałeś tego kundla?

Olbrzym oddychał pospiesznie i zaciskał dłonie na kiju. Srożył krzaczaste brwi, ale rozbiegany wzrok najlepiej świadczył o strachu, jaki nim owładnął.

- Coś mi mówi, że nie tylko hieny służą Joscelino-wi de Royes - stwierdził de Baideaux, bez powodzenia udając opanowanie. - Musimy odnaleźć Anzelma oraz Vittoria, i to w try miga! Odwrócił się na moment ku staremu Żydowi i aż zamarł. Z twarzy starca bezpowrotnie znikły ból i uległość, śmiał się teraz bezgłośnie, a jego oczy lśniły czarną nienawiścią.

- Już je dostrzegłeś? - wysyczał. Wychylony do przodu tak daleko, jak pozwalały na to więzy, przypominał teraz pustynną żmiję, wyschnięty, bezwolny, ale straszny mocą swej kłuty.

- Już zauważyłeś parszywych sługusów tego cuchnącego templariusza? To dobrze, de Baideaux, to dobrze. To on bowiem uosabia przekleństwo, które zesłał na nas twój brat! Ten templariusz spadł niczym anioł zagłady na garstkę dzieci Izraela, które pozostały w Tyrze! To on wyniszczył nasz ród! Wyniszczył nas stałą, ogniem i torturami, próbując wydobyć tajemnicę kryjówki twego przeklętego brata! Nie poprzestał na nas, dotarł też do Damaszku i zabił Ben Jakoba, gdy ten nie chciał lub nie mógł wydać mu, dokąd uciekła Sara! Wiele razy zastanawiałem się, dlaczego pozostawił mnie przy życiu, dlaczego chciał, bym wiódł nędzny żywot w Tyrze jako jeden z ostatnich z mego rodu. Ale teraz już wiem! Wiem!

Starzec urwał. Jego głowa opadła na chudą pierś, jakby stracił kontakt ze światem żywych, ale po chwili znów ją podniósł. Wyszłe policzki kryła teraz niezdrowa purpura.

- On cię nie wypuści - szeptał. - Jesteś w jego mocy. Satanel przybywa po ciebie.

Oszołomiony, wstrząśnięty słowami Żydowina Gaston naraz drgnął i nie spuszczać z niego wzroku, przestąpił nad progiem. Potknął się, przewrócił, poderwał niezdarnie i nagle potoczył wzrokiem dookoła - wzrokiem, w którym przestrach walczył o lepsze z szaleństwem. Po chwili biegł już w ciemnościach tyryjskich zaułków, a za nim sadył długimi susami Bernard.

Joscelin de Royes zeskoczył z konia i bez słowa rzucił wodze nieletniemu parobkowi, który wybiegł z gospody na spotkanie jeźdźców. Nie odwrócił nawet głowy w stronę swych milczących towarzyszy, którzy z chrzęstem oręza ześlizgiwali się z siodła i stawali przy swoich koniach. Spojrzenia kilku z nich umknęły ku rozchylonym drzwiom gospody, zza których buchały odgłosy hulanki i muzyka harfy, ale żaden nawet nie drgnął. Stali nieruchomi niczym rzymskie słupy graniczne i czekali na polecenia.

Tymczasem szef wywiadu zakonu templariuszy zmierzał szybkim krokiem ku beczce z wodą pod ścianą karczmy. Po drodze niecierpliwym gestem wyrwał pochodnię z dłoni innego pachołka, wreszcie pochylił się nad taflą zatęchłej cieczy i uniósł nad nią płomień. Oglądał swoje oblicze długo, wodził palcami po zmarszczkach wokół oczu, jakby badał ich głębokość, naciągał skórę policzków, w końcu roztarł w palcach kosmyk pozlepianych od pyłu włosów. Na koniec z wściekłością chlasnął pochodnią o powierzchnię wody.

Zasyczało, buchnęły kłęby pary. Obłęd w oczach Jo-scelina był tak przeszywający, że najbliżsi z jego towarzyszy z trudem powstrzymali odruch cofnięcia się o krok. Wynędniały kundel ze sterczącymi żebami, który niespodziewanie wychynał zza rogu karczmy, uskoczył ze skomleniem.

Ale miast uciec, jak zareagowałby zwykły pies przybłąda, pokonał swój strach, chyłkiem podbiegł do rycerza i otarł się wyliniałym bokiem o jego kolano. Ślepią, które uniósł ku twarzy rozwścieczonego templariusza, płonęły żółtym blaskiem, co również nie zdarzało się ulicznym kundlom.

Joscelin pochylił głowę, a wtedy jego oczy również zapłonęły, jakby pojął wieść przekazaną przez czworonoga. Jego oblicze rozjaśnił chłodny, morderczy blask. Jednym skokiem znalazł się w siodle, a wychudły pies już pędził brukowaną ulicą, oglądając się, czy jeździec podąża za nim.

Marcin Mortka

Zbrojni towarzysze templariusza nie potrzebowali słów ponaglenia. Złowieszczy orszak pomknął ulicami

Tyru, łomotem kopyt zagłuszając odgłosy zabawy.

Rozdział czwarty

W KTÓRYM DZIELNI KRZYŻOWCY NAJPIERW ZARABIAJĄ PO KILKA SINIAKÓW, A POTEM PRZEKONUJĄ SIĘ, ŻE OPUSZCZENIE TYRU BĘDZIE ICH SPORO KOSZTOWAĆ. GASTON ZAŚ OTRZYMUJE OSTRZEŻENIE

Tej nocy powietrze Tyru przepajał niepokój.

Ciemne niebo z desperacją migotało letnimi konstelacjami w ostatniej próbie odpędzenia nadciągającego chłodu jesieni. Mimo to po firmamencie wolno, majestatycznie przesuwają się czarne, pazurzaste obłoki i niczym wszechpotężne dziny z arabskich baśni pożerały blask gwiazd. Na domiar złego z głębi morza, niczym odprysk odległej burzy, nadciągnął chłodny, nieprzyjemny wiatr, który przedarł się nad falochronami. Poruszył stłoczonymi w Porcie Syjońskim galerami i łodziami żaglowymi, targnął latarniami zawieszonymi nad głowami żeglarzy biesiadujących na nabrzeżu, wydał kiecki dziewczek portowych i musnął fortyfikacje

wsparte o granitowe trzony kolumn z czasów dawno już zapomnianych Rzymian. I zawrócił do kolejnego natarcia.

Mało kto jednak przejął się kapryśnym tchnieniem morza. Stłoczeni na nabrzeżu Ormianie i Arabowie, czarnobrodzi Grecy z Lesbos i Chios, przybysze z nor-mańskiej Malty i bizantyjskiego Cypru, Italczycy i Frankowie - wszyscy należeli do tego samego narodu, bez względu na to, czy swą ojczyznę zwali Mar Mediterráneo, Mesogeios czy Al-Bahr al-Abyad al-Mutawassit. Zнали kaprysy swej słonowodnej ojczyzny i z mlekiem matek wysysali obojętność na wszystko, co nie groziło śmiercią. Wznosili więc toasty wzdłuż ław rozstawionych pod ścianami portowych kamieniczek, śpiewali pieśni równie stare jak sztuka budowania galer, obłapiali dziewczki, pochylali się nad rozrzuconymi kośćmi, porywali za noże, by już po chwili padać sobie w ramiona. Kamienice zaś, które różniły się od siebie stylem i urodą w tym samym stopniu, co ludzie tracący pieniądze w ich cieniu, trwały niczym nadmorskie skały, jak one wytrwały, spłwiałe od słońca i wichrów. Nabrzeże Portu Syjońskiego wrzało jak zwykle - opromienione blaskiem rozkołysanych pochodni, przypominając brzeg omywany przez wściekłe fale.

Niewielu poczuło niepokój, który przybył do miasta wraz z wiatrem. Był wśród nich pochmurny Vittorio, który obracając sztylet w dłoniach, przysłuchiwał się rozmowom Białego Muhammada z kilkoma arabskimi żeglarzami. Był wśród nich również Anzelm, który stał nieco dalej, w cieniu spłwiałej, wielokrotnie łatanej markizy, i owijał wokół nadgarstka sznur kępujący Białego Muhammada. Spojrzenia obu rycerzy spotkały się na moment, jakby naraz odczuli, że za chwilę wydarzy się coś brzemiennego w skutki.

I w rzeczy samej, w tymże momencie z bocznej uliczki wypadli zdyszani Gaston i Bernard. Za nimi galopowało kilku jeźdźców.

Dziki strach, jaki o władnął Gastonem przed żydowską kamieniczką, dodał mu sił. Młody rycerz biegł jak oszalały, a tłum wypełniający uliczki - ogorzali żeglarze o głowach owiniętych chustami, podpici najemnicy, roześmiane, piszczące dziewczki, sprzedawcy owoców, żebracy i niewolnicy - rozstępował się na boki, przeklinając lub piszcząc. Rozpędzony Pikardyjczyk wiedział jednak doskonale, że to nie przed nim się rozstępują, ani nawet nie przed włochatym, spoconym Bernardem.

Tętent kopyt za jego plecami był coraz głośniejszy.

Gaston odbił się barkiem od jakiegoś mało spostrzegawczego, tłustego Italczyka, przeskoczył przewróconą ławę, poślizgnął na kupce nieczystości, ale złapał równowagę i już wypadł na bulwar nabrzeżny Portu Syjońskiego, tonąc w ogłuszającym morzu wielojęzycznych śpiewów, wrzasków i klótni. Niczym prawdziwy topielec z całej siły nabrał powietrza w płuca i ryknął: - Vittorio! Anzelm!

„O co ci właściwie chodzi? - zapytał jakiś chłodny głos w jego umyśle, niestety, nie diabli. - Chcesz, by cię obronili, czy może chciałbyś ich ostrzec? Bo jeśli chodzi o to drugie...”

Runęła markiza przy wylocie uliczki, spłwiałe materiały opadł na gromadę pijących wina bizantyjskich marynarzy. Buchnęły przekleństwa, a zaraz po nich płomień, gdy skraj tkaniny zetknął się z latarnią; za to Bernard miał już w ręku nową łagę w miejsce zgubionej podczas biegu. Zamachnął się na próbę, aż zahuczało powietrze. Rozległ się trzask pękających dzbanów rozstawionych w zaimprovizowanej jadłodajni po drugiej stronie uliczki, a zaraz po nim lament właściciela, ale ogromny parobek nawet nie zwrócił na to uwagi. Z nowym orężem w garści skoczył ku pierwszemu z jeźdźców.

Ten, rosły mąż o twarzy przysłoniętej kapturem, z pewnością widział już w życiu niejedno i gotów był stawić czoło każdemu przeciwnikowi, nawet kudłatemu, brodatemu olbrzymowi o oczach lśniących szalem. Nie dało się jednak tego powiedzieć o jego rumaku.

Smukły koń wytrzeszczył ślepią i targnął głową, próbując uciec przed zagrożeniem. Jeździec ściągnął wodze, ale Bernard popuścił nieco drąg w dłoniach i z całej siły rąbnął wierzchowca po pięcinach.

Trzask pękającego kija utonął w rzeniu trafionego konia, który zaraz grzmotnął bokiem o ścianę kamieniczki. Jeździec wrzasnął, nie zdążywszy uchronić nogi przed zmiążdżeniem, krzyknął też nadjeżdżający za nim, który w ostatniej chwili powstrzymał rumaka przed zderzeniem. Jednakże trzeci przemknął bokiem, pochylił głowę i zanurzył się w ciemny tunel rozpór i markiz, gdzie tętniły życiem dziesiątki miniaturowych tawern i jadłodajni. Pędził ścigany wrzaskami i przekleństwami, a kopyta jego konia bez litości rozbijały nadzieje drobnych sprzedawców wina i piwa na godziwy zarobek tej nocy.

Gaston nagle dostrzegł szansę dla siebie.

Doskoczył do tyczki wspierającej najbliższą markizę, szarpnął, odkopnął protestującego abisyńskiego rzezań-ca i szarpnął raz jeszcze. Wyrwana tyczka ze zgrzytem zrzuciła ciężki materiał wprost na jeźdźca. Jego koń zarżał przenikliwie, a tamten coś wykrzyczał stłumionym głosem. Co takiego, nie było wiadomo, gdyż Bernard cisnął w niego pustą beczułką.

„Chyba jednak nie potrzebuję cię już, Diable!” - pomyślał Gaston oszołomiony nagłą falą tryumfu.

W tej samej chwili z zaułka wypadł kolejny jeździec.

Nawet nie zwolnił, nawet nie próbował uspokoić konia, którego kopyta ślizgały się po bruku wysypanym piaskiem. Płynnym ruchem podrzucił do ramienia niewielką kuszę, odrzucił kaptur, odsłaniając krótko ścięte rude włosy, przymierzył.

Gaston zamarł. W pół uderzenia serca później świat nagle zawirował, a młody rycerz uświadomił sobie, że pada szarpnięty przez potężnego parobka. Już otworzył usta, by zaprotestować, gdy usłyszał wizg bełtu przeszywającego powietrze dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa.

Tłum zafalował, buchnął gniewnymi okrzykami. Ktoś ryczał z bólu, rżały konie, łomotały kopyta. Oszołomiony de Baideaux biegł ciągnięty przez swego sługę.

„Zartowałem, Diable! - pomyślał wstrząśnięty. - Do licha, teraz, gdy jesteś mi naprawdę potrzebny, wybrałeś sobie porę na dąsy!”

Ale Diabeł go nie słyszał. Zdyszany Gaston biegł za Bernardem wzdłuż kramów, które niczym małże obrosły bielone ściany kamieniczek portowych, biegł wśród łopoczących na wietrze markiz, skąpany w migotliwym świetle kołyszących się latarni. Mijał skupiska ław, z których unosili się teraz zaniepokojeni żeglarze, mijał stosy beczek i skrzyń, ani chybi czekających na załadunek, mijał puste stragany cuchnące rybami i roztrzaskane amfory po oliwie. Biegł, lecz nogi mu omdlewały, a płuca pulsowały bólem. Zwolnił i odwrócił się.

Nad głowami portowej cizby widział końskie łby, ale w siodłach nie było jeźdźców. Z niezrozumiałych dla niego samego przyczyn to odkrycie obudziło w nim nową falę lęku.

- Vittorio! - wrzasnął.

I wtedy go dojrzał. Italczyk z nagim mieczem w dłoni biegł, odpychając z drogi pijanych tragarzy i chichoczące dziwki. Światło rozkołysanych pochodni to opromieniało jego zaniepokojoną twarz, to zasnuwało ją mrokiem. Nieco w tyle, niczym spizowy posąg, stał Anzelm trzymający powróz krępujący Muhammada.

Gaston dostrzegł też jakiś ruch kątem oka - cień skakał po dachach. Niespodziewanie znieruchomiał, unosząc nieforemny przedmiot. Nagły podmuch wiatru uniósł jego szaty, upodobnił go do upadłego anioła ze snów pijanego klechy.

Ostrożność wrzasnęła. Gaston skądś wiedział, że śmierć czyha gdzieś tuż obok. Padł na ziemię, przetoczył się, porwał pustą beczułkę, zasłonił nią twarz. I wrzasnął, gdy bełt rozpruł cienkie

drewno i skrzesał snop iskier z kociego łba tuż obok jego głowy. Podniósł się, zerwał do biegu, potknął. Wirujący nóż przeciął powietrze, ściał spocony kosmyk tuż nad jego nosem i roztrzaskał kołyszącą się z wiatrem latarnię.

Buchnęły płomienie, na krótką chwilę rozjaśniając noc. Gaston obrócił się, ujrzał pędzącego ku niemu nożownika, lecz naraz widok ten zasłoniły szerokie plecy Bernarda. Wtedy kątem oka dostrzegł innego przeciwnika, który miękko podnosił się z ziemi, ani chybi zeskokczywszy wcześniej z dachu.

Młodzieniec mimowolnie spojrział w górę. Od skraju dachu do ziemi było przynajmniej piętnaście stóp. Na litość boską, kim byli jego prześladowcy?

- Vittorio! - znów wrzasnął.

Italczyk chyba go usłyszał, bo biegł ku niemu. Zerknął za siebie, dojrzał Muhammada wykrzykującego arabskie klątwy i szarpiącego za powróż. Pobratymcy, z którymi przed chwilą się targował, strzäsali z siebie dziwki i wstawali, unosząc zakrzywione handzary.

Obcy odrzucił kaptur, błysnęły bladoniebieskie, okrutne oczy, zamigotał perski handzar o rękojeści z nefrytu. Szedł ku niemu pewnie, bez strachu. Szedł, by zabić.

Gaston wyszarpnął miecz, zaatakował pierwszy. Obcy nie wysiłał się zbytnio, wykonywał sprawne, oszczędne uniki, ostrze pikardyjskiego rycerza trafiało w próżnię. Po jednym szczególnie nieudanym wypadzie przeciwnik sprawnie kopnął go pod kolano i uderzył łokciem w kark. Młodemu rycerzowi pociemniało w oczach. Padł na bruk, upuszczając broń.

- Vittorio! - wychrypiał.

Italczyk z twarzą nabrzmiałą wściekłością biegł ku Anzelmowi, który demonstracyjnie odrzucił sznur, uwalniając pirata.

- Bernard!

Ogromny pachołek aż stęknął, kopiąc toczącego się po ziemi przeciwnika, ale ten, niepomny bólu, machnął sztyletem, raniąc go w kostkę. Olbrzym odskoczył, a nieznajomy poderwał się już i wyszarpnął zakrzywione ostrze. Za plecami Bernarda wyrastali kolejni przeciwnicy, biegli w tunelach uczynionych przez cofających się, przerażonych ludzi. Byli córaz bliżej - milczący, tajemniczy, lecz niezniszczalni, niosący śmierć.

- Straż! - wychrypiał z desperacją de Baideaux.

Namacał miecz, machnął nim na odlew, nie trafił.

Obcy nastąpił mu na nadgarstek, uniósł sztylet do ciosu. Jego blisko osadzone normańskie błękitne oczy błysnęły drwiną, nie wiedzieć czy z powodu jego beznadziejnego oporu, czy wołania o pomoc, równie rozpaczliwego, co nieskutecznego.

„Głupcze! - zaszydził głos w głowie Gastona, nie diabli, a przerażająco ludzki. - Już nie pamiętasz, co ci Vittorio mówił o miejskich strażach? Przybędą po wszystkim, żeby posprzątać...”

- Straż! - wrzasnął raz jeszcze, by zagłuszyć dokuczliwe myśli.

Kolana przeciwnika wbiły mu się w plecy, przygwał-dzając go do bruku. Bardziej wyczuł, niż dojrzał, wznoszony perski handzar. Zacisnął powieki.

„Boże...” - zdążył pomyśleć.

Wtedy napór kolan niespodziewanie ustąpił, a wrzaski w tłumie przybrały na sile, podsycone szczękiem oręża.

Oszołomiony de Baideaux otworzył oczy.

Wokół roilo się od zbrojnych w jakach ze srebrno--czerwonym herbem Montferrat.

Dotąd skryta za ciemnym horyzontem burza, która dawała o sobie znać tylko porywistymi podmuchami czeszącymi nabrzeże Portu Syjońskiego, teraz eksplodowała pełną mocą. Niebo

spowiła żarłoczna czerń, a w spienione, coraz gwałtowniejsze fale morza chlusnęła ulewa. W ciasne, nagle wyludnione uliczki Tyru wciskały się wyjące wichry.

Z podobną mocą eksplodowała wściekłość Vittoria Scozzi.

- Możesz mi jakoś wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłeś?! - wrzeszczał na siedzącego nieruchomo Anzelma z Ar-Ramli. Kamiennie korytarze opromienione migotliwymi pochodniami niosły jego spotęgowane krzyki daleko w głąb tyryjskiej cytadeli. - Dlaczego go wypuściłeś, ty nieszczęsny idioto?! Piekło i szatani, coś znowu uległo się...

Coś w żółtych, nieco przymrużonych oczach Anzelma sprawiło, że buńczuczny Italczyk sapnął i odwrócił wzrok. Nagle przypadł do okiennicy drgającej pod naporem wichru i z całej siły rąbnął w nią pięścią.

- Miałem tego sukinsyna w garści! - jęknął. - Szansa jedna na sto tysięcy... Dlaczego to zrobiłeś?

- Dlaczego? - wolno, bardzo wolno powtórzył Anzelm. - Bo zaczął się wyrywać.

- Jasne! - wybuchnął Genuńczyk. - Skoro się wyrywał, to w istocie trzeba było go puścić. Oczywiście. A nie zapomniałeś aby obdarować go trzosem złota na drogę?

- Niczego nie rozumiesz - wycedził Anzelm. - Nie lubię, gdy ktoś mi się wyrywa. Do pasji mnie to doprowadza. A jeszcze bardziej widok bandy rzezimieszków, którzy idą ku mnie z wyciągniętymi nożami. Pamiętasz, co się dzieje, jak mnie coś doprowadza do pasji, Vittorio?

- Och, pamiętam. Pamiętam doskonale. Trzeba chorągwi rycerskiej, żeby cię zatrzymać. Lub kropidła. I co? -zaszydził Italczyk. - Wystraszyłeś się tych ich noży? A może tych dziwek się zląkłeś? Fakt, że dzioby po ospie czy powybijane zęby urody raczej nie dodają, ale...

- Towarzyszę wam od kilku tygodni - odparł rycerz z Ar-Ramli. - Walczyłem w tym czasie z Turkami, templariuszami, piratami i Bóg raczy wiedzieć z kim jeszcze. Żadna z tych walk nie była moją walką, Vittorio, ale wierzyłem w to, że czynię rzecz słuszną. Bo - jego spojrzenie umknęło ku milczącemu, blademu Pikardyjczy-kowi - ktoś, komu ufam, obiecał, że Gaston pomoże mi zdjąć kłatwę. Ale wybac, Italczyku, nie będę urządził masakry w tłumie tylko dlatego, że ty masz ochotę wyrzucić na kimsz zemstę.

- Przecież Muhammad miał nam umożliwić wypłynięcie z Tyru! - Vittorio załamał ręce. - Przecież ten szyper, do którego miał nas zaprowadzić, już się zgodził! Przecież nawet ustaliliśmy cenę!

- Gdy zobaczyłem Gastona i ścigających go ludzi, zrozumiałem, że plany trzeba będzie zmienić.

- Tak sam z siebie? Bez narady, bez pytania o zdanie? Pożałowałeś paru dziwek i...

- To, co sprawiło, że podróżuję z wami, nie jest darem, a przekleństwem. - Głos Anzelma nagle stał się niższy, gardłowy. - Przekleństwem, którego nienawidzę. Nie pozwolę sobie na napady furii z byle powodu. Nawet jeśli ich ofiarami miałyby być tylko przyszczate dziwki.

- Z byle powodu?! - Italczyk znów stracił panowanie nad sobą. - Co ty, zaraza, wiesz, zapchlony szaleńcze!

- Wiem, że masz luki w pamięci. Przypomnij sobie, co się dzieje, gdy mnie coś doprowadzi do pasji.

- Poza tym - od progu rozległ się mocny, męski głos -w zaistniałych okolicznościach martwiłbym się raczej innymi rzeczami, rycerzu Scozzi.

Idący w ich kierunku mężczyzna odziany był w bogatą szatę z tyryjskiej purpury, szamerowaną złotą nicią. Stopy obu w miękkie trzewiki z noskami, a spod jasnych, utrefionych loków wylaniał się złoty łańcuch. Poza sztyletem w wysadzanej diamentami pochwie nie miał przy

sobie broni, ale nawet Gaston, najkrócej z całej czwórki przebywający w Ziemi Świętej, po samej tylko sylwetce i chodzie rozpoznał w nim rycerza wielkiego formatu.

Zresztą odgadł nie tylko to. Starczyło spojrzeć w oczy przybysza, ciemne, lekko przymrużone, niczym z kpina, ale przy tym uważne, świdrujące, starczyło przesunąć spojrzeniem po jego twarzy, przystojnej, ale hardej i niezłomnej, starczyło zerknąć na drapieżnie zakrzywiony nos oraz usta mocno zaciśnięte, lecz wydęte jak u człowieka, który samego diabła orznie w karty, by wiedzieć, z kim się ma do czynienia.

Markiz Konrad de Montferrat, zwycięzca spod Camerino, obrońca Tyru i główny przeciwnik Salah ad-Dina w najczarniejszych dniach po klęsce pod Hitti-nem, mąż, którego baronowie sryjscy wymieniali jako głównego pretendenta do tronu, cesarze bizantyjscy zwali krewnym i przyjacielem, a Saraceni z przestachem i nienawiścią mówili nań Al-Markish, w milczeniu przyjął głębokie ukłony trzech rycerzy i podszedł do pustego stołu zajmującego centralną część komnaty.

- Oczywiście, chodziło mi o pusty żołądek - dodał, siadając przy stole.

Klasnął w dłonie i w komnacie ku jeszcze większemu zdumieniu rycerzy natychmiast zaroilo się od służących. Zapłonęły świece w srebrnych lichtarzach, zatańczyło czerwone wino między ściankami kielichów, zafalowała woda w miskach do obmywania rąk, buchnęła wonna para znad rozstawianych półmisek. Służba znikła równie szybko, jak się pojawiła, a markiz de Montferrat wskazał oniemiałym towarzyszom miejsca.

- Nie krępujcie się, siadajcie! - rzekł, kosztując wina.

Usiedli sztywno i niepewnie, nie do końca wiedząc, jak potraktować niezwyklej hojność markiza. Vittorio siedział wyprostowany, z pałającymi policzkami, unikając spojrzenia gospodarza, Anzelm obracał w palcach pucharek, jakby rozważał, czy nie rzucić nim o ścianę i wybiec prosto w burzę. Spłoszony Bernard przycupnął na skraju ławy i kulił się, usiłując odjąć sobie jak najwięcej z niestosownie imponującej postury. Gaston poczuł, że obowiązek rozpoczęcia rozmowy spadł na niego.

- Dziękujemy... - wyjąkał. - Dziękujemy wam, panie, za...

- Za co? - Konrad uśmiechnął się po łobuzersku. - Za tę wieczerzę? Drobiazg, wiercie mi, panie de Bai-deaux.

„Zna moje imię? - zdumiał się Gaston. - On też?”

- Jeśli zaś chodzi o to nieprzyjemne zdarzenie na nabrzeżu Portu Syjońskiego - ciągnął markiz - to właściwie ja powinienem podziękować wam. Jestem wdzięczny za każdy pretekst, by zależeć za skórę tej cuchnącej zakonnej świni de Royes.

- Skąd... - młodzieniec przełknął ślinę i spojrzał na swój nadal pusty talerz, chcąc uniknąć przenikliwego wzroku Konrada - skąd wiecie, że to Joscelin de Royes stoi za tym wszystkim?

- Wywąchałem takiego syna. - Konrad z Montferra-tu uśmiechnął się samymi tylko ustami, a w jego ciemnych oczach błysnęła lodowata nienawiść. - To nic trudnego. Niewielu ścierwojadów skrapia się perfumami, by zabić swój swąd.

- Myślę jednak, podobnie jak i moi towarzysze, że to my jesteśmy winni wam podziękowania - odparł Gaston, nadal nie unosząc wzroku. - Mało kto bowiem w całym Outremer gotów jest rzucić wyzwanie templariuszom, bez względu na to, jak bardzo ich nienawidzi.

- Templariuszom? - skrzywił się Konrad i przysunął do siebie miskę z faszerowaną baraniną, od której bił przebogaty zapach całej kolekcji przypraw. Udarł upierścienioną dłonią kawałek mięsiwa i wsunął sobie do ust.

- Taki z niego templariusz jak ze mnie - oznajmił, przełknawszy. - Albo z was, drogi panie de Baideaux. Templariusze dzielnie wykrwawiają się w imię Pana pod murami Akki pod wodzą sędziwego Ruperta de Saint Jerome, który co masakra, wydaje się młodszy duchem.

Stary zboczeniec de Royes zawsze był jedynie gościem zakonu, a z tego, co widać, gościem dość frywolnym i nieposkromionym. Coś mi mówi, że kapituła zakonu nie będzie miała raczej nic przeciwko naszemu dzisiejszemu starciu. Saint Jerome może nawet zapyta Boga w swych modlitwach, cóż takiego zawinił, że de Royes uciekł bez choćby kopniaka .w zadek.

- Przydałoby mu się coś więcej aniżeli tylko kopniak w zadek - mruknął Gaston. - Tak czy owak, jesteście waszymi dłużnikami, panie.

- Wiem. - W oczach markiza zamigotały iskierki wesołości. - Zwłaszcza że zakon szpitalników również nie kryje się z ochotą odpytania was na okoliczność pewnych zdarzeń.

- Sporo wiecie, panie - wyprostował się de Bai-deaux.

Konrad de Montferrat włożył sobie do ust kolejny kawałek mięsa. Żuł długo zapatrzony w poruszone przewiewami płomyki świec. Okienne dygotały, wichry wyły wśród murów fortecy.

- Gdy wyruszałem z Bizancjum do Ziemi Świętej, postanowiłem wprzód wyładować w Akce - oznajmił w końcu. - Nie miałem pojęcia o klęsce pod Hittinem i nic nie wskazywało na to, że w Outremer wydarzyło się coś niezwykłego, przynajmniej do chwili, gdy płynęliśmy do portu w Akce. Kapitan mojej galery zauważył wówczas, że nie obdzwoniono pojawienia się naszego okrętu. Coś go tknęło, pocziwinę, i nie rzucił kotwicy. Miał rację. W chwilę później podpłynął do nas saraceński urzędnik portowy, który oznajmił, że miasto od paru dni jest w rękach Salah ad-Dina. Postanowiłem udawać kupca. Zagadnałem doń po arabsku, ale chyba nie zdołałem ukryć przerażenia, bo szuja zawrócił i uderzył na alarm. Tylko cudem udało nam się zbiec do Tyru. Wtedy to poprzysiągłem sobie - ciemne, drażące oczy markiza znów wbiły się w Gastona - że nie pozwolę, by cokolwiek jeszcze mnie w Outremer zaskoczyło.

Upił wina i przesłonił usta dłonią, maskując ciche beknięcie.

- A rycerz powinien obietnic dotrzymywać. - Znów się uśmiechnął, drapieźnie niczym kot.

- Dlatego wiem wszystko, de Baideaux. Wiem, co się dzieje u szpitalni-ków i templariuszy, wiem, o czym rozprawia się w tawernach Tyru i w namiocie królewskim na wzgórzu Turon, wiem, co planuje Salah ad-Din i z kim się rzną jego emirowie. Wieści docierają do mnie ze wszystkich stron świata i czasem wprost nie mogę się powstrzymać. Wtedy to po prostu muszę wrócić do Tyru i zrobić z nich użytek.

- Co, jak rozumiem, spotyka się z wielką wyrozumiałością pozostałych wodzów walczących pod Akką -bąknął Vittorio zapatrzony w jakiś punkt na murze.

- Pozostali wodzowie z wyrozumiałością pogodzili się z faktem, że markiz Konrad de Montferrat często podupada na zdrowiu. - Ich gospodarz uniósł kpiąco brew, ale jego oczy pozostały lodowate. - Innego wyboru nie mają, bo na nadmiar pretendentów do tronu Outremer bynajmniej nie cierpi. Ja zaś, jako przyszły władca tych ziem, muszę nieprzerwanie dbać o swoje interesy, co pod murami Akki do łatwych zadań nie należy.

Zgodzisz się ze mną, Scozzi? Przecież w przeciwnym razie nadal walczyłbyś pod sztandarem Ibelinu ad gloriam Dei, nieprawdaż?

Vittorio spurpurowiał jeszcze bardziej, zdawało się, że krew lada chwila tryśnie mu z policzków. Gaston aż zeszytniał, spodziewając się, że porywczy Genuńczyk wybuchnie, a markiz nie wyglądał na takiego, co łatwo znosi pokazy impertynencji. Tymczasem ten wybuchnął szczerym śmiechem.

- Ech, wszyscy mamy swe sekrety, te duże i te malutkie! - Machnął z lekceważeniem ręką. Brylanty pierścieni zamigotały szyderczo. - Te dobrze i te kiepsko skrywane. No, jedzcie! Mój sekret już znacie. O waszych pogadamy później.

- Wybaczcie, panie - odezwał się znów Gaston i podniósł wzrok na zajądającego Konrada. - Wybaczcie, lecz żaden z nas nie ma takich sekretów, o których chciałby głośno rozprawiać.

- W porządku - kiwnął głową de Montferrat i otarł wierzchem dłoni utłuszczone usta. - To nie rozmawiajmy. Po prostu podjedźmy sobie, a potem powiem wam, co będziecie musieli dla mnie zrobić, by bez trudu wydostać się z Tyru.

Cisza, która zapadła po jego słowach, była ciężka, niemalże namacalna. Wiatr pogwizdywał z kpina na zewnątrz, okiennice dygotały w konwulsjach. Płomyki świec drżały.

- Markizie, ja... - odezwał się zduszonym głosem Gaston, ale Konrad położył sobie palec na ustach.

- Pst, de Baideaux - przykazał. - Mieliśmy nie rozmawiać.

- Ale...

- Dobrze, skoro nalegasz. - Konrad skrzywił się i uniósł nieco, wspierając dłonie o blat ławy. - Połączmy trzy fakty. Po pierwsze, nietrudno się domyślić, że przez wzgląd na tego szaleńca de Royesa oraz od dzisiejszego popołudnia również i szpitalników trzeba wam opuścić Tyr, i to im szybciej, tym lepiej. Po drugie, życie dzięki interwencji moich ludzi. Po trzecie, zdaje się, że znam sposób, by złagodzić wewnętrzny niepokój trawiący dzielnego rycerza Scozzi.

- Zerknął z rozbawieniem na dygoczącego z tłumionej furii Vittoria, a potem nagle przeniósł spojrzenie na Gastona. - A także i wasz, de Baideaux - dodał cicho, a potem wyprostował się. Jego spojrzenie zaiskrzyło. - Czyż to nie wspaniały układ? Spłaciecie swój dług, a przy tym wydostaniecie się z Tyru i zyskacie kilka dodatkowych korzyści! Ho, ho, słyszycie ten wiatr? - Wskazał kciukiem dygoczącą okiennicę. - To duchy starożytnych Fenicjan aż wyją ze zgrozy. Jak zawsze, gdy się przedstawia nader korzystną ofertę. Ciekaw jestem, czemu Żydzi nie wyją razem z nimi...

Udał zadumę, ale jego oczy strzeliły ku Gastonowi, który pochylił się nad ławą.

- Markizie, doprawdy nie wiem... - zaczął de Baideaux, ale przerwał mu widok uniesionej dłoni Konrada z Montferratu.

- Mieliśmy nie rozmawiać - warknął ten. - A szczerze przyznam, że mnie, przyszłemu królowi, monolog jako forma rozmowy odpowiada o wiele bardziej niż dialog. Nie będziemy więc rozmawiać. W zamian proszę was ze sobą.

Na wąskich korytarzach cytadeli lodowate przewiewy były jeszcze bardziej przejmujące niż w komnacie. Błyskawice zalewały kamienne, niekończące się stopnie białym światłem, całkiem tłumiąc blask pochodni niesionej przez Konrada. Markiz szedł długo, aż zatrzymał się przed żelaznymi drzwiami.

- Zaczekam tu na was - powiedział, osadziwszy pochodnię w ścianie, a potem ze zgrzytem obrócił klucz w zamku. - Możecie pytać go o wszystko.

Coś w spojrzeniu Konrada sprawiło, że ostrożność Gastona zjeżyła sierść, prychnęła, rozczapierzając pazury. Młodzieniec przełknął ślinę i wszedł do środka.

Spodziewał się ujrzyć przegniłą słomę na podłodze i kubel na nieczystości w kącie, a tymczasem zastał schludne i czyste, choć z pewnością zimne pomieszczenie, w którym jedynymi sprzętami były drewniana prycza, stół z krzesłem oraz skrzynia pod ścianą. Płonął na niej niewielki kaganek, którego blask mienił się na ramionach prostego mosiężnego krzyża.

Człowiek, który przed nim klęczał, przypominał jednakże bardziej widmo aniżeli ludzką postać. Zerwał się, łopocząc rękawami zbyt szerokiej koszuli, a młodzieniec aż się cofnął, widząc jego wytrzeszczone, lśniące gorączką oczy i skudloną brodę. Podświadomie chwycił za miecz, spodziewając się ataku, ale mieszkaniec celi zamarł jak skamieniały.

- Ty jesteś z rodu de Baideaux! - wyjąkał drżącym głosem. - Tak, tak, ty jesteś de Baideaux... Masz jego oczy, jego nos, nawet jego włosy... Ty... Ty jesteś Gaston?

- Tak - odparł młodzieniec, siląc się na spokojny, opanowany ton.
- Rozumiem. - Więzień wyprostował plecy.

Gaston ze zgrozą zrozumiał, że to nie koszula była zbyt obszerna, ale okrywane przez nią ciało straszliwie wychudłe. Pod jej rozchylonymi, unoszonymi przez przeciąg połami widział dziesiątki blizn jak po smagnięciach bicia. Niektóre całkiem świeże.

- Rozumiem - powtórzył więzień. - Wreszcie rozumiem, dlaczego de Montferrat zdecydował się mnie tu trzymać. Jestem gotów, de Baideaux. Uderzaj.
- Co? - Zaskoczenie młodego rycerza nie miało granic.
- Już dawno pogodziłem się ze śmiercią, a to, że zginę z ręki człowieka, którego sam próbowałem zabić, nada tylko jej większego sensu. - W jego szalonych, rozgorączkowanych oczach pojawił się nowy blask, mętne odbicie dawnej rangi i znaczenia.
- Próbowałeś mnie zabić? - zapytał Gaston. - Wybacz, ale nie... Ja nic o tym nie wiem. Markiz de Montferrat nie zdradził mi nawet waszego imienia.
- Nie? - wydał wargi kościej. - Ciekawe, w co tym razem pogrywa, przybłęda. W każdym razie, de Baideaux, zwę się Christian de Fitlegard. Jestem, a raczej byłem bratem zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i komandorem Królestwa Jerozolimskiego. To ja w ostatnich dniach przed swym upadkiem, powolny rozkazom Joscelina de Royes, wysłałem zabójcę, by was zgładził.

Gaston w milczeniu trawił usłyszaną przed chwilą wiadomość, a potem uśmiechnął się gorzko.

- Zawiódł, jak widać - powiedział. - Nie przyszedłem jednak was zabić, bracie, i nie zmienię swego zamiaru nawet po tym, co teraz usłyszałem. Przeszedłem porozmawiać z wami o moim bracie. O Rogerze de Baideaux.

De Fitlegard podszedł do swej pryczy i usiadł na niej sztywno. Poruszał się drobnymi, niezgrabnymi krokami człowieka, którego całe ciało jest jedną wielką raną.

- O Rogerze - powtórzył głucho. - O człowieku, który chciał nas doprowadzić do zguby? A cóż takiego chcecie się o nim dowiedzieć wy, brat jego rodzony?
- Wyjechał do Outremer, gdy byłem pacholęciem - odparł Gaston. - Nie znałem go wcale. Odkąd przybyłem do Tyru, słyszę o nim ciągiem. Słyszałem, że miał zostać marszałkiem zakonu i widział w snach Szymona Cyre-nejczyka. Templariusz-pokutnik twierdzi, że przystał do Saracenów, baron Ibelinu utrzymuje, że walczył za wiarę, a jego samego uratował od wielkiego grzechu, z kolei Robert de Sabie upatrywał w nim nadziei dla całego świata, a Żydzi tyryjscy przeklinają go za sprowadzenie nieszczęścia na cały ich ród. Kto z nich ma rację? Były komandor Jerozolimy skrzywił się szyderczo.

- Nikt - rzekł. - Żaden z nich. Wiesz, kim są asasy-ni, de Baideaux?
- Co? - zdumiał się Gaston. - Tak, wiem. Znaczy się chyba wiem. Chodzi o tę sektę najemnych zabójców na waszych usługach, tak?

- Bzdura! - machnął trupa dłońią templariusz--biczownik. - Asasyni, zwani też synami Nizara, nigdy nie byli naszymi najemnikami. Skądże znowu! Ten lud walczy tylko we własnym imieniu, choć nie ukrywam, lubimy rozpowszechniać plotki o naszej rzekomej współpracy. Nie ma w tym nic złego, że ludzie boją się nas bardziej, niż powinni.

Na moment w jego okrągłych, wybałuszonych oczach błysnęła cień dawnej dumy, wygasłej już wiary w potęgę niezwyciężonego zakonu, ale przygasł zaraz przegnany błyskawicą na zewnątrz.

- Nie jest to czas i pora, by ci o nich opowiadać - ciągnął suchym, wypranym z wszelkich emocji głosem. - Wiedz tylko, że choć są muzułmanami jak reszta wrogów Krzyża, ich wiara różni się wielce od pozostałych. Do tego stopnia, że uznani są przez Saracenów za przebrzydłych heretyków, a nienawiść, jaką darzy ich reszta świata islamu, daleko przekracza tę, którą żywią do

nas, Franków. Stąd też asasyni nie mieli właściwie powodów do protestów, gdy ich syryjskie ziemie stały się lennem zakonu templariuszy. Zapewne dziwnie to zabrzmiało, ale byliśmy dla nich o wiele wygodniejszymi władcami aniżeli ich muzułmańscy pobratymcy. Dopóki Starzec z Gór, ich przywódca, nie postanowił się wnieść w naszą politykę...

Przez chwilę milczał, jakby zbierał siły przed dalszym wywodem. Jego wychudła klatka piersiowa poruszała się szybko, wzrok wbijał w podłogę.

- W chwilach potrzeby asasyni potrafili stworzyć armię, ale ich główną siłą uderzeniową zawsze stanowili tajni zabójcy - podjął opowieść. - Starcy z Gór zaś do mistrzostwa doprowadzili sztukę terroru. Swoich przeciwników politycznych eliminowali zawsze w biały dzień, tuż po piątkowym nabożeństwie w meczecie, gdyż wtedy ich zabójstwa przyciągały największą uwagę. Mordercami zaś okazywali się żebracy, pielgrzymi, spokojni, znani wszystkim sąsiedzi, a nawet ludzie z najbliższego otoczenia zabitego władcy Ni z tego, ni z owego niepozorni ludzie, od lat znani z cichego usposobienia, porywali za sztylet i zatapiali go w sercach swych ofiar, a potem umierali pod spóźnionymi ciosami eskorty, nie próbując nawet uciekać. Wyobrażasz sobie strach, jaki wzbudzały podobne czyny? - Brat Christian wpatrywał się teraz prosto w Gastona. - Władcy przestawali ufać nawet swoim najbliższym. Nie sypiali po nocach przeświadczeni, że za progiem w każdym ciemnym kącie czekają na nich fanatyczni zabójcy, za nic mający śmierć i cierpienia, żyjący tylko po to, by wypełnić wolę Starca z Gór.

- Co... - wychrypiął oszołomiony młodzieniec - co to wszystko ma wspólnego z moim bratem?

- Wbrew pozorom ma, i to wiele. Asasyni przez wiele lat żyli spokojnie pod naszym panowaniem, do czasu gdy z niewytłumaczalnych dla nikogo przyczyn zabili Rajmunda hrabiego Trypolisu. Słyszałeś o tym, de Bai-deaux? Hrabia przejeżdżał sobie przez południową bramę miasta, gdy rzuciła się na niego banda asasynów i zasztyletowała na miejscu. Towarzyszący mu Raif z Merle i pewien rycerz próbowali go osłonić, co przypłacił życiem. Wszystko to rozegrało się tak błyskawicznie, że straż przednia hrabiego nie zdołała ująć morderców. Załoga miasta wyrznęła wówczas wszystkich muzułmanów, jacy nawinęli się pod ostrze, ale asasyni umknęli. Emocje jednak szybko opadły, a wtedy zaczęliśmy myśleć o czymś innym. Dlaczego nie wykorzystać metod asasynów do własnych celów? Skoro przejęliśmy już od muzułmanów sztukę leczenia, sposób ubierania się i utrzymywania higieny, to dlaczego nie nauczyć się od nich sposobów walki?

Znów zapadła cisza. Rozwścieczone pioruny waliły w morze, białosiny poblask błyskawic wślizgiwał się do wnętrza komnaty i jeszcze bardziej upodabniał twarz komandora do trupiego oblicza.

- Istniał tylko jeden problem, de Baideaux: motywacja. Asasyni oddawali życie dla wiary, a w miejsce jednego zabitego pojawiała się dziesięciu nowych, gotowych jak ich poprzednicy ponieść śmierć i wejść tym samym do rajów. Nas, chrześcijan, w ten sposób raczej przekonać się nie da. Nasza wizja nieba jest zbyt mało atrakcyjna,

O wiele bardziej przewyższają ją korzyści doczesne. Pozostawało znaleźć inny sposób. I wtedy w zakonie pojawił się Joscelin de Royes, który zaproponował, by szukać ludzi przegranych, rozczarowanych, zniszczonych życiem, umożliwić im wymazanie grzechów z przeszłości, a do tego suto obdarować. Wszystko to zaś w imię walki z wrogami Krzyża.

- Joscelin de Royes - wydał wargi Gaston.

- Imię ci znane, jak mniemam. - Templariusz uśmiechnął się krzywo. - We mnie też budził niechęć i obrzydzenie, ale zapału temu człowiekowi odmówić nie sposób. Szybko zachwyił swym pomysłem mistrza Gerarda de Ridefort, który polecił mi udzielić temu przekłętemu sodomicie wszelkiej możliwej pomocy.

- To imię też znam - oznajmił młodzieniec, krzyżując ramiona na piersi. Na zewnątrz zamigotała niema błyskawica, jakby na potwierdzenie jego słów. - Najwyraźniej przyszło wam otaczać się demonami w ludzkiej skórze.

- Mało wiesz o demonach, de Baideaux! - parsknął Christian de Fitlegard i odwrócił głowę, jakby naraz zdjął go strach, że powiedział zbyt dużo. - W każdym razie de Royes niczym hiena węszył po ciemnych zaułkach, lochach więziennych, tawernach, targach niewolników, zamtużach i wyluskiwał ludzi o strzaskanej duszy. Wykupywał rozgoryczonych jeńców wojennych, stawiał na nogi wynędzniałych żebraków, nagabywał wpółszalonych rycerzy i zbuntowanych giermków, przyprawdzał rozbójników i maruderów, wyciągał z więzień przestępców, wyszukiwał na bezdrożach tych, których poszukiwali italscy bankierzy. Nie dbał o narodowość czy wiarę, interesowało go tylko, czy kto potrafi utrzymać broń w ręku i czy można zarzucić mu na szyję smycz szantażu. Był w tym doskonały, przyznaję. W mig potrafił wykryć w ludzkiej duszy słaby punkt, uzależnić od siebie kilkoma zdaniem i jedną prostą obietnicą.

- Vittorio Scozzi - szepnął Gaston - i Anzelm de Fi-dou. Znacze te nazwiska, komandorze?

- Znam. - Uwięziony templariusz rozciągnął sine usta w makabrycznej parodii uśmiechu. - Jednego skreśliliśmy jako lekkoducha i pyszałka, a drugiego... Cóż, żaden z nas nie wyobrażał sobie obciążonego klątwą wilkołaka w tajnym oddziale do zadań specjalnych. Przysłałem jednak, by de Royes wciągnął ich do własnej siatki agenturalnej.

„Obawiam się, że zrobił to na długo przed rozmową z wami, drogi bracie” - pomyślał Gaston, ale nie odezwał się ani słowem.

- Nasz oddział powstał na jakiś rok przed klęską pod Hittinem - westchnął były komandor Jeruzolimy. - W jego skład weszło czterdziestu najgorszych zbirów, jakich ten sodomita de Royes zdołał wywlec z piekła i ujarzmić swymi obietnicami. Czterdziestu kurwich synów bez krzty sumienia, całkowicie powolnych wobec zakonu, istnych ekspertów w sztuce przetrwania, mordowania i znikania bez śladu. Bo w przeciwieństwie do Starca z Gór nie mieliśmy zamiaru wytracać ich w spektakularnych akcjach na oczach tłumów. Nasi chrześcijańscy asasyni mieli wykonywać swe zadania i wracać do kwatery.

- Wciąż nie wiem, jaki związek ma wasza opowieść, komandorze, z moim bratem.

- Wasz brat, de Baideaux, stanął na ich czele.

Słyszając to, młodzieniec wprost osłupiał. Słyszał już

wiele wersji historii Rogera - sprzecznych ze sobą, romantycznych i zdradzieckich, ale wszystkie jakoś mieściły się w ramach opowieści o prawdziwym rycerzu, których echo wciąż pobrzmiwało w duszy i pamięci Gastona.

- Tak - odezwał się po chwili templariusz. - W całym zakonie długo by szukać rycerza, który lepiej sprawowałby się w boju od waszego brata. Nie dość, że doskonale władał mieczem i kopią, to jeszcze świetnie strzelał z łuku i ciskał nożem niczym ormiański zabójca, a w wolnych chwilach ku zgrozie pozostałych braci eksperymentował z nowymi rodzajami kuszy. Co więcej, niewielu braci cechowała tak wielka nienawiść wobec wrogów Krzyża i tak ogromne posłuszeństwo wobec zakonu. Tak, trudno było o lepszego kandydata.

- Czy... - przełknął ślinę Gaston. - Czy Roger...

- Czy jego oddział spełnił swój cel? - z ironią podchwycił de Fitlegard. - Czy zabrał się za zabijanie? Cóż, nie wiem. W dniach poprzedzających wybuch wojny, gdy oddział był już gotowy do pierwszych zadań, przeszedł całkowicie pod dowództwo mistrza Gerarda de Ridefort, choć de Royes zachował w nim pewne wpływy. Wiem tylko, że de Ridefort nakazał Rogerowi w pierwszej kolejności zgładzić barona Ibelinu, którego postrzegał jako swego głównego przeciwnika i człowieka zdolnego przeciwstawić się jego intrygom. Jak sami dobrze wiecie, zadania nie wykonał.

- A co się stało z Rogerem? Dowodził dalej oddziałem zabójców? Wiem, że walczył pod Hittinem, a potem?

- Nie wiem, mówiłem ci już! - zniecierpliwił się były komandor Jerozolimy i spuścił wzrok. Rzedniejące włosy przesłoniły mu wychudłą, obciążoną cienką skórą twarz. - Nie wiem, co się stało z nim ani z oddziałem. Ten Beduin, którego za wami wysłałem, był jedynym zabójcą, który pozostał w Tyrze. Nie mam pojęcia, co się stało z resztą.

- Natomiast ja wiem - szepnął cicho Gaston, przypominając sobie ludzi, którzy usiłowali go zabić na nabrzeżu Portu Syjońskiego. - A pierścień, komandorze? Co wiecie o pierścieniu? Wiem tylko, że...

Nagle urwał, bo ostrożność wyprężyła grzbiet i mocno chlasnęła go pazurami. Dostrzegł, jak oczy uwięzionego templariusza rozszerzają się, a on sam opada na kolana zwrócony w stronę najciemniejszego z kątów celi. Tego, w którym ciemność nagle zaczęła przelewać się i falować niczym żywa materia.

Christian de Fitlegard zamknął oczy z przerażenia.

- Przybyłeś... - bełkotał, a w jego głosie ekstaza mieszała się z paniką. - Powróciłeś, panie, powróciłeś...

Gaston zmusił się do rozwarcia powiek.

I spojrzął prosto w ciemne, niemalże czarne oczy szczupłego mężczyzny o smagłej skórze i kruczonych lokach. Ich czern była zniewalająca - przerażony do granic de Baideaux miał wrażenie, że wsysa go w otchłań, z której nie ma powrotu. Znów zacisnął powieki, ale nie mógł się w ten sposób uchronić przed szeptem nieznanego. Jego głos dobiegał zewsząd, wnikał w ciało, docierał do drżącego serca.

- Brak ci wszystkich przymiotów twego brata - syczał przybysz. - Wszystkich poza zawziętością, Gasto-nie. Nie mogłeś odziedziczyć jakiejś innej z jego cech? Na przykład obsesji na punkcie sprawiedliwości? Lub skłonności do zakochiwania się w niewłaściwych kobietach? Musiałeś akurat odziedziczyć zawziętość, nieszczęsny głupcze?

Wparty w mur młodzieniec drżał i dygotał, oślepiiony przerażeniem nie widział, jak czarnowłosy przybysz z zaświatów z chrzęstem zaciska prawą dłoń. Kulący się na podłodze Christian de Fitlegard nagle wytrzeszczył oczy i rozwarł usta, na próżno usiłując zaczerpnąć tchu.

- I na co ci to wszystko było? - syczał nieznanomy. -Dlaczego ze wszystkich pokus, którymi mam Ziemia Święta, wybrałeś akurat poszukiwanie swego brata, największego z głupców świata śmiertelników? Cóż, jest już za późno. Zrobiłeś jeden krok za daleko. Nie rozwikłasz jego zagadki, de Baideaux, a od tej pory twoje życie nie liczy się w miesiącach czy nawet dniach, lecz w godzinach.

No, zmykaj, biedny chłopcze! Naciesz się ostatnimi chwilami, które ci pozostały.

Nie pamiętał chwili, gdy wypadł z celi uwięzionego templariusza, ale piekący ból stłuczonych kolan i łokci podpowiadał, że nie obyło się bez utraty równowagi. Przyspieszony oddech Konrada de Montfer-rat sugerował, że nie obyło się i bez krótkiej szarpaniny. Zamrugnął oczyma, przystosowując wzrok do migotliwego światła pochodni ledwie rozpraszającego ciemności.

- Co?... - wyjąkał. - Co to było?

Markiz, siedzący na kamiennym stopniu tuż obok, otarł wierzchem dłoni usta i roztarł krew.

- Nie wiem - przyznał niechętnie - i chyba nie chcę wiedzieć. Domyślam się tylko, że ma jakiś związek z templariuszami. Pojawił się bowiem, taki syn, zaraz po tym, jak przywiodłem tu de Fitlegarda. Nieraz sobie wyrzucałem, że go tu ściągnąłem, ale nie pożałowałbyś templariusza, który w nocy grzebie w śmietnikach, a za dnia zebrze pod kościołami? Zakonnika, komandora Jerozolimy?

- Wyście też go widywali, markizie? - wyszeptał de Baideaux. - Co wam mówił?

- Kusił - przyznał po chwili de Montferrat. - Kusił, suczy syn, skuteczniej od każdego klechy, z którym miałem okazję interesy ubijać. Rozpytywał, czego pragnę, czego mi brak, roztaczał wizje wielkich zwycięstw, blasku korony, nieskończonej sławy. I, zaraza, ani się kwapił do odejścia, kiedy go świętym słowem traktowałem. Wiele mnie to wszystko kosztowało, już myślałem, że nie zdzierzę, że zgodzę się i wpadnę w sidła su-czego syna. W porę przybył tu Ludwik z Turynii. Miał iść z cesarzem drogą lądową, ale niezbyt mu się uśmiechała taka mordęga i popłynął statkiem. Niech będzie błogosławione jego lenistwo! Zaiste w porę tu przybył, w porę wyciągnął mnie pod Akkę. Tam demon już za mną nie polazł.

- Boże! - jęknął Gaston.

- Obawiam się, że Bóg ma tu niewiele do powiedzenia, de Baideaux. Zastanawiałem się, czy aby nie spryskać celi wodą święconą, ale dałem sobie spokój. Gdyby się rozniosło, że u de Montferrata demony po cytadeli hulają, o koronie mógłbym tylko pomarzyć. Nie mów nikomu ani słowa, de Baideaux.

- Nie powiem.

Przez dłuższą chwilę siedzieli obaj na schodach owiewani przeciągami, oświetleni nerwowym blaskiem gasnącej pochodni.

- Warto było? - spytał w końcu Konrad.

- Nie wiem - odrzekł Gaston. - Dowiedziałem się dużo, chyba aż za dużo, ale...

- Jesteś gotów na spłacenie swego długu?

- Tak. Mus nam z miasta uciekać, pogoń de Royesa zmylić.

- Nie przejmuj się tym szalonym templariuszem. Zatrzymam go tak długo, jak będę mógł. I to z ochotą.

- Wystrzegajcie się go, markizie. - Oczy Gastona de Baideaux stały się poważne jak nigdy.

- To niebezpieczny człowiek.

- Nie. - Konrad de Montferrat uśmiechnął się z szyderstwem. - On jest tylko obłąkany, to ja jestem niebezpieczny. I z chęcią rzucę mu kilka kłód pod nogi. Tylko mi tu nie dziękuj, de Baideaux, bo to dla siebie robię, nie dla ciebie. Nie pozwolę, by po Outremer pałętał się ktokolwiek, kto wie choć połowę tego co ja.

Rozdział piaty

W KTÓRYM PRZEWAŻAJĄ ROZWAŻANIA O LUDZKIEJ NATURZE, SZTUCE MANIPULACJI ORAZ MECHANIZMACH WŁADZY, A GASTON UŚWIADAMIA SOBIE, ŻE POSZUKUJĄC SWEGO BRATA, WSZEDŁ NA ŚCIEŻKĘ BEZ POWROTU. A POTEM STAJE DO WALKI Z PRZEZNACZENIEM

Bładoszare chmury ustępowały w pokorze, jakby zawstydzone kataklizmem, który rozpętały w nocy. Jedyłą pamiątką po wścieklej burzy były szczątki roztrzaskanych przez fale łodzi, martwo zalegające na plaży wśród warkoczy schnących wodorostów. Morskie powietrze było chłodne i orzeźwiający, a róz wschodu słońca rozlewający się nad spustoszonymi wojną ziemiami Outremer wprost urzekał swą niewinnością.

Gastonowi i Vittoriowi jednakże wiele brakowało do zachwyty.

De Baideaux co rusz popędział konia, choć wiedział, że nie uwolni się w ten sposób ani od towarzystwa milczącego tego poranka Genuńczyka, ani wielkiego Duna Haralda i jego bandy uzbrojonych po zęby najemnych zbirów. Wsłuchiwał się w poświst wiatru oraz szum fali, których białe języki sięgały aż po pęciny rozpędzonego rumaka, i oczyszczał swój umysł ze wszelkich myśli. Nie chciał pamiętać o tym, co się wydarzyło w Tyrze. Nie chciał myśleć o tym, co czeka go za kilka dni. Chciał po prostu pędzić plażą, po swej prawicy mając wymęczone burzą morze, a po lewicy radosny świt.

Mrzonki.

Któryś z ludzi Haralda rzucił jakimś sprośnym żartem, kilku innych buchnęło śmiechem, młodzieniec znów poczuł na swych plecach ciężkie spojrzenia. Jego oczy prześlizgnęły się po spotniałej szyi rumaka, którego tego ranka otrzymał od Konrada z Montferratu.

Ktoś go doganiał. Nie musiał odwracać głowy, by wiedzieć, że to Vittorio.

- Na co cię złapał?! - zawołał. Jego twarz była pobladła, zacięta, bez najmniejszego śladu zwykłej ironii w oczach. Wyglądał, jakby zapadł na ciężką chorobę, i Gaston momentalnie go pożałował. Czuł, że oddałby teraz wszystko za kilka cynicznych dowcipów przyjaciela.

- Nieważne. - Pokręcił głową. - Naprawdę nieważne. Grunt, że trafił w sedno. Nie mogłem odmówić.

- Ja też - przyznał ze zrezygnowaniem Italczyk. - Mówiłem, mściwy skurwysyn.

- Nie przesadzaj. - De Baideaux odwrócił głowę, spojrział daleko, tam gdzie kończyła się szeroka piaszczysta plaża, a wyrastały pierwsze wydmy. - Uratował nam życie, ugościł, obdarował końmi, a na koniec wyekspediował z Tyru.

- Z wielce ważnym zadaniem - parsknął Vittorio. - Monarcha, kurwa jego mać!

- Nigdy nie sądziłem, że akurat tobie się ono nie spodoba. W innych okolicznościach zapewne nazwałbyś je udziałem w inwestycji.

- W tych jednakże to tylko lichwa, od której najskap-si Żydzi posiwieliby z przerażenia. - Vittorio splunął na bok.

- Nie jestem kupcem, ale jak sądzę, nawet lichwa to tylko pożyczka - skrzywił się lekko Gaston. - Konrad nie wygląda na takiego, co zapominałby o sumiennych wierzycielach. Jeśli się postarasz, masz zapewnione miejsce u jego boku - mówił bez przekonania, mając nadzieję, że to właśnie słowa, które jego przyjaciel pragnąłby usłyszeć. - Nie wyjdiesz na tym źle - dodał.

- Wybacz, Gastonie! - Vittorio prychnął z irytacją. - Konrad jest sprytny niczym sam diabeł, a przy tym bitny jak wszyscy baronowie syryjscy do kupy wzięci, ale jakoś nie chce mi się wierzyć w to jego gadanie o rychłej koronie. Popamiętasz moje słowa, Gaston. To tylko mały królik, wścickły watażka z twardą pięścią, jeszcze twardszą kuśką, mocną gadką i łbem pełnym dyrdymałów. Łajno tam...

Przerwał mu czyjś śmiech. Obrócili się natychmiast, a de Baideaux uświadomił sobie, że wiejący im w twarz wiatr musiał zanieść część ich burzliwej, wykrzyczanej rozmowy do tyłu, prosto do uszu jadącego za nimi Haralda. Zacerwienił się mimo woli, a Wareg spowaźniał i oznajmił:

- Patrz uważnie, Genuńczyku, i ucz się - zawołał gromko - bo prawdziwą władzę poznasz po tym, że nie zna ona granic!

- Prawdziwa władza nie zna granic - oznajmił Konrad, nawet się nie odwracając. Prowadził ich w stronę dziedzińca, na którym majaczyły sylwetki kilkunastu zbrojnych w milczeniu siodłających konie, których było ze dwa razy więcej niż jeźdźców. Nadal panował mrok, choć można już było rozróżnić rysy twarzy mijanych ludzi, co wskazywało na rychły świt. Na widok nadchodzącego markiza zamierali i kłaniali się z szacunkiem, lecz Gaston zdążył ich sobie dobrze obejrzeć. Twarde, ogorzałe oblicza, policzki i czoła poznaczone bliznami, zetlałe od słońca kosmyki włosów wystające spod krawędzi hełmów.

„Hieny pustyni” - pomyślał z niepokojem młody rycerz.

- Wybaczcie, markizie, ale nadal nie rozumiem - odezwał się znowu. - Saraceni opasują twierdzę ciasnym pierścieniem...

- Gównno tam ciasnym! - uciął Konrad de Montfer-rat. - Ja mam ambicję kiedyś rządzić tymi ziemiami, de Baideaux, a w tym świecie ambicji nie realizuje się przesuwaniem drewnianych pionów na mapie. Wiesz, co jest potrzebne do rządzenia?

- Informacje, sojusznicy, pieniądze - wtrącił chrapliwym głosem Vittorio.

- Słusznie, Scozzi. Pierwsze już mam. O drugie przestanę się martwić, gdy dotrze tu cesarz Barbarossa, mój zacny krewniak. Co do trzeciego zaś...

- To tym mamy zająć się my - parsknął Vittorio.

- O, właśnie! - Konrad nieomal się uśmiechnął. - Wiesz, ile kosztuje roczne utrzymanie jednego rycerza w Ziemi Świętej?

- Nie - skrzywił się Italczyk. - Jako gołodupiec z bożej łaski myślę tańszymi kategoriami.

- Dziewięćset bizantów. Dziewięćset.

- Nie sądzę, by chodziło wam o współczucie, markizie...

- W istocie, nie o współczucie. Chciałem raczej dać wam przedsmak pewnej nader szczodrej propozycji, którą przedstawię, jeśli się sprawicie. A tak nawiasem mówiąc, kazałem dla was osiodłać konie. Potraktujcie je, proszę, jako mój wkład w waszą misję. Mój kolejny wkład. Uff, czyja aby nie przepłacam?

„Roger de Baideaux walczył z Saracenami pod chorągwią templariuszy - snuł ponure rozważania Gaston. - Jego młodszy brat zasłynął jako awanturnik, prowokator i zwykły rozbójnik. I to tylko dlatego, że chciał tego starszego odnaleźć”.

Złociste promienie słońca najpierw ostrożnie wyjrzały zza horyzontu, a potem nagle zalały całą taflę morza, aż rozkrzyczały się mewy niesione dzikimi podmuchami wiatru. Wąreg Harald popędził swego konia, wyprzedził Vittoria i Gastona, a potem skręcił w bok, w stronę wydmy porośniętych rzadkimi trawami. Jadący za nim najemnicy bez słowa skracali wodze prowadzonych przez siebie luzaków i skręcali za nim, jękając, jakby wkraczali na doskonale sobie znany szlak. Tam piach stał się sypki, a droga pochyła. Zdyszane po biegu konie zwolniły, grzęznąąc w piachu aż po pęciny.

Gaston spróbował skupić się na modlitwie, ale znów powróciło pytanie, którego nie zdołał markizowi zadać, a które dręczyło go, od chwili gdy opuścili Tyr. Odwrócił się i zaczął na Vittoria.

Ten, nadal poblady, uciekł przed nim spojrzeniem.

- Nie powiem ci - warknął. - Daj mi spokój. Zaszłości między mną a markizem to moja sprawa i jakoś mi...

- Nie chodzi mi o to - pokręcił głową de Baideaux i ściągnął hełm. Jego jasne, zetlałe od słońca loki rozsypały się na wietrze. - Słuchaj, Vittorio... Dlaczego właściwie my?

- Bo byliśmy pod ręką. Co więcej, znalazł jeszcze sposób, by nas zmusić do posłuszeństwa.

- Ale po co to całe zamieszanie? - zmarszczył brwi Gaston. - Po co ryzykowne starcie z ludźmi de Royesa, w których, jeśli rzeczywiście jest tak dobrym żołnierzem, na pewno poznał zabójców. Nie mógłby po prostu dzisiaj wysłać tego tam Haralda i jego zbirów? Czyżbyśmy byli aż tak dobrymi szermierzami, że sam markiz zabiegałby o nasz udział w swoich ciemnych sprawkach?

- Wątpliwe. - W przybladłym spojrzeniu Vittoria pojawił się cień dawnej ironii. - Nie tak należy to tłumaczyć. Wiesz, wcale się nie zdziwię, gdy w odpowiedniej chwili Harald i jego chłopcy zasłonią swe zakazane mordy, ku wielkiej uldze wszystkich, którzy cenią istotę piękna, a nam wręczą tarcze z jakimiś dziwnymi herbami. I mieszek złota na zachętę, by nam się te tarcze lepiej trzymało.

- By nikt nie powiązał całej sprawy z markizem? - Gaston otworzył szeroko oczy.

- Do uzyskania pełni władzy prócz informacji, sojuszników i pieniędzy trzeba jeszcze szatańskich sztuczek - orzekł z przekonaniem Italczyk. - Jeśli nam się nie uda, markiz straci jedynie paru najemników. Jeśli zaś się uda, wzbogaci się nie tylko o złoto, ale również o kilku stronników, którzy chętnie wyciągną ręce po kolejne szanse. Tak się buduje władzę. Na tym polega prawdziwa inwestycja. O psia mać!

Gaston natychmiast spojrział w tym samym kierunku co przyjaciel i aż zeszywniał. Saraceński wojownik o ciemnej, ogorzałej twarzy wyrósł jak spod ziemi. Czarne loki unosiły się na wietrze i muskały jego policzek, wydając się jedynym ruchomym elementem całej postaci. Nie drgnęło ani jego spojrzenie, ani dłoń zaciśnięta na łączysku, ani też ramię odciągające cięciwę.

Łucznik, który wyrósł kilka kroków dalej, wyglądał identycznie, podobnie jak pozostali, szerokim łukiem otaczający znieruchomiały nagle oddziałek. Dłoń de Baideaux prześlizgnęła się do rękojeści miecza, ale zamarła, gdy dostrzegł spojrzenia swoich towarzyszy. Ludzie Haralda przyglądali się Saracenom z pobłażliwą ciekawością, nikt nie sięgnął po broń.

Bernard sapnął i popędził grzęznącego w piachu konia w kierunku Gastona, lecz ten wstrzymał go, unosząc dłoń.

Od czoła oddziału dobiegło wesołe wołanie. Harald zeskoczył z siodła i ruszył pieszo w kierunku wysokiego Araba o surowej, pobrużdżonej twarzy, który stał na szczycie wydmy z ramionami skrzyżowanymi na piersi, otoczony grupką równie srogich wojowników w kolczugach. Niektórzy z nich znacząco oparli dłonie na rękojeściach zakrzywionych mieczy, ale Wareg nie zwracał na to uwagi. Zatrzymał się dopiero kilka kroków przed przywódcą Saracenów i skłonił się z szacunkiem, jednak bez zbytej unizoności.

Potem odtoczył sakiewkę, demonstracyjnie zważył ją w dłoni i powiedział kilka słów po arabsku. Wiatr natarł mocniej, kładąc rosnącą na wydmach trawy, lecz Gaston dosłyszał miano Al-Markish.

Przywódcą Saracenów zważył w dłoni sakiewkę podaną mu przez przybocznego i maska surowości na jego nieprzyjemnej, pobrużdżonej twarzy natychmiast pękła. Cofnął się i gospodarskim gestem wskazał wolną ścieżkę.

Harald ukłonił się jeszcze niżej, tym razem z widoczną już ironią, a po chwili znów siedział w siodle. Oddział najemników z Tyru niespiesznie, wręcz z ostentacją przekroczył najłabsze ogniwo linii przyjaciela.

- Widzisz, Gastonie? - odezwał się kpiąco Vittorio. - Saracen też człowiek, sakieweczkę chętnie przyjmie, w niedoli skwapliwie pomoże. Aż wzruszenie ściska za gardło, takie to swojskie i znajome.

Młody de Baideaux nawet ramionami nie wzruszył. Starał się naśladować nieruchome, pozbawione lęku spojrzenia reszty najemników, ale w jego głowie znów starły się sprzeczne myśli. Już rozumiał powód, dla którego Konrad de Montferrat z lekceważeniem mówił o liniach Salah ad-Dina, i czuł, że powinien się obruszyć na tak ewidentny dowód konszachtów z wrogami Krzyża, ale nie potrafił. Wykreowane przez Adalberta wyobrażenie Ziemi Świętej, z jakim przybył do Tyru, dawno legło w gruzach. Nie umiał się już dziwić niczemu, a ponadto wiedział, że po misji, jaką zlecił im Konrad, już długo nic go nie zaskoczy.

Jego myśli bardziej zajmowało coś innego. Świadomość, że z chwilą gdy przekroczy linię Saracenów, nie będzie miał odwrotu.

A powiedział mu o tym ktoś bliski.

- Wciąż możesz się wycofać - rzekł Anzelm de Fidou.

Gaston, już w hełmie i w kolczudze od barona Ibelinu, zaciągnął popręg przy siodle i westchnął ciężko. Powoli odwrócił się ku swemu towarzyszowi, który stał tuż za nim w skórzanym kaftanie, bez miecza i kolczugi.

- Nie - odparł ciężko. - Nawet nie chodzi o dług wobec Konrada, fa muszę odnaleźć Rogera. Po tym, czego się dziś dowiedziałem...

Zawiesił głos, przygryzł wargę. Podświadomie oczekiwał, że Anzelm podejmie wątek, zapyta, czego się dowiedział, ale rycerz-odmieniec milczał, jak to miał w zwyczaju, -tylko jego piwne, niemalże żółte oczy nadal błyszczały.

- Dobrze - zgodził się po chwili. - Nieraz ci mówiłem, że wtedy pod Akką ktoś, kogo słowom wierzę, powiedział, że wyzwolisz mnie z mojej klątwy. Nie wiem, dlaczego akurat ty. Może po prostu chciał mnie powstrzymać od wypełnienia woli Joscelina i wyprucia z ciebie flaków. Może się pomylił. W każdym razie nie będzie mi dane się przekonać.

- Czyli nie jedziesz z nami? - bardziej stwierdził, niż spytał, Gaston.

- Nie. - Anzelm niemalże się uśmiechnął. - Oczywiście, że nie. Nie ma takiej mocy, która zmusiłaby mnie do wypełnienia woli markiza de Montferrat. Nie po tym, co spowodowałem u boku Renalda de Chatillon.

Gaston przez chwilę trawił jego słowa, po czym przygryzł wargę.

- Co poczniesz? - spytał w końcu.

- Nie wiem - wzruszył ramionami rycerz z Ar-Ramli. - Kiedyś umiałem śpiewać. Może kupię sobie jakąś lirę i ruszę w świat... Może skleczę parę rymów i ułożę coś lepszego od „Chanson de Jerusalem” czy „Chanson de chetifs”. A ty? Co poczniesz?

- To, co... co trzeba. Co muszę.

- Niech cię Bóg prowadzi, Gastonie. Ale pamiętaj, że jesteś wolnym człowiekiem.

Przynajmniej do chwili, zanim przekroczysz linię bez powrotu.

Słońce stało już w zenicie, gdy dotarli do wysokiego wzgórza wyrastającego z jałowych pustkowi niczym potrząskana korona zapomnianego władcy Nefilim. Ożywcza bryza już dawno stała się zatartym wspomnieniem zastąpionym przez suchy, porywisty pustylny wiatr. Tenże wiatr wyduł i uniósł burnusy najemników jadących na czele oddziału, którzy bez wahania skręcili w ledwie widoczną ścieżkę wijącą się między suchymi, spękanymi od słońca skałami.

Harald, który podobnie jak reszta oddziału przywdział burnus i otoczył hełm turbanem, wraz z innymi Normanami jechał teraz w środku oddziału, tuż za Gastonem i Vittoriem. Na czoło wysunęli się pulanie - najemnicy pochodzenia syryjsko-frankijskiego - oraz wszyscy inni, którzy w sytuacji zagrożenia mogliby uchodzić za Saracenów.

- Jak dotąd nigdy nie natrafiliśmy tu na ludzi Salah ad-Dina - wyjaśnił Harald w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie de Baideaux - ale licho nie śpi. Nie chciałbym, żeby jakiś emir zaczął się zastanawiać, co tak daleko od Tyru porabiają wojacy z błękitnymi oczami. Otaczający ich najemnicy zarechotali zgodnym chórem, a potem znów zapadła cisza, której przez następne kilka godzin nie zmąciło ani jedno słowo. Dopiero gdy znużone upałem konie zaczęły się wspinać na zbocze, w oddziale ponownie zapanowało ożywienie. Najemnicy Konrada szeptali między sobą rozbawieni, niektórzy już zerkali na zachód, gdzie z każdą chwilą odsłaniały się kolejne jałowe przestrzenie rozedrgane w niemiłosiernym słońcu. Pylistą równinę przecinał nieodległy pusty szlak i druga, łącząca się z nim, węższa nitka traktu. Gaston osłonił oczy dłonią w rękawicy i spojrzał tam, gdzie reszta zbrojnych. Miał wrażenie, że w oddali widać jakieś niewyraźne kształty.

- Tu spotykają się szlaki karawan z Askalonu i Jerozolimy ze szlakami z Bagdadu i razem idą na północ, do Damaszku, Trypolisu i Antiochii - powiadomił go drapieźnie uśmiechnięty Harald. Przez chwilę utkwiał wzrok w linii horyzontu, a potem uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Tu sobie zaczekamy.

Z każdą chwilą byli coraz wyżej. Wiatr ochłodził i jednocześnie przybrał na sile, łopotały poły burnusów. Niewielka jaszczurka, wygrzewająca się na zagrzebanej w pyłe ludzkiej czaszce, poderwała się, prześlizgnęła wzdłuż kości przedramienia, tu i ówdzie zakrytych jeszcze furkoczącymi strzępami szaty. Gaston, krzywiąc usta, spojrzał na barczystego Warega.

- Nie wy pierwsi uznaliście, że to wzgórze idealne do ataków - stwierdził.
- Nie my pierwsi - przyznał Harald, ściągnął rękawicę i przetarł spocone czoło. Potem znów spojrzął ku zachodniemu horyzontowi. Tam gdzie Gaston przed chwilą widział jakieś niewyraźne kształty, wiatr podniósł właśnie pylistą kurzawę, ale na twarzy wąsatego Ware-ga znów pojawił się drapieżny uśmiech. - Na szczęście, ci nieszczęśni głupcy nie działali tu na tyle długo, by zmienić przyzwyczajenia kupców. No, wywiadowcy markiza znów się nie pomylili. Trzeba dać wytchnienie ludziom i koniom. Przed wieczorem będziemy mieli ręce pełne roboty.
- Na co was schwytał? - spytał zniecierpliwiony Gaston.
- Kto? - zdumiał się Wareg.
- Konrad. On na każdego ma jakiś sposób, prawda? Każdego zdoła jakoś omotać. Jak omotał was?
- Cóż, jeśli o to chodzi, to nie wysilił się zbytnio. - Harald przyglądał się wąsiska. - Po prostu rzucił mi sakiewkę pękającą na tyle, że oplącało się rzucić gwardię wa-reską.
- Markiz nad wyraz chętnie żongluje sakiewkami - odwrócił się jadący z przodu Vittorio. Wiatr dmuchnął, kufija zakryła mu twarz, ale odtrącił płótno z wściekłością. - To może i dla nas kazał zabrać po jednej? I dorzucić je do tarcz herbowych, które przyjdzie nam zaraz pochwycić?
- Co do tarcz, to nie mylicie się nic a nic, dobry rycerzu Scozzi - oznajmił Harald, udając strapienie. - Zaiste wiozę dla was tarcze z herbem Welfa de Ventreux, wyjątkowej wprost gnidy, która to, wystawcie sobie, markiza o morderstwo własnej żony posądza. I to głośno, w przytomności innych. Co do sakiewek zaś, nic mi nie wiadomo. Po chwili rozpromienił się, jakby tknięty ważną myślą, i dodał:
- Coś mi się jednak zdaje, że przed wieczorem będziecie mieli niejedną okazję, by sobie trzos napęłnić. I to bez łaski markiza, dzięki któremu, o ile dobrze pojmuję, już z pewnych tarapatów się wydostaliście. W przeciwieństwie do druha waszego, dzielnego rycerza de Fi-dou. Wychudły kundel uniósł łeb znad kałuży, z której właśnie chleptał, i łapczywie wciągnął powietrze. Potem drugi raz i trzeci. Nie, nie mógł się mylić. Chwilę później pędził jak szalony wąskimi uliczkami miasta. Przemykał przez zalane cieniem zaułki i cuchnące nieczystościami podwórza, wciskał się w szczeliny między kramami i straganami, wbrew swemu instynktowi przebiegał tuż obok ludzi, niepomyślny bólu, jaki sprawiały ich bezlitosne kopnięcia. Nie pamiętał o swej chromej łapie, nie pamiętał o pustym żołądku, który od rana bezskutecznie próbował napęłnić, liczył się dla niego tylko zapach, coraz wyraźniejszy, wiodący go przez płataninę uliczek do upragnionego celu. Jego ślepie błyszczały z niezdrowej gorączki. Pożółkłe kły rozchyliły się, wypuszczając różowy jęzor, wyliniałe boki unosiły się i opadały, w płucach coś świszczowało, ale biegł. Cel - człowiek pachnący wilczą sierścią - był coraz bliżej, a z nim nagroda, wspaniała nagroda, którą mu obiecano. Kundel aż powarkiwiał z niecierpliwości. Wtedy ktoś zastąpił mu drogę. Powolny swemu instynktowi pies czmychnął na bok, unikając ewentualnego uderzenia. Nie padło, ale zaskoczone zwierzę poślizgnęło się na bruku. Próbowало się poderwać i uciekać, znów zawiodła jednak chroma łapa. Pies zaskowytał ze strachu, gdy ujrzał, że nieznany człowiek kuca i nakrywa dłonią jego poraniony, wyliniały bok. I zamarł przesyty emanującym z niej ciepłem. W jednej chwili zapomniał o tym, którego szukał, i nagrodzie, jaką mu obiecano. Zapomniał też o strachu przed ludźmi, jaki towarzyszył mu od chwili, gdy otworzył szczeniące ślepie. Leżał na boku, szczyrzył kły i skamlał cicho, rozkoszując się nieznaną wcześniej pieśczętą, a wąsaty rycerz, który dzierżył zieloną tarczę, uśmiechnął się ze smutkiem i nie przestawał go drapać.

„Informacje, sojusznicy, pieniądze - powtarzał w myślach Gaston de Baideaux. - I szatańskie sztuczki, jak chce Vittorio. Na liście zabawek Konrada de Montfer-rat brakuje jeszcze jednej: garści zwabionych w potrzask bezwolnych głupców”.

Pędził na czele rozciągniętego w łuk oddziału najemników, unosząc tarczę nieznanego mu bliżej Welfa de Ventreux, a wozy arabskiej karawany skapane w kurzawie spod kół i kopyt były coraz bliżej. Po swej lewicy miał Vittoria, podobnie jak on sam zasłoniętego tarczą z herbem de Ventreux, po prawej Haralda, który nie spuszczał z niego wzroku, jakby miał przykazane dopilnować, by Pikardyjczyk wypełnił do końca swą część umowy. Cienie jeźdźców, wydłużone rdzawym zachodem słońca, mknęły po równinie. Ziemia drżała, burnusy łopotały.

Wozy, wokół których rozgorzała gorączkowa krzątanina, były coraz bliżej.

„Znów zostałem okpiony - pomyślał de Baideaux. - Tym razem stałem się rozbójnikiem, zwykłym, podłym grasantem. Nie wierzę w to wszystko. Boże drogi, spraw, by na tym się skończyło. Nie pozwól mi stać się do tego mordercą...”

Któryś z koni zarżał, odpowiedziały mu inne, jakby zaniepokojone przecuciem zbliżającej się rzezi. Jeźdźcy pochylili się niżej nad rozwianymi grzywami, brudni od pyłu, z błyszczącymi oczyma i wyszczerzonymi zębami.

Hieny pustyni.

„Wasze zadanie dobiegnie końca, z chwilą gdy zdławicie wszelki opór - odezwał się w jego głowie głos Konrada z Montferratu. - Potem droga wolna. Chyba że, rzecz jasna, rabunek zachęci was na tyle, że będziecie chcieli wesprzeć Haraldowych zbójów w taszczeniu łupów do Tyru”.

- Nigdy - szepnął Gaston.

Zerknął na Italczyka. Na przybrudzonej twarzy przyjaciela zastygł wyraz wścieklej zawziętości, jakby nagle porzucił swą niechęć do markiza z Montferratu i postanowił wziąć udział w jego intrydze, mieczem wyrabując sobie wynagrodzenie. Przestraszony tym widokiem de Baideaux powściągnął nieco wodze, Harald i Vittorio natychmiast go wyprzedzili, a za nim reszta najemników.

Patrzył, jak gnają na swych rozhukanych wierzchowcach w kierunku rozciągniętego, sparaliżowanego szeregu wozów, ignorując świszczące nad ich głowami nieliczne bełty. Drobnymi mrówkami w gryzające się w cielsko tłustego czerwia, ale jak mrówki zabójczy, wpadali w bijącą pod niebo kurzawę. I wszędzie tam, gdzie warkocz pyłu spod końskich kopyt zmieszał się z rzadziejnymi już tumanami kurzu spod kół, buchnęły wrzaski bólu i przerażenia.

Wrzaski kobiet i dzieci.

Tumany na moment rozeszły się przegnane śmielszym podmuchem wiatru, a wtedy Gaston dojrzał któregoś z jeźdźców Haralda, jak zamaszystym cięciem z biodra rozrabuje twarz woźnicy, znika pod rozciętą płachtą i wyłania się z drugiej strony wozu. Spuszcza miecz, przecinając sznury krepujące powiązanych ze sobą niewolników, a potem zsuwa się z siodła, łapie za włosy uciekającą kobietę i gwałtownym szarpnięciem posyła ją na ziemię. Resztę zasłonił litościwy kurz.

„Z Rogerem wystarczyło zamienić parę zdań, by dostrzec w nim rycerza bez skazy, człowieka prawdziwie wiernego swym zasadom - odezwał się w jego głowie baron Balian z Ibelinu. - Tak, jego niezłomność niegdyś uchroniła mnie przed strasznym czynem”.

„Brat wasz od pohańbienia Sarę ocalił - syczał stary Żyd. - Dwóch konfratrów swych ubił, którzy na cześć jej nastawali”.

„Niewielu braci cechowała tak wielka nienawiść wobec wrogów Krzyża i tak ogromne posłuszeństwo wobec zakonu” - dodał uwięziony Christian de Fitlegard.

Rozdział piąty

„Kim był Roger? - kaszłał umierający Robert de Sabie. - Miejmy nadzieję, że on jeszcze żyje. Wierz mi, Gastonie, wszyscy go potrzebujemy”.

- Boże! - jęknął młodzieniec. - Boże, bądź mi litościwi
I wbił pięty w końskie boki.

W trzy uderzenia serca później ogarnęło go pandemonium.

Pośród kłębow pyłu szaleli Konradowi najemnicy, zbryzgani krwią, oszalani od zapachu krwi i śmierci. Niczym demony uwolnione z piekieł ściągali wrzeszczących Arabów, wywlekali ich spomiędzy kół, tłukli obuchami, okaleczali, zostawiali półżywych, wyjących z bólu i doskakiwali do następnych. Nikt nie stawiał im oporu, nikt nie próbował poskromić ich szału, a oni, upojeni bezkarnością i własną siłą, zdobywali się na kolejne szaleństwa. Któryś z nich dusił kolanami wierzgającego Saracena i nożem wycinał mu genitalia, inny w pyle gwałcił jakąś kobietę. Zbroczony krwią Harald ujął wyrwijącą się brankę za łokieć, uderzył jej czołem o burtę wozu, aż zalała się krwią, a potem sam zaczął rozsu-ptywać spodnie.

Nigdzie nie było widać Vittoria.

Osobliwie pokrzepiony tą myślą Gaston zeskoczył z konia. Harald zarechotał na jego widok i coś zawołał, lecz słowa utonęły we wrzasku kastrowanego Araba. Młody Pikardyjczyk uśmiechnął się szeroko, a potem ujął tarczę z herbem de Ventreux i z całej siły rąbnął Warena w potylicę. Chwilę później już był przy oprawcy, który podnosił się z ziemi z okrwawionym nożem. Wściekły kopniak w gardło kompletnie go zaskoczył. Siadł na ziemi, bluzg-nął krwią, ale de Baideaux już opuszczał miecz. Brzęk-nął pękający hełm.

- Gaston! - wrzasnął jakiś głos. Kobięcy.

Młodzieniec obrócił się jak fryga. Oś sąsiedniego wozu skrzyknęła, gdy zeskoczył z niej ogromny wojownik w lamelkowym pancerzu, o rudej brodzie pozlepianej krwią i plwocinami. Jedną ręką zawiązywał spodnie, drugą już unosił ogromny topór. Za jego plecami zamajaczyła wstająca z trudem kobieta.

Nie zdążył jej się przyjrzeć, umknął w bok przed opadającym ciosem. Zbyt silnym, jak się okazało, bo ogromny woj stracił równowagę, potknął się, a Gaston pchnął wściekle, wbijając czubek miecza pod jedną z łusek pancerza. Warem ryknął, drobinki gorącej śliny skropiły twarz Pikardyjczyka.

- Gaston!

Znał skądś ten głos, nie wiedział tylko skąd.

Kolejny unik przyszedł mu z większym trudem, zupełnie jakby rudobrody wojownik pod wpływem bólu odzyskał przytomność umysłu. Młodzieniec pchnął mieczem, jednak niecelnie i znów musiał wykonać unik -tym razem ostrze topora przeszło tuż nad jego hełmem.

- Gaston!

Poznał.

- To ty?

Olbrzym znów rąbnął, tarcza rodu de Ventreux poszła w drzazgi, lewe ramię młodzieńca przeszył potworny ból. Półprzytomny de Baideaux cofnął się, zatoczył, mgliście dojrzał koniec kija Bernarda, który uderzył w skroń olbrzyma, a potem krew, która nagle buchnęła z wykrzywionych ust. Przewrócił się, a wtedy oszołomiony rycerz dostrzegł prosty arabski sztylet, który wykwitł z jego pleców. A potem brudną, skołtunioną kobietę, która szarpnęła go za rękę.

- To ty! - wybełkotał.

- Tak, to ja! - warknęła, ciągnąc go w kierunku najbliższego konia. - Uciekajmy, zanim się zorientuje reszta! Szybko, głupcze!

- To byłaś ty... Ty kazałaś mi mówić te dziwne słowa... Jak cię zwać?

- Anna - szepnęła. - Anna Gisolvi.

- Nie zdradzę Alamutu - szepnął Rashid ad-Din Sinan, zwany Starcem z Gór, i upił łyk wina. Odkąd z Persji dotarły wieści o rewolucji w łonie sekty i zniesieniu szariatu, wielce upodobał sobie ten zakazany dotychczas trunk i nie zdarzyło się, by nie wypił przynajmniej dwóch, trzech kielichów dziennie. Szczególnie smakowało mu wino gruzińskie, choć chętnie sięgał również po cypryjskie, trypolitańskie i o wiele rzadsze turyńskie czy sycylijskie. Lubił owo dziwne odrętwienie, jakie ogarniało go po kilku pierwszych łykach, odrętwienie sprzyjające rozmyślaniu i formułowaniu myśli, nierzadko bardzo buntowniczych.

„Przynajmniej na tyle przydał się ten przewrót -uśmiechnął się w duchu - bo wszystko inne stanęło na głowie”.

- Tak długo, póki za wolą Boga oddycham, chodzę i walczę, nie zdradzę Alamutu - powiedział na głos.

Podobne słowa wyrzekł kilka dni temu w swej rozmowie z Ismailem, ale teraz zabrzmiały dziwnie blado i nieprzekonująco.

Podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz. U stóp wieży, w której miał swą komnatę, rozciągał się dziedziniec fortecy Masjaf, stolicy sekty. Widział podgrodzie za murami, w oddali ciemniały okoliczne wsie. Nawet tu słyszał gwar, którym tętniły skąpane w słońcu uliczki, pokrzykiwania targujących się, żarty i przekleństwa, śmiech towarzyszący zabawie dzieci, rżenie osłów i gđakanie kur. Jego wyostrzone zmysły rejestrowały jednakże brak czegoś istotnego, czegoś niewidzialnego, ale mimo wszystko odczuwalnego, integralnego.

- Nie zdradzę Alamutu - słowa powtórzone po raz trzeci zabrzmiały najslabiej.

Sinan czknął i nalał sobie jeszcze jeden puchar. Wiedział, czego mu brakowało.

We wrzawie unoszącej się znad uliczek Masjafu zabrakło tego, co do tej pory spajało niewielką społeczność nizarytów. Zabrakło świętości.

Hasan ibn Muhammad, przywódca perskiego Alamutu, a zatem wszystkich nizarytów na całym Wschodzie, znosząc szariat, pozbawił społeczność wszelkich zasad, które spajały ją do tej pory.

Surowe, najeżone zakazami prawo było naturalnym środowiskiem tych ludzi, w nim się wychowywali i z niego czerpali odpowiedzi na wszelkie swe wątpliwości. Wolność, którą przyniosła szalona decyzja Hasana, okazała się wolnością zgubną.

Rashid ad-Din Sinan nie miał wątpliwości, że pozbawiona spajającego ją prawa sekta rozpadnie się i zostanie zapomniana jak setki innych.

- Nie mogę do tego dopuścić! - krzyknął nagle. Ciśnięty z całej siły puchar odbił się z brzękiem od kamiennej ściany i potoczył po posadzce komnaty. Milcząca dziewczynka, o której obecności niemal zapomniał, aż podskoczyła.

- Ach, wybac mi, dziecko! - Oblicze Starca z Gór rozpogodziło się w jednej chwili, a jego głos złagodniał. - Wybac mi, nie chciałem cię przestraszyć. Nie ciebie, przewodniczko droga, mój ty...

Chciał powiedzieć: „Ukryty Imamie”, ale się powstrzymał. Wedle słów Hasana ibn Muhammada Ukryty Imam przemawiał jego ustami. Hasan ibn Muham-mad zaś był nieomylny. Nawet w chwilach wzburzenia Sinan nie potrafił bluźnić.

Dziewczynka uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń, jakby chciała dotknąć pomarszczonej, żylastej ręki starca, ale ten pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Nie teraz, gdy jestem pijany.

Ta cicha istota, którą przyprowadził ów chłystek

Ismael, była jedynym, co podtrzymywało jego wiarę w przyszłość sekty. Nigdy nie odezwała się do niego choćby słowem, ale nigdy też nie odmawiała, gdy ją prosił, by stanęła przy nim, zakryła mu oczy i ukazała coś z przeszłości. Wielokrotnie z utęsknieniem i fascynacją przyglądał się scenom z życia ludzi, którzy zbudowali sektę. Szczególnie upodobał sobie życie założyciela,

Hasana ibn Sabbaha, z fascynacją śledził okres jego nauki w Egipcie oraz późniejsze życie w Alamucie, podziwiał energię, z jaką pozyskiwał nowych wyznawców, i z zapartym tchem słuchał jego nauk. I zdarzało się, że po pobrużdżonym policzku spływała łza.

Były to dla niego rzeczy święte. Pomimo zniesienia szariatu do głowy by mu nie przyszło przyglądać się tym chwilom po wypiciu wina.

- Moja droga... - powtórzył.

Nie rozstawał się z nią ani na chwilę. Roztaczane przez nią wizje podtrzymywały teraz jego wiarę, udowadniały mu jej sens, skłaniały go do dalszej walki o dobro swych ludzi. Nie wiedział, kim ta dziewczyna jest ani skąd się wzięła, lecz wierzył, że jest darem Allacha.

A dary otrzymywało się w określonym celu.

- Nie zdradzę Alamutu - oznajmił po raz czwarty -ale przede wszystkim nie wolno mi zdradzić mych własnych poddanych.

Uderzył pięścią w stół. Nadal wpatrywał się w dziewczynkę, lecz jego oczy zasłzy mgłą, jakby nagle dojrzał pierwszy skrawek ogromnej wizji.

- Roześlę swych najlepszych fidai, wiernych sprawie - szeptał. - Wyślę całą armię. Wszędzie, do sułtana Rumu, do Salah ad-Dina, Seldżuków, wodzów frankij-skich, gdzie tylko będę mógł. Niech wtopią się w otoczenie, niech czuwają, niech węszą. Niech kierują poczynaniami władców tego świata, by utrzymać ich żądze z dala od nizarytów! Niech szepczą im do ucha rady, niech podrzucają im listy ode mnie, niech chwytają za sztylety w godzinie potrzeby! A ty... - Jego wzrok odzyskał ostrość. - A ty będziesz mi opowiadać, co się wydarzyło na świecie, by moje posunięcia były jak najtrafniejsze.

Rozdział szósty

w którym wieje zimny wiatr, ścierają się ambicje i namiętności, a Gaston rozstaje się z kolejnym przyjacielem

Rumaki, które odpoczęły w trakcie kilku godzin oczekiwania w zasadzce, teraz pędziły niczym wiatr, jakby i one chciały znaleźć się jak najdalej od scen rzezi i mordy. Gaston jednakże odwracał się co rusz za siebie -im byli dalej, tym częściej. Choć zakrawało to na istny cud, jego walka z trzema najemnikami nie przyciągnęła uwagi pozostałych zbirów i Waregowie nie ruszyli w pościg. W końcu de Baideaux popędził w stronę niewielkiej grupy ostrych skał wyrastających z jałowego podłoża niczym palce prehistorycznego olbrzyma.

- Zsiądź, pani! - polecił, gdy tylko znaleźli się w cieniu najbliższej z nich. Jego głos aż drżał z tłumionych emocji. - Szybciej! - huknął na zdumioną kobietę, a potem odwrócił głowę ku Bernardowi. - Pilnuj jej! Ja wracam po tego idiotę!

Olbrzymi pacholek zabalgotał, próbował pochwycić Gastona za ramię, ale rycerz smagnał go wściekłym spojrzeniem.

- Pilnuj jej! - ryknął. - Zaraz wracam!

- Gastonie, to szaleństwo! - krzyknęła za nim Anna. -Nie wyjdiesz z tego żywy!

Nie słuchał, pędził już w kierunku napadniętej karawany, prosząc Boga, by szczęśliwy traf pozwolił mu jak najszybciej natknąć się na Yttoria. Wiedział, że ludzie Haralda - o ile ten zdołał już odzyskać przytomność -z pewnością kończą właśnie rzeź i przenoszą zrabowany dobytek na luzaki. Podniesiony przez walkę pył też zdążył już opaść. Nie było szans, by go nie spostrzegli, a zatem nie próbowali powstrzymać. A jeśli Harald doszedł do siebie...

Potrząsnął głową, zacisnął zęby i pochylił się nad grzbietem końskim.

„Ciekawe, jak ty byś mnie nazwał - powiedział w myślach do nieobecnego Diabła - bo jak cię znam, nie szczędziłbyś mi oszczerstw. Uratowałem damę z opresji, teraz gnam z odsieczą

przyjacielowi... A przecież tak niewiele brakowało, bym się stał porządnym rozbójnikiem. No? Na jakie miano zasługuję?"

Ale Diabeł milczał. Końskie kopyta waliły w wyschniętą ziemię, rdzawą od ciepłych promieni zachodzącego jesienno słońca. Gaston mrużył zażawione oczy i wypatrywał znajomej sylwetki wśród tych, które uwijały się między wozami.

I wtedy go dostrzegł.

Walka jeszcze nie ustała. Kilku najemników szturmowało jeden z wozów, na którym broniło się paru Sa-racenów przesłoniętych zerwaną częściowo płachtą. Na czele kolumny, tam gdzie napadnięci stawili najzacień-szy opór, najemnicy z chrapliwym pohukiwaniem ścigali ostatnich ocalałych obrońców. Woły ryczały, konie rżały, trzaskały płomień pożerające jeden z wozów. Vittorio podnosił się z ziemi tuż obok i rozcierał krew na twarzy.

Młody rycerz uderzył konia piętami i popędził w jego stronę.

- Vittorio! - wrzeszczał, lecz jego głos utonął w huku płomieni. - Vittorio!

Wrył rumaka tuż przed nim, zaskoczony Italczyk zatoczył się, nieomal upadł. Jego czoło przecinało płytkie cięcie, z którego sączyła się krew, był też oszołomiony, ale poza tym wyglądał na zdrowego i całego.

- Gdzie twój koń?! - wykrzyknął Gaston. Jego własny wierzchowiec drobił w miejscu przerażony bliskością coraz gwałtowniejszych płomieni.

- Mój koń? - Vittorio zamrugał oczami i roztarł krew dłonią w rękawicy. - Ale mnie zajechał, na litość boską... Mam chyba połamane żebra.

- Na koń! - zaklinał go Gaston. - Wsiadaj i uciekajmy!

- Czemu?

- Bo to nie nasze miejsce, do cholery jasnej! - zawył młodzieniec i z trudem opanował wierzchowca, który zarżał i targnął wściekle łbem. - Zostaliśmy w to wszystko wrobieni, pamiętasz? Poza tym przed momentem posłałem dwóch z tych drani do piachu, a tarczę rozwalilem o Haraldowy łeb!

- Ty szaleńcze! - Italczyk otworzył szeroko oczy. Kropla krwi skapnęła mu z brwi i przecięła brudny policzek. - Czyś ty do reszty rozum postradał?

- On chciał zgwałcić kobietę!

- No i co z tego? - Vittorio potrząsnął głową. - No co, kurwa, z tego?! A ty co? Może jeszcze ją uratowałeś i wywiozłeś w bezpieczne miejsce?

Gaston zagryzł wargę. W tej samej chwili podniosły się krzyki:

- Harald! Harald oberwał! Dawać wodę!

- Oberwał tarczą w łeb - wycedził de Baideaux. -Lada chwila się ocknie i będzie chciał mi wypruć flaki. Jak myślisz, komu je wypruje, jeśli mnie nie zastanie? Łap swego konia, ja pochwycę jakiegoś luzaka i nic tu po nas, Vittorio. Nic!

Zmrok zapadał błyskawicznie. Coraz dłuższe cienie gwałtownie pociemniały, a potem zwały się z mrokiem, który spłynął na świat, ledwie zachodzące słońce skryły odległe góry.

Vittorio i młody de Baideaux pędzili bez słowa, co rusz oglądając się za siebie. Pośród zapadających ciemności długo widzieli blask gorejącego wozu, na którego tle raz na jakiś czas przemykała sylwetka objuczonego workiem najemnika. Nikt ich nie ścigał i nie zamierzał ścigać. Uświadomiwszy to sobie, zwolnili i po raz pierwszy spojrzeli po sobie. A ściślej mówiąc, zrobił to Italczyk.

- Gaston - powiedział z wysiłkiem - nie chcę kolejnej awantury. Nie chcę znowu na ciebie wrzeszczeć i tłumaczyć ci zasad, które rządzą tym światem...

- To nie wrzeszcz - usłyszał - i nie tłumacz. Miałem znacznie lepszego nauczyciela od ciebie, Vittorio. On mi wszystko precyzyjnie wyłożył. Dzięki niemu wiem, że nie ma czerni i

bieli i że trzeba być lepszym, szybszym, silniejszym i tak dalej, bo inaczej inni cię zdeptają. Zwłaszcza tu, o zgrozo, w Ziemi Świętej. Ja po prostu nie mogłem znieść widoku gwałconej kobiety. Musiałem coś zrobić.

- Musiałeś - skrzywił się Italczyk i wierzchem dłoni otarł krew uparcie ściekającą po jego skroni. - Rozumiem. A obejrzałeś już swą klingę? Nie porosła aby anielskimi kwiatami?

- Po co te drwiny?

- Bo się opanować nie mogę. A co z pozostałymi kobietami, mój Ywainie? W karawanie jechało ich dobre parę tuzinów. Rozwaliłeś łeb Haraldowi, tak więc najemnicy Konrada z żalu i rozpaczony zapewne przetrzęśli je już wszystkie.

- Nie jestem Ywainem - zacisnął zęby Gaston. - I, na litość boską, skoro podarowałeś sobie wrzask i tłumaczenie, to oszczędź mi również porównań do bohatera rycerskich pieśni. Twój problem, Vittorio, polega na tym, że mylisz chęć pomocy z nikomu niepotrzebnym bohaterstwem. Ty nie potrafisz pomagać, nie umiesz się litować, nie widzisz nieszczęścia dookoła siebie. Gdybym nie wrócił...

- To co? - W zapadających ciemnościach zalana krzepnącą krwią twarz Italczyka przypominała trupa maskę. - Może sam bym sobie co zgwałcił? To chciałeś powiedzieć?

- Nie, ja...

- To właśnie chciałeś powiedzieć. Otóż źle mnie oceniasz... drogi Galahadzie, skoro ci Ywain nie wystarcza. Nie zgwałciłbym kobiety, nawet gdyby od tego zależało moje życie - Vittorio zawiesił nagle głos i odwrócił głowę. - Co do umiejętności dostrzegania nieszczęścia natomiast - podjął zjadliwym tonem - to też się mylisz. Widzę nieszczęście, jak najbardziej. Zwłaszcza własne.

Gaston prychnął ze wzgardą.

- Otóż to.

- Wysłuchaj mnie do końca - warknął Italczyk. - Chciałeś ratować białkę z opresji? A ratuj siebie, proszę cię, tylko pozwól przy tym swemu trzeźwiej myślącemu druhowi napchać kabzę! Co ci przyjdzie z tego, że wyniosłeś jakąś dziewoję z opresji? Masz dla niej konia? Ubranie? Coś do jedzenia? A może choć garść dinarów na dalszą podróż? O ile dobrze pamiętam, chcesz odnaleźć swego brata, prawda?

- Vittorio, nie zdarza ci się, że najpierw działasz, a potem myślisz? - jęknął de Baideaux. - Widzę tego draba na wrywającej się kobiecie i co? Mam sobie prze-kalkulować, czy opłaci się przyjść jej z ratunkiem?

- A nie zawadzi! - rzucił Italczyk. - Bo w ten oto sposób z wielkiego napadu na saraceńską karawanę, który mógłby nas uczynić bogaczami, ja wyniosłem jedynie bliźnię na czole. I chyba połamane zębra. Chłopie, ty mi pecha przynosisz! Mnie i wszelkim inwestycjom, o których ośmielę się pomyśleć! Dla siebie natomiast zgarniasz branke, która ani chybi uzna cię za bohatera i z ochotą poda ci usta jeszcze tej nocy. Nie przypomina ci to Vi-vienne de Grenier?

- Tak, przypomina. Znów mi czegoś niesłusznie zazdrościsz.

- To nie zazdrość, a żal! - wrzasnął Vittorio. - Żal! Nie miałem najmniejszej ochoty wypełniać woli tego cholernego de Montferrata, ale dzięki niemu przynajmniej moglibyśmy się obłowić. Przyprawy! Kaszmir! Muślin! Złote naczynia! Ty widziałeś w ogóle, co znajdowało się na tych wozach?

- Nie - uciał Gaston. - Ja widziałem tylko tę dziewczynę. I Haralda.

- A może ty trubadurem zostać, co? Składaj te swoje przemyślenia w rymy i wyśpiewuj na dworach, a zdobędziesz serca niewieście bez konieczności zbierania w łeb.

- Wszystko jest lepsze od bycia italskim liczykrupą, który nigdy nie słyszał, czym jest porów serca!

Zapadła cisza przerywana jedynie świstem nocnego wichru.

- Mylisz się - powiedział głucho Vittorio. - Ja doskonale wiem, co to poryw serca, Gaston. Z tym że trudno jest mi to odróżnić od aktu zwykłej głupoty.

Młodzieniec otworzył usta, ale nic nie rzekł, tylko pokręcił ze zrezygnowaniem głową. Dotknął piętami boku znużonego konia i naraz zalała go tęsknota za domem ojczystym. Jak zwykle w takich chwilach nie pamiętał o swym oschłym, brutalnym ojcu czy gnuśnym, nienawistnym bracie. Wspominał mgły snujące się wśród omszałych jesionów, wilgotne polany, na których ćwiczył wraz z Bernardem walkę kijem, samotny, ubogi witrażyk nad ołtarzem w wioskowej kapliczce, poplamiony woskiem pulpit, przy którym zgłębiał tajemnice Pisma Świętego i słuchał opowieści Adalberta. Wspominał wszystko to, co kojarzyło się z beztrąską i swobodą.

„Nienawidziłem swego życia - pomyślał niespodziewanie. - Nienawidziłem go do tego stopnia, że uciekłem porwany bajaniem o Outremer. A co zyskałem w zamian? Opowiastkę o zaginionym bracie, przez którą popadam w coraz to nowe tarapaty. Ciągłe wygnanie. Przyjaciół, którzy mnie opuszczają. I pustkę w sercu”.

Nie zwracał uwagi na Vittoria, który jechał kilka kroków za nim i ze złością mamrotał coś do siebie. Nie słuchał cichej pieśni wiatru ani tajemniczycy odgłosów nocy, nie rozglądał się, aż rozsypane po niebie miriady gwiazd zostały nagle przesłonięte czernią skały, a na jego drodze wyrosła ogromna postać kudłatego Bernarda.

Uśmiechnął się smutno, patrząc, jak giermek chwytą za uzdę i jednocześnie uważnie przygląda się swemu panu, jakby próbował odkryć, czy nie spotkało go jakieś nieszczęście. W końcu sapnął z zadowoleniem i odwrócił się w kierunku szerokiej na kilka kroków rozpadliny. Na jej przeciwległej ścianie pełgał blask ognia.

- Wiele razem przeszliśmy, Bernardzie, i ubliżać ci nie chcę - mruknął Vittorio swym dawnym głosem - ale gdybyś tak zechciał choć parę dni w tygodniu straszyć nie nas, dobrych chrześcijan, a te psy Salah ad-Dina, oddałbyś wielką przysługę wszystkim, co w Boga wierzą.

Sługa wyszczerzył dziko zęby, jakby chciał w ten sposób potwierdzić zdolności, których doszukiwał się w nim Genuńczyk, a Gaston przyłapał się na lekkim uśmiechu. Oddałby wszystko za jeszcze kilka takich złośliwości z ust przyjaciela.

Wtedy rumiany blask ognia przesłoniła postać uratowanej kobiety.

W niepojęty sposób Anna Giscolvi zdołała już pozbyć się wyglądu wynędzniałej niewolnicy.

Rozczesała i splotła w warkocz swe czarne włosy, obmyła twarz i dłonie, wygładziła i oczyściła brudne szaty, odzyskała nawet nieco ze swej szlacheckiej wyniosłości. Gdyby zobaczył ją w tym stanie po raz pierwszy, zapewne pomyślałby, że ma przed sobą damę, która zbłądziła podczas polowania, a nie kobietę, która przynajmniej kilka tygodni spędziła w mużulmańskiej niewoli.

- To nie było szaleństwo - powiedziała ostrym tonem. - Tego nawet głupotą nazwać się nie da. Po prostu...

I nagle zamilkła, a jej oczy otwarły się szeroko. Policzki powlekła błądźcą.

- Co znowu? - szepnął Gaston i złapał za miecz, odwracając się gwałtownie.

Vittorio, równie błądźca co Anna, stał jak wryty i mrugał oczyma. Gaston nigdy dotąd nie widział go takim zdumionym.

Czas jakby zwolnił, zamarzał. Ogień cicho trzaskał w rozpadlinie, wiatr poświstywał w załomach skał i poruszał szatami ludzi, konie parskały cichutko, a Anna i Vittorio patrzyli na siebie bez słowa. W końcu odbita branka spróbowała się uśmiechnąć, co natychmiast przełamało czar. Vittorio skrzywił się i wyrzucił z siebie kilka zdań w śpiewnej italskiej mowie.

Na pobludłe policzki dziewczyny wystąpił ciemny rumieniec. Chciała zaprotestować, ale Vittorio nie pozwolił jej na to. Mówił cicho, chrapliwym głosem, jakby coś go dławilo, co rusz kręcił głową i uśmiechał się z goryczą. Zdumiony Gaston zaś spoglądał to na jedno, to na drugie. Nigdy

nie wyuczył się wielu słów po italsku, lecz z samej mimiki twarzy i intonacji Vittoria zrozumiał, że swego czasu on i Anna nie byli sobie obcy. Genuieńczyk dorzucił jeszcze kilka słów, tym razem bardziej zjadliwym tonem, po czym odetchnął ciężko i odwrócił się. Tym razem spojrzał prosto w oczy de Baideaux.

- Chodźmy - powiedział cicho, lecz tonem niezno-szącym sprzeciwu. - Chodź ze mną, mój ty pechowy przyjacielu.

Gaston zerknął przez ramię, dojrzał jeszcze wielką łzę przepojoną księżycowym światłem, która spływała po policzku Anny.

- O co chodzi? - wykrztusił, idąc w ślad za Vittoriem, który podszedł do swego konia i położył mu dłoń w rękawicy na chrapach. Zwierzę prychnęło cicho, jakby ze zrozumieniem.

- Nic takiego - uśmiechnął się ze smutkiem Italczyk. - Znając ciebie, na pewno nie pozwolisz na wygnanie dziewczyny precz w pustkowie, tak więc to ja muszę was opuścić.

- Chłopie, co ty wygadujesz?!

- Prawdę. - Vittorio zarzucił wodze na szyję rumaka i sprawdził popręg. - Znam tę dziewczynę o wiele lepiej, niżbym sobie tego życzył. I z tego właśnie powodu nie spędzę w jej towarzystwie ani chwili dłużej. Na litość boską - zaśmiał się ponuro - ze wszystkich niewiast na świecie, mój ty błędny rycerzu, musiałeś uwolnić akurat tę, która swego czasu o mało nie przyprawiła mnie o szaleństwo?!

- Zaczekaj! - zawołał błagalnie de Baideaux, przytrzymując konia za uzdę. - Nie wyjaśnisz mi tego?

- Nie. - Italczyk wsunął stopę w strzemień. - Jak znam życie, ona to zrobi. Sugerowałbym co prawda pewien dystans podczas wyciągania wniosków, ale przecież masz swój rozum, dasz sobie radę.

- Ale dokąd się wybierasz? Vittorio, ja nie mogę pozwolić...

- Do Konrada jadę, zgodnie z twoimi sugestiami. - Genuieńczyk już poprawiał się w siodle. - Może uda mi się dogonić Haraldowych, może dadzą się nabrać na bajkę, którą ułożę po drodze, nie wiem. W każdym razie nie mam zamiaru ruszać w dalszą drogę w towarzystwie tej zdziry. Nawet dla ciebie, Gaston.

Ujął wodze i zacisnął wargi, jakby się nad czymś jeszcze zastanawiał, a potem spojrzał na przyjaciela. W jego oczach widać było jątrzący się żal.

- Przed jednym tylko muszę cię ostrzec - szepnął wychylony z siodła. - Nigdy, przenigdy jej nie ufaj. Za nic w świecie, choćby chciała cię utopić we własnych łzach.

No, to bywaj.

Stał jeszcze długo i patrzył w ciemność, która pochłonęła jego przyjaciela. Nie łudził się, że wróci - Vittorio miewał zmienne usposobienie, ale z jego słów i postawy było widać, że tym razem nie żartuje. Musiał też jakoś ułożyć sobie to wszystko, zanim obróci wzrok w stronę kobiety, która doprowadziła do kolejnego zamieszania. W głowie czuł natłok myśli, w sercu zaś pustkę.

Po chwili poczuł, jak na jego ramieniu zaciska się dłoń Bernarda. Zerknął kątem oka - kudłata broda niemalże zakrywała jego usta, ale Gaston wiedział, że ogromny sługa uśmiecha się ze współczuciem. Wskazał mu dłonią rozpadlinę, w której płonęło ognisko i rozłożone były posłania. Młodzieniec westchnął.

- Już tylko ty mi zostałeś, wiesz? - powiedział cicho. - Adalbert opuścił nas wraz z tym dzieckiem niemową. Anzelm nie miał ochoty na kolejną krwawą awanturę. Vittorio zaś... Obrzucił przelotnym spojrzeniem twarz Anny za-puchniętą od płaczu i znów westchnął.

- I co ja teraz pocznę? - zapytał.

Ostatnia doba upłynęła w szaleńczym tempie i ani razu nie znalazł chwili, by pomyśleć nad kolejnymi posunięciami. Co więcej, choć dowiedział się sporo na temat Rogera, nadal nie miał bladego pojęcia, gdzie go szukać. Jedynym tropem był Damaszek, gdzie mieszkała rodzina owej Sary, ukochanej jego brata, ale nie mógł liczyć na to, że jemu, Frankowi, uda się w ogóle dotrzeć w pobliże tego miasta, nie mówiąc już o wejściu za bramę. Dotąd sądził, że wspólnie z Vittoriem coś uradzą, ale teraz, gdy jego nie stało, Gaston poczuł się opuszczony i samotny.

- Do Tyru nie wrócę, bo ten przeklęty de Royes rozwali mi łeb - szepnął, patrząc w gwiazdy. - W jego zastępstwie Harald lub któryś ze szpitalników. Pod Akką zaś roi się od templariuszy... Roger zaginał na dobre. Co tu począć? Dokąd się udać?

Ogromna, ale zaskakująco miękka dłoń Bernarda zsunęła się na jego łopatki i lekko pchnęła w stronę ogniska. Młodzieniec poddał się, usiadł na rozłożonej na ziemi derce, skrzyżował ręce na piersi i zapatrzył się w płomienie.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział, pozwalając bez słowa skargi, by czarne myśli dręczyły go jak na mękach. W pewnym momencie zauważył kątem oka wysoką postać ocalonej przez siebie branki, o której przez cały czas usiłował zapomnieć.

- Gastonie - powiedziała cicho - wiem, że obwiniasz mnie o to wszystko, i... I moje serce aż się ściska z rozpaczy. Nie chcę, byś żałował, że ocaliłeś mnie przed pohańbieniem.

- Nie żałuję - rzekł, nawet się nie odwróciwszy.

- Chcę ci się odwdziżyć.

- Nie jesteś, pani, w stanie.

- Nie bądź tego taki pewien. Pamiętasz słowo beth7.

Przysięgli, że ledwie je wypowiedziała, płomienie ogniska nieco przygasły, a oczy Anny pociemniały, jakby naraz zalała je czarna krew. Ciało de Baideaux przeszło dreszcz.

- Pamiętam - wyszeptał z lękiem. - Wbiłaś się do mojej głowy i kazałaś mi je wymówić w Dar il-Hasan, gdy pojмали'nas Turcy. Jak to się stało, pani? Jak tego dokonałaś? Jesteś czarownicą?

Jego dłoń objęła rękę sztyletu. Bernard dostrzegł to, dźwignął się, porwał za kij. W jego oczach, niemalże niewidocznych pod krzaczastymi brwiami, zamigotały niebezpieczne błyski.

- Nie. - Kobieta przełknęła ślinę. - Nie jestem czarownicą, Gastonie. Nie obawiajcie się.

Ja... Ja jedynie poznałam sposób na to, by rozporządzać mocą dżinów, ale...

Naraz zamilkła, a przez jej twarz przemknął bolesny skurcz.

- ...ale nie czynię tego często - dokończyła z wysiłkiem. - Zbyt wiele mnie to kosztuje. Dla tego, który ocalił mnie przed pohańbieniem, zrobię jednak wyjątek.

- Skąd pomysł, że mógłbym chcieć korzystać z... z czarów! - wypluł to słowo z niechęcią. - Jestem dobrym chrześcijaninem i nie chcę zasłużyć na wieczne potępienie!

- Wiedz, Gastonie, że te, jak tyje nazwałeś, czary nie mają nic wspólnego z szatanem i jego piekielną zgrają. - Anna uśmiechnęła się niewyraźnie i usiadła, ujmując swą postrzępioną suknię z wytwornością zgoła niepasującą do sytuacji. - Ze Stwórcą również. Nie popełniłbyś zatem grzechu, gdybyś zrobił z nich użytek. Chyba że skierowałbyś ich moc przeciwko swym bliźnim, czego zrobić nie masz zamiaru.

- Skąd wiesz, co mam zamiar zrobić? - skrzywił się młodzieniec.

- Nie wiem, ale jestem pewna, że pokutnicy nie noszą w sercu złych zamiarów. Zwłaszcza jeśli przybywają do Ziemi Świętej, by pozbyć się diabła.

Gdyby skałę, przy której siedzieli całą trójką, nagle rozłupało uderzenie pioruna, zdumienie Gastona na pewno nie byłoby większe. Patrzył szeroko otwartymi oczyma na Italkę, która

odpowiadała mu spokojnym spojrzeniem i uśmiechała się lekko, lecz bez wyższości czy cynizmu. Łzy obeschły już na jej przybrudzonych policzkach.

- Skąd... Skąd wiesz o diable? - wykrztusił w końcu.

- Krzyczałeś podczas przejazdu przez Schody Tyryj-skie, pamiętasz? - Anna nie spuszczała z niego wzroku. - Przy mnie, przy Vivienne, przy tym zabawnym księżulku, szpitalnikach, przy wszystkich... Najpierw przez długi czas milczałeś, tylko twoje usta się poruszały, jakby wypowiadając tylko sobie znane słowa, a potem zacząłeś krzyczeć: „Zostaw mnie! Zostaw!”. Myślisz, że mogłam się oprzeć? Jeszcze tej nocy zmusiłam dziny do uległości i kazałam im rozgryźć twą tajemnicę.

- Tak po prostu?! - prychnął de Baideaux. - Wysłałaś, pani, dzina na przeszeptegi, ten mnie obniuchał i wrócił z meldunkiem?

- Nie tak po prostu. Ale w gruncie rzeczy masz rację. Jeśli masz wystarczająco silną wolę, zmusisz dzina do wszystkiego. Nakłonisz go, by wybił w górze tunel, przeniósł cię nad rzeką czy wszczął huragan, a on to robi bez szemrania. Wniknięcie w umysł śmiertelnika i wyciągnięcie jego tajemnicy nawet dla najsłabszych z nich nie stanowi żadnej trudności. Powiadam ci, że dzina można zmusić do wszystkiego... Czego poszukujesz, Gastonie?

Oczy Anny Giscolvi, jeszcze przed chwilą zapuchnię-te i zapłakane, teraz przeszywały postać młodzieńca. Jej przybrudzona dłoń zaciśnięta na kolanie drżała lekko.

- Na pewno czegoś poszukujesz - powiedziała ciszej. - Nie musisz mówić, możesz się zastanowić. Być może przyjdzie nam spędzić razem więcej czasu.

- Dlaczego?

- Bo jutro skoro świt ruszam w okolice Himsu. Ty zaś, jeśli chcesz odebrać swą nagrodę, możesz mi towarzyszyć. Zresztą - uśmiechnęła się szerzej - byłabym zaszczycona.

Myśli o tajemnicy Rogera opadły go ze wszystkich stron, tłoczyły się do bram umysłu. Jak wrogowie, którzy dokonali wyłomu i teraz szturmują niemal bezbronną twierdzę. A może jak biedacy z okolicznych wiosek szukający ratunku za bezpiecznymi murami? Potrząsnął głową wściekły, nie chcąc zdradzać wszystkich swoich sekretów, nim nie pozna choć jednego należącego do niej.

- Możemy jakiś czas jechać wspólnie - udał niechęć. -Bo i mnie po drodze. Zresztą mam do was wiele pytań, pani. Przede wszystkim dlaczego wtedy, w Dar il-Hasan, kazaliście mi mieć oko na Vittoria?

- Droga do Himsu daleka. - Anna uśmiechnęła się. -Będzie wiele czasu na opowieści.

Dobrze, że postanowiliście ze mną jechać. Dobrej nocy, Gastonie.

- Dobrej nocy, pani.

Rycerz odwrócił się i ułożył na pledzie rozciągniętym przez zapobiegliwego Bernarda.

„Dobrze, że postanowiliście ze mną jechać” - słowa Anny odezwały się w jego głowie, ledwie zamknął oczy, i odpędziły ogarniający go sen. Leżał nieruchomo i rozmyślał, a z każdą chwilą coraz dobitniej sobie uświadamiał, że już nie jest panem sytuacji, jakby to nie on oswobodził branke, lecz ona jego. Nie minęła chwila, a został omotany niczym przez Vivienne.

Narastające rozdrażnienie sprawiło, że długo jeszcze nie zmrużył oka.

Świt przywitał ich zasłoną szarych chmur idących równym szeregiem ze wschodu oraz

wszechobecną wilgocią, okradającą ich derki z resztek ciepła. Zziębnięty Gaston

bez słowa przyjął kubek wody podgrzanej przez Bernarda nad żarem, a potem nie oglądając się na Annę, zaczął siodłać konia. Sługa chciał mu pomóc, ale młodzieniec odpędził go wściekłym warknięciem. W chwilę później siedział już w siodle.

- Rusz się - rzucił ochryple.

Bernard w try miga zwinął obie derki i przytroczył resztę ich skromnego dobytku.

- Hej! - zawołała Anna, rozczochrana, drżąca od porannego zimna. - Nie pozwolisz mi nawet umyć się ani zjeść śniadania?

- Rusz się! - parsknął głośniejszym do olbrzymia, który uniósł na niego urażone spojrzenie, ale posłusznie wskoczył na siodło. W tej samej chwili Gaston zawrócił rumaka i dotknął piętami jego boków. Bernard ruszył w ślad za swym panem.

- Hej! - zawołała dziewczyna. - Opuszczasz mnie? Jak mam to rozumieć, de Baideaux? To jakieś żarty?

Gaston nie rzekł ani słowa. Jechał przed siebie z twarzą pochmurną, ściągniętą. Zaś na obliczu Bernarda malowało się dobrze skrywane rozbawienie.

- De Baideaux, stójże, do cholery! - wrzasnęła Anna. - Co to ma znaczyć?

- Nic takiego - rzucił przez ramię młody rycerz. - Po prostu zdecydowałem, że jednak nie chcę z wami jechać, pani.

- Nie? A czemuż to?

Zawrócił konia i ściągnął wodze. Przekrzywił lekko głowę.

- Uczyniliście mi zbyt wielki zaszczyt, pozwalając towarzyszyć wam aż do Himsu - powiedział. - Jako człek pokornego serca nie jestem w stanie udźwignąć takiego nadmiaru łaski. W końcu nie uczyniłem aż tak wiele, uratowałem was jedynie z niewoli. Zresztą - dodał po chwili - czymże jest moje towarzystwo dla kogoś, kto kieruje wolą dżinów?

- Poczekaj! - zawołała Italka, biegnąc ku niemu. Na moment zapomniała o bosych stopach kaleczonych przez ostre kamienie, jak i rozczochranych włosach przesłaniających jej twarz z każdym podmuchem wiatru. W jej oczach migotał przestach, co chwila przepędzany hardą miną. - Poczekaj!

- Jam niegodny. - Lekko skłonił głowę. - Wybaczcie, pani. Bóg z wami!

Już chciał zawrócić konia, gdy Anna złapała za wodze i niemalże uwiesiła się na nich.

- Gaston, ja... - wydyszała. - Ja przepraszam... Wybacz, sądziłam, że... Nie rób tego! Nie odjeżdżaj! Nie zostawiaj mnie tu samej!

Jej wzrok umknął ku cieniutkiej smużce rozrzedzonego dymu znaczącej miejsce, gdzie napad ludzi Konrada de Montferrat zatrzymał karawanę.

- Ja nie dam sobie rady! - wyjąkała, patrząc prosto na rycerza. - Ja potrzebuję twojej pomocy! Przysięgam, gdy tylko dotrzemy na miejsce, sprawię, że poznasz...

- Kłamiesz - powiedział Gaston nadszpiewanie twardym głosem. Zaskoczona Anna cofnęła się o krok.

- Co? - szepnęła z szeroko otwartymi brązowymi oczyma.

- Gdybyś rzeczywiście miała dżiny na swych usługach, nigdy byś nie pozwoliła, aby cię złapali łowcy niewolników! - warknął młodzieniec. - Przyznaj się, wymyśliłaś to wszystko, by nabrać głupiego krzyżowca z Europy, tak? Potrzebujesz półgłówka, który by cię strzegł podczas kolejnej cholemej intrygi? Niewiele się różnisz od Vivienne de Grenier!

Anna pobladła śmiertelnie. Niespodziewanie ujęła dekolt sukni i szarpnęła z całej siły, obnażając niemalże całą pierś. Zaskoczony do granic Gaston z trudem powstrzymał odruch odwrócenia głowy, a Bernard, siedzący w siodle kilka kroków za nim, mlasnął z zachwytem. Zażenowanie młodzieńca i uniesienie jego sługi znikły jednak błyskawicznie, gdy dziewczyna szarpnęła po raz drugi i odsłoniła ramię naznaczone kilkoma równoległymi cięciami jakby od szponów drapieżnego zwierzęcia.

Szram było dziewięć.

- Kilka dni temu pod bramami Askalonu wezwałam dżina na pomoc - mówiła wzburzona. - Wybrałam najpotężniejszy z poznanych przeze mnie bytów, zupełnie jakbym nie wiedziała, że

im starszy byt, tym trudniej go okiełznać i zmusić do posłuszeństwa. No i nie udało się. Mało brakowało, a rozwłóczyłby mnie na piasku. Chcesz zobaczyć, jak wyglądają moje plecy?

- Skąd mam wiedzieć, że to dżin właśnie? - zapytał młodzieniec.

- A widziałeś kiedyś łapę z dziewięcioma pazurami?

Gaston zagryzł wargi, jakby chciał powstrzymać kolejne pytanie cisnące mu się ha usta, ale w końcu wzruszył jedynie ramionami.

- Dobrze. Skoro rzeczywiście jestem ci potrzebny, pani, nie będę łamać swego słowa. Rycerskiego słowa. Tam jest wasz luzak.

- Co? - Anna wybałuszyła oczy.

- Ruszaj się... - rzucił, zawracając konia - pani.

Jechali pod szczelnym dachem szarych, nastroszonych chmur, pochylając głowy przed falami mżawki, kuląc się przed ostrzejszymi podmuchami wiatru. Wokół jak okiem sięgnąć ciągnęły się jałowe pustkowiec porośnięte lichą trawą i kolczastymi krzakami, z rzadka ożywiały tę monotonię nagie wzgórza. Niepodzielnie władał tu wichher, który hulał bez skrepowania, rozwiewając coraz bledsze wspomnienia słonecznej pogody i zwiastując nadejście nieprzyjemnej syryjskiej jesieni. Gaston naciągnął mocniej płaszcz i zawiązał kaptur pod brodą. W żołądku burczało mu coraz głośniejsze i nie przestawał żałować pozy, którą przybrał z rana.

„Nic by się, cholera, nie stało, gdybym swoją scenkę odegrał po śniadaniu! - myślał z narastającą wściekłością. - Przynajmniej byśmy się najedli. Szlag by to wszystko trafił!”

Kilkakrotnie rzucił okiem za siebie. Bernard jechał wyprostowany i wpatrywał się w drogę przed nimi, a zarośnięte oblicze jak zwykle nie zdradzało żadnych uczuć, w tym również głodu. Anna Giscolvi, która pomimo wiatru zdołała zapleść włosy w warkocz i zakryć głowę chustą, z obojętnością obserwowała horyzont. Na próżno było się w niej dopatrywać wyniosłej intrygantki z wczorajszego wieczoru czy przestraszonego dziewczęcia z rana. Taką ją właśnie zapamiętał z otoczenia Vivienne de Grenier - chłodną, zdystansowaną, lecz patrzącą na świat z przenikliwością sokoła.

„A jeśli ona naprawdę jest czarownicą? - przemknęło mu przez myśl. - Chyba znów wpakowałem się w niezłą kabałę...”

Dalsze wywody przerwała mu kolejna fala burczenia w brzuchu. Stłumił przekleństwo.

Walczył z narastającą wściekłością do południa, kiedy to znaleźli się na szczycie niewysokiego wzniesienia. Rosło tam kilka pokracznie poskręcanych drzew o wyschłych gałęziach, które martwo klekotały o siebie poruszane tchnieniem wiatru. Anna nieoczekiwanie wyprzedziła Gastona i podtrzymując dłonią chustę, przez moment wpatrywała się w północny horyzont, tam gdzie majaczyły już szczyty Libanu oraz Antylibanu, tworzące gigantyczne wrota do doliny Celesyrii.

- Nareszcie - odezwała się po chwili. - Tam jest.

Bernard przekrzywił lekko ogromny łeb, spojrzął najpierw na kobietę, a potem na niebo. Wreszcie zmarszczył brwi.

- Co? - warknął Gaston.

- Nie widzisz? - zdziwiła się Italka. - Tam, nad tym podwójnym wzgórzem. Zatacza kręgi. Młodzieniec zmrużył oczy i niebawem dostrzegł drobny punkcik, który unosił się w powietrzu we wskazanym przez Annę miejscu.

- Co to takiego?

- Mój jastrząb - powiedziała. Na jej obojętną, chłodną twarz wypłynął dziwny uśmiech.

- Skąd wiecie, że to wasz?

- A skąd wierny rycerz wie, że umiera jego senior? Jak matka rozpozna swe dziecko w tłumie podobnych? Dlaczego pies wyje, gdy cierpi jego pan?

- Nie wiem - rzucił niechętnie de Baideaux. - Nie wiem też, dlaczego spodobało wam się, pani, oświecić mnie akurat w tej sprawie.
- Bo ten jastrząb doprowadzi nas do Himsu.
- Ptak?
- Wielce mądry ptak. - Brązowe oczy Anny na chwilę zaćmiła mgła natychmiast rozproszona błyskiem ironii. - Chyba że znacie lepszą drogę?
- Nie - burknął Gaston.
- Dobrze. A zatem znajdziemy może jakieś miejsce na odpoczynek i... Choć nie, wybaczenie mi. - Ital-ka przerwała, nabrała tchu i odezwała się błagalnym tonem: - Czy spodoba się wam, panie, zatrzymać na chwilę, by nasycić głód mój? Jestem jeno wątłą niewiastą i...
- Dość! - rzucił ostro młodzieniec. - Dość tych drwin! Oszaleć można od tej ciszy. Wybaczenie, pani, że potraktowałem was tak szorstko. Wybaczenie.
- Wybaczam - uśmiechnęła się Anna Gisolvi. - Wy również mi wybaczenie. Bądź co bądź jesteśmy tu na siebie skazani. Nie wypada, by towarzysze wyprawy odnosili się do siebie z wrogością.
- Nie wypada. - Rycerz odpowiedział uśmiechem. Przez chwilę patrzyli na siebie i zdawało się, że zasłona chmur rzędzie, by wypuścić niecierpliwe promienie słońca.
- O jedno tylko będę was prosić, Gastonie - rzekła po chwili Italka. - Nie przyrównujcie mnie do Vivienne de Grenier. Obojętnie, co się jeszcze wydarzy, nie róbcie tego. Ten sam wiatr, który hulał nad syryjskimi pustkowiami wiele mil od Tyru, rozbijał się o mury asazyńskiej twierdzy Al-Kadmus, szarpał szatami czuwających strażników i przez rozliczne szczeliny wciskał się do środka, by mknąć dalej jako dokuczliwy przeciąg. Poruszał rzadkimi włosami otaczającymi odrastającą tonsurę brata Adalberta i odwracał karty księgi, w którą z gniewną miną wpatrywał się Ismail. Wnikał też do samotnej celi Vivienne de Grenier i tam wreszcie wytracał swą złośliwość. Delikatnie gładził obrzmiałą, opuchniętą twarz kłęczącej na zimnej posadzce hrabianki. Vivienne się modliła. Dopiero teraz, po tylu latach ziewania na kościelnej ławie i ustawicznego pokpiwania ze sług Kościoła, zrozumiała w pełni moc, jaką ma modlitwa. Zastygła wpatrzona w niewielki żelazny krzyżyk, który tak skrętnie chowała przed Ismailem, a jej usta poruszały się w bezgłośnym błaganiu Stwórcy, błaganiu, któremu dodawały żarliwości łzy wzbierające w kącikach oczu. Modliła się w każdej dogodnej chwili, gdyż tylko w ten sposób mogła odepchnąć od siebie rozpacz. Tylko w ten sposób mogła choć na chwilę zapomnieć o potworze, jakim stał się jej ukochany. Tylko tak mogła odsunąć wspomnienie niekończących się nocy, podczas których była na przemian gwałcona i bita. Tylko dzięki modlitwie miała kiedyś nadzieję pogodzić się z tym, co przynosiły poranne nudności.
- Ave Maria gratia plena, Dominus tecum - szeptała. -Benedicta tu in mulieribus... Zamykała oczy i znów widziała komnaty rodzinnego pałacu, znów czuła woń tyryjskich ogrodów i smak czerwonego wina, wiatr we włosach podczas dzikiej konnej gonitwy i szaleństwo tańca o północy. Otwierała je, a świat rozmazywały kolejne łzy. f Utraciła to wszystko.
- ...Et benedictus fructus ventris tui... - wyszeptała i nagle zacisnęła mocno usta. Znowu odezwały się nudności.

Rozsział siódmy

w którym z obawy przed nudą opuszczamy na chwilę Gastona, Annę oraz Bernarda przemierzających bezludne syryjskie pustkowia, a zanim znów ich spotkamy, przyglądamy się paru innym ważnych osobom, z których każda ma jeszcze w tej powieści sporo do zrobienia. wrócimy do trójki wędrowców w porę, by wysłuchać opowieści o miłości. Niestety, smutnej, jak to zwykle bywa Balian z Ibelinu obracał w palcach pusty pucharek i wbijał ciężkie spojrzenie w plecy doktora Petrulo-sa. Bizantyjczyk, jakby nieświadom jego nieprzyjaznej obecności, starannie układał swe instrumenty w wielkiej mosiężnej szkatułce, którą postawił na stole. Blask pochodni odbijał się od jego łysej czaszki.

„Wyjdź stąd! - warknął w myślach Balian. - Wyjdź, ty oślizgła żmijo, bo przysięgam, rozwalę ci ten łeb...”

Zacisnął zęby. Postać bizantyjskiego medykusa, który sztukę zadawania bólu opanował równie dobrze jak sztukę jego przepędzania, budziła w nim odrazę, od chwili gdy ujrzał go po raz pierwszy. Jego melodyjny, niemalże kobiecy głos, unізoność przebijająca z każdego gestu i białe, wypiełgnowane dłonie ostro

kontrastowały z tym wszystkim, kim w istocie był Pe-trulos. A był - jak mówiono - niczym sam diabeł; zadawanie bólu dawało mu większą rozkosz niż każdemu innemu noc w ramionach żony lub kochanki. Choć życie w wielonarodowym, rozhukanym Outremer nauczyło Baliana być o wiele bardziej tolerancyjnym od ludzi równych mu stanem z Piemontu czy Owernii, to istniały rzeczy, przed których przyjęciem się wzdragał.

Jedną z nich był doktor Petrusos.

Od dawna naciskał na Marię, by go odprawiła, ale królowa, znana z upartej natury, a jeszcze bardziej z napadów hipochondrii podczas jesienno-zimowych miesięcy, nie chciała nawet o tym słyszeć. Był zmuszony przyznać, że Bizantyjczyk udowodnił swą wartość i w krótkim czasie wydobył z więźnia niewiarygodne wprost informacje, ale jako człowiek wierny kodeksowi rycerskiemu Balian wzdragał się z obrzydzeniem na widok jego metod.

Spojrzał na Kerima niemalże ze współczuciem. Nieprzytomny starzec spoczywał na fotelu, spadłby niechybnie, gdyby nie więzy. Pozbawiony swego wysadzanego klejnocikami turbanu, odarty z szat i godności wyglądał żałośnie. Baron przypomniał sobie nieludzki wrzask, gdy Petrusos po raz pierwszy przytknął rozżarzony węgielek do genitaliów jeńca, i aż zadygotał. Bizantyjczyk zamknął szkatułkę z cichym trzaskiem.

- Czy waszej miłości podoba się przydać mi służę, bym nie musiał się trudzić dźwiganiem... - zaczął uniżenie, ale Balian przerwał mu w pół słowa.

- Nie podoba się. Wyjdź stąd.

Na zewnątrz usłyszał ciamkanie końskich kopyt w błocie i ledwie płachta namiotu opadła za taszcącym swą skrzynię Bizantyjczykiem, do wnętrza namiotu zajrzał Renald z Sydonu. Z niechęcią spojrzął za wychodzącym, skrzywił się i ściągnął płaszcz ciężki od mżawki.

- Gdy nie będziesz go potrzebował, daj mi znać, Ba-lianie - mruknął. - Ukręcę zaskrońcowi łeb. Nie żebym czuł do niego urazę. Po prostu świat wyda mi się nieco czystszy bez niego.

- Zrób to - westchnął baron i skinął na pulańskiego służę, żeby ten napelił dwa puchary winem. - Zrób to, zaklinam cię. Zrobiłbym to sam, ale ostatnio jakoś wolę nie narażać się Marii, a ta dziwnie go sobie upodobała.

- Doprawdy? - Renald uśmiechnął się znacząco.

Balian wydał wargi i machnął ręką.

- Z tego, co wiem, to zacy doktor Petrusos woli chłopców - parsknął. - A najbardziej takich, co to jeszcze nie ostygli. Nie gadajmy już o nim, proszę. Jak przebiega obłężenie?

- O tym też nie gadajmy - westchnął Renald.

Pomimo że flota frankijska panowała całkowicie

na wodach wokół Akki i każdego tygodnia przybywały posiłki z Europy, oblężenie właściwie stało w miejscu. Chrześcijańskie hufce nie były w stanie skłócić wież oblężniczych na tyle wysokich, by przełamać opór walczących z desperacją Saracenów, a na domiar złego musiały toczyć nieustanne boje z oddziałami Salah ad-Dina, które otaczały obóz frankijski ze wszystkich stron poza morzem. Chrześcijaństwo - jako i przed wiekami pogański wódz Juliusz Cezar - stali się jednocześnie oblegającymi i obleganymi, a w rezultacie zaczęli przymierać głodem. Zapasy żywności kurczyły się w zastraszającym tempie, ulewne deszcze tak rozmiękczyły ziemię, że wykorzystanie ciężkiej jazdy, najpotężniejszej broni świata chrześcijańskiego, stało się wielce ryzykowne, a wśród ludzi zapanowało zniechęcenie. Balian i Renald woleli nawet nie myśleć o konsekwencjach jesiennych deszczy, które prócz wilgoci i zimna miały również przynieść choroby

Niestety, nic nie zapowiadało rychłego przełomu w oblężeniu. Frankijska armia była nadal zbyt nieliczna, by zdobyć miasto bądź odrzucić wiążące ją hufce Salah ad-Dina. Co więcej, frankijscy feudalowie zaczęli z wolna tracić zainteresowanie przeciągającym się, nieprzynoszącym rezultatu oblężeniem. Niektórzy po cichu rozprawiali już o powrocie do domu, inni, zapomniawszy o swym początkowym zapale do walki o Ziemię Świętą, bardziej byli zajęci intrygami.

Renald ujął podany mu pucharek i opróżnił go jednym haustem. Potem wskazał pustym naczyniem nieprzytomnego asasyna.

- No to opowiadaj, Balianie - powiedział chrapliwym głosem. - Ile tej gadzinie udało się z niego wyciągnąć?

- Obawiam się, że zbyt wiele - westchnął baron Ibe-linu i gestem dał znać słuzącemu, by ich opuścił. - Zbyt wiele, mój przyjacielu. Napij się jeszcze, może łatwiej ci będzie w to wszystko uwierzyć.

Renald z Sydonu skwapliwie wypełnił wolę barona. Balian milczał jeszcze przez chwilę, postukując palcem w pusty pucharek.

- Nie będzie to dla ciebie przyjemna opowieść, Renaldzie - rzekł w końcu. - Zdaje się, że twoja lojalność wobec rodziny kosztowała życie wielu ludzi i o mały włos skazałaby na śmierć Marię. Innymi słowy, niepotrzebnie wykupiłeś Vivienne z niewoli.

- Co? - Renald potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Balianie, cóż to znów za wymysł? Jaki związek ma wykupienie Vivienne z niewoli z porwaniem twojej żony?

- Ma. Co wiesz o asasynach?

- Tyle co wszyscy. - Baron Sydonu obrzucił podejrzliwym spojrzeniem pucharek w dłoni Baliana. - To skłócenie z całym światem heretycy, znieawidzeni nawet przez własnych pobratymców, wrogowie tak nasi, jak i Salah ad-Dina. Gdyby nie to, że żyją i działają w ukryciu, już dawno zostałyby po nich tylko garść zetłałych kości i kilka opowieści. Balianie, ale co za związek...

- Masz rację. - Ten westchnął i dolał sobie wina. - Żyją i działają w ukryciu. Zarówno zabójcy, jak i ima-mowie rozsyłani przez Starca z Gór z misją nawracania muzułmanów na całkiem inną heretycką wiarę działają z niebywałą dyskrecją. Potrafią przekabacić całe wsie tuż pod nosem ich naczelników, a nawrócenie jednej osoby przychodzi im jeszcze łatwiej. Ten tutaj - wskazał nieprzytomnego Kerima - miał niewiarygodne szczęście. Tak dobrze zamaskował swą heretycką tożsamość, że został mianowany sędzią miasta Salchad i sprawował tam urząd przez wiele lat. Przez ten czas miał styczność choćby z synem emira, Ismailem ibn Abdul al-Karrachem. Nie wiem, ilu zdołał nawrócić na własną wiarę, ale z samym Ismailem nie poszło mu trudno. Nie dość, że emirowy synalek był skłócony z własnym ojcem i gotów wątpia sobie wyzrec, by zrobić mu na złość, to jeszcze Allah odjął mu rozum i dał komuś innemu.

- Nastąpiło to po porwaniu Vivienne czy wcześniej? -zapytał Renald.
- Nieco wcześniej. Wygląda na to, że tuż po jej porwaniu zapał heretycki Ismaila osłabł, na rzecz Vi-vienne zresztą. Dziewczyna kompletnie zawróciła mu w głowie.
- Usidliła tego przekłętą Saracena? - w głosie barona Sydonu zabrzmiało niedowierzenie.
- No tak. To do niej podobne.
- Natomiast to, że odwzajemniła to uczucie, już nie. Ze słów starego - Balian znów machnął dłonią w kierunku nieprzytomnego asasyna - wynika, że pokochali się miłością tak szaloną, że nijak nie mógł obudzić w nim religijnej żarliwości. Ciężko przesiadywał w jej komnatach, obsypywał ją darami, sprowadzał rzeźniców--śpiewaków...
- Masz rację, bez twego wina trudno byłoby mi to wszystko przyjąć na wiarę - mruknął Renald i raz jeszcze pochwyił za cynowy dzban. - Moja droga bratanica i saraceński rycerz! Boże w niebiesiech...

Wiedziała, że wraca, na długo zanim echo przyniosło odgłos jego kroków. Poderwała się przestraszona, z mocno bijącym sercem. Jej dłonie bezwiednie nakryły łono. Rozejrzała się w panice, próbując przewidzieć, co tym razem obudzi w nim wściekłość. Nie dostrzegła nic -komnata była wysprzątana, wieczerza gotowa, a dzban napełniony winem, w którym Ismail rozsmakował się za przykładem Starca z Gór. Usunęła wszelkie dotychczasowe preteksty, dla których zwykł urządzić wściekle awantury, ale pewności mieć nie mogła. „Wymyśli coś innego - pomyślała z trwogą, patrząc na okiennice. W szparze między nimi dostrzegła ciemniejący szybko granat nieba. - Jest już tak późno... Spędził cały dzień na nauce langue d'oïl z Adalbertem, na pewno będzie rozwścieczony... Boże, miej mnie w opiece! Słyszała już kroki, jej serce biło coraz szybciej, dłonie pokrył pot. Oszałały, dziki wzrok przerażonej kobiety smagał ściany komnaty, aż wreszcie odnalazł niewielki krzyżyk, przed którym się modliła. Wiedział o jego istnieniu - ba, sam nawet go jej podarował w pierwszych dniach niewoli w Al-Kadmusie - ale któż mógł przewidzieć, czy z braku innego powodu ten widok nie obudzi w nim wściekłości?...

Doskoczyła do ściany, sięgnęła ku krzyżykowi, szarpnęła.

Skrzypnęły otwierane drzwi.

Kobieta zamarła. Spojrzała przez ramię na wchodzącego do komnaty mężczyznę, a jej serce aż się ścisnęło na widok jego pochmurnej, ściągniętej twarzy i zębów zaciśniętych mocno, po wilczemu. W świetle dwóch świec wyglądał niczym ożywiony trup z dawnych, zabronionych przez imamów legend.

„Znów mnie obij!” - pomyślała i z całej siły powstrzymała odruch zasłonięcia łona. Z powodów, których nie potrafiła wytłumaczyć, nie chciała mu zdradzać, że nosi jego dziecko.

- Ismail... - zaczęła drżącym głosem, oblizując suche wargi.

Nie zareagował. Podeszedł do stołu, przesunął z chrobotem zydelski dzban, usiadł ciężko, nalał sobie wina. Ani razu na nią nie spojrzął.

- Ismailu, czy coś jest nie tak? - odważyła się zapytać. Chociaż biegle mówiła po arabsku, on kazał jej używać langue d'oïl, by szybciej opanować język Franków. Problem tkwił w tym, że młody emir brzydził się mową najeźdźców, co uniemożliwiało mu zrozumienie najprostszych nawet zdań. Wściekłość swą zwykł zaś rozładowywać rękoczynami.

Nie odpowiedział od razu. Dopiero po dłuższej chwili uniósł ku niej spojrzenie, osobliwie mętne i puste. Dostrzegła, że dłonie, którymi nakrył puchar, lekko drżą, co ze wszystkich sił stara się ukryć. Natychmiast przymknęła oczy, by nie odniósł wrażenia, że to dostrzegła.

- Przybył posłaniec z Masjafu - powiedział głucho po arabsku. - Od Starca z Gór.

Serce Vivienne biło tak mocno, że o mało co nie wyskoczyło jej z piersi.

- Co... - Przełknęła ślinę. - Co to oznacza?

- Że moja nauka dobiegła końca - wychrypiał. -Lada dzień przyjdzie mi wyruszyć z zadaniem. Przyjdzie mi mieszać się z tłumami niewiernych! Z twoimi pobratymcami przekłętymi przez Allacha! Oby im gnijące mięso płatami od ciała odpadało!

Oczy zamigotały mu niebezpiecznie, zaciśnięta dłoń zbieleła na pucharku. Vivienne cofnęła się o krok. Doskonale wiedziała, że dumny Ismail przyjął wiarę nizarycką tylko po to, by sprzeciwić się znieawidzonemu ojcu, i bynajmniej nie nęcił go los zamaskowanego zabójcy. Widziała jego lęk przed śmiercią, ale stokroć bardziej wolałby ją ponieść wzorem przodków na polu bitwy, a nie przed meczetem czy kościołem zasieczony przez przybocznych jakiegoś dostojnika.

„Misje Starca z Gór najczęściej bywają samobójcze” -pomyślała, a w jej sercu obudziła się podła, ale zupełnie uzasadniona radość. Pochyliła głowę jeszcze niżej, by nie dojrzał iskier w jej spojrzeniu.

- Panie, ja... - zaczęła lekko drżącym, spiętym głosem. - Ja będę się modlić za was do Allacha i wszystkich proroków. Czy zwolicie mi udać się do ojca Adalberta? Zna on mocne modlitwy, które uchronią was...

- Zamilcz! - warknął. - I wyjdź stąd. Nie chcę cię oglądać.

- A co na to wszystko stary emir al-Karrach, ojciec tego Ismaila? - zapytał po chwili milczenia Renald.

- Krew go zalała, rzecz jasna. Umyślił sobie bowiem, że Ismail weźmie za żonę którąś z córek emira Mosulu. To on przecież przysłał do ciebie posłańca z propozycją wykupu Vivienne, prawda?

- Tak - mruknął Renald. - Nie chciał dużo, w przeciwnym razie nigdy bym tej rudej cholery nie wykupił. Myślałem nawet: „uczciwy człowiek, choć Saracen”, a to szczwany lis, no, no. Synalek zadurzył się we fran-kijskiej brance, a emir uznał, że co z oczu, to z serca...

O ironio losu! - Wydał wargi z niedowierzaniem. - A zatem Vivienne wcale nie była zadowolona z wykupu? Niewdzięczna piekielnica! Gdyby wiedziała, ile mnie to kosztowało!...

- W każdym razie za ów majątek ufundowałeś Outremer niezłą zabawę. Popchnąłeś oto Vivienne do największej i najbardziej szalonej intrygi, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Bo od chwili dotarcia do Tyru Vivienne poświęciła każdą chwilę swego życia staraniom, by wrócić do Ismaila.

- Nie wierzę, Balianie! - wybuchnął baron Sydonu. -Nic w jej zachowaniu nie wskazywało, by...

- Dajże spokój, stary przyjacielu! Mamy do czynienia z mistrzynią intryg, kobietą o setkach twarzy, chędożoną mącielnką, przy której Sybille de Jérusalem to nędzna plotkara z fraucymeru! Zaczęła od tego, że znalazła sobie sojuszniczkę, dzięki której nic nie było dla nich przeszkodą.

- Kogo masz na myśli?

- Annę Giscolvi.

Renald z Sydonu zmarszczył czoło.

- Chyba wiem, która to - powiedział w końcu. - Wysoka, brązowe oczy, czarne włosy. Małomówna, ciut za mądra jak na babę, raczej trudna do wychędożenia. Towarzyszył jej zawsze postawny mameluk z jastrzębiem. i cóż w niej było takiego szczególnego?

- Otóż okazuje się, że zdzira jest czarownicą. Posiadła sposób na ujarzmianie dżinów. Cisza, która zapadła w namiocie, była tak głęboka, że obaj baronowie usłyszeli śpiew modlących się kilkaset kroków dalej szpitalników.

- A to kurwa jedna - oznajmił Renald, trąc czoło. -Z dżinami się obwąchiwała... Własna bratanica... O, to kurwa...

- Nie pytaj mnie, w jaki sposób nakłaniała dziny do posłuszeństwa, ani też co Vivienne jej zaproponowała w zamian za pomoc, bo tego nie wiem. Wiem natomiast, że dzięki pomocy tej całej Giscolvi zaplanowała kolejno aż dwie intrygi, dzięki którym mogłaby uciec z Tyru i połączyć się z ukochanym Saracenenem, szlag by go trafił! Pierwsza nie była jeszcze niczym szczególnym. Otóż twa bratanica dała znać swemu lubemu, wykorzystując w tym celu jastrzębia owego mameluka, że zamierza opuścić Tyr i ruszyć pod Akkę. Zasugerowała mu tym samym, by napadł na jej świętę i uprowadził ją ponownie.

- Gotowa była poświęcić życie swych rycerzy, służby, dworek... - wyjąkał oszołomiony baron. - Gotowa była wszystko to poświęcić, by mógł jej wygadzać jakiś cholerny Saraceni?

- Mówiłem ci, że dowiedziałem się zbyt wiele. W każdym razie ów Ismail był już gotowy do działania. Ze słów Kerima wynika, że zawczasu, ani chybi z namowy Vi-vienne, bo sam by raczej na to nie wpadł, podwędził ojcu znaczny kuferek ze złotem i wystawił oddział tureckich najemników. Następnie ruszył na ratunek swej lubej. Na nieszczęście dla wytęsknionej Vivienne zaatakował niewłaściwy oddział. Natarł na hufczyk Amalryka de Puigney, który przez zbieg okoliczności obozował w pobliżu. Zanim się zorientował i pchnął swoich ludzi do ataku na orszak hrabianki, upłynęło sporo czasu, dzięki czemu i ja mogłem nadsięgnąć z odsieczą. Pierwszy plan twej bratanicy zakończył się porażką. Nawiasem mówiąc, dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego traktowała mnie z taką nienawiścią.

- Mów, nie trzymaj mnie dalej w niepewności. - Renald ścisnął palcami skronie. - Co potem wymyśliła?

- Cóż - westchnął Balian - potem to umyśliła sobie, że upiecze trzy pieczenie na jednym ogniu: zemści się na mnie, ucieknie do Ismaila i jednocześnie zdobędzie sporo złota. Jej italska wiedźma zaważwała swego dzina i... I zmusiła go do wniknięcia w moją duszę. Pamiętasz, jak chorowałem tuż po pierwszej bitwie pod Akką? Stary Kerim twierdzi, że to normalna reakcja. Ponoć zawsze trzeba odchorować kradzież kawałka duszy.

- Co... Co ci ukradł?

- Charakter pisma - odparł zduszonym głosem baron Ibelinu. - Nie wiem jak, ale dzięki swej sztuczce ta cholerna Italka była w stanie napisać list w moim imieniu, i to jeszcze moim piśmem. I napisała do Marii, prosząc ją, by przybyła pod Akkę. A moja ukochana małżonka, cóż... Uwierzyła, co miała nie uwierzyć. I wyruszyła w drogę.

- I cóż Vivienne w ten sposób osiągnęła?

- Jak mówiłem, chciała trochę zarobić, Renaldzie -westchnął Balian. - Dobrze wiedziała, dzdżira, jak uderzyć najcelniej. Dobrze wiedziała, że sprzedam ostatnią koszulę, by wykupić żonę. Gdyby jej plan się powiódł, jednocześnie zdobyłaby fortunę i zadała cios swemu największemu wrogowi, czyli mnie. W realizacji planu miało jej natomiast pomóc dwóch największych durniów w armii chrześcijańskiej - Hugo de Lovance i Gaston de Baideaux.

- De Baideaux? - zmarszczył brwi baron Sydonu. -Krewny Rogera?

- Brat. Dureń co się zowie, ale uleczalny, a do tego dzielny. Jeśli przeżyje tę zawieruchę, usłyszymy jeszcze o nim, jestem pewien. W każdym razie Vivienne kazała Hugonowi i Gastonowi przejąć Marię podczas przeprawy przez Schody Tyryjskie i doprowadzić do miejsca zwanego Dar il-Hasan, gdzie miał ich osaczyć i pojmać Ismail. Tam też miała dołączyć do nich Vivienne, która na tę okoliczność wymogła na swej italskiej wiedźmie, by rzuciła odpowiedni czar na Katarzynę de Fourier. Pamiętasz?

- Tak! - Renald pacnął się dłonią w czoło. - Pamiętam, jasne. To ta nieszczęsna idiotka, która nadal utrzymuje, że jest hrabianką de Grenier, i rozbija podawane jej lustra?

- Otóż to. W taki oto sposób Vivienne zamaskowała swą ucieczkę i najprawdopodobniej połączyła się z Is-mailem, co wskazywałoby na to, że Gaston de Baideaux jednak nie kłamał - zamyślił się baron. - Znów baby wystrychnęły nas na dudka, przyjacielu. Baron Sydonu sięgnął po dzban z winem i przechylił go nad pucharem. Gdy ze środka nie wyciekła ani jedna kropla, z wściekłością cisnął nim o ziemię. Cynowe naczynie przetoczyło się i znieruchomiło pod ścianą namiotu.

- Przeklęte baby - syknął przez zaciśnięte zęby. - Wierz mi, jeśli kiedyś Outremer zniknie całkiem z powierzchni ziemi, stanie się to za ich sprawą!

- Wątpię. - Balian wpatrywał się ciężkim wzrokiem w nieprzytomnego Kerima. - Myślę, że mimo wszystko my będziemy winowajcami. My, rycerze, hrabiowie, krzyżowcy uwikłani we własne konflikty, powodowani bezrozumną dumą i ślepą nienawiścią.

- Co nie znaczy, że kobiety nie będą miały w tym swego udziału. Wystarczy, że...

- Wiem - przerwał mu baron Ibelinu. - Wybacz, przyjacielu, ale ze wszystkich rzeczy na tym padole najbardziej irytuje mnie wyrzekanie na swój los. Zwłaszcza że nie ma specjalnych ku temu powodów. Ty nie utraciłeś swej czci rycerskiej, a Vivienne nie zdołała wystawić nas wszystkich do wiatru. Za sprawą Gastona de Baideaux nie udało jej się pojmać Marii, a po przesłuchaniu Kerima rozgryźliśmy jej tajemnicę. To już coś.

- Marne pocieszenie! - prychnął Renald. - Związany imam nizarytów po serii bizantyjskich tortur. I co takiego masz zamiar z nim zrobić?

- Nie wiem - zamyślił się Balian. - Być może nic. Jest jednak coś, o czym ci jeszcze nie powiedziałem, coś niejasnego, ale chyba budzącego nadzieję. Otóż Kerim utrzymuje, że Ismail odnalazł Ukrytego Imama, mesjasza sekty, człowieka, na którego pojawienie się czekali od stuleci. Od wielu lat nie słyszeliśmy o asasynach, Re-naldzie. Jeśli to wszystko jest prawdą, to usłyszemy, i to niebawem.

- Tak sądzisz?

- Niejeden z biskupów pogroziłby mi mieczem świętego Piotra za takie słowa, ale według mnie nie ma drugiego ludu, dla którego religia byłaby tak ważna jak dla nizarytów. Ci ludzie potrafią w imię swej wiary porzucić całe swe dotychczasowe życie, przybrać inną tożsamość i w dogodnej chwili rzucić się do samobójczego ataku! - Balian pokręcił głową. - A teraz, gdy zstąpił do nich długo wyczekiwany zbawca, będą w stanie dokonać wielkich rzeczy. To zaś oznacza, że powinniśmy się z nimi skontaktować. I to szybko.

- Mówisz poważnie? - Renald przygryzł wargę. Wpatrywał się w swego towarzysza szeroko otwartymi oczyma.

- A cóż innego nam pozostało? Salah ad-Din zabrał nam nasze miasta, otoczył Tyr, przycisnął jedyną armię do murów Akki, a cesarz Fryderyk jest wciąż daleko, nie mówiąc już o królach Anglii czy Francji. Desperacko potrzebujemy sojusznika, a najlepiej takiego, który budzi lęk Salah ad-Dina. Kiedy wraca nasz wielce cierpiący Konrad?

- Mówił, że lecznicze właściwości tyryjskiego powietrza postawią go na nogi gdzieś pod koniec tygodnia. Najpewniej, w sobotę.

- Doskonale. A więc zaczekamy na niego, a potem wspólnie podejmiemy decyzję, choć jestem raczej spokojny o wynik rozmów. Gdy się dowie, co wyczynia sam król oraz ci cholemi templariusze, nie sądzę, by chciał nas powstrzymać.

Daleko od warownego obozu pod Akką, tam, skąd widać już ośnieżony szczyt góry Hermon i okalające go wierzchołki Antylibanu, strzelały wysokie płomienie. Pośród nich stał Joscelin de Royes i toczył wokół rozszałym spojrzeniem. Szukał ciemnej postaci z czarnymi lokami, szukał jej z desperacją, łaknąc ujrzeć na jej twarzy choć blade uśmiech satysfakcji. Niestety, bez skutku. Pośród morza rozhlukanych ognistych jeziorów nie widział nikogo i niczego.

Prócz własnego strachu.'

- Panie! - wyszeptał, unosząc ramiona ku górze. -Panie, błagam cię! Przyjmij tę ofiarę, posił się tym nieszczęściem, rozkoszuj się strachem i cierpieniem. I wybacz mi, zaklinam cię po trzykroć, wybacz mi!

Płomienie huczały, gdzieś za jego plecami przegalopował koń. Któryś z jego ludzi krzyknął, odpowiedział mu przeciągły wrzask bólu.

- Panie, zawiodłem cię, lecz przecież służę ci wiernie! - wołał. - Porzuciłem wszystko, by móc wam służyć! Nie dbam już o zakon, za nic mam rozgrywkę w Outremer, nie szukam już cudzych sekretów! Walczę tylko dla was! Żyję tylko dla was! Oddaję ci śmierć tych ludzi w ofierze!

Jego głos niósł się aż pod szare chmury podsyczone słupami dymu,, ale nie usłyszał odpowiedzi. Znow został zignorowany.

Pochylił się, palce w rycerskich rękawicach wbiły się w błoto przemieszane z krwią, tłuste, splecione włosy zakryły jego bladą twarz pociętą bruzdami, coraz głębszymi każdego dnia. Nikt, nawet otaczający go luźnym kręgiem wojownicy nie widzieli ciężkich łez ściekających po spiczastym nosie. Bowiem gdy się poderwał, jego oczy ciskały już skry.

Z kręgu mężczyzn wystąpił postawny Prowansalczyk o zniewieścialej twarzy, lecz okrutnych, przymrużonych oczach. Idąc, starannie ocierał miecz z krwi.

- Panie, we wsi nie ma nikogo żywego - oznajmił wysokim, niemalże piskliwym głosem i odrzucił włosy na plecy. Potem wsunął oczyszczony już miecz do pochwy.

Joscelin skinął półprzrytomnie głową. Znow ogarnęło go szaleńcze pragnienie, by nachylić się nad jakimkolwiek lustrem wody i przyjrzeć swoim zmarszczkom, powiedzieć sobie, że starość - co miał przyobiecane - wciąż jest daleko. Opanował się jednak, bo przysiągł sobie, że nigdy nie odsłoni swych słabości przed nikim obcym, a przecież patrzyło na niego kilkunastu wojowników.

- W drogę! - wychrypiał, wskakując na konia.

W innych okolicznościach zapewne wyczułby kłamstwo w głosie Prowansalczyka. Być może też zwróciłby uwagę na to, że wśród jego podwładnych brakuje dwóch, może trzech ludzi, lecz teraz mógł się skupić tylko na jednym.

Gaston de Baideaux. Musiał go dopaść szybko, jak najszybciej, by uratować choć skrawek życia przed nadchodzącą śmiercią...

- W drogę! - wrzasnął, kłując końskie boki ostrogami. Jakby w odpowiedzi rozległ się odległy chichot hien i szakali.

Anzelm de Fidou musnął pakami struny liry i wsłuchał się w czyste brzmienie instrumentu. Nie mógł wyjść ze zdziwienia, że jego stwardniała, nawykła do miecza dłoń potrafi wydobyć aż tak delikatne dźwięki. Uśmiechnął się i trącił struny raz jeszcze, tym razem mocniej. Strzęp melodii uleciał wraz z wiatrem aż pod szare, skłębione chmury.

Wiatr powrócił, targnął jego kapotę, ściągnął mu kaptur z głowy. Anzelm odwrócił się, chcąc go nałożyć ponownie i osłonić twarz przed porywistymi podmuchami. Wtedy znieruchomiał.

Szedł od wielu godzin opustoszałym traktem, na którym nie napotkał żywego ducha z wyjątkiem garstki trędowatych warzących swój nędzny posiłek w cieniu poskręcanych akacji. Nie miały go żaden jeździec, nikt go nie ścigał. A teraz wąsaty rycerz z zieloną tarczą na plecach szedł ku niemu pieszo, wyraźnie nie zmęczony, lecz uśmiechnięty.

Anzelm odpowiedział uśmiechem. Ostatnie tygodnie nauczyły go, że nie powinien dziwić się niczemu.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powitał go.

Wąsacz uniósł lekko brew jakby z niedowierzaniem. Nie zmienił się od ich ostatniego spotkania pod Akką -te same oczy, brązowe, lecz ciepłe, to samo oblicze, twarde, porwane zmarszczkami,

lecz skore do rozgrzewających uśmiechów - ale poruszał się wolniej, jakby i jego ogarniało znużenie.

- Ostatnimi czasy rzadko zdarza się usłyszeć te słowa - rzekł mocnym, lecz melodyjnym głosem, w którym nadal krył się ślad hiszpańskiego akcentu, i usiadł naprzeciwko Anzelma na obłym głazie, którego krawędzie wygładził tysiącletni wiatr. - A przecież jeszcze przed paru laty w Ziemi Świętej przy każdym pozdrowieniu zwykło się zaklinać Boga, by ten nie zapomniał o Grobie Świętym.

- Nie na wiele się to zdało, jak widać. - Lekko skrzywiony Anzelm znów trącił struny. - Natomiast Jego Syna chwalić zawsze wypada.

- Ktoś mógłby rzec, Anzelmie, że bluźnicie.

- Ktoś mógłby rzec, że cały jestem jednym wielkim bluźnierstwem.

- I stąd ta przemiana? - Wąsaty rycerz wskazał długą, przepasaną sznurem szatę, skromną podróżną sakwę oraz lirę spoczywającą na kolanach odmieńca. - Dufacie, że jako truwerowi uda wam się to, co nie wyszło w zakonie i pod proporcem rycerskim? Że uda wam się stłumić w sobie przekleństwo?

- Nie. - Anzelm znów trącił struny, wiatr zazdrośnie porwał dźwięki. - Widzisz, przyjacielu, po tym jak Gaston zdecydował się podjąć grę markiza de Montferrat, pojąłem, że zostały mi właściwie dwie drogi. Mogę nadal próbować żyć z moim przekleństwem, choć tym razem jako ktoś inny, albo mogę wbić sobie sztylet w trzewia. Być może drugie rozwiązanie ma większy sens, ale zawsze mogę do niego wrócić. Póki co włączę się na swobodzie. I brzdąkam sobie, o tak.

Raz jeszcze trącił struny. Wąsacz uśmiechnął się smutno.

- Dlaczego nie pojechałeś z Gastonem? - zapytał.

- A dlaczego miałbym to zrobić? - w głosie Anzelma zagrała niebezpieczna nuta. - Nie pamiętasz już, do czego rozbój doprowadził ród de Fidou? Nie pamiętasz, co stało się z moim ojcem? Nie pamiętasz, czego sam dokonałem pod wodzą tego szaleńca de Chatillona?

- A ty nie pamiętasz, co ci powiedziałem pod Akką?

- W chwili gdy Gaston przystał na plan Montferrata, zwątpiłem w twe słowa po raz pierwszy. Nie wierzę już, by ten chłopak rzeczywiście kiedyś miał uwolnić mnie od mego brzemienia. W każdym razie nie kosztem kolejnych grzechów.

Rycerz z zieloną tarczą westchnął ciężko i pogładził dłonią swe wąsiska, a potem zapatrzył się w tłuste brzuszyska chmur poganianych kolejnymi smagnięciami wiatru. Milczał przez dłuższą chwilę.

- Niezbadane są wyroki boskie, Anzelmie - powiedział z wysiłkiem. - Być może Jego wola jest to, byś przeszedł przez kolejne męki, nim doznasz ulgi zbawienia. Musisz tylko...

- Błagam cię, przestań! - zaśmiał się chrapliwie de Fidou. - Tylko nie mów przypadkiem, że powinienem mieć wiarę!

- Nie powiem. Akurat tu, w Ziemi Świętej, to wyjątkowo puste słowa. Chodziło mi o to, że powinieneś mieć cierpliwość. Nie wiem, kim jest Gaston de Baideaux ani co jest mu pisane. Jego przeznaczenie jest dla mnie niejasne, wiem natomiast, że ma do odegrania wielką rolę. Przyjdzie mu zakończyć dzieło jego brata.

- Nie wiem, kim był jego brat - mruknął Anzelm. - Wiem tylko, że przez niego ściga nas zakon templariuszy.

- Możesz być spokojny. - Oblicze wąsatego rycerza ściągnęła zaduma. - Roger de Baideaux był dobrym człowiekiem, a Gaston... Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nie stał się rozbójnikiem. Oparł się pokusie, a to...

Naraz ściągnął hełm, przetarł czoło.

- ...a to zwiększa moją pewność - dokończył.

Patrzył teraz prosto na Anzelma, zaś jego brązowe, gorejące oczy zdawały się przeszywać duszę pokutnika.

- Gaston ma do odegrania wielką rolę - powtórzył. - Nie pytaj, co mu przyjdzie uczynić, bo tego nie wiem. Wiem tylko, że dokona czegoś wielkiego. Czegoś, co może nie uraduje Pana, ale przynajmniej sprawi, że ten odsapnie z ulgą. Ale trzeba go bronić, Anzelmie, bo niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, przerasta dotychczasowe.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Ruszajmy więc. - Anzelm dźwignął się z głązu, na którym siedział, i otrzepał ubranie. - Cóż mam do stracenia?

Wąsaty rycerz nic nie powiedział, ale wstał chyżo, jakby każde ze słów de Fidou odjęło mu po roku. Otwierał właśnie usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle warknął sam odmieńc:

- Tylko o jednym musisz wiedzieć. Nie lubię gadać. W ogóle.

Wąsacz skinął głową. Blade, zimne słońce przebiło się wreszcie między warstwami chmur i opromieniło obu wędrowców.

Z odległych gór spływał tej nocy zimny podmuch wiatru i Bernard rozpałił większy ogień, a potem natychmiast zajął się koźmi. Gaston i Anna siedzieli blisko siebie na jednej derce i wpatrywali się w płomienie. Milczeli.

- Przepraszam - powiedziała niespodziewanie Italka. Młodzieniec spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego to powiedziałaś, pani? - spytał.

- Nie rozumiesz jeszcze? - odpowiedziała pytaniem i zwróciła ku niemu twarz poważną, przepiękną mimo brudu i znużenia. Kosmyk czarnych włosów zsunął się z jej ramienia i musnął dłoń Gastona. - Ja przynoszę nieszczęście. Straciłeś przeze mnie swego przyjaciela, potem wpadłeś w złość, a na końcu stłukłeś sobie kolano. Każdy, kto jest ze mną bliżej, prędzej czy później tego pożałuje.

- Jakoś się nie boję - zażartował de Baideaux.

- Vittorio cię ostrzegał. Powinieneś się bać.

- Vittorio powiedział tylko, żebym ci nie ufał, co jest najzupełniej logiczne. Nie ufa się czarownicom. A skoro już o nim, Anno... Obiecałaś, że opowiesz mi o - zawahał się przy tych słowach - o zdarzeniach, przez które postanowił nas opuścić.

- Tak, obiecałam. - Anna zacisnęła mocno usta. - Obiecałam.

Zapatrzyła się w płomienie, wysokie i nieustraszone, i zaczęła cichym głosem:

- Pierwszą rzeczą, o której powinieneś wiedzieć, Gastonie, jest to, że moje prawdziwe nazwisko nie brzmi Gi-scolvi. Nie pochodzę ze szlacheckiego rodu, jestem zwykłą parweniuszką, mieszcanką z Neapolu, która zdobyła nieco wiedzy i ogłady tylko przez to, że zainteresował się mną pewien możny pan, niejaki Stefano Giscolvi. Nie krzyw się. Która uboga dziewczyna nie skorzysta z opieki hojnego bogacza, skoro to jedyna szansa na odmianę losu? Zresztą nie pełniłam roli metresy nazbyt długo, bo jakieś trzy miesiące po moim, że się tak wyrażę, awansie mój drogi Stefano musiał się wybrać w interesach na Sycylię. Nie miał, nieborak, pojęcia, że Parki szykują dla niego przykrą niespodziankę, która objawiła się pod postacią arabskiego pirata.

- Białego Muhammada? - zapytał niespodziewanie Gaston. - Dowódcy „Rais”?

- Słyszałeś o nim? - Anna spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Poznałem go osobiście - uśmiechnął się krzywo Gaston. - Ba, przez krótką chwilę prowadziłem go na postronku, o czym z chęcią kiedyś ci opowiem, pani, ale nie dziś. Mamy na to czas. Podróż do Himsu jeszcze potrwa.

Anna pokręciła głową z niedowierzaniem i przymknęła oczy, poszukując utraconego wątku.

- W każdym razie Stefano o wiele lepiej by zrobił, gdyby zabrał ze sobą mniej paziów, wachlarzy i poduszek ze złotogłowiu, a w to miejsce paru zbrojnych. Mnie też zresztą mógł zostawić w Neapolu. Młode, ubogie dziewczęta marzą o losie metresy, ale dola nałożnicy arabskiego rzeźnika nie ma z nią wiele wspólnego.

- Czy... Czy on... - wykrztusił Gaston.

- Czy on mnie dobrze traktował? - uprzejmie odpowiedziała Anna. - Nie. Najczęściej nie. Przynajmniej gdy był trzeźwy. Gdy się upijał, co na szczęście zdarzało się nader często, był tylko żaloszny.

Westchnęła i pokręciła głową, jakby chcąc odpędzić wizję dawnych czasów.

- Rola królowej piratów miała swoje dobre strony. - Uśmiechnęła się gorzko. - Starczyło zmrużyć brwi, by tłum uzbrojonych po zęby oprychów rozstępował się przede mną w pośpiechu. Starczyło mi wydać usteczka, by Muhammad obdarował mnie kolejnym klejnotem. Ale na cóż mi było to wszystko, skoro wolności zaznawalam tyle, co mi jej mój pan i władca udzielił? Doprawdy, gdyby nie jego dwóch najbliższych druhów, umarłabym chyba ze zgryzoty niczym ptak zamknięty w złotej klatce. To oni przynieśli mi okrucieństwo wolności. Sulejman... Sulej-mana również prowadził może na postronku?

- A jak wyglądał?

- Karzeł z wielkim garbem, szpetną gębą i zezem, od którego aż się w głowie kręciło.

- Nie. Nikogo takiego w załodze „Rais” nie widziałem.

- A zatem zmarło się nieborakowi. Cóż, Allah nierychliwy... I tak po mojemu orznął kostuchę na dobre pół wieku. W każdym razie dobrze się było z nim zaprzyjaźnić, albowiem to on wprowadził mnie w świat czarów i opowiedział mi o dżinach. Nie patrz tak na mnie! - ofuknęła niespodziewanie Gastona. - Obdarowałam go jedynie kilkoma ciepłymi uśmiechami i nie sądzę, by miał ochotę na więcej. Pominawszy sędziwy wiek, zbyt dobrze znał popędliwy charakter swego kapitana, by ryzykować coś więcej. Niestety, drugi z jego druhów nie okazał podobnej roztropności. Wiesz, jak się nazywał?

- Tak - wykrztusił de Baideaux. - Chyba wiem.

I rzeczywiście odgadł.

- Vittorio utrzymywał, że pokochał mnie od pierwszego wejrzenia - opowiadała Anna smutnym głosem. - Pokochał jak szalenciec. Zapomniał o tym, że jego kapitan jest okrutnym skurwysynem, który dla zabawy rozpruwa brzuchy ciężarnym kobietom, zapomniał o tym, że jego osobisty karzeł jest podejrzliwym czarodziejem, zapomniał o tym, że życie wśród piratów jest krótkotrwałe i ulotne. Ze wszelkich sił starał się do mnie zbliżyć, nawiedzał moją kajutę w nocy, gdy Muhammad spał schlany, przysyłał mi powłóczyście spojrzenia, wyznawał szeptem wielką miłość. Bałam się go, obawiałam się, że nieopatrznie zrobi jeden krok za daleko i ten przeklęty łotr zabije nas oboje, ale w pewnym momencie zaświtała mi nowa myśl: może powinnam wykorzystać miłość tego Italczyka i zbiec z „Rais”?

- I jak pomyślałaś, tak uczyniłaś, pani - stwierdził Gaston.

- Tak. Vittorio był zachwycony pomysłem i z miejsca zaczął organizować ucieczkę. Nie potrafił jednak ukryć swej radości, co nie uszło uwagi Sulejmana. Do dziś nie wiem, czy staruch poskładał fakty do kupy, czy też nie, ale tegoż samego wieczoru Muhammad sprowokował Vittoria podczas gry w kości. Ponoć z trudem oderwano ich od siebie. Twój przyjaciel, Gastonie, ma twarde pięści. Na moje nieszczęście.

- Dlaczego? - zapytał nieopatrznie młodzieniec i natychmiast ugryzł się w język, przeklinając swą niedomyślność.

- Zgadnij, co zrobił kapitan, gdy jeden z jego ludzi złamał mu nos na oczach pozostałych? - Zapatrzyła się w płomienie. Przez jej ciało przeszedł dreszcz. - W życiu nie widziałam takiej furii w jednym człowieku. To, że żyję... Nieważne. Na szczęście swoje zwycięstwo nade mną Muhammad uczcił, wychylając kilka dzbanów wina. Gdy przyszedł Vittorio, był pijany do nieprzytomności.

- Uciekliście tej nocy?

- Tak. Dwie ledwie żywe, poturbowane ofiary tego samego kata, na skradzionej łodzi, bez zapasów żywności. To, że dopłynęliśmy do brzegów Cypru, zakrawa na cud. To, że słońce mnie nie zabiło, to właściwie drugi cud.

Przez chwilę nic nie mówiła. Uniosła spojrzenie i zapatrzyła się w gwiazdy, jakby w ich migotliwym blasku chciała wskrzesić echo dawnych dni.

- Widzisz - odezwała się wreszcie cichym głosem. -Może są na tym świecie gwałcone, bite i niewolone dziewczyny, które z radością rzucają się w ramiona swego wyzwoliciela. Niestety, ja do nich nie należę. Vittorio pomógł mi uciec i chwala mu za to, ale jeśli myślał, że to wystarczy, by obudzić we mnie miłość, pomylił się okrutnie. Wręcz przeciwnie, z każdym jego kolejnym wyznaniem miłosnym czułam się coraz gorzej, aż w końcu zaczęłam go nienawidzić. Po wylądowaniu na Cyprze uciekałam natychmiast, już pierwszej nocy.

- A więc to tak było... - uśmiechnął się Gaston, ale szybko spoważniał. - Ciekawe, jak wygląda jego wersja tej historii.

- Na pewno inaczej - wzruszyła ramionami Anna. -Vittorio z pewnością opowiedziałby ci o babskiej niewdzięczności i głupocie, nie wspominałby ani słowem o tym, że sam był powodem mojej ucieczki. Twoja rzecz, w co uwierzysz, Gastonie, masz przecież swój rozum. Ja w każdym razie czułam, że Cypr jest za mały dla nas dwojga, a Vittorio zrobi wszystko, by mnie odnaleźć, dlatego też wsiadłam na pierwszy statek idący do Egiptu. Tam znalazłam swój drugi dom, z dala od Vittoria i Muhammada, a blisko Nilu i pradawnej magii, która trwała tam chyba od początku świata. Naprawdę sądziłam, że odnalazłam spokój. Tym bardziej że w moim życiu pojawił się Usama.

- Usama - powtórzył de Baideaux. Na dźwięk męskiego imienia otaczający ich czar opowieści nagle zaczął blednąć. Oczy Anny, roziskrzone, odbijające płomienie ogniska, straciły swój urok.

- Usama - kiwnęła głową czarnowłosa Italka. -Dumny, drapieżny mameluk o gołębim sercu. Niezwyciężony na polu bitwy, niezmęczony w alkowie, niedościgły na końskim grzbiecie. Człowiek, którego pokochałam. Pierwszy w moim życiu, któremu wyznałam miłość. Na zgubę swoją i jego.

- Jakże to?

Anna nie odpowiedziała. Zerknęła na boki, jakby przekonana, że ktoś lada chwila wyłoni się z ciemności i przyłapie ją na grzesznym postępku, a potem uniosła dłoń, mimo tyłu dni niewoli i niewygód nadal miękką i delikatną, i przesunęła ją wzdłuż ramienia Gastona, budząc przyjazne mrowienie. Młody rycerz zapragnął nagle, by nie przestawała, a jednocześnie w jego duszy obudził się dziki strach przed jej odpowiedzią.

I słusznie.

- Nie wiedziałam podówczas, że zostałam przeklęta - szepnęła, a w kącikach jej oczu zadrżały łzy. - Gdy uciekałam z „Rais”, Sulejman cisnął za mną kłutwę. Od tej pory każdy mężczyzna, którego pokocham szczerą miłością, traci swą duszę. Staje się milczącym, chodzącym posągiem bez uczuć i myśli. Wyznając Usamie miłość, wyrwałam zeń życie. Zamieniłam go w golema.

80 Marcin Mortka

- I co się z nim stało? - Gaston nadal udawał, że opowieść o obcym mężczyźnie nie rani go zupełnie.

- Zabrali mi go - odparła cicho. - To jego właśnie szukamy. Szukamy mojej miłości, Gastonie.

I spojrzała daleko w mrok, jakby wypatrując jastrzębia przewodnika.

Rozdział ósmy

w którym mury Akki nadal drwią sobie ze słusznego gniewu krzyżowców, Balian z ibelinu miota się bezsilny,

a Konrad z Montferratu daje przykład, że najlepsze pomysły przychodzą podczas kąpieli. Gaston zaś zaczyna się bać

Znad murów Akki wystrzelił kolejny głaz. Ani chybi

wyrzucony przez złowieszczą malecousine, największą maszyną miotającą Saracenów, zatoczył zgrabny łuk i uderzył prosto w najwyższe piętro wieży oblężniczej, wężąc w jej trzewiach.

Konstrukcja zadygotała, dwóch spośród łuczników stłoczonych na szczycie runęło w dół. Balian miał wrażenie, że słyszy ich wrzaski nawet pomimo zgiełku bitwy. Jego rumak prychnął i zwiesił łeb, jakby doskonale rozumiał ludzką tragedię.

- Czyja to była?! - krzyknął Konrad de Montferrat.

- Co? - Baron poklepał konia po karku. - Aha, czyja wieża? Biskupa Beauvois!

- Niezłą szopę postawił klecha, no, no! - wybuchnął śmiechem de Montferrat. - Piąty pocisk w nią trafił, a jeszcze stoi!

Balian już szykował zgryźliwą uwagę, ale ugryzł się w język i poprzestał jedynie na cichym westchnieniu. Podczas blisko dwutygodniowych wywczasów w Tyrze markiz de Montferrat najwyraźniej zapomniał, jakimi prawami rządziło się oblężenie Akki. Śledził szturm roziskrzonym spojrzeniem i co rusz wygłaszał jakiś ironiczny komentarz, wywołując salwy śmiechu wśród towarzyszących mu rycerzy. Balian nie znalazł jak dotąd ani jednego powodu do wesołości.

Bo szturmowanie Akki, choć na chwilę dodawało ducha oblegającym, nie miało najmniejszego sensu. Wyniosłe, szare mury twierdzy drwiły z wszelkich wysiłków krzyżowców. Z daleka drażniły zielenią sztandarów Proroka i dźwiękami trąb, z bliska raziły chmurą strzał i kamieni, strugami wrzącej wody i garnkami z osławionym greckim ogniem. Zbyt wysokie na drabiny, zbyt grube na zniszczenie przez ostrzał i zbyt mocno osadzone w ziemi na podkop, mogły stać i do końca świata, z obojętnością przyjmując każdy kolejny szturm armii frankijskiej. Przeklęta Wieża, bastion w północno-wschodnim narożniku wałów, na którym skupili swe wysiłki chrześcijanie, po każdym nieudanym ataku wydawała się rosnać z pychy.

Zresztą wszystko wskazywało na to, że szczęście opuściło krzyżowców ostatecznie. Zaledwie kilka dni temu blisko pięćdziesiąt galer Salah ad-Dina mimo szybkiej interwencji floty frankijskiej przedarło się do oblężonego miasta, przywożąc broń oraz żywność, a armia lądowa, która otaczała hufce chrześcijańskie szerokim łukiem i praktycznie więziła je pod murami Akki, zyskała posiłki. Czarę goryczy przepełniły zaś ulewne deszcze, które niemalże sparaliżowały oddziały króla Gwidona. Budowane z ogromnym trudem, a mimo to koślawe wieże oblężnicze z mazołem brnęły przez błoto narażone na ostrzał z saraceńskich katapult oraz drwiny markiza Montferratu.

- Fiu, fiu! - zagwizdał Konrad, gdy kolejny głaz otarł się o wieżę hrabiego Dreux.

Balian odwrócił wzrok i przygryzł wargę. Z początku nie miał nic przeciwko budowaniu machin oblężniczych, nawet sam gardłował za tym na spotkaniach rady królewskiej. Uważał bowiem, że praca przynajmniej zajmie ludzi rozdrażnionych i znudzonych przeciągającym się oblężeniem,

ale nie przewidział, że rycerstwo europejskie potraktuje to niczym jakiś turniej. Co znaczniejsi feudalowie z zapalem ogałacali swe obozowiska z wszelkich zapasów drewna i w pośpiechu kłecili istne wieże Babel - bez pojęcia, bez zachowania jakichkolwiek zasad, byle wyżej, byle bliżej nieba niż wieża sąsiada. Te konstrukcje, nawet nim ruszyły ku murom Akki, już wyglądały, jakby miały się rozpaść od samego tylko ryku trąb saraceńskich. Kto tylko skończył, natychmiast popierał templariusza Ruperta de Saint Jérôme w próbach namówienia króla Gwidona do kolejnego szturmu z nadzieją, że przypadnie mu sława tego, kto jako pierwszy wdarł się na mury.

Zaszczyt ten jak dotąd nie przypadł nikomu, a szczątki kilku wież, rozbitych celnymi strzałami obrońców, walały się daleko przed fosami. Balian próbował wpłynąć na innych krzyżowców, by powstrzymali się z użyciem machin do czasu, gdy ziemia przeschnie, ale każdy machał jedynie ręką z lekceważeniem lub odpowiadał słowami ujmującymi czci rycerskiej.

I tak baron Ibelinu, swego czasu jeden z najwybitniejszych mówców Outremer, tracił z wolna ochotę, by się w ogóle odzywać. Lecz z Konradem porozmawiać musiał.

Kolejny gład, wyrzucony przez monstrualny saraceński trebusz, przemknął szerokim łukiem nad wieżą biskupa i wylądował za plecami nacierających Franków, ale ledwie kilka kroków przed oddziałem przybocznym Baliana oraz Konrada. Twarze najbliższych rycerzy obryzgało błoto.

Markiz parsknął śmiechem i z udawanym obrzydzeniem otarł twarz. »

- Baronie, powinniśmy się cofnąć! - rzucił poważny Amalryk de Puigney, ale Balian pokręcił jedynie głową i dotknął boków wierzchowca piętami. W chwilę później zrównał się z rumakiem Konrada de Montferrat.

- Na litość boską - wycedził przez zęby, cicho, tak by jego słowa nie dotarły do niczyjego ucha poza właściwym - przestań robić z siebie błazna przed tą młodzieżą!

- Czemu? - rzucił markiz, a szyderczy uśmiech nie zniknął z jego twarzy. - Przecież to oblężenie nie ma sensu bez względu na to, czy ktoś z niego kpi czy nie! A tak przynajmniej mamy trochę zabawy.

- Ty masz ubaw - westchnął Balian. - Mnie się tylko przykro robi, gdy cię słucham. A co do sensu oblężenia, to zgadzam się z tobą. Największą korzyść z niego czerpie sam Salah ad-Din, który przynajmniej wie, gdzie jest nasza armia.

- Wszystko się zmieni, gdy dotrze tu Filip król Francji - zapewnił go Konrad. - Ten to ma łeb do prowadzenia oblężeń, sam zobaczysz, baronie. A cesarz Niemiec Fryderyk Barbarossa już zmierza przez sułtanat Ikonium, ziemie tego pyszałka Kildż-Arslana, prowadząc armię liczniejszą od tej, która sto lat temu wyzwoliła te ziemie!

Pochylił się ku baronowi i wyszeptał mu do ucha:

- Dotarły do mnie wieści, że Salah ad-Din z dnia na dzień ogarnia coraz większy lęk. Ponoć wysłał listy do swych braci w wierze z Hiszpanii i Maghrebu z prośbą o zorganizowanie krucjaty podobnej do naszych! Wyobrażasz sobie, Balianie?

- A do mnie dotarły wieści, że wraz z królem Francji i cesarzem Niemiec zbiera siły również angielski król Ryszard - odpowiedział baron równie poufałym głosem, nawet nie kryjąc swej niechęci wobec pychy rozmówcy. - Wyobrażasz sobie, Konradzie?

Markiz de Montferrat, całkiem jawnie pożądamy korony jerozolimskiej zdobiącej głowę Gwidona, miał do tej pory poparcie większości baronów syryjskich, w tym samego Baliana, oraz zakonu szpitalników, lecz wiedział, że bez królów europejskich nie zdoła osiągnąć swego celu. Mógł liczyć na Fryderyka niemieckiego oraz króla Francji Filipa, z którymi był spokrewniony, ale Ryszard angielski był pełen pasji i nieprzewidywalny. Sam dźwięk jego imienia wystarczył, by uśmiech spłynął z oblicza Konrada niczym ostatnie krople deszczu z płachty namiotu. Markiz wyprostował się w siodle i z posępną miną obserwował starcie.

Łatwo było jednak odgadnąć i jego przebieg, i finał. Koślawe wieże oblężnicze, osmalone i naszpikowane strzałami, przesuwały się coraz wolniej w grząskim błocie, pchane ze słabnącym entuzjazmem. Ta biskupa Beauvois została trafiona po raz kolejny i ugrzęzła na dobre, zaś ta króla Gwidona, trącona celnym pociskiem obrońców, przewróciła się prosto na stłoczonych za nią nacierających. Głazy wyrzucane przez malecou-sine i pomniejsze saraceńskie maszyny bez litości masakrowały tłumy pieszych wojowników i drobnego rycerstwa, czekające na upragnioną szansę wdarcia się na mury oblężonego miasta. A wyniosłe, wyzywające bastiony Akki nadal bluzgały chmarami strzał i strugami ognia.

- Zarówno Filip, jak i Fryderyk kiedyś tu dotrą -ciągnął Balian. - Świat nie jest w końcu aż taki wielki. Pytanie jednak, czy rzeczywiście poprą swego krewniaka, który poza obroną Tyru i złupieniem paru karawan niczego jak dotąd nie dokonał.

- Złupieniem karawan? - Markiz uniósł wysoko brew. - Wybaczcie, dobry Balianie, ale nic mi nie wiadomo o żadnym łupieniu z moim...

- Zaiste - przerwał mu baron - przecież to nie łupienie, a uczciwe rycerskie najazdy. Renald de Chatillon też tak je nazywał, kurwa jego mać. W każdym razie, Konradzie, warto by coś jeszcze zdziałać. Pamiętajcie o pomysłe, który wczoraj wam podsunąłem?

Przygryzł wargę, świadom, że słucha go wielu ludzi.

„Starzec z Gór” - odpowiedziało spojrzenie Baliana.

- Pamiętam - skinął głową Konrad, nadal na niego nie patrząc. - Doskonale pamiętam. I zgadzam się z tobą, trzeba spróbować. Sęk w tym, że potrzeba nam szaleńca. Człowieka niespełna rozumu. Człowieka, który...

Trzask walącej się wieży biskupa Beauvois dotarł aż tutaj. Buchnęła wrzawa wśród cofających się piechurów, przednie szeregi już uciekały, podczas gdy tylne jeszcze napierały. Powstało ogromne zamieszanie, którego zgiełk zagłuszyły dopiero surmy saraceńskie. Wrota Akki rozwarły się, załopotwały białe szaty i proporce zbrojnych jeźdźców, zadudniła ziemia, powietrze zadrzało od trąb. Wrzaski wśród przerażonych Franków przybrały na sile.

- Wycieczka! - wrzasnął de Montferrat, w jednej chwili zapomniawszy o rozmowie z Balianem. - Do broni!

- Do broni! - poniosło się wśród przybocznych.

- Konradzie! - huknął baron. - Nie wolno ci angażować się w byle burdy! Jeśli coś ci się stanie, przyszłość...

- A co powiedziałby cesarz na wieść o tym, że jego krewniakowi zadrzały kolana przed bitwą? - odpowiedział rozradowany markiz, nakładając hełm. Giermek podawał mu już kopię. - A co, sam nie masz ochoty ściąć paru saraceńskich łbów? Szybciej, zanim ubiegna nas templariusze!

Wskazał dłonią hufiec zakonny, który stał w szyku kilkaset kroków dalej z rozwiniętymi proporcami.

- A właściwie... - mruknął Balian i rozejrzał się za swoimi przybocznymi. - Ernoul, bywaj tu sam! Amal-ryku!

Konrad uniósł dłoń i niewielki hufiec rycerski ruszył na spotkanie oddziału saraceńskiego, który rozwinął się w szeroki łuk i pędził przed sobą przerażonych frankijskich piechurów. W dłoniach obrońców Akki zamigotały szable, powietrze przeszyły wypuszczane w pędzie, morderczo celne strzały. W odpowiedzi pochyliły się kopie chrześcijańskich rycerzy, a ciężkie normañskie destriery nabierały prędkości.

- Z drogi! - krzyczał markiz ku piechurom. - Z drogi.

- Deus le volt! - wrzasnął jakiś rycerz na prawym skrzydle.

Balian, który już ujmował kopię i poganiał swego rumaka do szarży, nie oparł się ciekawości i zerknął w bok. Ujrzał barczystego, jasnowłosego męża w poszarpanej tunice na zbroi, który gnał do boju bez hełmu. Jego twarz częściowo przysłoniła tarcza, ale dało się dostrzec wyraz świętego uniesienia.

- Bóg tak chce! - wołał do swych przybocznych i do wszystkich naokoło, nie zwracając uwagi, że tętent kopyt i wrzaski uciekających niemalże zagłuszają jego słowa. -Nadszedł czas zemsty! Drżycie, poganie, przed mieczem Marco Guiscarda. Drżycie, bo oto nastał dzień, w którym ziemia Akki...

„Konrad nie musi się kłopotać - pomyślał Balian. -Szaleńców ci u nas dostatek".

I ujął mocniej kopię.

Oczy Ruperta de Saint Jérôme, ledwie widoczne w poprzecznej szczelinie hełmu, bez emocji śledziły oddział lekkiej jazdy saraceńskiej, który zniemacka wypadł z bram Akki i wsiadł na plecy uciekających piechurów. Jego usta poruszały się lekko, jakby coś kalkulował w duchu, ale ani on, ani nikt z rozstawionych w klin, zakutych w stal templariuszy nie odezwał się ani słowem.

Czekali równie nieruchomi jak wznoszące się za ich plecami wzgórze Turon z oblepiającym jego zbocza miastem namiotów, jak wieże oblężnicze porzucone przez pchających je Franków, wreszcie jak przekłeta Wieża raz jeszcze zwycięska w starciu z krzyżowcami.

Ale stary templariusz nie myślał wcale o Akce czy Jerozolimie, nie myślał o Outremer czy Saracenach. Przyglądał się rozpędzonej wycieczce wrogów, a potem przeniósł spojrzenie na hufiec rycerski, który ruszył im naprzeciw, rozgarniając na boki umykających piechurów.

Krzaczaste siwe brwi zeszyły się na zmarszczonym czole, gdy dostrzegł łopoczące proporce Baliana i Konrada.

„Starczyłoby zająć Saracenów z flanki - dumiał. -Zmiotłbym ten nieszczęsny podjazd, nim ów dureń z Ibelinu i przybędą z Montferratu mocniej uchyciliby kopie. Ale po co? Czas, gdy ukazę prawdziwą potęgę zakonu, dopiero nadejdzie".

Nie wiedział, czy każdy ze stojących za nim templariuszy myśli podobnie. Był jednak pewien, że żaden się nie zawaha przed wypełnieniem każdego rozkazu. Nie po łasce, którą okazał im Pan.

„Nienawidzicie nas - myślał dalej. - Nienawidzicie nas za to, że podlegamy samemu papieżowi, a wasi królowie nie mogą nam nic zrobić. Nienawidzicie nas za to, że jesteśmy bogaci, choć z drugiej strony chętnie u nas pożyczacie. Nienawidzicie nas za to, że jesteśmy mądrzejsi, silniejsi i karniejsi od najświetniejszych nawet hufców, łącznie z armią przesławnego Barbarossy. A nienawidzicie sobie do woli! Przecież i tak nas potrzebujecie..."

Patrzył przymrużonymi oczyma, jak lekka jazda sa-raceńska gromi uciekającą piechotę, nieświadoma coraz bliższych kopii nacierającego rycerstwa.

„Niech narzną tych żałosnych ciurów, ile się da -myślał krzywo uśmiechnięty. - A potem niech zetną się z pachółkami dwóch dzielnych baronów, niechże uciekające niedobitki pociągną ich pod bramy, pod ostrzał saraceńskich łuczników. Każda śmierć jest darem dla ciebie, Panie".

I rozejrzał się w nadziei, że dostrzeże gdzieś rumaka o sierści czarnej niczym noc, że gdzieś ujrzy ciemne spojrzenie tego, którego ośmielali się zwać Panem. Przygryzł wargę, a dłonie, młodsze niż niegdyś, silniejsze, zacisnęły się na wodzach. Obracał głową coraz szybciej, coraz bardziej nerwowo, z coraz większym rozczarowaniem.

Nigdzie go nie widział.

Gaston ciskał się jak oszalały.

Rzecz jasna, tylko w duchu. Na zewnątrz pozostawał tym samym zimnym, obojętnym, małowównym rycerzem de Baideaux, który narodził się po wyznaniu Anny. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jej opowieść zabiła w nim zapał i entuzjazm, który z wolna zaczął się w nim budzić. Jej słowa rozgniotły poczucie, że postępuje słusznie, podcięły skrzydła nadziei, że

być może tu, w sercu jałowej syryjskiej pustyni, odnalazł przyjazne sobie serce. Stracił ochotę, by dalej z nią rozmawiać, by opowiedzieć jej o walce z „Rais”. Starał się unikać jej spojrzeń, otwierał usta tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, lecz w głębi duszy pragnął, by ich podróż zakończyła się jak najszybciej.

Nienawidził swej naiwności, przez którą rozpoczął ową idiotyczną podróż. Nienawidził obojętnej twarzy czarnowłosej Italki, nienawidził jastrzębia, który prowadził ich ku coraz wyższym partiom Antylibanu, nienawidził wreszcie niekończących się deszczów, które zamieniły suchy grunt w grząską młakę, a płytkie wąwozy w rozhukane potoki. Nienawidził tego wszystkiego tak bardzo, że co rusz zaciskał pięści na wodzach i najchętniej uderzyłby konia ostrogami, by pomknąć przed siebie, obojętnie gdzie.

Powstrzymał go jedynie Bernard.

Milczący kudłaty olbrzym, cichy i dyskretny pomimo swego wielkiego wzrostu, od chwili przybycia do Outremer nie przestawał wiernie mu służyć, ale zafrapowany towarzystwem swych bardziej gadatliwych i absorbujących przyjaciół Gaston ledwie sobie zdawał sprawę z jego istnienia. Bernard zawsze pozostawał w cieniu i dopiero teraz, na bezkresnych pustkowiach syryjskich, młody rycerz na nowo pojął, jak niezbędne jest dlań jego towarzystwo. I to bynajmniej nie dlatego, że giermek bez ociągania wypełniał wszystkie polecenia, gotował i zajmował się końmi.

Ogromny sługa był bowiem ostatnią nicią łączącą go z dotychczasowym życiem i ojczyzną. Wystarczyło, że rycerz spojrzał w jego wiecznie przymrużone oczy, niemalże nikiące w cieniu brwi, na kudłate kędziory wymykające się spod pogiętego kapalinu czy ogromne, wiecznie brudne łapska, a na powrót widział ojczysty kasztel, zamglone łęgi nad rzeką, łany złocistego żyta podpalone zachodem słońca. Starczyło, że olbrzym pochwycił jego spojrzenie, a natychmiast kiwał łbem i przywoływał jeden ze swych grymasów, w których tylko Gaston umiał dojrzeć uśmiech. I zaraz sam też się uśmiechał, choćby nawet był u kresu sił.

Bo uśmiech Bernarda oznaczał: „Obojętnie, co się dzieje, panie, obojętnie, w jakie łajno się wpakowaliście, ja jestem z wami. I nadal was kocham”.

- Dziękuję - wyszeptał do wiatru de Baideaux.

Wieczne chmury, czarne i posępne, sunęły nisko nad ziemią, odcinając blask słoneczny, dusząc wszelkie barwy. Wzgórza, które właśnie przemierzali, podnózek gór rosnących na horyzoncie, gwałtownie upodabniały się do scen ze snu samobójcy. Posępne, wysrane ze wszelkich kolorów, budziły w sercu chłód i poczucie osamotnienia. Dziki wiatr targał bezlistnymi konarami karłowatych drzewek makii, mocował się z kolczastymi zagajnikami, wyganiał w powietrze stada kruków. Prowadzący ich jastrząb nadal zataczał wysoko kręgi, ale był słabo widoczny, jakby i ta nadzieja lada chwila miała zniknąć.

Na policzkach Gastona osiadły pierwsze krople wieczornego deszczu. Zaklął, jak zwykle bezsilnie, a wtedy poczuł za sobą czyjąś obecność. Odwrócił się gwałtownie.

Anna Giscolvi, blada i nieprzenikniona, zakutana w czarną szatę, wydała mu się równie odpychająca jak reszta scenerii, w której się znaleźli. Tylko jej oczy zwróciły uwagę rycerza, błyszczące, niepewne.

- Gastonie, ktoś jedzie za nami - powiedziała cicho. - Ale... Ale to chyba nie ów templariusz, o którym opowiadałeś. To chyba nie człowiek.

- Nie człowiek? - parsknął de Baideaux, usiłując ironią zamaskować narastający lęk. - A zatem co? Któryś z twoich dżinów zerwał się z więzi?

Oczy Anny błysnęły wściekłością i młodzieniec natychmiast pożałował swych słów. Rozejrzał się i zamarł. Przez moment krótki jak myśl miał wrażenie, że dostrzega czarną niczym noc postać

jeźdźca na ogromnym, stojącym nieruchomo rumaku. I był pewien, że jeździec ów patrzy prosto na niego, a jego wzrok wsysa go w otchłań, z której nie ma powrotu.

Znał ten wzrok.

„No, zmykaj, biedny chłopcze! Naciesz się ostatnimi chwilami, które ci pozostały”.

Przygryzł wargę i wyteżył wzrok, ale wyobrażenie znikło. W jego miejscu pojawiła się natomiast blada, zaniepokojona twarz Bernarda. Olbrzym otwierał i zamykał usta, jakby próbując mimo swego kalectwa wykrztusić słowa ostrzeżenia, i wskazywał gorączkowo za siebie.

- To jednak człowiek - wyszeptał chrapliwie Gaston. - De Royes nas dogonił. W konie! Ten sam deszcz, który chwilę później spadł na plecy Ga-stona, Anny i Bernarda, załomotał również o okiennice celi brata Adalberta, gdy na brudnej podłodze klęczała przed nim Vivienne de Grenier.

- Zgrzeszyłam, ojcze - szeptała cicho, niemalże niesłyszalnie. Rude włosy, ongiś zachwycające swym blaskiem, teraz pozlepiane w tłuste strąki, przesłoniły jej wymizerowaną twarz. - Zgrzeszyłam przeciw Bogu, swej rodzinie i całemu chrześcijańskiemu światu. Duchowny położył jej dłoń na głowie. Nie było w tym geście czułości ani współczucia, były kapelan rodu de Baideaux wpatrywał się w ciemny kąt swej celi, a z jego spojrzenia wyzierała pustka. Wychudł ostatnimi czasy, pod jego oczyma pojawiły się ciemne plamy, ręce lekko drżały niczym od nadmiernego wysiłku. Wyglądał, jakby jego duszę podarto na strzępy, ale udręczona własnym nieszczęściem Vivienne nawet tego nie dostrzegła.

- Czy Bóg wybaczy mi takie grzechy, ojcze? - pytała drżącym głosem. - Czy Bóg zlituje się nad głupią dziewczką, która zaślepiona własną pychą, owładnięta pożądaniem do Saracena zdradziła własny ród? Czy Bóg wejrzy łaskawie na tę, która spiskowała przeciwko ostatnim chrześcijańskim obrońcom Ziemi Świętej tylko po to, by połączyć się w grzesznej miłości z ich wrogiem? Czy miłosierdzie boskie sięga aż tak daleko, ojcze?

Adalbert skinął głową. Nie słuchał.

- W każdym razie swoją karę już otrzymałam - ciągnęła gorzko. - Ismail nie jest tym samym człowiekiem, z którym się rozstałam, gdy przyjechali po mnie z wykupem ludzkiego mego wuja. Nie jest tym, za kim tęskniłam. Nie jest tym, do którego słałam łzawe listy i dla którego zdradziłam swój kraj, wiarę i rodzinę. On... On mnie bije, ojcze. Bije i bierze siłą. Nie ma w nim miłości ni współczucia. On... on jest potworem.

Pląkała. Palce spowiednika zanurzyły się w jej włosach, pieściły. Okiennice drżały pod naporem wiatru i deszczu.

- Ojcze, on należy do zabójców. - Uniosła nagle głowę, w jej oczach błysnęło wspomnienie dawnej dumy. - Otrzymał właśnie misję z rąk samego Starca z Gór. Lada dzień wyruszy na zachód, a wraz z nim wielu innych. Dotrą do Tyru, Trypolis, pod Akkę, wtopią się w tłumy krzyżowców, by czekać na rozkaz mordowania. Ojcze, nasz świat, już i tak pognębiony i upokorzony, znów znalazł się w niebezpieczeństwie. Asasyni ruszają na wojnę. Dopiero teraz Adalbert się przebudził. Spojrzał na Vivienne z niedowierzaniem, ale w oczach klęczącej niewiasty płonął ogień.

- Musisz stąd uciec - szeptała. - Musisz dotrzeć do naszych ziem i zanieść ostrzeżenie naszym braciom w wierze! Niech nie przyjmują na służbę nowych ludzi, choćby swymi umiejętnościami przewyższali sługi samego kalifa! Niech wzmocnią swą ochronę, niech nie ufają obcym, zwłaszcza pulanom! Niech czuwają!

Porwała jego dłonie, drżące i wychudłe.

- Zrobisz to dla mnie, ojcze? - pytała żarliwie. - Pozwolisz mi w ten sposób odkupić me winy? Uciekniesz z Al-Kadmusu i ostrzeżesz naszych przywódców?

Adalbert wolno kiwnął głową.

Konrad de Montferrat odetchnął ciężko i wyciągnął się jak długi. Na szczęście mosięzna balia, którą zawczasu kazał ściągnąć z Tyru, była wystarczająco pojemna i rycerz mógł należycie wypocząć po trudach dnia. Przymknął oczy i przez chwilę rozkoszował się zapachem wonności, które słudzy, znając upodobania swego pana, zapobiegliwie dodali do kąpieli.

- Tak, o tak... - mruknął i założył ramiona za głowę powoli, by nie nadwreżyć poobijanych mięśni. - Oto odpoczynek godny obrońcy Ziemi Świętej.

Któryś z giermków ujął jego skudłone, wilgotne od pary włosy i zaczął je delikatnie rozczesywać, inny masował markizowi bark. Konrad pomrukiwał z zamkniętymi oczyma. Saraceni nie spodziewali się tak zdecydowanego kontrataku, najwyraźniej przyzwyczajeni do tego, że nim przyciężkawe konne hufce chrześcijan należycie się rozpędzą, oni sami zdołają już uciec za mury twierdzy. Zareagowali jednak z opanowaniem weteranów - natychmiast rozpierzchli się na boki, tak że ledwie kilka kopii rycerskich sięgnęło celu, a potem zaczęli galopować w kierunku nadal zatrzaśniętych bram.

I wtedy nastąpiła najbardziej zagadkowa część starcia.

Nie miał pojęcia, czy przyczyn doszukiwać się w opieszałości obrońców, którzy nie otwarli bram na czas, czy też może w brawurze samych Saracenów, których morale znacznie wzrosło od czasu przybycia ich floty. W każdym razie oddział obrońców niespodziewanie zawrócił i z dzikim wrzaskiem spadł na rozpędzonych Franków. Ci ledwie zdążyli odrzucić bezużyteczne kopie, a już musieli porywać za miecze. Rozgorzał wściekły bój bez pardonu.

W podobnych starciach z reguły górę brali silniejsi i lepiej opancerzeni chrześcijanie, lecz Saraceni walczyli z pasją bliską obłędowi, a ich szanse wyrównywał ostrzał łuczników z murów miejskich. Konrad, który sam ściął trzech wrogów, został draśnięty przynajmniej dwiema strzałami - tyle zauważył - a ostrza dosięgły go niezliczoną wprost ilość razy. Tylko swej wybornej damasceńskiej kolczudze zawdzięczał, że wyszedł ze starcia bez poważniejszej rany. Kilku spośród jego przybocznych nie mogło mówić o podobnym szczęściu, nawet sam Balian zarobił porządnie w łeb.

„Jego hełm nie zda się już nawet na nocnik - pomyślał z humorem Konrad. - Dobrze, że łeb cały, bo pomysłom starego barona Ibelinu warto ucho nadstawiać. Ciekaw jestem tylko, co tym razem przyszło do głowy temu przykowi de Saint Jerome”.

Albowiem zakonnicy na widok wycieczki, miast rzucić się do boju na oślep, jak to mieli w zwyczaju, odkąd dowodził nimi Rupert de Saint Jerome, wczekali niemalże do końca starcia. Wtedy dopiero ruszyli i pomogli w rzezi uciekających Saracenów.

„Ech tam, pies go trącał! Muszę zawczasu odbudować swoją siatkę w zakonie. Zdaje się, że de Royes wyeliminował wszystkich moich szpiegów przed swoim zni...”

- Ergh, ty kanalio! - wrzasnął nagle, gdy któryś z giermków dołał zbyt gorącej wody. Sługa odskoczył przestraszony, struga wrzątku chlusnęła na kobierzec, którym wysłano namiot łaźiebny. - Precz! - ryknął markiz i cisnął za nim pustym pucharkiem.

Znów zanurzył się po brodę w gorącej wodzie, ale nastrój odprężenia umknął, a jego miejsce zajęły niepokojące rozważania. Układanie przyszłości nieistniejącego jeszcze królestwa było znacznie trudniejsze od potyczek z Saracenami, choćby najbitniejszymi, a tym musiał się zająć. Pomysł barona Ibelinu, który zachęcał do nawiązania kontaktu z nizarytami, na pewno miał szanse powodzenia.

- A przy tej okazji można by było zrobić jakiś interes na boku - wyszeptał Konrad wpatrzony w kłęby pary zasnuwające namiot. Giermkowie, którzy nadal uwijali się wokół balii, przypominali baśniowe stwory zrodzone przez mgłę.

Wyteżył umysł, usiłując przypomnieć sobie wszelkie szczegóły swej rozmowy z Balianem, którą dokończyli tuż po bitwie, ledwie stary baron ściągnął rozłupany hełm i pozwolił się opatrzeć

nadwornemu medykowi. Markiza znów zafrapował jeden szczegół, który już wówczas przyciągnął jego uwagę.

- Ukryty Imam - mruknął. - Któż to, u licha, jest?

I nagle olśniła go myśl. Szarpnął za rękaw najbliższego giermka.

- Leć po doktora Petrusosa - przykazał mu.

Nim wśród kłębow pary zamajaczyła postać bijącego unizone pokłony medyka z Konstantynopola, zdążył już ułożyć cały plan.

- Witajcie, czcigodny mężu - zagaił po grecku, unosząc się na łokciach. Mówił spokojnym, wyważonym głosem, lecz Bóg jeden wiedział ile wysiłku kosztuje go ukrywanie rosnącego podniecenia. - Pali mnie wstyd na myśl, że tak niestosownie podejmuję człowieka o tak wielkiej mądrości, ale dufam, że wybieriecie sobie z mego kufra z klejnotami coś, co ukoji wasz ból. Bizantyjczyk skłonił się. Na jego łysej głowie błyszczały krople wody.

- A potem jeszcze coś w dowód uznania, które żywię dla waszych wielkich umiejętności - ciągnął Konrad, mrużąc oczy jak kot. - I jeszcze jeden drobiazg na pamiątkę naszego spotkania.

- Do tej pory sądziłem, że żadna z waszych cnót nie przewyższy waleczności - odezwał się piskliwym głosem Petrusos. - Okazuje się jednak, że jest nią wasza hojność.

- A także ciekawość. - Markiz de Montferrat rozparł się w balii i skinął na giermka czekającego z dzbanem wrzątku. Zabułgotała wlewana woda. - Och, tej to nic nie przebiję!

- Czyżbym więc ja, pokorny sługa świątłych panów, wiedział coś, co może zaspokoić ciekawość tak możnego rycerza?

- I owszem. Opowiedz mi o Ukrytym Imamie. Opowiedz mi wszystko, czego dowiedziałeś się od tego niza-ryty, którego niewoli baron Ibelinu, wszystko, choćby nawet były to niestworzone bujdy. Lepiej wyteżcie pamięć, doktorze, gdyż w głębi serca chowam jeszcze jedną cnotę, która przebija mą waleczność. Ta cnota to furia.

Rozdział dziewiąty

który przepełniony jest dzikim pędem, ostrymi żartami, a na koniec nieoczekiwanie spotykają się starzy znajomi

Gnali przez noc niczym normandzki Mesnee \Jd'Hellequin czy germański Wilde Jagd - rozszalali, rozhukani myśliwi, którzy upojeni swą mocą ścigać będą swe ofiary choćby i po kres ziemi. Gaston bez litości popędzał konia, ale wiedział, że i tak nie umkną, że obława lada chwila zamknie się wokół nich.

Pędził jak szalony, końskie kopyta rozbryzgiwały błoto. Obok wielkimi susami sadził wierzchowiec Bernarda, równie wielki i straszny jak jego jeździec, po prawicy rycerza galopowała Anna, czarna, łopocząca skrzydłami szat niczym nocna zjawa. Nie widział nikogo poza nimi, ciemności zazdrośnie kryły ich prześladowców, ale de Baideaux był pewien, że są coraz bliżej. Kapryśny wiatr przynosił czasami echo tętentu wielu kopyt, szczęku oręża, łopotu płaszczy, ale nawet i bez tego wiedziałby, że nie są w stanie umknąć. Mówiły mu o tym ciężkie, mroczne spojrzenia, które pełzały mu po plecach, spojrzenia, które zwiastowały straszliwą śmierć.

„No, zmykaj, biedny chłopcze. Naciesz się ostatnimi chwilami, które ci pozostały”.

Zmykał. Z końskiego pyska opadały płaty piany, jego oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy. Chmury ciężły deszczem, gdzieś nad nimi pokrzykiwał z niepokojem jastrząb.

Bernard wskazał coś ręką, Gaston zerknął w tym kierunku. Na szczycie wzgórza wrył rumaka nieznany jeździec i stał tam niczym wilk wietrzący trop, szykujący się, by wyciem zaalarmować swą watahę. I rzeczywiście, zagrał róg, któremu odpowiedziało kilka innych. Młodzieniec

odwrócił się - chmury wypuściły smużkę księżycowego blasku, dzięki czemu ujrzał niewyraźne zarysy kilku rozpędzonych jeźdźców.

Koń chrapnął i potknął się. Górą przemknął bełt z kuszy.

Zrozpaczony de Baideaux dobył miecza, zakręcił ostrzem nad głową i z całej siły przeciągnął płazem po zadzie najmniej zmęczonego wierzchowca - tego niosącego Annę. Rumak wystrzelił naprzód niepomny dzikich pokrzykiwań zaskoczonyj Italki, a sam Gaston już zawracał swego, ściskając rękojeść miecza w dłoni. Jego oczy lśniły.

„To mnie ścigają - pomyślał. - Mnie i tylko mnie. Nie mogę jej narażać, nawet gdyby była zdziwą i czarownicą. Nawet gdyby podarła mi serce na kawałki”.

„Nic się nie zmieniłeś” - parsknął Diabeł.

Zdumienie młodzieńca było tak wielkie, że na moment zapomniał zarówno o Annie, jak i o rozpędzonych, coraz bliższych prześladowcach.

„To ty? Wróciłeś?”

„Nie wróciłem, bo cały czas byłem przy tobie. Usiłowałem zachować milczenie, bo w końcu ile można prowadzić cię za rękę, ale gdy patrzę na to, jak się miotasz, to zaczyna mnie litość brać: Co ty byś beze mnie zrobił, Gaston, co?”

„Nie nazywaj mnie po imieniu”.

„Nic się nie zmieniłeś. No, ruszaj!”

I de Baideaux ruszył. Przepełniony nową energią spiął konia i z uniesionym mieczem runął prosto na ścigających go prześladowców.

Nieoczekiwana szarża pokrzyżowała im szyki. Z dwóch wystrzelonych bełtów jeden przeciął powietrze, drugi brzęknął, odbijając się od hełmu Gastona, ale ten nawet tego nie zauważył. Ciął w przelocie najbliższego przeciwnika, trafił w tarczę i aż jęknął z bólu, ale już wyprowadzał kolejne uderzenie. Tym razem trafił w próżnię, a trzeci z prześladowców, z którym zdołał skrzyżować miecz, nieomal nie wytracił mu broni z ręki.

Zupełnie zapomniał o tym, czego nauczył się w Tyrze. Kimkolwiek byli jego prześladowcy, mistrzowsko opanowali walkę wszelaką bronią.

Rycerza znów zdjął lodowaty strach. Pochylił się, popędził wierzchowca, wrył go w ziemię dopiero kilkadziesiąt końskich kroków dalej i zawrócił wbrew rozsądkowi, wbrew sobie.

„No, no...”

Chmury rozstały się, znów wystrzelił księżycowy promień, mokra, poorana kopytami ziemia zajaśniała srebrem. Ujrzał ich wyraźnie - pędzili prosto na niego niczym wygłodniałe nocne ptaki ze wzniesionymi ostrymi szponami mieczy i włócznie. Wyłaniali się jeden po drugim, dwóch, trzech, pięciu, jeszcze kilku na wzgórzach, najpewniej konni kusznicy.

Widzieli go doskonale.

„Boże, bądź litościwi” - pomyślał Gaston i spiął konia do kolejnej beznadziejnej szarży.

„Daj sobie spokój z inwokacjami. Lepiej dobrze się im przypatrz”.

Galopował spowity w srebrny blask księżycy prosto na nadciągających prześladowców, którzy na podobieństwo wilczej watahy rozciągnęli się w łuk. Pochylony nad końską grzywą Gaston, uspokojony słowami Diabła, przenosił wzrok z jednego jeźdźcy na drugiego - uważnie, niczym drapieżnik osaczony przez sforę, aż rozpoznał tego, który wysforował się najbardziej.

Tej twarzy, wykrzywionej szalem i nienawiścią, nie zapomniałby nigdy.

Joscelin de Royes.

Spiął konia, zwarli się niczym dwie wściekłe burze. Przelotnie ujrzał twarz najzacieklejszego ze swych wrogów, pobruźdowaną, wynędzniałą, lecz kipiącą furją, oraz oczy błyszczące jak u dzikiego zwierza, a potem rąbnął templariusza w hełm. Ten sparował z trudem, odciął się, Gaston zablokował i chlasnął raz jeszcze, ale miecz trafił w pustkę, oba rozpędzone rumaki już się minęły.

Młodzieniec szarpnął za wodze, zawrócił, znów natarł. Koń parsknął, potknął się, ale wierzchowiec Josce-lina był w jeszcze gorszym stanie. Wycieńczony długim pościgiem nie zareagował wystarczająco szybko i Gaston dostrzegł dla siebie szansę.

Plecy templariusza były odsłonięte.

Nawet nie pomyślał o honorze rycerskim, wszystkie myśli pochłonęła mordercza chęć, by zamknąć niekończący się koszmar pogoni i pościgu. Walnął z całej siły, poczuł, jak klinga przegryza kolczugę, a potem poprawił. Brudną od pyłu jakę przeciwnika splamiła krew, czarna w mroku nocy. Templariusz wrzasnął przeraźliwie, próbował się odciąć, ale przeszkodził mu koń przerażony reakcją jeźdźca i zapachem krwi.

„Jeśli ci teraz umknie spod miecza, to...” - zaczął Diabeł, lecz nie dokończył, bo do młodego rycerza przypadł któryś z przybocznych Joscelina. Ciął błyskawicznie znad głowy, Gaston próbował się uchylić, ale nie zdążył. Świat eksplodował.

Powolny instynktowi odwrócił się, chcąc sparować kolejny cios. Uniósł miecz, ale powoli, beznadziejnie powoli, o wiele wolniej od napastnika. Wtedy coś za-furkotało, coś miękkiego musnęło mu twarz. Napastnik wrzasnął, wystawił ręce jak ślepiec - i nie bez przyczyny, bo w jego oczy wbiły się szpony jastrzębia, który spadł z nieba niczym grom.

Kolejnego przeciwnika zatrzymał Bernard. Dosłownie. Spieszony olbrzym doskoczył do konia prześladowcy, złapał za uzdę, niewyobrażalnie silnym szarpnięciem zmusił do ukłęknięcia, zanurkował pod opadającym ostrzem topora, wynurzył się po przeciwnej stronie i wbił sztylet w serce jeźdźca.

Oszołomiony Gaston przypomniał sobie o templariuszu. Odwrócił się, ujrzał jego zalaną krwią twarz, wyszczerzone kły, płonące ślepia. I zasłonił się w ostatniej chwili.

Miecze zazgrzytały, ramię de Baideaux zapłonęło bólem, ale wytrzymał. Sekundy rozciągnęły się w nieskończoność, ale ostrze miecza templariusza powoli, nieubłagane zbliżało się do szyi młodzieńca. Nie wiedział, czy tak było w istocie, miał jednak wrażenie, że ze wszystkich stron otaczają go jakieś twarze, zaniepokojone, milczące.

Wtedy powietrzem wstrząsnął dźwięk rogu, osobliwie cichy, a mimo to wyraźny, alarmujący. Gaston zrozumiał, że to sygnał do odwrotu. Powiedziały mu to ślepia Joscelina płonące hienim blaskiem, teraz rozbiegane z niepokoju. Templariusz zerknął na boki, być może szukając tych samych twarzy, które widział młodzieniec, ale już ich nie było, ani jednej. Nacisk miecza templariusza zelżał zauważalnie. A potem całkiem znikł.

Kij w rękach Bernarda zafurkotał głośno, a potem rozległo się głuche stuknięcie, gdy olbrzymi parobek rąbnął nim w potylicę Joscelina. Ten zachwiał się w siodle, a potem poleciał w dół. Na siodło jego wierzchowca wskoczył za to okrwawiony, spocony, ale i zadowolony z siebie Bernard.

- Nie mogę tego tak zostawić! - wybełkotał Gaston i otarł krew z czoła. Niezdarnie zaczął wyplątywać nogę ze strzemienia. - Muszę rozplatać gardło temu sukinsynowi, bo...

Nie zdążył. Giermek złapał go za ramię i wskazał okoliczne wzgórza wciąż opromienione litościwym blaskiem księżyca. Pomimo swego oszołomienia de Baideaux natychmiast rozpoznał smuklejsze konie, okrągłe kałkany i spiczaste helmy.

Saraceni.

Nie wiedział, kiedy stracił przytomność. Gdy ją odzyskał, leżał na wilgotnej, chłodnej ziemi. Przed sobą miał gładką, wyslizganą przez wichry skałę, na której pełgał poblask nieodległego ognia. Ktoś głośno rozprawiał, odpowiedziały mu inne głosy, buchnął śmiech.

Nie znał tego języka. Nie znał go, choć słyszał już wielokrotnie. Była to dumna, gardłowa mowa, zarazem piękna, jak i drapieżna, kojarząca mu się głównie z...

Polem bitwy?

Chciał się poderwać, rozejrzeć, krzyknąć, ale niespodziewanie usta zakryła mu ogromna dłoń. Wierzgnął, kopnął, lecz wtedy nachyliła się nad nim zaniepokojona twarz Bernarda. Przymknął oczy z ulgą i delikatnie odsunął pachołka.

- Już dobrze - wyszeptał. Podniósł się na łokciu, ale wtedy w głowie zaczęły mu jazgotać wszystkie dzwony Jerozolimy, Antiochii i Tarsu. Syknął bezgłośnie i złapał się za czerep, ku jego zdumieniu owinięty bandażami.

- To twoje dzieło, Bernardzie? - szepnął, siląc się na dowcip. - Czego ja jeszcze o tobie nie wiem?

- Na przykład tego, że ma więcej oleju we łbie od ciebie, Gastonie - usłyszał cichy kobiecy głos.

Rycerz odwrócił się z trudem, ignorując pulsujący ból głowy, i ujrzał Italkę wtuloną w przeciwległy kąt skały, tuż obok spętanych koni. Rumowisko skalne, u stóp którego się znaleźli, ciągnęło się zaś dalej, aż przesłaniał je mrok nocy. Gaston odniósł wrażenie, że nieopodal wyrasta szereg podobnych skał tworzących ledwie dostrzegalny wąwóz. W dalszych obserwacjach przeszkodziła mu jednak Anna.

- Między bohaterstwem a głupotą jest doprawdy cienka granica - ciągnęła chłodnym tonem.

- Twojemu pachołkowi szarża na kilku uzbrojonych po zęby drani nie przyszła raczej do głowy. Bernard wydał wargi i wywrócił oczy, podważając tym samym krytyczną opinię Italki. Gaston westchnął.

- Nie wiedziałem, że nastąpi kiedyś chwila, gdy będę żałował, że to nie Bernard opatrzył mi łeb - mruknął i usiadł.

- Daruj sobie - syknęła Anna. - Nie do twarzy ci ze złośliwością. Już wołę cię jako romantycznego idiotę. Poza tym okazałbyś lepiej trochę wdzięczności. Gdyby nie ja, leżałbyś martwy, zakłuty dżaritamami naszych sąsiadów.

Młodzieniec zamrugnął oczyma. Ostatnim widokiem, który pamiętał, byli saraceńscy jeźdźcy na wzgórzach, potem zapanowała ciemność. Spojrzał pytająco na Bernarda, a olbrzym lekkim ruchem głowy wskazał Annę, która otoczyła ramionami kolana i milcząc, wpatrywała się ciężkim wzrokiem w poturbowanego rycerza. Nad nią na zrębie skały siedział jastrząb, spokojnie układający swe pióra. Jego szpony nadal były czarne od zakrzepniętej krwi.

- Mój towarzysz przywiódł was tutaj - syknęła kobieta po chwili. - A raczej Bernarda, bo ty raczyłeś zemdleć. Nie tylko mnie zatem jesteś winien podziękowania.

Gaston przełknął ślinę i uniósł lekko brwi, rozpaczliwie próbując odegnać wstyd i poczucie winy. Wtedy jego wzrok padł na odbłask ognia. Nie bez ulgi odwrócił się od Anny i posykurując z bólu, podpełzł do krawędzi skały. Ostrożnie wyjrzał.

W odległości kilkuset kroków płonęło wielkie ognisko, wokół którego zasiadło pięć, może siedem ciemnych postaci rozmytych przez ostry blask płomieni, inne układały się do spoczynku na ziemi, ktoś pilnował spętanych niedaleko koni. Rozmowy powoli cichły zagłuszane narastającą pieśnią wiatru, ale ostre zarysy włóczni, łuków i stożkowych hełmów nie pozostawiały wątpliwości.

Tuż obok nich obozował spory podjazd lekkiej jazdy Salah ad-Dina, na pierwszy rzut oka czterdzieści koni.

Gaston odetchnął cicho i cofnął się.

- Wasz jastrząb okazał się niezłym kawalarzem, pani - stwierdził kwaśno. - Wyrwaliśmy się z rąk Joscelina tylko po to, by schronić się za plecami bandy Sa-racénów?

- Mój jastrząb nie potrafi przewidzieć przyszłości - odparła Anna. - W przeciwnym razie ruszylibyśmy pewnie w dalszą drogę, a nie czekali, aż nieodrodny syn Ga-lahada odzyska przytomność. Nie wątpię, że śniły ci się róże wokół miecza, prawda?

- Nie żałujcie sobie, pani! - warknął rycerz. - Wam akurat ze złościwością jak najbardziej do twarzy. Bernardzie, czy Joscelin przeżył?

Pachołek skinął głową i westchnął ciężko.

- No to pięknie! - mruknął Gaston i oparł się plecami o skałę, usiłując zignorować wściekły ból głowy i dreszcze.

„Nie zbesztasz mnie? - zapytał Diabła. - Który to już raz puszczam Joscelina z życiem? Który to już raz narażam w ten sposób siebie i swoich towarzyszy?”

Diabeł milczał, jakby odpowiedź na to pytanie była poniżej jego godności. Wzrok de Baideaux przesunął się z Bernarda na Annę, potem na jastrzębia, a w końcu na ich własne konie, spętane i nadal osiodłane, wyczerpane po długiej gonitwie.

„Nasze życie zawisło na włosku - pomyślał. - Wystarczy, by któryś z wierzchowców parsknął...” Jak na komendę zrobił to rumak Anny.

Młodzieniec poderwał się na równe nogi z mocno bijącym sercem. Przypadł do krawędzi skały, macając rękojeść miecza. W obozowisku Saracenów jednakże nikt nawet nie podniósł głowy

- Gaston - szepnęła Anna. Coś dziwnego w jej głosie sprawiło, że młodzieniec odwrócił się natychmiast. I zamarł.

Przy kohiu Italki, którego spętano najbliżej trójki uciekinierów, stał jakiś mężczyzna w ciemnej, opadającej aż po kolana opończy i normańskim hełmie z nosalem. Nikt, nawet Bernard, nie usłyszał jego kroków, nikt nie zarejestrował jego nadejścia, nawet wierzchowiec, który zaalarmował ich parsknięciem, uspokoił się, gdy nieznajomy położył mu dłoń na chrapach.

- Pater noster qui es in caelis - szepnął.

- Sanctificetur nomen tuum - odparli bezwiednie Gaston i Anna.

Druga ręka nieznajomego, która do tej pory ukryta była pod opończą, wysunęła się spod jej fałd, trzymając niewielką, naciągniętą kuszę. Za jego plecami ktoś mruknął półgłosem. Młody rycerz uniósł wzrok i dopiero teraz dostrzegł, że dalej, za końmi, stoi kolejny zbrojny, który bynajmniej nie krył swej kuszy. Był uzbrojony i odziany identycznie jak pierwszy, ale o wiele od niego potężniejszy, niemalże tak ogromny jak Bernard. Za nim tłoczyli się kolejni.

- To ci dopiero spotkanie. - Twarz pierwszego z nieznajomych wojowników zniekształcił krzywy uśmiech. Mówił przyciszonym głosem, ale w jego langue d'oïl pobrzmiwał lekki italski akcent. - Rycerz, dama i giermek zagubieni w środku nocy. Coś jak z Chrétiena de Troyes.

- Żebyście wiedzieli, panie - wydeła usta Anna, wstając. - Kim jesteście, że odzywacie się do nas słowami Pana na tym pustkowiu?

- Jego sługami i obrońcami - odparł przybysz. - Ostatnimi bodajże.

- Rach-ciach-ciach - uzupełnił olbrzym z kuszą.

Nakazując całej trójce ciszę, przypadli do krawędzi

skały i wyjrżeli ku saraceńskiemu obozowisku. Mimo swego oszołomienia Gaston zauważył, że poruszali się lekko i niemalże bezszelestnie, a gdy ukłękli z cichym chrzęstem kolczug, spod ich krótko przyciętych opończy wyjrzały ostrza mieczy w pochwach. Hełmy i twarze mieli uczemione błotem.

Po chwili niższy z nieznajomych sług i obrońców Pana odwrócił się i gestem przywołał swoich towarzyszy. Zerknął przy tym na Gastona.

- Ze smokami u nas latoś kiepsko - szepnął - ale gdybyście, panie rycerzu, mieli ochotę na jakiś mniej szlachetny, a równie zacny czyn bojowy, to zapraszam

Rozdział dziewiąty iii

do zabawy. A zamierzamy mianowicie wymordować tę oto bandę pogańskich leni, która nawet wart nie potrafi porządnie wystawić.

- Rach-ciach-ciach - dodał olbrzym.

- Wymordować?

- W imię Pana, rzecz jasna.

- Skoro w imię Pana, to chętnie - skinął głową Gaston. - Bernardzie, gdzie twój kijaszek?

Ogromny pachołek przywołał najpaskudniejszy ze swoich uśmiechów i potrząsnął kędziorami.

Nieznajomy wojownik spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Udał wam się pachoł - stwierdził po chwili. - Nie warczy aby na księdza z kropidłem? Nie capi siarką?

- Gdyby tak było, nie pchałby się do wspólnej zabawy z ostatnimi sługami Pana.

- Prawda. No, jeszcze trochę cierpliwości, panie rycerzu. Ktoś inny zabawę rozpocznie.

I rzeczywiście, nie trzeba było długo czekać, gdy ziemia zaczęła drżeć - z początku ledwie dostrzegalnie, a potem coraz mocniej. Gaston spojrział pytająco na człowieka, który zwał się sługą Pana, ale ten pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą i wskazał młodzieńcowi Sarace-nów. Niektórzy już poderwali się, chwycili za broń i głośno pokrzykiwali, a wszyscy co do jednego patrzyli tam, skąd dobiegał odgłos. Nikt nie spojrział na bok.

- Głupcy - westchnął z pogardą sługa Pana. - Oj, głupcy!

Ciemność drżała i dudniła, jakby lada chwila miała z niej wychynąć kolejna fala Wilde Jagd. I w rzeczy samej, wiatr przyniósł rzenie wielu koni, a potem w mroku zamajaczyły ich odległe rozpedzone sylwetki.

Saraceni wyglądali na zdezorientowanych, niektórzy zerkali ku dowódcy oddziału, który wyszedł naprzód i próbował wypatrzeć coś w ciemności, nie wiedząc, jakie ma wydać rozkazy.

- No, to w imię Boże - rzekł sługa Pana i podrzucił kuszę do ramienia.

Rozległ się suchy trzask. Bełt rozsadził czaszkę dowódcy mużulmanów i pomknął dalej, ciągnąc za sobą purpurową mgiełkę krwi. Czas odmierzany głośnymi uderzeniami serca nagle zwolnił. Ciało Saracena nie zdołało jeszcze paść na ziemię, gdy mrok przeszyły kolejne śmiercionośne żądła. Oszołomiony Gaston patrzył, jak ze świstem przemykają między zaskoczonymi Saraceni, jak rozrywając im gardła, przeszywają chronione kolczugami ciała, rozpruwają kończyny, rozbijają głowy. A potem w powietrzu błysnęła stal wyszarpywanych mieczy i nim de Baideaux się opamiętał, już biegł wraz z resztą na przerażonych, zdezorientowanych przeciwników.

I czas znów przyspieszył.

Najbliższy z Saracenów zdołał sparować cios młodzieńca, lecz w tej samej chwili padł ścięty przez któregoś z wojowników w czarnych opończach. Gaston zasłonił się mieczem przed rozpaczliwym cięciem innego mużulmanina, wpadł na niego całym swym ciężarem, przewrócił, przygwoździł do ziemi sztychem i rozejrzał się błyskawicznie. Jeszcze przed chwilą szukałby zagrożenia, teraz wypatrywał jedynie kolejnego przeciwnika. Ktoś wpadł na niego, trącił ramieniem, młodzieniec odskoczył i wtedy dojrzał kolejnego Saracena uciekającego przed utykającym sługą Pana bez hełmu, z łysiną pociętą bliznami. Podciął mużulmaninowi nogę, kątem oka zarejestrował, że ten pada, a goniący go wznosi oręż i... w ostatniej chwili nachylił się pod zataczającą łuk krzywą szablą, aż owiało go rozcinane powietrze. Pchnął, ostrze prześlizgnęło się ze zgrzytem po kolczudze, ale de Baideaux już miał w ręku sztylet. Doskoczył, wbił go w pachwinę, poprawił głowicą w szczękę, aż się rozległo, i odskoczył.

Wokół mężczyźni w czarnych opończach atakowali, niczym synowie burzy piaskowej, gwałtownie i bez litości. Bez wahania wdzielali się w grupy otumanionych, przerażonych Saracenów, a ich okrwawione miecze czyniły straszną rzeź. Było ich ledwie dwunastu, ale

rozszałali bojem zdawali się dwakroć liczniejsi, a ponadto odporni na ciosy niczym duchy. Żaden z nich nie odniósł rany, a tymczasem pierwsi Saraceni umykali już ku koniom.

Zastąpił im drogę Bernard, zgarbiony, kudłaty, z długim drągiem w garściach. Kij zafurkotał w powietrzu, najbliżsi z uciekających próbowali go wyminąć, ale nie docenili zasięgu ramion parobka rodu de Baideaux ani celności jego uderzeń. Koniec kija z głuchym stukotem walił w skronie, łamał szczęki, podcinał nogi.

Z ciemności wyłonił się rozhukany tabun koni o rozwianych grzywach, w większości luzaków. Zaledwie kilku z nich dosiadali jeźdźcy, jednak doskonale panowali nad stadem. Prowadzący tabun przechylił się lekko w siodle, ciął po plecach uciekającego muzułmanina, a potem błyskawicznie przesunął się na drugą stronę i rąbnął raz jeszcze, przepoławiając hełm innego. Wiatr natarł nań od tyłu, zarzucił mu opończę na twarz.

Rycerz z wściekłością odrzucił fałdy materiału, ale Gaston i tak zdołał przyjrzeć się tunice, którą ten miał na koleczudze.

Czarna z białym krzyżem.

Szpitalnicy. Zakon rycerzy świętego Jana Chrzciciela.

Bitwa ucichła równie nagle, jak się zaczęła. Kilku wojowników przypadło do luzaków, wskoczyło na siodła i popędziło w ślad za umykającymi Saracenami. Pozostali wstrzymywali rozpędzone konie i zaganiali je w jedno miejsce, a ów rycerz, który popisał się tak doskonałym kunsztem jeździeckim, uderzył swego wierzchowca piętami i wolno podjechał do ognia. Jego rumak, jeszcze przed momentem rozpędzona, niepowstrzymana bestia, przestępował teraz ostrożnie nad ciałami pokonanych Arabów.

Sługa Pana, z wysiłkiem wbiwszy sztych w pierś rżęcego głośno rannego, teraz uniósł głowę i ściągnął hełm, a po nim czepiec kolczy. Spoczone czarne kędziory spłynęły mu na ramiona.

- Znowu się spóźniłem - powiedział do niego jeździec skwaszonym głosem. Mówił z twardym akcentem, który Gaston skądś sobie przypominał, podobnie jak przenikliwe, ostre spojrzenie jego niesamowicie błękitnych oczu. Potrząsnął głową, usiłując strząsnąć uniesienie bojem i na nowo przywrócić sobie jasność myślenia.

I wtedy jak na dłoni ujrzał pokład galery zakonnej obmyty deszczem krwi i potu.

Brat Jakub!

- Nie zamartwiajcie się, bracie. - Czarnowłosy szpitalnik wytarł miecz o płaszcz dobitego muzułmanina i wyprostował się. - Jesteście w naszej wesołej gromadce dopiero od dwóch dni. Jeszcze zdążycie sobie mieczem powymachiwać.

Przez chwilę wsłuchiwał się we wrzaski doganianych muzułmanów.

- Chyba że mielibyście ochotę... - zaczął, wskazując kierunek, z którego dobiegały, ale twarz młodszego zakonnika stężała.

- Gustuję w bardziej wyrównanych starciach, kasztelanie - oznajmił. Odwrócił wzrok w bok, manifestując swe oburzenie, a wtedy dojrzał Gastona. Dotychczasowe rozczarowanie wyparowało w jednej chwili, zastąpiło je zdumienie przemieszane z kpiną.

- Nie do wiary, toż to sam de Baideaux! - Uśmiechnął się krzywo, a jego błękitne oczy załśniły niczym okruchy lodu w blasku słońca. - Czyżbyście nagrzeszili już tyle, by szukać schronienia i pokuty wśród braci? A więc prosimy, prosimy.

Rozdział dzieiaiąty

w którym Gaston de Baideaux, dotarłszy do wielkiej

twierdzy zakonu szpitalników, powinien czuć się bezpieczny, lecz bez wahania odrzuca spokój ducha na rzecz kolejnych rozterek

Ogromne zamczysko Le Krak, zwane również Krak des Chevaliers, wyrastało na szczycie wysokiego wzgórza niczym szary, nieruchomy smok, który przysiadł na chwilę, by nabrać sił przed dalszym lotem na skraj świata. Na wschodnim horyzoncie przez oślizgłą szarość chmur przebił się róż świtu, barwiąc płynące doliną mgły. Z każdym krokiem konia, z każdą linijką wyśpiewywanego przez rycerzy psalmu jasność narastała, jakby to nie dzięki prawom natury, ale dzięki modlitwie szpitalników słońce wstało nad Ziemią Świętą.

Gaston całkiem zapomniał o swym znużeniu. Słyszał, że stolica zakonu szpitalników robiła wrażenie nawet na tych, którzy oniemiaли ze zgrozy wpatrywali się w mury Antiochii, ale w najmniejszym stopniu nie przygotowało go to na ten widok. Wpatrywał się urzeczony w masywne mury zewnętrzne, zdobne najczystszy różem jesiennego poranka i poprzedzielane cielskimi baszt, w skąpane rosą dachy oraz niewzruszone bramy z nieruchomymi sztandarami zakonu i przez chwilę znów był tym samym człowiekiem, który powiatał Outremer, wierząc, że i jego miecz pokryje kiedyś cudowne kwiecie.

Psalm zakończył się i rozmarzony Gaston zamrugał oczami rozczarowany. Kolory świtu naraz wydały mu się bledsze.

- Robi wrażenie, prawda? - głos czarnowłosego kasztelana, zwanego przez pozostałych bratem Henrykiem, był pozbawiony wcześniejszej ironii. Miast niej dawało się wyczuć miłość, z jaką szkutnik mówi o swej najśmi-glejszej galerze, a masztalerz o najpiękniejszym rumaku. - Tych murów nie skruszy żadna machina, a bramom nie da rady żaden taran, nawet jeśli ktoś zdoła go podciągnąć tak daleko. Wznieśliśmy je na litej skale, stąd też nikt nie jest w stanie wykonać podkopu. Wody z fosy starczy po dzień Sądu Ostatecznego, mamy lochy pełne żywności, silosy zbożowe, wiatrak, a nawet piekarnię, przez co niestraszne nam głód i pragnienie. Mówię wam, dobry rycerzu de Baideaux, ten zamek pomieści dwa tysiące zbrojnych, którzy mogliby bronić go przez wieczność!

Gaston nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, więc skinął jedynie głową.

- Raz już Salah ad-Din spróbował oblegać Krak, ale szybko go poniechał - dodał z dumą kasztelan. - Potem ruszył pod Al-Markab, drugą z naszych twierdz, ale i tam mu się nie poszczęściło.

- Choć coby nie popełnić grzechu pychy, trzeba przyznać, że sułtan nie ma cierpliwości do dobywania zamków - wtrącił obojętnie brat Jakub. - Co widać choćby na przykładzie Tyru.

- A także coby nie popełnić grzechu ignorancji, trzeba pamiętać, że tylko szaleniec chciałby zadzierać z zakonami rycerskimi - zmarszczył brwi brat Henryk.

- Zda się, w armii sułtana sami szaleńcy, bo z naszych twierdz ino Markab jeszcze się trzyma, a templariuszom tylko Tortosa została.

- Lecz coby nie popełnić grzechu niegościnnności, prosiłbym braci, byśmy nie mówili o templariuszach - wtrącił półgębkiem Gaston. - Zwłaszcza na czczo.

- Rach-ciach-ciach - przytaknął trzeci z rycerzy zakonnych, a kasztelan i brat Jakub wybuchli wymuszonym nieco śmiechem.

I zapadła cisza przerywana jedynie stukotem kopyt o kamieniste podłoże i pokrzykiwaniem rozbudzonych ptaków. Hufczyk wjeżdżał osłoniętą rampą, śledzony przez ciemne ślepie otworów strzelniczych, i zakręcił aż trzykrotnie, zanim wreszcie znalazł się przed główną bramą. Kasztelan zaintonował kolejny psalm, ale jego bladzi, zmęczeni nocną wyprawą podkomendni, zarówno rycerze, jak i giermkowie, nie kwapili się do śpiewu. Urwał więc w pół wersu. Z murów okrzyknęły ich strażę, odpowiedział im sam brat Henryk. Gdzieś nad głowami zbrojnych krzyknął jastrząb.

To przypomniało Gastonowi de Baideaux, dokąd zmierza. Odwrócił się wolno ku jadącej na tyłach oddziału Annie Giscolvi. Wymizerowana, blada Italka posłała mu lekki uśmiech.

Wyobrażenie uśmiechu Anny towarzyszyło młodzieńcowi przez następną godzinę, dlatego nie zapamiętał wiele ani z tryumfalnego wjazdu do fortecy, ani z hucznego powitania, jakie zgotowała im załoga zamku. Nie zarejestrował też chwili, gdy bracia służebni w brunatnych tunikach przejęli ich konie, a ich samych poprowadzili do skromnie umeblowanej celi przeznaczonej dla gości. Dopiero tam oprzytomniał.

- Widziałeś to zamczysko? - Odwrócił się ku Bernardowi. - Widziałeś te wieżyce, te bramy? Kasztelan nie przesadzał, trzeba by wszystkich armii świata, by dobyć taką fortecę! Jego giermek okazał się jednak nie tylko niemy, lecz również ślepy na wspaniałości Le Krak, bo rozpakowywał ich podróży dobytek ze spokojem tak stoickim, że Gaston poczuł się jak błazen, w dodatku kłamiwy. Paplaniną o zamczysku chciał zakryć inne, o wiele intensywniejsze odczucie.

Dotknął swych policzków i aż cofnął dłonie, takie były gorące.

Przyjrzał się bacznie Bernardowi, lecz z zarośniętego, kosmatego oblicza giermka, który właśnie nalewał wody do cynowej misy i szykował ręczniki, nie dało się nic wyczytać. Przez chwilę świdrował go oczami z podejrzliwością, a potem nagle wybuchnął:

- Co, ty też się obraziłeś?! Masz do mnie o coś żal? Może o to, że znaleźliśmy się w gościnie u szpitalni-ków, po tym jak z nimi zadarliśmy? A co niby mieliśmy zrobić? Rozstać się na bezdrożu i ruszyć w dalszą drogę z tym szaleńcem de Royes'em wężącym nasz trop? Wierny sługa uśmiechnął się bezradnie, a potem pokazał swe usta.

- Tak, wiem, że nie potrafisz mówić, ale umiesz przecież chyba skinąć głową, co? Umiesz pokiwać, rozłożyć ręce czy wzruszyć ramionami?

Olbrzym popisowo wzruszył ramionami.

„A niech cię szlag! - pomyślał wzburzony Gaston. - Myśl sobie, co ci się żywnie podoba”.

Uspokojony obmył twarz i dłonie, a potem wytarł je starannie. Wtedy do drzwi celi ktoś zapukał.

- Bogu miły kasztelan Henryk de Treviere proszą na mszę świętą - oznajmił od progu młody brat służebny. - A potem na ćwiczenie rycerskich sztuk na niskim dziedzińcu.

- Przekażcie bratu Henrykowi, że z radością skorzystamy z jego zaproszenia - dwornie odparł Gaston, lecz posłaniec, miast odejść, odchrząknął i dodał mniej pewnym głosem:

- I... I szlachetna pani Anna Gisolvi prosi, byście znaleźli, panie, chwilę i złożyli jej wizytę.

- Dziękuję - rzekł de Baideaux i znów nachylił się nad misą. Musiał obmyć twarz, bo rozpalone policzki piekły go jeszcze bardziej niż poprzednio. Zerknął na Bernarda.

Giermek skrył swój uśmiech tak starannie, że Gaston nie miał powodu, by go znów zrugać. Wściekły nabrał dłońmi chłodnej wody.

Ciężka dębowa laga spadła na jego hełm z taką mocą, że aż go zamroczyło, a w głowie zagrzmiały dzwony z kaplicy Krak des Chevaliers. Odmachnął na ślepo i cofnął się instynktownie, z trudem łapiąc równowagę. Potrząsnął głową, usiłując odzyskać ostrość spojrzenia. Minęła dłuższa chwila, nim z mgieł wyłoniła się wysoka postać jasnowłosego brata Jakuba, z którym przyszło mu walczyć w parze.

Splunął, potrząsnął głową raz jeszcze i uniósł spojrzenie. W błękitnych oczach szpitalnika nie odnalazł żadnych uczuć, co go rozczarowało. Gdyby odczytał w nich kpinę, pogardę lub pragnienie zemsty, miałby wreszcie upragniony pretekst, by się na niego rzucić, przygnieść do ziemi, kopać, dusić. A tak tortura, która ciągnęła się Bóg wie ile, wciąż nosiła miano ćwiczeń, a ich zasady, obwieszczane surowym głosem przez kasztelana Henryka, nie pozwalały na żadną nierycerską konduktę.

Tymczasem w sercu Gastona wrzało. Uniósł pałę oraz drewnianą tarczę do pozycji, jakiej kiedyś wyuczył go Diabeł.

- No - wycharzał. - Dawaj.

Wiedział, że brat Jakub w ten właśnie całkiem rycerski, ale zupełnie niechrześcijański sposób wywiera swą zemstę za pułapkę, w którą wraz z Vittoriem wciągnęli go w Tyrze. Wiedział też, że moralna przewaga jest po stronie szpitalnika, ale nie miał najmniejszego zamiaru ustąpić i dać się stłuc bez stawienia oporu.

- No? - ponowił zaproszenie.

W przymrużonych, lodowatych oczach Jakuba coś błysnęło. Zrozumienie? Zniechęcenie?

- Celem tych ćwiczeń jest doskonalenie walki mieczem - rzekł powoli, a były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział. Mówił cicho, ale tak dobitnie, że ćwiczący naokoło zdyszani rycerze przystawali, by go posłuchać. - Mieczem, świętą bronią sług Pana, w swej urodzie podobną krzyżowi, na którym umarł Syn Jego - ciągnął. - Trzymamy dębowe kije, albowiem są cięższe i wyrabiają krzepę w ramieniu, ale pamiętać musimy, że to miecz. Święty miecz. Prawdziwa broń rycerstwa.

- Na gadanie przyjdzie czas później - warknął de Baideaux. - Uderzasz czy nie?

- Ty zaś walisz tym kijem jak pastuch na polu. Jak prostak, a nie pasowany.

Świat załaza purpura.

Jak dziki pustynny wiatr Gaston natarł na szpitalnika, spuścił mu kij na głowę, nie zdążył nawet się zdziwić, gdy ten przeciął powietrze. Kątem oka dostrzegł Jakuba gdzieś po swej prawicy, a potem mignął mu jego kij. Brzuch eksplodował bólem, potem plecy, natarł na niego już nie brat zakonny, ale bruk dziedzińca. Rąbnął nasadę hełmu o kamienie.

- Tak to można napadać przechodniów w portowych dzielnicach - dobiegł go z oddali mało wyraźny głos szpitalnika. - Uczciwy rycerz, który serce oddał Bogu, walczy inaczej.

- Ja ci zaraz, kurwa, to serce wydrę i zeżrę na surowo... - wymamrotał półprzytomny, zamroczony de Baideaux i dźwignął się na kolana.

I wtedy z chaosu zamazanych, niewyraźnych postaci wyłoniła się jedna, zaskakująco ostra i widoczna.

Anna Giscolvi, strojna w szary płaszcz bez ozdób, z włosami ściągniętymi mocno na plecach, stała i przyglądała się ćwiczącym rycerzom. Wstający z wysiłkiem Gaston był przekonany, że patrzy prosto na niego. Odetchnął głębiej i pomimo paraliżującego bólu skoczył na równe nogi. W oczach szpitalnika znów coś błysnęło, tym razem prawie na pewno zrozumienie. Potem przez jego usta przemknął lekki uśmiech.

Młody rycerz znów zaatakował, Jakub odbił jego cios bez trudu, a potem z wdziękiem uchylił się przed trzema kolejnymi. Na koniec zatrzymał rozpedzonego Pikardyj-czyka końcem kija.

- Walczyć o damy też trzeba umieć - szepnął - bo wstyd zbierać po łbie w ich imieniu.

I sam zamierzył się do ciosu. *

Po tygodniach deszczu i dżdżystej pogody szare chmury wreszcie odeszły na wschód i przez większość dnia dziedzińiec opromieniało słabowite jesienne słońce. Pod wieczór jednak znów się ochłodziło i spacerująca wzdłuż blanek Anna Giscolvi otulała się mocno ofiarowanym jej płaszczem. Gaston zastał ją w chwili, gdy stała nieruchomo niczym posąg i wpatrywała się w fioletowe pasma na horyzoncie, ostatnią pamiątkę po zachodzącym słońcu. Jej włosy, które niecierpliwy wiatr wyrывał spod kaptura, falowały ciemną, niespokojną strugą.

Gdy spojrzała ku rycerzowi, fiolet zachodzącego słońca odbił się w czerni jej oczu. Nigdy dotąd nie wyglądała tak nieziemsko. Gaston zaprzagnął uklęknąć przed nią, wszystko go ku niej pchało i ciągnęło...

Lecz nie mógł sobie pozwolić na to, by doszła do tych samych wniosków co Bernard czy Jakub.

- Kasztelan de Treviere nie przesadził - powiedziała, patrząc daleko w przestrzeń. - To rzeczywiście wspaniały zamek. Ziemię, nad którymi panuje, zwą się Al-Bukaja i od dawna

uchodziły za najbogatsze w całej Syrii. Jeszcze przed przybyciem krzyżowców stał na tej górze inny zamek, a zwał się Hisn al-Akrad, Zamek Kurdów. Jednakże ani on, ani Krak de Chevaliers nie uchroniły mieszkańców Al-Bukai przed okropnościami wojny.

- Chcecie, pani, rozmawiać ze mną o historii?

Uśmiechnęła się.

- Nie, chyba nie. Jak twa głowa?

Gaston skrzywił się, dotknąwszy swego obandażowanego czerepu. Nie przepadał za medykami, a w dodatku ci u szpitalników podobno stosowali nawet saraceńskie i żydowskie maści - strach pomyśleć, co w nich było! Tyle dobrego, że w jego przypadku kilkunastogodzinny pobyt w infirmerii zakończył się jedynie obłożeniem rany chlebem ugniecionym z pajęczyną, czyli po chrześcijańsku, ale i tak nie miał ochoty o tym rozmawiać.

- Nie pierwszy raz i nie ostatni - burknął. - Ten sku-baniec...

- Wiem - przerwała Anna i położyła mu palec na ustach. - Wszystko wiem. Nie musisz się tłumaczyć. Jesteś dzielnym rycerzem, człowiekiem honoru i tak będę o tobie myśleć, choćby nawet cały zakon wygrzmocił cię kijami po głowie.

- Dziękuję, pani - odparł de Baideaux. Tym razem opanowanie odruchu uklęknięcia okazało się o wiele trudniejsze.

- I co teraz? - Uśmiechnęła się.

- Teraz? - westchnął Gaston i spojrzał na ciemniejący fiolet zachodu słońca, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedź. - Teraz jesteśmy bezpieczni, przynajmniej przez jakiś czas. Możemy odpocząć, nabrać sił i pomyśleć o dalszej wędrówce do Himsu.

- Na szczęście nie będzie to już potrzebne - powiedziała cicho Anna. - Nie zależało mi na dotarciu do Himsu, ale w okolice tego miasta, a trudno o lepsze schronienie niż Krak des Chevaliers. Jeśli o mnie chodzi, powinniśmy tu zostać.

- Po co więc to wszystko? - zapytał z trudem rycerz.

„Nie tak! - ofuknął się w myślach. - Surowiej, z chłodem i rezerwą!”

- Jak siedzenie w zamku ma wam pomóc w odnalezieniu tego człowieka? - rzucił oschle. W odpowiedzi Anna wskazała dłonią drobny punkcik, ledwie widoczny na tle ciemniejącego szybko nieba.

- On go wskaże - rzekła cicho. - Przypuszczam, ba, jestem niemalże pewna, że Usama został wcielony do jednego ze stacjonujących w okolicy oddziałów Salah ad-Dina. Zważywszy na zapal, z jakim tępią je rycerze świętego Jana, jego życie jest w wielkim niebezpieczeństwie. W głosie Italki zabrzmiała drżąca troska, która w jednej chwili zdławiła starannie skrywane uniesienie w sercu Gastona.

- Dlatego też - ciągnęła z trudem Anna - dlatego też chciałam cię poprosić o ostatnią przysługę. Przyłącz się do szpitalników, Gastonie, gdy ci wyruszą na swą kolejną nocną wyprawę. Napadaj z nimi, walcz z nimi, ucz się od nich. Lecz gdy dostrzeżesz jastrzębia, który bije skrzydłami nad głową któregoś z Saracenów, ocal go. Uratuj mu życie, a moja wdzięczność nie będzie miała granic. '

- Nie na waszej wdzięczności mi zależy, pani - burknął, krzywiąc się. Patrzył wysoko, na sztandary zakonu łopoczące na wieczornym wietrze.

- Wiem. - Skinęła głową. - Czy wiesz już, w jakim celu mam... Mam wykorzystać moją moc?

- Tak - odparł. - Chcę, byś odnalazła mego brata.

Wypowiedziawszy te słowa, ruszył w kierunku schodów prowadzących na dziedziniec. Zatrzymało go wołanie cichsze od snu.

- Ja naprawdę jestem ci wdzięczna, Gastonie.

Jej oczy, ciemne niczym noc, błyszczały.

- Przykro mi, że zabiłam w tobie nadzieję, ale nie bierz mnie za kobietę o czarnym sercu. Nie myśl, że jestem niewdzięcznym, wyzutym z wszelkich uczuć, zimnym posągiem, jak niewątpliwie przedstawił mnie Vittorio. I czekam na chwilę, gdy będę mogła ci to okazać. Odszedł bez słowa, skinąwszy tylko głową, lecz w jego wyobraźni wciąż błyszczały czarne oczy Italki.

Po ścianach wielkiego refektarza pełgał blask wielu pochodni, a chóralne śmiechy niosły się echem daleko po krużgankach. Gaston de Baideaux szedł wśród długich ław i z mieszaniną zdumienia i zaciekawienia przyglądał się zarumienionym twarzom braci zakonnych oraz kubkom z winem w ich dłoniach. Niektórzy, najpewniej uczestnicy nocnej wyprawy na Saracenów, ze swadą opowiadali przyjaciółom o swych przewagach wojennych, inni przekomarzali się i dowcipkowali. W kącie potężny szpitalnik, noszący miano brata Rajmunda, ale powszechnie zwany Rachciachem, podwijał prawy rękaw i szykował się do pojedynku na rękę z uśmiechniętym przerażająco Bernardem. Ku swej uldze nigdzie nie widział brata Jakuba, dostrzegł natomiast kasztelana de Treviere, który siedział samotnie w kącie i również popijał wino.

- Pozwólcie, że wyprzedzę wasze pytanie, cny rycerzu - odezwał się, widząc podchodzącego Gastona. - Nasza reguła surowo potępia pijaństwo i abyśmy w grzech nieumiarkowania nie popadali, trzecią część chleba i wina jako jałmużnę trzeba dawać. Trwa jednakowoż wojna, o jałmużnę mało kto się upomina, a morale spada. Tak więc kilka tygodni temu doszedłem do wniosku, że muszę zrobić wszystko, by podtrzymać ducha w ludziach. Złagodzenie reguły i podarowanie im godziny na zabawę wraz z prawem wypicia paru kubków mocnego wina pod warunkiem pięciokrotnego odmówienia Pater noster nie jest chyba wielkim występkiem, prawda?

- Nie mnie to oceniać, bracie - odparł de Baideaux i usiadł obok zachęcony gestem kasztelana.

- I słusznie - potwierdził Henryk de Treviere, kiwając przy tym głową z entuzjazmem wskazującym na przekroczony limit wypitego wina. - Zajmie się tym w swoim czasie kapituła. Ale wiercie mi, dobry rycerzu, jeśli uda nam się odbić Jerozolimę i przepędzić Saracenów, z prawdziwą radością poddam się karze. Należcie sobie.

Gaston skwapliwie skorzystał z propozycji. Ponad głowami zaciekawionych braci dostrzegł, że Bernard i Rachciach zwarli dłonie, aż zachrząściło. »

- Mówią, że cesarz Fryderyk już blisko, a Salah ad-Din nie posiada się ze strachu - powiedział, siadając.

- Ba, ksiądz Jan też się zbroi na potęgę - burknął kasztelan. - Od dobrych kilkudziesięciu lat. Ze swojej strony powiem tylko, że wśród Saracenów panuje coraz większe zamieszanie. Ich dowódcy łatwo tracą głowy, a sami żołnierze walczą bez przekonania i pierzchają niczym niedoświadczeni rekruci. Gdybym miał pod swymi rozkazami pełną załogę zamku, rozbiłbym ich w pył! To Krak des Chevaliers byłby twierdzą, z której rozpoczęłoby się odbijanie Ziemi Świętej, Krak, nie Tyr! Ech, Boże miłosierny, uchowaj mnie od grzechu pychy! Po Hittinie zostało mi ledwie ośmiu rycerzy, niecała setka piechurów i garstka turkopoli. Tymczasem Saracenów w okolicach Himsu i Hamy jest dziesięć razy tyle. Zamku nie zdobędą, ale my im też nie zagrozimy. Jesteśmy tu w zasadzie otoczeni i właściwie to pozostaje nam czekać na waszego Barbarossę lub na jakikolwiek inny cud. Zresztą dobrze by było, żeby ten cud nastąpił szybciej. Ponoć emirowi Damaszkowi nie podobają się nasze nocne wyprawy i szy-

Rozdział dziesiąty

kuje na nas niezły hufiec. Nie obawiałbym się zbytnio, gdyby nie to, że na jego czele ma stanąć Baruh al-Malik, wódz słynący z okrucieństwa i nieprzejednania. A wy się dziwicie, że do codziennej rutyny wprowadziliśmy pijatykę? Wasze zdrowie, dobry rycerzu.

Stuknęli się pucharkami, kropla wina skapnęła na tunikę kasztelana. Rachciach i Bernard wykrzywiali twarze pogrążeni w bezlitosnych zmaganiach.

- I urządzanie nocnych wypraw - podchwycił Gaston. - Przyznam, bracie kasztelanie, że zrobiliście na mnie wielkie wrażenie.

Szpitalnik machnął lekceważąco dłonią, ale w jego oczach błysnęła duma.

- Boże, uchwaj mnie od grzechu pychy - powtórzył z westchnięciem.

- Widziałem waszych konfratrów pod Akką. Dzielnie stawali, ale co innego bić się w żelaznym ordyńku, a co innego nocą wroga podchodzić.

Nie mówił pełnej prawdy. Wiedział, że w armii króla Gwidona walczył hufiec szpitalników - ich niewielki oddział towarzyszył przecież orszakowi barona Ibelinu - ale nie przypominał sobie rycerzy świętego Jana podczas samej bitwy.

„Tak naprawdę to ja w ogóle niewiele z tej bitwy pamiętam” - przyznał w duchu, ale wobec Henryka de Tre-viere zachował nieporuszoną twarz. I słusznie, bowiem podпиты szpitalnik otworzył szeroko oczy i podniósł się nieco.

- Stawaliście pod Akką? - zapytał.

- Tak. W hufcu barona Baliana. W tej bitwie, kiedy to padł szlachetny Andrzej z Brienne. Kolejne kłamstwo.

- Ho, ho - westchnął kasztelan. - Ho, ho - powtórzył, splatając dłonie z tyłu głowy.

Przez chwilę milczał. Na czole zaczerwienionego Rachciacha pojawiła się gruba, pulsująca żyła, na Bernardowym kroplił się pot. Bracia zakonnicy krzyczeli jak opętani. Pochodnie łopotały podrywane przeciągami.

- Stawaliście pod Akką - powtórzył cichym głosem. - Akka, nasz utracony klejnot... Wiesz, że kiedyś znajdował się tam nasz dom zakonny? Choć my, rycerze świętego Jana, jesteśmy narodem bez ziemi, Akkę ukochaliśmy sobie szczególnie. Ongiś na murach miasta wszędzie powiewały flagi zakonu... Gdy przed trzema dniami przybył tu z Tyru brat Jakub, sądziłem, że wiezie listy od naszego prowizora wzywające mnie do armii zakonnej pod Akką. Niestety, został tu zesłany za pokutę. Ponoć w jakiejś bójce się wdawał w Tyrze.

- Aha - mruknął niezobowiązująco Gaston.

- Normalnie, wedle reguły, skazałoby się go na post przez siedem dni i jedzenie z ziemi. W środę i w piątek dostałby tylko chleb i wodę do picia. No ale cóż, wojna nam nastąpiła! Po co głodzić dobrego rycerza, nawet w imię pokuty, skoro jako posłańca pchnąć go można? A zresztą kto go tam wie... Może z jakimiś łachudrami się pobił, to bracia odstąpili od zwyczajowej kary.

- Może.

- Opowiedzcie o tej bitwie - poprosił niespodziewanie Henryk de Treviere z żarliwością człowieka, którego pech pozbawił szans uczestniczenia w czymkolwiek znaczącym.

- Będzie jeszcze ku temu okazja, bracie kasztelanie. - Gaston przesunął spojrzenie na najbliższą pochodnię. - Chciałem bowiem was prosić, byście pozwolili mi pozostać w Le Krak. I stawać razem z wami, póki nas emir Baruh nie popędzi.

- Ho, ho, witajcie zatem wśród nas! - uśmiechnął się Henryk, naraz jednak powiedział z wahaniem: - Ale co z waszą towarzyszką? Ta, jak jej tam było...

- Anną Giscolvi - przypomniał de Baideaux i spojrzał bacznie na kasztelana. - Co z nią? Chyba nie odmówicie gościny niewieście?

- Nie, nie, skąd - zaprzeczył pospiesznie de Treviere.

Rachciach stęknął przeciągle, Bernard przymrużył

przekrwione oczy. Jak dotąd żaden z nich nie osiągnął przewagi, ale pokrzykiwania braci zakonnych przybrały na sile. Przez to z początku nikt nie usłyszał słów łucznika z nocnej straży, który wbiegł do refektarza z meldunkiem. Dopiero kasztelan zwrócił na niego uwagę i niecierpliwym gestem przywołał do siebie.

- Mówże, na litość boską! - ponaglił.

- Jakiś templariusz do bram się dobija! - wykrzyknął żołnierz. - Mówi, że zwie się de Royes. Joscelin de Royes.

Postrzępione, skrzydlate chmury pędziły po niebie, zazdrośnie kryjąc srebrzysty blask księżyca. Postać Joscelina de Royes niemalże nikła w ciemnościach, bywały momenty, że widać było jedynie białą, lecz przybrudzoną tunikę przeciętą czerwonym krzyżem. Doskonale natomiast słyhać było jego głos, potężny i przenikliwy niczym górski wicher.

- Pomnijcie więc na sojusz między naszymi zakonami, kasztelanie - grzmiał - i użycie nam gościny! Jesteśmy ubogimi braćmi w Chrystusie i nie wymagamy wygód, starczy nam jeno...

- Nikt z tobą sojuszu nie zawierał, de Royes! - huknął w odpowiedzi de Treviere. - A imieniem Syna Jego umęczonego mordy sobie nie wycieraj, bo nie zdajesz sobie sprawy z mocy Jego gniewu!

Gaston de Baideaux spojrział z niedowierzaniem na kasztelana Krak de Chevaliers. Brat Henryk wychylał się między blankami strażnicy nad główną bramą i krzyczał z twarzą nabrzmiałą gniewem:

- Ogniem piekielnym straszyć cię nie będę, bo ten wachałeś już pewnie nieraz. Pozostał nam więc zwykły ogień dany ludziom i tym podsmażę ci bebechy, synu capa, choćbym miał później się smażyć w sąsiednim kotle! Won stąd, psie!

Młodzieniec pokręcił głową i odetchnął z ulgą. Dziki, paraliżujący strach, który obudziło w nim pojawienie się posłańca, zaczął z wolna uchodzić.

Joscelin stał nieruchomo, jakby nie usłyszał. W końcu powoli zawrócił wierzchowca, ale ledwie odjechał kilka metrów, gdy znów wykrzyknął:

- Powinienem być pamiętać, że rządysz tą budą, de Treviere, gdybym tylko był w stanie zaśmiecać sobie pamięć takimi kawałkami psiego łajna jak ty. - Głos jego, niczym skrzek upiorka cmentarnego, niósł się przez noc i budził dreszcze. - Przywiodły mnie tu ważne sprawy, zanadto ważne, by taki półgłówek mógł je pojąć, ale przysięgam ci, de Treviere, wrócę tu, gdy tylko je zakończę. Wrócę tu i rozwlóczę twoje bebechy.

I naraz Gaston nabrał pewności, że demoniczny templariusz przeniósł spojrzenie na niego. Jako jedyny na murze wiedział, czym są owe ważne sprawy, i serce jego ścisnął lęk, tym bardziej że chwilę później księżyc wydostał się zza postrzępionej chmury, a jego blask wydobył z mroku kilkunastu towarzyszących templariuszowi jeźdźców.

Kasztelan Henryk de Treviere charknął i splunął siarczyście w kierunku Joscelina.

- Przed wojną brat Henryk stał na czele wywiadu naszego zakonu - odezwał się cicho Jakub, który niepostrzeżenie wyrósł tuż za plecami de Baideaux. Wpatrywał się bez emocji w sylwetkę Joscelina de Royes, który zawracał konia i na czele swych ludzi odjeżdżał w mrok. Podobnie patrzył brat Henryk, brat Rajmund oraz pozostali szpitalnicy, którzy w ślad za swym przywódcą wylegli na strażnicę.

Kasztelan odwrócił się powoli i spojrział na łucznika, który przerwał im pijatykę. Powoli skinął głową, a potem wykrzyknął głośno:

- Nie wpuszczać tego skurwysyna do Le Krak, choćby nawet stado czartów go goniło! A teraz wszyscy do kaplicy! Pomodlimy się do Pana naszego o sprawiedliwość na tym cholemych świecie.

Gaston odwrócił się i wraz z innymi ruszył w dół schodów na dziedziniec, ze wszystkich sił próbując przyoblec obojętny wyraz twarzy. Nie pamiętał jednak, kiedy ostatnio czuł tak ogromną ulgę.

Nie mógł zasnąć.

Ciszę w celi zakłócało gromkie pochrapywanie Bernarda, w głowie wciąż odbijały się echem fragmenty śpiewanych psalmów, zmysły drętwiały od nadmiaru wypitego wina. Leżał i wpatrywał się w ciemność szeroko otwartymi oczyma, a oszalałe, niewyraźne myśli uderzały jedna o drugą.

Anna Giscolvi.

Wyniosła i obojętna. Władcza. Niebezpieczna władczyni magii. Zdradliwa i niegodna zaufania.

Uśmiechnięta.

„Nigdy, przenigdy jej nie ufaj” - mówił Vittorio.

„Nie zapominaj o miłości” - przestrzegał Diabeł.

„Nie bierz mnie za kobietę o martwym sercu” - błagały jej oczy.

Miotał się na posłaniu, zaciskał dłonie na skroniach, w duchu błagał sen, by wreszcie go zmorzył, ale ten trzymał się z dala wystraszony szybkim biciem serca młodzieńca.

„Ona jest taka jak Vivienne - powiedział do siebie w myślach. - Zmienna, fałszywa, snująca własną intrygę. Na pewno”.

Jej twarz brudna od sadzy i błota. Twarz z policzkami mokrymi od łez. Twarz dumna, ocieniona kapturem. Twarz rozjaśniona ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

„Piękno ma wiele postaci” - podpowiedział mu jakiś cichuteńki głos, być może tchnienie serca.

„Jesteś idiotą!” - zakrzyczał go inny, najpewniej wyrzut sumienia.

„Powiedziała, że czeka na noc, kiedy ci o wielu rzeczach opowie”.

- Powiedziała, że czeka... - wyszeptał Gaston i zerwał się ze swej pryczy.

Nie dbając o to, czy obudzi czujnie śpiącego Bernarda, pośpiesznie naciągnął trzewiki, otworzył ciężkie drzwi i wybiegł na ciemny, owiany przeciągami korytarz, opromieniony blaskiem samotnej pochodni na najdalszym zakręcie. I ruszył biegiem, samotny w trzewiach zamczyska, owładnięty dziką, niezrozumiałą dla siebie pasją.

„Nie zapominaj o miłości” - wspomnienie głosu Diabła powracało, dodawało mu sił.

Natchniony tą jedną myślą nie zważał na żadną inną. Pędził korytarzami, sadił wielkimi susami po schodach coraz bliżej drzwi jej komnaty, coraz bliżej spełnienia.

Lub porażki.

„Szukamy człowieka, którego kocham” - przypomniało mu inne wspomnienie, gdy uniósł dłoń, by zastukać z niecierpliwością w drzwi jej komnaty.

„Przykro mi, że zabiłam twą nadzieję” - dokończyło kolejne.,

„No, zmykaj, biedny chłopcze”.

I uciekł.

Anny Giscolvi zresztą i tak nie było w środku.

Wyruszyli następnego dnia zaraz po jutrzni w piętnaście koni: brat Jakub, brat Rajmund, dwóch innych rycerzy oraz dziewięciu uzbrojonych po zęby giermków. A wraz z nimi Gaston i Bernard. Nierozbudzony jeszcze świat tchnął szarością i wilgocią, stukot końskich kopyt rozmywał się we mgle.

Młodzieniec ani razu nie odwrócił się ku murom fortecy, skąd zegnała ich reszta załogi. Siedział pochylony w siodle, pochłonięty swymi czarnymi myślami, skrzywiony. Być może przez to nie zauważył kilku rozbawionych spojrzeń, jakie wymienili między sobą szpitalnicy.

Słońce tego dnia nie zaszczyliło mokrej syryjskiej ziemi ani jednym promykiem. Miast tego skłębione, sta-lowoszare chmury powitały ich dwukrotnie ulewą - gdy mijali wyludnioną wioskę

u stóp zamku, która została zniszczona na skutek krótkotrwałego oblężenia Salah ad--Dina, oraz gdy zagłębiali się między pierwsze wzgórza pokryte marną roślinnością makii, gdzie prawdopodobieństwo spotkania saraceńskiego podjazdu rosło z każdą chwilą.

- Z rzadka wypuszczamy się za dnia - mruknął Jakub, zdjął hełm i otarł mokrą od deszczu twarz.
- Ale warto zaryzykować. Kasztelan twierdzi, że wśród Sara-cenów coraz większe rozprężenie. Wszyscy ponoć na owego Baruha czekają, który ma porządek zaprowadzić. Pokładam nadzieję w Bogu, że de Treviere się nie myli. Ze wszystkich rodzajów śmierci męczeństwo odpowiada mi najbardziej, ale wolałbym to odłożyć na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Miał to być żart, ale Gaston nie potrafił zmusić się nawet do uśmiechu i jedynie odburknął coś niezobowiązująco. Cała jego złość na Jakuba wyparowała przytłoczona ciężarem porażki, którą poniósł tej nocy. Wciąż widział ów korytarz opromieniony blaskiem pojedynczej pochodni, wciąż widział dębowe drzwi zagradzające wej-

Rozdział dziesiąty 13

ście do jej komnaty, wciąż patrzył, jak jego dłoń opada na klamkę, ale nagle zatrzymuje się i cofa z drżeniem.

Uciekł.

„Czego się wystraszyłeś? - szydził jakiś głos w jego głowie. - Odrzucenia? Szyderstwa? Niechęci? Na litość boską, naprawdę można cię w ten sposób zranić? Po tym wszystkim, co przeszedłeś, może cię odpędzić jak wstydliwego parobka? Prawdziwy rycerz nie ucieka spod alkowy niewiasty, która przypadła mu do gustu!”

„Dobrze się stało - uspokajał go inny. - Masz dość zmartwień na głowie, by jeszcze przejmować się intrygami italskiej wiedzmy. Poza tym czy kobieta, której ukochanego właśnie poszukujesz, skłonna byłaby dzielić łożę z jakimkolwiek innym mężczyzną? Dobrze zrobiłeś, przynajmniej oszczędziłeś sobie wstydu”.

Zamykał oczy i aż drżał z upokorzenia. Otwierał je i ślepl. Widział jedynie czarne spojrzenie Anny. Widział jej twarz osłoniętą kapturem, jej włosy na wietrze. Czuł dotyk jej palców na swych policzkach.

Nic dziwnego, że ostatni dostrzegł podjazd wroga.

Wypadki zresztą potoczyły się tak błyskawicznie, że i tak nie miało to większego znaczenia. Orszak szpital-ników, który podróżował głównym traktem prowadzącym na wschód, ku skrytej za horyzontem Antiochii, wyjechał zza zwałowiska skał i niespodziewanie znalazł się naprzeciwko sporej grupy Saracenów myszkujących wśród kilku krytych wozów. Jedynie paru z nich nie zsiadło z koni, ale ci znajdowali się na tyle zatrzymanej karawany i najwyraźniej pilnowali wierzchowców całej reszty. Okrzyki zdumienia i zachwytu biły aż pod szare niebo. Nie było czasu do zastanowienia.

Brat Jakub uderzył konia piętami, wykrzyknął coś, co zagłuszyło rumor kopyt, i pochylił włócznię, a za nim pozostali. Gaston zdążył jedynie zerknąć na niebo - nad głowami muzułmanów nie dojrzał jastrzębia - i runęli prosto na zaskoczonych, rozbiegających się w panice pogan, zaś huk kopyt toczył się echem wśród wzgórz.

Przeciwnicy nawet nie próbowali stawiać oporu. Uciekali, kryli się za kamieniami, wpełzali pod wozy; ci, którym udało się dopaść koni, gnali na łeb na szyję wzdłuż traktu. Rozpędzeni szpitalnicy kłuli ich włóczniami, cięli, tratowali bez tryumfalnych wrzasków, bez choćby słowa. Miażdżyli wraży podjazd z rzemieślniczą precyzją, niepohamowani, bezlitośni, niewrażliwi na nieliczne ciosy. Krótkie starcie zakończyło się równie niespodziewanie, jak się zaczęło, i trakt pokryły saraceńskie trupy. Ale nie tylko.

Jakub ostro osadził konia i wskazał kilku giermkom nielicznych uciekających. Ci ochoczo runęli w pościg, a szpitalnik zeskoczył z siodła. W milczeniu rozejrzał się wokół siebie.

- Rach-ciach-ciach - oznajmił brat Rajmund i przygwoździł włócznią pelzającego rannego. Ten wyprężył się po raz ostatni i bluznął krwią.

- Amen - mruknął Jakub. - Mój Boże, co tu się działo...

I uklęknął przy jednym z trupów.

Dopiero teraz Gaston zorientował się, że wśród ciał zabitych w nagłym ataku wojowników Salah ad-Dina znajdują się również inne, zgoła niepasujące do reszty.

Opasły, łysiejący mąż z długą brodą powalany czarną krwią z rozprutego gardła. Czarnowłosy chłopak w skórzanym kaftanie, któremu celny bełt przebił czaszkę. Jeździec w przybrudzonej burnusie, z zakrzywionym mieczem zastygłym w dłoni i twarzą nadal wykrzywioną wściekłością, nawet pomimo oczodołu zięjącego ogromną raną.

Woły zaprzężone do porzuconych wozów patrzyły na chrześcijan z niemym wyrzutem.

- To Ormianie - podniósł się Jakub. Jego twarz była zmieniona, nerwowo wycierał palce w tunikę. - Dobrzy chrześcijanie, choć schizmatyki.

- Rach-ciach-ciach - burknął Rajmund i podniósł się z groźną twarzą, wytarłszy miecz w płaszcz dobitego Saracena.

- Nic ująć, nic dodać. - Jakub rozejrzał się po okolicznych wzgórzach, wyludnionych i tchnących obcością. - Ktoś ich wyrznął na długo przed przybyciem muzułmanów. Wyrznął co do jednego, a potem porzucił na trakcie bez chrześcijańskiego pochówku, na pastwę hien i szakali. Przerwał, przekrzywił lekko głowę i przyjrzał się bacznie leżącemu kilka kroków dalej saraceńskiemu jeźdźcowi. Niespodziewanie doskoczył do niego, obrócił w dłoni miecz i spuścił ostrzem w dół, aż zazgrzytało. Z ust muzułmanina wyrwał się ostatni, chrapliwy jęk.

- A majątek na wozach najwyraźniej nietknięty - dokończył. - Hej, Gilbercie! Co tam wieziono?

- Atlas! - zawołał cicho jeden z giermków, zaglądając pod płachtę któregoś wozu. - Atlas i adamaszek! Fortuna!

- Kto wzgardziłby takim majątkiem? - zdziwił się Jakub. Jego przenikliwe błękitne oczy przewierciły Gastona, który podjechał konno i zeskoczył z siodła. - Kto?

- Może było inaczej - odparł cicho de Baideaux. - Być może ludzie, którzy opadli Ormian, chcieli zrabować ich chudobę, ale przeszkodzili im w tym Saraceni.

Na poważnej twarzy szpitalnika nie drgnął ani jeden mięsień. Zrudziałym od krwi ostrzem miecza pokazał kilka najbliższych ciał.

- Trzech zabitych zostało trafionych bełtem w głowę - wyjaśnił beznamiętnym głosem. - Zazwyczaj kusznik mierzy w korpus, w który o wiele łatwiej trafić. Ci najwyraźniej celowali w głowy. Ciała pozostałych nie mają na sobie żadnych obrażeń poza pojedynczymi ranami, które od razu zadały im śmierć. Ten tu został pchnięty włócznią w gardło, ten dźgnięty w oko, ten w serce. Rozumiesz?

- Rozumiem - skinął głową Gaston i przełknął ślinę. - Ci, którzy napadli karawanę, nie zwykli chybiać. Nie ulękliby się paru lekko uzbrojonych chłopów pogan.

- Ułożenie trupów wskazuje zaś na to, że karawana została napadnięta z różnych stron, a zatem napastników było wielu - ciągnął szpitalnik. - Nie, ktokolwiek napadł tych nieszczęsnych Ormian, najwyraźniej nie dbał o dobra doczesne. Nie wiedziałem, że w Outremer ktoś taki w ogóle istnieje.

- I co teraz?

- Teraz? - Szpitalnik uniósł brwi i obrzucił wzrokiem wozy. - Sprawimy zmarłym chrześcijański pochówek, spalimy ciała Saracenów, a potem, gdy wróci nasz pościg, zatroszczymy się o majątek tych nieszczęsnych Ormian, którzy najwyraźniej już wiele na nim nie

skorzystają. Nasi kapelani surowo karzą za grzech marnotrawstwa - dodał w odpowiedzi na zdumione spojrzenie Gastona.

Wypowiedział te słowa z taką powagą, że młodzieniec nie mógł się nie uśmiechnąć. Spojrzał na Bernarda, chcąc mu polecić, by chwycił za łopatę, ale wtedy przypomniał sobie pierwsze słowa szpitalnika:

„Na pastwę hien i szakali”.

Gdzieś daleko na wzgórzach zamajaczyła ciemna sylwetka jeźdźca.

Rozdział jedenasty

w którym Gaston czyni to, co się podoba Panu. I całe jego

szczęście

kapelan pobłogosławił braci i wieczorne nabożeństwo dobiegło końca. Gaston podniósł się z klęczek i rozprostował obolałe, zeszywniałe plecy. Z całej siły powstrzymał ziewnięcie, czując na sobie zaciekawione spojrzenia zakonników oraz braci służebnych. Przybrał więc dostojny, obojętny wyraz twarzy i zmieszał się z odurzonym kadzidłami tłumem podążającym na zewnątrz ku świeżemu, chłodnemu powietrzu wieczora.

Na dziedzińcu zamkowym doścignęło go jeszcze więcej spojrzeń. Przyglądali mu się giermkowie, strzelcy, służba i wszyscy ci ludzie, którzy w ostatnich dniach schronili się na zamku Krak des Chevaliers - Ormianie, Syryjczycy, nawet nieliczni Frankowie. Nic dziwnego, starczyło przecież rzucić okiem na młodego rycerza, by wiedzieć, że stoczył tego dnia zacięty bój. Płaszcz oraz jakę miał pocięte i powalane krwią, tarczę powgniataną, a na brudnej od błota twarzy przybyło siniaków i zadraśnień. Wiedział jednak, że kilku innych szpitalników jest w znacznie gorszym stanie. Plującego krwią brata

Eustachego zaniecono nawet do lazaretu, a wraz z nim dwóch giermków.

Saraceni ostatnio też mieli się na baczności.

Wciągnął w płuca zimne powietrze przesycone dymem z licznych ognisk, aż mu się zakręciło w głowie. Stał przez chwilę nieruchomo, napawając się długo oczekiwaną chwilą spokoju, przymknął oczy, a gdy znów je otworzył, ujrzał wokół siebie dziesiątki ludzi pozornie zajętych swoimi sprawami, ale mimo to nieustannie obrzucających go spojrzeniami. Wciąż się łudzili.

Wciąż mieli nadzieję.

Ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Wrócili do zamku tuż przed wieczornym nabożeństwem i brat Jakub, który tym razem dowodził patrolem, natychmiast nakazał wszystkim udać się do kaplicy. Posłuchali go, rzecz jasna, nawet Gaston nie miał obiekcji, choć nie był zakonnikiem - przecież nawet zmęczenie, głód czy pragnienie nie usprawiedliwiłyby zlekceważenia rozkazu człowieka takiego jak brat Jakub. Zeskoczyli ze zdroszonych, zdyszanych koni, rzucili wodze giermkom i wygłodniali, ranni i wyczerpani, bez słowa skargi poszli na mszę. A wszyscy mieszkańcy twierdzy, których liczba ostatnio się potroiła, nadal z niecierpliwością czekali na chwilę, gdy usłyszą wieści.

„Naiwniacy - pomyślał de Baideaux. - Nie rozumieją, że gdyby nam się powiodło, wjechalibyśmy do zamku ze śpiewem, z tryumfalnymi uśmiechami, prowadząc zapewne kilku jeńców?”

Thusty kupiec ormiański z siwą, sięgającą pasa brodą oraz trzy drobne, wtulone w jego szaty córeczki wpatrywali się w młodego rycerza z takim napięciem, że z trudem powstrzymał chęć wyszczerzenia zębów w sardonicznym uśmiechu.

„Nie, nie udało nam się - parsknął w myślach. - Nie udało nam się dopaść tych drani, którzy mordują podróżnych. Trakty nie są jeszcze bezpieczne. Miast tego starliśmy się z podjazdem

muzułmanów, którzy, z tego, co widać, przejmują się zagrożeniem równie mocno jak my. I z tego wszystkiego biją się lepiej. Nawet bez tego Baruha".

Szedł ku drzwiom do rzędu cel, gdzie znajdowała się również ta przydzielona jemu oraz Bernardowi. Ironiczne rozważania zdjęły z jego oblicza wyraz dostojeństwa i powagi, zastąpił go złośliwy uśmiech. Przez moment rozglądał się dookoła i doszedł do wniosku, że kasztelan Henryk de Treviere znów przyjął pod swe opiekuńcze skrzydła kolejnych podróżnych. Ponure opowieści o bandzie morderców, którzy pod wodzą szalonego templariusza mordują ludzi na traktach, niosły się daleko i niejedyn podróżny wyczytał w nich ostrzeżenie dla siebie.

Z początku szpitalnicy przyjmowali jedynie tych, którzy bez zająknięcia potrafili odmówić Pater noster i należycie się przeżegnać. Wyjątek czynili jedynie dla Żydów, a to z tego względu, że tym, jako nielicznym z uchodźców, można, a nawet trzeba było przedstawić rachunek za pobyt. Kryterium to niewiele jednakże zakonnikom dało, gdyż dla nowo przybyłych natychmiast zabrakło schronienia pod dachem, a wkrótce koców dla tych, którzy zmuszeni byli spać pod gołym niebem, na dziedzińcu lub między murem zewnętrznym a wewnętrznym. Obawiając się o zamkowe zapasy żywności i opału, kasztelan wyznaczył najsilniejszych mężczyzn do polowań i zbierania chrustu, a pozostałych przydzielił do pomocy w kuchni, młynie, stajniach, kuźni i lazarecie. Przygarnięci przez zakonników ludzie, jeszcze wczoraj gotowi na kolanach dziękować za ocalenie, dziś głośno sarkali na przydzielone im obowiązki i skąpe posiłki. Kilkakrotnie doszło do bójek między nimi a czeladzią. Co gorsza, nowo przybyli nabrali również zwyczaju palenia ognisk dla ochrony przed jesiennym chłodem, co mogło kiedyś źle się skończyć. Wbrew radom szpitalni-ków, by palić kilka dużych ogni miast wielu mniejszych, nowo przybyli robili po swojemu, marnując w ten sposób wiele cennego opału. Kradzieże chrustu stały się już codziennością. Zakonnicy oraz ich czeladź praktycznie nie rozstawali się z bronią, a utrzymanie ludzi w ryzach sprawiało o wiele więcej kłopotów niż walka z Saracenami. Nad murami i basztami zamczyska rozciągała się niewidoczna, ale odczuwalna aura niepokoju, rozedrgana niczym liczne promyki pochodni wśród krenelaży.

Gaston szedł powoli, nie zważając na ciche, nerwowe rozmowy ludzi kulących się w cieniu wewnętrznego muru ani ich wyczekujące spojrzenia. Zwolnił, dopiero gdy poczuł na swych plecach inny wzrok, przenikliwy, chłodny, jeszcze bardziej niespokojny niż pozostałe. Rozpoznał go natychmiast.

„Ty też się łudzisz, prawda? - pomyślał. Bardzo chciał odczuć w swych myślach ironię, lecz miast niej pojawił się smutek. - Masz nadzieję, że odnalazłem twego Usa-mę, ale zgrywam niewiniątko, by wywołać w twoim sercu jeszcze większe zamieszanie. Błąd. Ja nie potrafię grać, nie umiem się bawić kosztem innych. Chyba jako jedyny człowiek w Outremer".

Wbrew swej woli wyprostował obolały kark i odwrócił się ku murom. Stała tam gdzie zawsze, jak zwykle podobna do nocnego ptaka gotowego lada chwila wzbic się pod gwiazdy. Jak zwykle wbijała w niego swe czarne, niezglębione oczy.

Patrzył na nią krótko, ale wystarczyło, by na twarzy przechodzącego obok szpitalnika pojawił się przelotny uśmiešek. Gaston zacisnął pięści.

„A wam o co chodzi?! - miał ochotę wrzasnąć. - Myślicie, że nie widzę tych waszych drwiących uśmieszków? Bawi was to, że utknąłem w jednym miejscu z kobietą, którą..."

Nie dokończył tej myśli. Nie odważyłby się.

Odwrócił wzrok i ruszył naprzód zgarbiony, zgrzytając zębami. Wtedy dościgo go jeszcze jedno spojrzenie, śmiałe, zaczepne. Zwolnił kroku.

- Dokąd to? - dobiegły go słowa brata Jakuba.

Przystanął. Szpitalnik podszedł bliżej, de Baideaux widział jego blade policzki brudne od zakrzepłej krwi.

- Dokąd? - powtórzył z trudem Gaston ochryplym głosem. - Na spoczynek, bracie. Podobno Panu podoba się, gdy rycerze świętego Jana Chrzciciela nabierają sił przed spuszczeniem kolejnego lania nieprzyjaciołom Krzyża.

- Panu podoba się również, gdy dokładają wszelkich starań, by owo lanie było jak najdotkliwsze - stwierdził Jakub.

Młodzieniec zamrugnął oczyma z niedowierzaniem.

- Nie - rzekł, kręcąc głową. - Nie. Nie będziemy dzisiaj ćwiczyć, bracie. Nie po tym wszystkim, przez co dzisiaj przeszliśmy.

Oczy szpitalnika, bardziej błękitne niż szafiry, zim-niejsze od sopli lodów, rozbłysły, nie wiadomo, czy ironią, czy gniewem.

- A przez co takiego przeszliśmy? - zapytał wolno. - Nie masz chyba na myśli utarczki z tą bandą obdartu-sów, którym głupota nakazała zwalczyć instynkt i stawić nam czoło?

- Wybacz - Gaston bezradnie rozłożył ramiona - może dla ciebie to nic takiego, ale ja dostałem w kość. Jestem znużony, Jakubie, i nie mam ochoty...

Miecz szpitalnika ze złowieszczym zgrzytem wyrwał się z pochwy i przeciął powietrze, ciągnąc za sobą smugę blasku pochodni. Młody rycerz odskoczył z szybko bijącym sercem.

- Co ty wyczyniasz? - wykrztusił.

- Nieprzyjaciel nie ustąpi ci pola tylko dlatego, że jesteś zdrożony - warknął szpitalnik. - Walcz, bo ci łeb rozwałę.

Gaston namacał rękojeść własnego miecza.

- Jesteś szaleńcem.

- Jestem rycerzem zakonnym - wyprostował się brat Jakub. - To różnica. Walcz.

W oczach dziesiątek, setek uchodźców kulących się wokół wątych ognisk pod murami zamczyska błysnęło zaintrygowanie. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na co-wieczorny spektakl. Wśród tych, którzy przyglądali się walce, był pewien Prowansalczyk o zniewieściałym obliczu. Bezlitosne syryjskie słońce już dawno wysuszyło jego cerę i zatarło wszelkie europejskie rysy twarzy, a reszty dokonały zgrzebne szaty i brudny bandaż, którym owijał skaleczoną prawą dłoń. Nie wyróżniał się niczym pośród dziesiątków znużonych wędrowców bez imienia, którzy schronili się w Krak des Chevaliers w obawie przed demonami szalejącymi po traktach. Z pokorą pozwolił opatrzeć sobie dłoń w zamkowym lazarecie i ze spuszczoną głową wysłuchał pouczeń brata zakonnego, który surowo mu przykazał, by jej nie nadwierał przez następne dwa tygodnie. Więc nie nadwierał, nie musiał. W lewej dłoni miecz leżał mu równie dobrze jak w prawej, a nożem ciskał nią nawet lepiej.

Przyglądał się walce również siedzący dwa ogniska dalej wysoki, wychudły mężczyzna o zapadłych policzkach i mętnych oczach. Mówiono nań Rybak, bo ponoć tym się trudnił, mieszkając wcześniej gdzieś nad Jeziorem Tyberiadzkim. Oparty o mur co rusz przymykał powieki, nie wiadomo, czy poddając się chorobie, czy krwawym wspomnieniom, a drżące dłonie ułożył na kościstych kolanach. Nikt z siedzących przy nim ludzi nie rzekł mu ani słowa, nikt nie zaszczycił go dłuższym spojrzeniem.

Nikt więc nie zauważył, że jego prawy bark układał się nieco niżej od lewego, a palce wskazujący i środkowy prawej dłoni miały starte kostki jak u doświadczonych łuczników weteranów.

Przypatrywał się również drobny, gadatliwy człowieczek o rzadziejących czarnych włosach i oczach okolonych siateczką zmarszczek, który chodził od ogniska

Rozdział jedenasty 4

do ogniska i wszędzie wzbudzał wesołość. Opowiadał sprośne historie, by samemu śmiać się z nich do rozpuku, pokazując resztkę zniszczonych zębów. Nazywano go Pasterzem ze względu na

ubranie ze źle pozszywanych, niewyprawionych kozich skór, a on bynajmniej nie miał nic przeciwko temu.

Przynajmniej nikt nie interesował się, co nosi w pękatej sakwie.

Patrzyli w milczeniu, niewidoczni w tłumie podekscytowanych, pokrzykujących, klaszczących uchodźców.

Jakub atakował z niespotykaną do tej pory napastliwością. Jego miecz błyskał to tu, to tam i Gaston odbijał jego ciosy z coraz większym trudem. Cofał się krok za krokiem, ciężko dysząc, skupiony na migotliwej klindze szpitalnika.

Któryś z giermków zapalił beczkę ze smołą, dziedziniec zalała fala jasnego światła. Młodzieniec zmrużył oczy i lekko odwrócił głowę oślepiony blaskiem. Bardziej wyczuł, niż zobaczył, wzniesione ostrze szpitalnika. Zasłonił się instynktownie.

Zgrzytnęła stal, de Baideaux omal nie upadł pod impetem ciosu, na swym policzku poczuł oddech napierającego wściekle Jakuba.

- To wciąż za Tyr, tak? - wydyszał Gaston.

- Co? - Zakonnik uśmiechnął się złośliwie, ale jego napór nie zelżał.

- Za Tyr? Za to lanie, jakie ci sprawiliśmy z Vitto-riem?

- Za to lanie odpłaciłem ci pierwszego dnia - wyszczerzył zęby brat Jakub. - Nie pochlebiaj sobie.

Znów się starli. Obaj rycerze, zdyszani i poczerwieniali, usiłowali przemoc jeden drugiego, lecz żaden nie dawał za wygraną.

- To o co ci chodzi? - wykaszał de Baideaux. Ich twarze znajdowały się teraz tak blisko, że w każdej chwili mógł uderzyć czołem w zęby szpitalnika, co postanowił wykorzystać w ostatniej chwili.

- Panu podoba się, gdy jego służy doskonałą sztukę robienia mieczem w obronie Krzyża, mój bezbożny przyjacielu - odparł brat Jakub również zdyszany.

- Skąd tak dobrze wiesz, co się podoba Panu?

- Nie wiem. Ale wiem, co się nie podoba Allachowi.

Gaston przeszedł do kontrataku. Błyskawicznie cofnął miecz, odskoczył w tył, wykręcił piruet i z całej siły spuścił ostrze na plecy zaskoczonego szpitalnika. Ten jednak zdołał odbić cios, wzbudzając szmer podziwu w gęstniejącym tłumie uchodźców, czeladzi zamkowej, a nawet rycerstwa.

Prowansalczyk śledził pojedynek z napięciem, a przez jego zniewieściałe oblicze przemykały trudne do nazwania emocje: może zdumienie, może tęsknota, może nawet żal. Podobne odczucia pojawiły się na twarzy Rybaka z Tyberiady, który nie opierał się już o mur, tylko z wyraźną fascynacją śledził gwałtowną grę mieczy w blasku zapalanej beczki.

Rozdział jedenasty 2

Dopiero po dłuższej chwili zauważyli, że Pasterz próbuje coś im przekazać.

Zauważyli to, choć nikt inny nigdy nie pomyślałby, że seria drobnych, z pozoru niezauważalnych gestów, takich jak ledwie dostrzegalne muśnięcie palcem ucha, wydęcie ust, zmrużenie oczu czy wzdrygnięcie ramionami, układa się w komunikat równie czytelny jak seria wy-wrzeszczanych rozkazów. Pasterz pytał:

„Teraz czy później?”

Prowansalczyk nabrał tchu i zacisnął powieki, jakby wracał do rzeczywistości po długim, głębokim śnie. Gdy spojrzął na Pasterza, w jego wzroku nie było życzliwości. Musnął palcem wskazującym brew, potem przygryzł górną wargę, ułożył zdrową dłoń w dwa niby przypadkowe znaki i wskazał brodą coraz gęstszy tłum otaczający obu walczących.

„Teraz? Oszalałeś?! Przy wszystkich?”

W odpowiedzi Pasterz popatrzył znacząco na grupę kilku kłótliwych pulanów, którzy urzekli szpitalników znajomością chrześcijańskich modlitw, ale między sobą mówili wyłącznie po arabsku i bez ustanku wszczynali burdy.

Prowansalczyk, zacisnąwszy zęby, lekko pokręcił głową. Wiedział, że Pasterz zdołałby niespostrzeżenie znaleźć się za nimi, wierzył, że równie niespostrzeżenie zdołałby wyciągnąć swą kuszę i wystrzelić celny bełt, był też niemalże pewien, że Frankowie uznaliby pulanów za winowajców, ale mimo to coś w jego duszy zabroniło mu wydać ten rozkaz.

Zerknął na Rybaka. W jego oczach dojrzał coś podobnego.

Pokręcił ponownie głową i postanowił poczekać jeszcze chwilę w nadziei, że odkryje, jak owo coś nazwać.

Miecze migotały, rozsiewając blask płonącej beczki, każdy zgrzytliwy pocałunek kling witało westchnienie oczarowanego tłumu. Gaston i Jakub tańczyli wokół na ugiętych lekko nogach i co rusz przypadali do siebie, uwalniając lawinę straszliwych ciosów. Byli spoceni i zdyszani, ale czujni, w pełni pochłonięci walką. Gapie wzdychali, pokrzykiwali, wiatr szumiał groźnie, w żyłach huczała krew.

- Walczmy o coś - wychrypiał Gaston.

- O co? - uśmiechnął się kpiąco szpitalnik, nadrabiając miną, choć i on był już niełoho zmęczony.

- Jeśli poddasz się pierwszy, powiesz mi, dlaczego twoi bracia śmieją się ze mnie za plecami.

- Zgoda - rzekł szpitalnik. Uniósł wzrok ku donżo-nowi, a potem zaatakował.

Włożył w ten błyskawiczny cios wszystkie siły, de Baideaux nie miał szans się przygotować. Ostrze szpitalnika trafiło tuż pod jelec miecza młodego Pikar-dyjczyka. Zdrętwiałe ramię nie utrzymało broni, która upadła z brzękiem na ziemię. Zaskoczony umysł nie zarejestrował już opadającej klingi przeciwnika.

Płaz trafił Gastona pod kolana, posłał na płyty kryjące dziedziniec. Kolejne uderzenie bokiem klingi zupełnie go zamroczyło.

Brudne palce Pasterza wykonały serię nerwowych gestów, potem musnęły prawe kolano, prześlizgnęły się wzdłuż nosa i zacisnęły w pięść. Jego ciemne oczy wpatrywały się w Prowansalczyka z wściekłością, górna warga uniosła się nieco, ukazując zniszczone, spróchniałe zęby.

„Tracimy dogodną okazję! Dostać się pod jego celę nie będzie łatwo! Tam się kręci mnóstwo służby, jest jeszcze ten pachoł...”

„Nie”.

„Nic z tego nie rozumiem. Otrzymaliśmy rozkaz!”

„Czekaj”.

Prowansalczyk nie patrzył już na Pasterza, jego uwagę znów przykuły wydarzenia na placu.

Gaston kulił się pod gradem ciosów szpitalnika, który płazował go bez litości, ale uderzał coraz wolniej. Na swą zgubę.

Niespodziewanie de Baideaux odwrócił się, złapał Jakuba za nadgarstek, szarpnął. Na moment znikł zasłonięty ciałem padającego szpitalnika, a gdy się poderwał, dzierzył już jego własny miecz. Tłum wył, nawet obserwujący walkę rycerze zakonni klaskali i wiwatowali. Kasztelan, który właśnie nadszedł, by położyć kres pojedynkowi, zatrzymał się i założył ręce na piersi.

Patrzył z zaintrygowaniem, jak zdyszany Gaston podnosi swój własny miecz i rzuca go szpitalnikowi.

Oręż z brzękiem prześlizgnął się po kamiennych płytach, aż zatrzymała go drżąca dłoń Jakuba.

- Coś ci wypadło - oznajmił ochryplym głosem de Baideaux, zdyszany, slaniający się na nogach, ale z płonącym wzrokiem. - No, ruszaj dupę! Panu nie podoba się, gdy mili Jego sercu rycerze wylegują się beczynnie, miast hartować swe ciała i dusze.

Pod rozgwieżdżone jesienne niebo gruchnął śmiech z setek piersi.

Prowansalczyk zacisnął mocno powieki. Rybak odetchnął ciężko, bardzo ciężko, jakby naszło go okrutne wspomnienie. Tylko Pasterz świdrował obu niespokojnymi, nienawistnymi spojrzeniami. A potem zniknął niespostrzeżenie, tuż po tym, jak rycerz Jakub, dopingowany przez swoich rozbawionych braci, zdołał wreszcie dźwignąć się na nogi.

Bernard nagle poderwał się, aż drewniana prycza zaskrzypiała. Odrzucił wełniany koc i siedział, oddychając szybko, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemności panujące w celi. Jego dłoń bezwiednie sięgnęła po broń.

Prowansalczyk otworzył oczy, poszukał wzrokiem Pasterza. Nie widząc go, spojrzał na Rybaka. W jego wzroku błysnęło stalowe postanowienie.

Rybak nabrał głęboko tchu, aż uniosła się jego szeroka klatka piersiowa, a potem z wysiłkiem kiwnął głową. I odwrócił ją szybko, jakby chciał uciec przed wagą podjętej właśnie decyzji.

Gdy nad dziedzińcem zamkowym rozbrzmiały gromkie słowa Henryka de Treviere, które zakończyły pojedynek i rozproszyły tłum gapiów, obaj znikli jak kamień w wodę.

Bernard zamrugał oczyma. Zmarszczył krzaczaste brwi z niedowierzaniem, pokręcił głową i ostrożnie odłożył kij. Wyciągnął swe ogromne cielsko na pryczy i starannie okrył kocem. W chwilę później poniosło się jego gromkie chrapanie.

Dziedziniec szybko pustoszał, bracia wraz ze służbą odchodzili na spoczynek, a grupy uchodźców na powrót wtapiały się w półmrok pod murami bądź kuliły wokół ognisk na podobieństwo nastroszonych, obrażonych sów. Odszedł kasztelan de Treviere, na odchodnym klepnawszy Gastona w ramię, zniknął też Jakub, w którego oczach de Baideaux zdążył odczytać respekt. Jediną pamiątką po szaleńczym pojedynku była dopalająca się beczka smoły oraz ból w zdrętwiałym ramieniu.

I emocje huczące w sercu młodego Pikardyjczyka.

Okryty szczelniej płaszczem dla ochrony przed kąśliwym zimnym wichrem przymknął oczy, raz jeszcze napawając się uczuciem uniesienia, które otaczało go niczym świetlista aura. Przyjął wyzwanie i wygrał! Wygrał z szermierzem o niebo od siebie lepszym, a uczynił to z honorem, nie łamiąc żadnej z rycerskich zasad.

„Vittorio by mnie wyśmiał - pomyślał z rozbawieniem, wspominając chwilę, gdy podsunął Jakubowi miecz. - A ty, Diabło? Zaniemówiłbyś ze zdumienia, prawda?”

Sprovokowany Diabeł nie odzywał się, jak zwykle, lecz tym razem ku uldze młodzieńca. Nie chciał, by cokolwiek psuło mu tę wielką chwilę, by cokolwiek przerwało aurę uniesienia, której jak dotąd nie zdołał pokonać ani podświadomy lęk przed czarnym jeźdźcem, ani wyczerpująca tęsknota za Anną.

Rozmarzonym wzrokiem ogarnął posępne baszty Krak des Chevaliers i westchnął głęboko, połykając wielki haust lodowatego wichru.

„Podoba mi się tu - pomyślał. - To pierwsze miejsce w tej umęczonej krainie, które naprawdę mi się podoba”.

Podbudowany tą myślą ruszył wolno w kierunku swej celi. Opuścił dłoń na rękojeść miecza kołyszącego się z każdym krokiem, ujął ją pieścizotliwie, a potem mocno zacisnął palce. Przez jego usta przemknął lekki uśmiech.

Z początku nawet nie dostrzegł ciała skulonego w kącie niedaleko wejścia. Przez ostatnie kilka tygodni przyzwyczał się do widoku samotnych wędrowców śpiących byle gdzie, czasem wprost

na płytach dziedzińca. Zaintrygowała go dopiero czarna plama, która pokrywała przód chałata ze źle pozszywanych kozich skór.

Tknięty nagłym przeczuciem przykucnął obok.

A potem aż się poderwał.

Na twarzy siedzącego człowieka zastygło skrajne przerażenie. Powlokła ją śmiertelna bledź, jakby cała krew odpłynęła przez okrutnie rozcięte gardło. Na rozwartych szeroko ustach, ukazujących pieńki zniszczonych zębów, widniało echo przedśmiertnego, sprawnie stłumionego wrzasku.

"Rozdział dwunasty

w którym wyjaśnia się wiele tajemnic, a przez moment wszystko wskazuje na to, że szczęście wreszcie opuściło pewnego szubrawca. niestety, w sukurs przychodzi mu

Regula, a potem cały świat pęka

nadeszła mgła, duszna, oślizgła, igrająca z ludzkimi zmysłami. Bledosine kłęby wlekły się wąskimi uliczkami miasteczka Salib, wnikały do wnętrz chatynek, otulały ich ściany, przesłaniały nieruchome ciała niedawnych mieszkańców. W zbrojnym orszaku, który przed chwilą wjechał do miasteczka, mgła jednakże nie zmyliła nikogo.

Wytrawni wojownicy, weterani długiej wojny podjazdowej z wojskami Salah ad-Dina, w milczeniu przyglądali się ciałom poszarpanym ciosami bezlitosnych napastników. Po tylu miesiącach walk bez trudu potrafili odtworzyć ostatnie chwile zabitych. Gaston zresztą również.

„Ten mężczyzna uciekał ulicą, aż trafiono go włócznią, najpewniej z końskiego grzbietu - opowiadał beznamiętny głos w jego głowie. - Tamta kobieta chciała zatrasnąć drzwi do swej lepianki, lecz siłujący się z nią człowiek szarpnął tak mocno, że wypadła na podwórze.

Wtedy rąbnął ją toporem w potylicę. Tamta próbowała precyzyjnie się przez wąskie okienko, ale nie zdążyła, ktoś złapał ją za nogę i ciął przez plecy...”

Z każdą chwilą biaława mgła odsłaniała kolejną scenę koszmaru. Ledwie nastoletni chłopak, którego wystrzelony z bliska bełt przybił do ściany chatynki. Siwowłosy starzec leżący w kałuży krwi przed rozwartymi szeroko drzwiami, których najwidoczniej usiłował bronić. Zakrwawiona, nieruchoma piętka małego dziecka stercząca zza futryny wyłamanych drzwi w chacie obok.

A potem plecy starszego mężczyzny rozorane kłami łapczywego padlinożercy. I noga innego - obżarta aż do kości.

Powolny stukot kopyt wbijał się w mgłę, powracał zniekształcony, lecz poza tym panowała niemalże absolutna cisza. Było ich dwudziestu - prócz Gastona i Bernarda sześciu rycerzy zakonnych i dwunastu ciężkozbrojnych giermków - co do jednego uzbrojonych po zęby, zahartowanych i doświadczonych, a mimo to na obliczu każdego, nawet ogromnego Rajmunda, malowała się zgroza.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by szalony templariusz zaatakował całe miasteczko.

Dobrze wiedzieli, kim byli pozabijani ludzie. To właśnie w Salib zbierali się wszyscy ci, którym nie w smak było schronienie pod opiekuńczymi skrzydłami szpi-talników lub którzy zostali przez nich odprawieni spod bram Krak des Chevaliers. Miasteczko mimo braku umocnień i zbrojnej drużyny dawało im złudną nadzieję, że w gromadzie są bezpieczniejsi, że tak będzie im łatwiej przetrwać.

Nikt nie wiedział, ilu ludzi schroniło się w Salib. Każdy natomiast miał pewność, że większość z nich zginęła tej nocy, a wszelki ślad po Joscelinie de Royes oraz jego siepaczach zakryła lepka mgła.

- Boże, racz przekląć tych, którzy dopuścili się tych okropności - zagrział grobowym głosem poblady Jakub. - Bracia, trzeba ich pochować, a potem, Bóg mi świadkiem, nie spoczne, dopóki...

Przerwał mu ostry krzyk jastrzębia gdzieś wysoko nad jego głową. Gaston aż podskoczył w siodle. Szarpnął za wodze, skierował swego konia w stronę potężnego rumaka Jakuba, ale ten nie zwrócił na niego uwagi.

- Bracie Jakubie! - zawołał półgłosem de Baideaux.

Błękitnooki szpitalnik wbijał wzrok w mgłę. Jego nozdrza rozszerzyły się niczym u drapieźnika, który pochwycił trop.

- Saraceni! - krzyknął nagle. - Do broni!

Pojawili się znieca, poprzedzeni ledwie słyszalnym, stłumionym tętentem kopyt. Sunęli wśród zabudowań Salib niczym zjawy, milczący, niewzruszeni. Nie było czasu na sprawienie szyku, nie było miejsca, by ruszyć do ulubionej przez Franków miazdzącej szarzy. Na znak dany przez Jakuba chrześcijańscy rycerze spięli konie i runęli prosto na wrogich jeźdźców. Pędzili przez mgłę niczym wygłodniałe wilki, ostrza mieczy i włócznie połyskiwały na podobieństwo obnażonych kłów.

Jastrząb zakrzyknął jeszcze raz, niemalże z rozpaczą. A potem mleczone tumany zabarwiła krew. Gaston przymknął oczy na jedną króciutką chwilę, krótszą niż uderzenie serca, ale to wystarczyło, by przypomniawsobie wszystko, o czym z takim wysiłkiem próbował zapomnieć. W swych myślach ujrzał Annę wpatrzoną w dal, przepełnioną rwącym mu serce smutkiem.

„Usama - znów usłyszał w swych myślach. - To jego właśnie szukamy. Szukamy mojej miłości, Gastonie”.

Każde słowo Italki wyrywało mu kawałek serca.

Jednak musiał jej pomóc bez względu na ból.

„Tak należy - pomyślał, mocniej ujmując włócznie. -Znajdę tego twojego Usamę i ocalę go dla ciebie, ty przeklęta czarownico, a ty się dowiesz, co się stało z Rogerem. A potem znikniesz, a wraz z tobą ten przeklęty urok, który na mnie rzuciłaś!”

Kopyta jego rumaka waliły w ziemię, sylwetki saraceńskich jeźdźców były coraz wyraźniejsze wśród mgieł. Gdzieś między końskimi nogami mignął młodzieńcowi trup kobiety ze zmasakrowaną twarzą.

„A ja będę mógł się zabrać za tego kurwiego syna de Royesa!” - dodał w myślach Gaston.

Ku najbliższemu Saraceniowi runął z całkowicie czystym sercem.

Ten nie dał się zaskoczyć. Wychynął z mgły z płaszczem wydętym pędem, osłonięty kałkanem, a ostrze jego włócznie mierzyło prosto w serce Gastona. Młodzieniec nie miał nawet czasu na strach, wychylił się instynktownie, saraceńska włócznia przeszła powietrze tuż obok jego ramienia.

Nie odwrócił się, nie widział, jak Bernard, przy-tomniejszy od niego, również uchyla się przed włócznie i w galopie spuszcza topór na stożkowy hełm. Pędził ogłuszony szczękami oręza i kwikiem koni, odbijał przypadkowe ciosy i rozglądał się, nie przestawał się rozglądać.

Znów wrzasnął jastrząb, gdzieś niedaleko. Gaston spojrzął w tamtym kierunku i dostrzegł go natychmiast.

Potężny niczym fenicki bóg wojny, lewą ręką bez wysiłku tłamsił opór roztańczonego rumaka, a prawą parował ciosy napierającego wściekle giermka zakonnego. Jego twarz przesłaniała kolecza zasłona, czoło zakrywał hełm, ale mimo to Gaston dostrzegł, że oczy ma puste, a twarz zastygła, jakby był bezdusznym golemem z baśni żydowskich. Jastrząb wrzasnął przenikliwie i śmignął tuż nad głową Usamy, na chwilę krótką jak myśl odwracając uwagę walczącego z nim giermka.

Saracen wykorzystał moment z rzemieślniczą precyzją. Spuścił krzywy miecz na hełm Franka i poprawił szerokim chłaśnięciem przez pierś. Giermek zwiśł w siodle z twarzą zalaną krwią. A Usama wyprostował się, nadal z matowymi, pustymi oczyma, i wzniosł miecz nad głowę w samą porę, by zatrzymać inny, równie potężny cios.

- Rach-ciach-ciach! - wycedził brat Rajmund przez zaciśnięte zęby i walnął raz jeszcze. Cios, który przerąbałby pień kilkuletniego cedru libańskiego, zatrzymał się na kałkanie Saracena, a jego twarzy nie zmaćcił najmniejszy nawet grymas.

Obaj walczący szarpnęli za wodze, odskoczyli od siebie. Usama uniósł zakrzywiony miecz i schronił się za pogiętą tarczą przyczajony niczym pantera - w porę, bo szpitalnik już kopnął rumaka piętami i natarł ze wzniesionym orężem.

- Na litość boską, Rajmundzie! - wrzasnął przerażony Gaston.

Gdzieś we mgle zagrała saraceńska trąbka, rozmyte w mlecznej ćmie sylwetki wrogich jeźdźców porzucały swych przeciwników i znikwały. Usama nawet się nie obejrzał, uniósł wyżej tarczę powolny instynktowi, nie rozkazom, znieruchomiały, pewien siebie.

Źle ocenił możliwości przeciwnika.

Rozszalały, purpurowy na twarzy szpitalnik włożył w ten cios wszystkie swe siły. Miecz grzmotnął w tarczę Saracena i dosłownie wyrzucił go z siodła. Usama z łoskotem padł na ziemię, przetoczył się, usiłował wstać, ale nie zdołał zamroczony. Rajmund ześlizgnął się z siodła i już szedł w jego kierunku. Jego miecz błysnął podrzucony nad głowę.

- Nie! - wrzasnął raz jeszcze Gaston, rozpędzając konia.

Zdażył.

Machnął mieczem w pędzie, blokując opadający oręż Rajmunda. Potworny ból przeszył mu ramię, lecz młodzieńcowi starczyło przytomności umysłu, by ześlizgnąć się z siodła.

Półprzytomny z bólu doskoczył do usiłującego powstać Usamy, jak przez mgłę ujrzał, że Rajmund znów unosi miecz.

- Nie! - krzyknął, wyciągając dłonie w rozpaczliwym geście. - Błagam, nie!

Ledwie dosłyszał kolejny brzęk, tym razem to Bernard zblokował cios Rajmunda. Nad ich głowami wrzeszczał przerażony jastrząb, ziemia grzmiała od uderzeń kopyt, szpitalnicy ruszyli w pościg.

To podsunęło Gastonowi ostatni, rozpaczliwy pomysł.

- Oni uciekają! - krzyknął przeraźliwie, wskazując zady ostatnich koni. - Saraceni uciekają! Znów się wymkną!

Rajmund potrząsnął głową, częściowo przezwyciężając szal bitewny, i spojrzął za znikającymi konfratrami. W jednej chwili zapomniał o półprzytomnym Usamie. Ze złowrogim warknięciem złapał swego konia za łęk, niemalże go przy tym przewracając. Kilka uderzeń serca później jedyną pamiętką po nim było cichnące, zniekształcone echo tętentu kopyt.

I nastała cisza, obozwardniająca, wręcz ogłuszająca. Mleczne tumany, które ustąpiły jakby wystraszone przez rozpędzonych jeźdźców, znów podeszły śmieiej. Gaston klęczał i wpatrywał się w Usamę. Ogromny saraceński wojownik powstał i uniósł tarczę, ale bez swego przeciwnika wydawał się zagubiony. Ciemne oczy spoglądały znad kolczej przesłony bez wyrazu, bez śladów życia.

Jastrząb zakrzyczał z tryumfem i zatrzepotał skrzydłami, wznosząc się coraz wyżej. Młodzieniec spojrzął za nim i zrozumiał, że ptak oddala się w kierunku Krak des Chevaliers.

- Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało ocalenie ci życia - wycedził z niechęcią de Baideaux. - Przy czym wcale nie mam na myśli tego, że o mały włos Rachciach rozwaliliby mi łeb.

W oczach Usamy nie pojawiła się najdrobniejsza iskra zrozumienia. Stał niczym posąg.

- Jestem... - młodzieniec zawahał się przy doborze słów. - Jestem przyjacielem Anny Gisolvi. Czeka na ciebie w chrześcijańskim zamku Krak des Chevaliers. Nadal ani śladu życia.

- Nie obawiaj się, nic ci nie grozi - mówił z coraz większą niechęcią. - A zresztą gównu mnie to obchodzi! Będzie, co ma być. Zbieraj się.

Z tymi słowami wstał z klęczek i ruszył w kierunku swego konia przytrzymywanego przez wiernego Bernarda.

- Niezły miałbyś ubaw, Vittorio - parsknął pod nosem. - Galahad i Gawain mogliby się ode mnie uczyć cnót! Oto odnalazłem ukochanego kobiety, którą najpierw ocaliłem od niechybnej śmierci, potem przywiodłem do bezpiecznego schronienia, a na końcu, całkiem wbrew sobie i zdrowemu rozsądkowi...

„...pokochałeś” - szepnął jakiś odległy głos.

- Cholera jasna! - warknął przez zęby i kopnął jakiś kamień.

Ten potoczył się, podskoczył kilkakrotnie i znieruchomiał pod butem jakiegoś mężczyzny.

Gaston znieruchomiał również. Żal i gorycz umknęły w jednej chwili, ostrożność błysnęła pazurami. Z dłonią na rękojeści miecza i bijącym mocno sercem wpatrywał się w obcego. Ten, postawny mężczyzna o ogorzalej cerze i zniewieściałych nieco rysach twarzy, nawet nie drgnął.

- Gaston de Baideaux? - zapytał cicho.

- Tak, to ja - przełknął ślinę młodzieniec. - Kim jesteś?

- To akurat nie jest aż takie ważne. - Nieznajomy mówił w langue d'oïl, ale Gaston nadażał ze zrozumieniem. - Ważny natomiast jest powód, dla którego cię odnalazłem. A ściślej mówiąc, dwa powody. Jeden z nich to Joscelin de Royes. Drugi to Roger de Baideaux.

Dłoń Gastona ześlizgnęła się z rękojeści miecza. Patrzył na przybysza szeroko otwartymi oczyma.

- Ale ja... - wykrztusił w końcu. - Ale ja muszę...

Nie potrafił dokończyć, nie umiał dobrać słów.

Bezsilnie wskazał nieruchomego Usamę i rozłożył ręce.

W odpowiedzi nieznajomy odwrócił głowę. Klęby mgły falujące wolno za jego plecami teraz uniosły się jak na rozkaz, ukazując trupy rozrzucone na progach chat, pod ścianami, w błocie ulic.

- Twój brat nie wahałby się ani chwili - rzekł.

- Skąd ta pewność? - Gaston usiłował wyrzec to hardym głosem.

- Służyłem pod jego rozkazami.

Wtedy na ramię młodzieńca opadła ciężka, zaskakująco ciepła dłoń Bernarda. Młody rycerz odwrócił się, spojrzał w mądre, wierne oczy pachołka niemowy i nagle wiedział, co począć. Milczący Prowansalczyk, który kazał mówić do siebie Bonifacy, prowadził go ścieżkami tak wąskimi i stromymi, że od samego myślenia o nich zaczynało się kręcić w głowie. Starczyło niespokojne parsknięcie konia, a Gastona oblewał zimny pot. Był wdzięczny gęstej, mlecznej mgłę, że wypełniała skalne szczeliny i przepaście i oszczędziła mu przerażających widoków. Nie pamiętał już o Joscelinie, Rogerze i Annie skupiony jedynie na prowadzeniu konia i własnych krokach.

Przypomniał sobie o wszystkim, dopiero gdy dotarli na szczyt przełęczy Lekki oddech wiatru rozegnał tumany mgły i Gaston na powrót ujrzał twarz Bonifacego.

- Innych ścieżek w tych górach nie ma? - parsknął.

- Są - odrzekł Bonifacy - i dają głowę, że przy wszystkich czuwają szpiedzy Joscelina.

Przez jego twarz przebiegł dziwaczny grymas ni to lęku, ni to obrzydzenia, a de Baideaux przypomniał sobie, jakimi istotami wysługuje się templariusz. Bonifacy przywiązał swego

wierzchowca do pniaka niewielkiego cedru i usiadł na kamieniu, by pociągnąć łyk wody z manierki. Potem zapraszającym gestem wskazał sąsiedni głaz.

- Wiesz, kim jest Joscelin de Royes? - spytał.

- Wiem - odparł Gaston. Z ulgą rozsiadł się na kamieniu. - To templariusz, który pragnie mnie zabić. Przyznam, że powody są mi raczej nieznane, choć przypuszczam, że ma to wszystko jakiś związek z moim bratem.

- Tak, pragnie - pokiwał głową Bonifacy. - I wierz mi, zrobi wszystko, by tego dokonać, nawet jeśli miałoby to kosztować życie setek niewinnych ludzi.

- Te wszystkie masakry na szlakach - Gaston wskazał dłonią zatopione we mgle szczyty - to jego dzieło, prawda?

Prowansalczyk skinął głową.

- Dlaczego? - spytał gorzko de Baideaux. - Do czego to ma prowadzić? Czyżby szatan opętał go bez reszty?

- Nie będę rozmawiał o szatanie. - Twarz Bonifacego znów ściągnął obcy grymas. - Bo gdyby w to wszystko w istocie zamieszany był szatan, nie byłoby chyba tyle ofiar. Wiesz, do czego to miało prowadzić? - Odwrócił się nagle ku Gastonowi. - Ten szaleniec chciał, by góry obiegrała wieść o terrorze cziehającym na szlakach. By szpitalnicy otworzyli bramy swego zamczyska i przyjmowali uchodźców. By mógł w ten sposób wprowadzić do twierdzy swych zamachowców.

Gaston poczuł, jak jego serce w jednej chwili staje się bryłą lodu.

- To... To niemożliwe - wyjąkał śmiertelnie blady.

- Wierz mi, dla tego człowieka nie ma rzeczy niemożliwych. - Bonifacy splunął. - I co więcej, niemalże mu się udało. Widziałeś wczoraj może jakiegoś truposza w pobliżu swej celi? Młodzieniec przypominał sobie skulonego mężczyznę z poderżniętym gardłem.

- Komu zawdzięczam ocalenie życia? - wychrypiął. - Tobie?

Prowansalczyk skinął głową.

- Mnie i memu druhowi, który również chce położyć temu kres.

- A może nie warto było się starać, co?! - wybuchnął de Baideaux. Jego głos wbił się w tumany mgły i powrócił dziwnie zniekształcony. - Po co mi życie ze świadomością, że stałem się przyczyną śmierci setek niewinnych ludzi? Może lepiej było odpuścić i dać wygrać tej kanalii? Może wreszcie ustałyby te mordy? Może nie doszłoby do wyrznięcia mieszkańców Salib?

- To nie jest takie proste. - Bonifacy patrzył wysoko ponad jego ramieniem. - Bo widzisz, Gastonie, za tymi mordami kryje się jeszcze coś. Jadę z tym człowiekiem od wielu tygodni, przyglądam mu się, słucham, jak szepcze do siebie. Rozglądam się dookoła i czasem widzę jakąś dziwną, przejmującą mnie lękiem postać gdzieś w oddali. Te mordy nie są jego pomysłem, de Royes nie służy już kapitule swego zakonu. On stał się narzędziem jakiegoś potwora i każdym swym uczynkiem wypełnia jego wolę.

Gaston patrzył na Prowansalczyka szeroko otwartymi oczyma. Naraz osaczyły go wspomnienia, które od dawna usiłował zepchnąć w niepamięć. Znów ujrzał mężczyznę o kruczonych lokach i czarnych, mesmerycznych oczach, który zjawił się przed nim w celi komandora Jerozolimy w Tyrze. Znów słyszał jego złowieszczy szept, od którego całe ciało drżało niczym liść na wietrze. „Nie rozwikłasz jego zagadki, de Baideaux, a od tej pory twoje życie nie liczy się w miesiącach czy nawet dniach, lecz w godzinach. No, zmykaj, biedny chłopcze. Naciesz się ostatnimi chwilami, które ci pozostały”.

Zacisnął powieki, przygryzł wargi, ze wszelkich sił usiłując odpędzić strach. Próbował modlitwy, lecz słowa mu się pomieszały. Potrząsnął głową bezsilny, na granicy rozpacz, a wtedy usłyszał w swej głowie jakiś głos:

„W godzinach? Cóż więc nadal robię na tym świecie długie tygodnie po opuszczeniu Tyru? Czyżbyś naprawdę był taki potężny, czy może potrafisz jedynie podskakiwać i szeleścić jak byle strach na wróble?”

Otworzył oczy, podniósł głowę naraz wolny od lęku, spokojny.

- To dlatego ocaliliście mi życie? - zapytał. - Przeświadczeni, że moja śmierć nie zatrzyma szaleństwa?

Kim jesteście? Błędny rycerzami, o których pieją tru-werzy?

- Jesteśmy członkami oddziału zamachowców, który miał służyć tajnym celom zakonu templariuszy - odparł beznamiętnie Bonifacy - Wybrał nas i przymusił do posłuszeństwa Joscelin de Royes, ale wyszkolił i natchnął Roger de Baideaux. To on nas nauczył, że nasza działalność, choć urąga przykazaniom boskim, jest konieczna dla utrzymania jedności królestwa. To on nauczył nas, że życie ludzkie jest święte i wolno je odbierać tylko w sprawach najwyższej wagi. To on mówił nam o sprawiedliwości, uczciwości i poszanowaniu zasad. Wielu z nas było zanadto przygnębionych, zrozpaczonych bądź zdeprawowanych, by brać jego słowa na poważnie, ale ja słuchałem ich pilnie. Wczoraj, gdy wytrąciłeś miecz temu szpitalnikowi, a potem podałeś mu własny, wiedziałem, że nie czynisz tego z próżności. Wiedziałem, że robisz tak, bo tak należy. Ujrzałem wtedy w tobie Rogera i postanowiłem, że nie pozwolę, byś zginął.

- Gdzie jest Roger? Co się z nim stało? - zapytał cicho Gaston.

- Nie wiem - rzekł Prowansalczyk. - Ale wie to de Royes. I jego mam ci zamiar podarować. Wstał, chcąc podejść do swego konia, lecz zatrzymało go pytanie młodzieńca:

- A zatem prowadzisz mnie ze sobą przez wzgląd na Rogera? To z jego powodu najpierw ratujesz mi życie, a potem ofiarowujesz głowę Joscelina?

- Nie. - Bonifacy oparł dłoń na łęku i odwrócił się powoli. Jego twarz wyglądała na bardzo znużoną. - Skoro pytasz wprost, to i ja odpowiem wprost. To, kim był

Rozdział dnasty
dla mnie Roger, nie ma już teraz znaczenia. Liczy się terażniejszość, a tę stanowi Joscelin de Royes. My zaś... My zaś nie potrafimy...

Zacisnął zęby, zwiesił głowę.

- Nie potraficie go zabić - dokończył Gaston. - Boicie się.

- Ten człowiek jest potworem! - syknął wściekle Bonifacy. - Służą mu hieny i szakale, wydaje się nie spać, wydaje się czytać nasze myśli... Zrozum, jesteśmy wojownikami i zabójcami! Każdy z nas umie stłumić w sobie strach, nawet wszelką litość. Nasze serca są czarne jak samo piekło, a mimo to... Mimo to żaden z nas nie umiał tego skurwysyna rozwłóczyć na piachu.

Milczał przez moment.

- Z początku, gdy kazał nam palić wsie i mordować chłopów, kilku z nas uznało, że nie zniesie tego dłużej, i spróbowało ucieczki. Jego ścierwojady wytropiły każdego, dopadły i rozszarpały na strzępy. Potem znaleźli się tacy, którzy postanowili wypruć mu flaki. Źle się to dla nich skończyło. Od tej pory nikt nie próbował stawić mu czoła aż do teraz.

- A skąd... - przełknął ślinę de Baideaux. - A skąd przekonanie, że mi się uda?

- Widzisz, wtedy na dziedzińcu Krak des Chevaliers ujrzałem w tobie Rogera. I dlatego twierdzę, że jesteś w stanie go pokonać.

Im niżej zjeżdżali w dół zbocza, tym robiło się zimniej. Z każdym oddechem z ich ust wypływał obłoczek pary, z każdym krokiem cisza zdawała się bardziej przejmująca. Gaston miał wrażenie, że bicie jego serca jest głośniejsze od stukotu kopyt.

„To nie strach - mówił do siebie w myślach. - To tylko napięcie. Napięcie. Już za chwilę dorwę Joscelina de Royes. Zapytam go, dlaczego mnie ściga. Zapytam go, co się stało z Rogerem. A potem zabiję. Utlukę jak psa”.

Siłą przywoływał makabryczne obrazy z uliczek Sa-lib, siłą rozniecał swój gniew, lecz podświadomie czuł, że ręce drżą mu z innego powodu. Zaciśkał zęby, próbował się modlić, myśleć o Annie, wołać Diabła... Na nic.

„Jesteś w stanie go pokonać” - mówił Prowansalczyk o zniewieściałej twarzy.

„Tak, jestem - powtarzał młodzieniec. - Jestem. Jestem, niech to szlag trafi!”

Plan, który ułożyli z Bonifacym, całkiem niezły jeszcze kilka chwil temu, teraz wydawał się jedynie rozpaczliwym wymysłem dwójki desperatów. Gaston miał wrażenie, że luźne pęta, które Prowansalczyk założył mu na nadgarstki, lada chwila spadną, a Joscelin dojrzy długi sztylet, który schował w siodle. Co chwila odwracał się gwałtownie przeświadczony, że ich trop wywęszyły już hieny, a zza mijanej skały wyłoni się czarnooki jeździec z kruczoczarnymi włosami.

Gardło młodego rycerza wyschło na wiór i daremnie próbował przełknąć ślinę. Otworzył usta, by kpiącym tonem spytać Bonifacego, jak odnajduje drogę w tej mgle, ale wtedy ujrzał, jak ten unosi dłoń w geście pozdrowienia. W mlecznej ćmie pojawiła się czyjaś twarz, harda, przecięta blizną, potem kolejna, jednooka i dziobata, równie złowroga jak pierwsza. Gdzieś za nimi wyrastały ledwie widoczne ściany wąwozu, stukot końskich kopyt nagle stał się głośniejszy. Gaston w ostatniej chwili przypomniał sobie, by pokornie pochylić głowę, jak ustalili z Bonifacym. Serce waliło, napięcie nieomal odbierało mu zmysły. Gdzieś ponad nim rozległ się ochrypli głos Prowansalczyka:

- Zawołajcie templariusza. Mam tego chłystka.

Żadnych okrzyków, rozkazów ani przekleństw, jedynie szelest stóp na kamienistym podłożu, stłumione brzęknięcie oręża, kilka pospiesznie wypowiedzianych, niewyraźnych słów. I kroki, szybkie, nerwowe, coraz głośniejsze.

- Gaston de Baideaux.

Głos, który wypowiedział te słowa, bez wątpienia nie był ludzki. Zaskoczony młodzieniec uniósł głowę i ze zgrozy aż otworzył szerzej oczy.

Pamiętał doskonale Joscelina de Royes. W niewoli u Ismaila przyglądał mu się tak intensywnie, że mógłby przysiąc - nigdy i w żaden sposób nie wyrzuci jego szczerzego oblicza z własnych koszmarów. Gdy zamknął oczy, wciąż widział młodego człowieka o zwierzęcym, dzikim spojrzeniu i zaciętej minie.

Tymczasem miał przed sobą upiora o wyschłej cerze starca, zapadłych policzkach i postrzępionych siwych włosach okalających czaszkę. Tylko brudna, rozdarta w kilku miejscach biała tunika z czerwonym krzyżem wciąż przypominała o jego związkach z zakonem, jedynie oczy, przymrużone, lśniące niczym u dzikiego zwierzęcia, wskazywały, że w wychudłym, przygarbionym ciele nadal tli się życie.

Koń Gastona prychnął z niepokojem. W powietrzu gęstniał ostry, nieprzyjemny zapach zwierzęcej sierści, a spękane wargi Joscelina uniesione w parodii uśmiechu odsłoniły żółte kły. Młodzieniec poczuł, że wzbiera w nim obrzydzenie, co jednak pomogło mu odpędzić strach.

- Gaston de Baideaux - powtórzył de Royes. Rozłożył szeroko ramiona jak na widok dawno niewidzianego przyjaciela. - Nie masz pojęcia, jak długo usiłuję cię odszukać, mój drogi chłopcze... Nie masz pojęcia, jaką wartość miał ten czas zmarnowany na pościg za tobą! Jaką cenę musiałem zapłacić za każdą, najkrótszą nawet chwilę!

W przymrużonych oczach templariusza szalał obłęd. Jego dłoń, sucha i wychudła niczym wierzbowa gałąź, sięgnęła ku nodze Gastona. Ten pochylił się, udając strach i pokorę, zacisnął mocno zęby...

I z całej siły rąbnął templariusza w twarz.

Wypadki potoczyły się z prędkością głazu zrzuconego z górskiego zbocza. Młody rycerz w jednej chwili zeskoczył z siodła i znalazł się tuż przed zaskoczonym templariuszem. Grzmotnął go raz jeszcze, chrupnął łamany nos. Gaston nie zauważył nawet rozszalałej hieny, która zbierała się do skoku na jego plecy, bo w porę powstrzymał ją celnie rzucony sztylet, nie zauważył też innej - przebitej kilkoma bełtami naraz, nie dostrzegł nawet szakala przyszpilonego długą włócznią do ziemi. Jego całym światem stał się Jo-scelin de Royes, zakrwawiony, nieszczęsny starzec chroniący swą głowę w ramionach, groteskowy potwór, którego obalił na ziemię, kopał, deptał, szarpał i bił.

Zatrzymało go dopiero siarczyste uderzenie w policzek. Zatoczył się, zamrugął oczami, jak przez mgłę dojrzał Bonifacego. W ręku trzymał powróż.

- Jesteśmy kwita - powiedział i rzucił młodzieńcowi linę, którą ten złapał odruchowo.

- Co takiego? - zapytał półprzytomnie, rozcierając piekący policzek.

- Nie myliłem się - rzekł z uśmiechem Prowansal-czyk. - Tych, którzy chcieli go zgładzić, zabijał, ledwie podnieśli rękę, a potem ich trupy rzucał hienom. Dopiero na twój widok stracił panowanie nad sobą i pozwolił się zaskoczyć. Dobra robota, Gastonie de Baideaux.

- Dobra robota - powtórzył bezwiednie młodzieniec. Jego serce powoli uspokajało się, ale krew nadal szumiała w żyłach, nadal go odurzała. Nie myślał nawet o tym, że znalazł się przecież w kręgu dawnych towarzyszy broni swego brata, podszedł do jęczącego Joscelina, brutalnie przewrócił go na brzuch i przygniatając kolaniem do ziemi, mocno skrepował mu ręce w nadgarstkach. Dopiero gdy skończył, uniósł głowę.

- Jesteście wolni - oznajmił cicho. Powoli przesuwając wzrok od twarzy do twarzy, pragnąc odszukać cząstkę Rogera. Każdy mężczyzna, na którego spojrział, kłaniał się lekko, z szacunkiem, a potem znikał we mgle. Ostatni oddał mu cześć Prowansalczyk. - Gdy słońce wreszcie przebiję mgły, skieruj się na północ - powiedział. - Dotrzesz do Krak des Chevaliers w niespełną godzinę. A z nim bądź ostrożny. - Wskazał dłonią półprzytomnego Joscelina. - Pamiętaj, że to potwór. I że służy innemu, większemu od siebie.

- Pamiętam - skinął głową Gaston. - Bywaj, Bonifacy.

- Bywaj. Niech cię Bóg prowadzi, de Baideaux.

Zniknął we mgle, a z tą chwilą tajny oddział zakonu templariuszy ostatecznie przestał istnieć.

Młodzieniec zaś westchnął ciężko, roztarł obolałe, krwawiące kłykcie i zabrał się do rozniecania ognia.

Joscelin de Royes doszedł do siebie jakiś kwadrans później. Zamrugął oczyma, rozwarł usta, lecz zamiast słów wydobył się z nich jedynie cichy, niezrozumiały skrzek. Usiłował wstać, lecz napotkał opór mocno zawiązanych pęt. Jęknął raz jeszcze, tym razem żałościwie, całkiem po ludzku, i odwrócił się.

Wtedy napotkał wzrok Gastona.

Młody rycerz siedział przy wątłym ognisku z trudem rozpalonym z wilgotnego chrustu - nieruchomy niczym kamienny, straszny gargulec na gzymsie zapomnianej katedry. Jego oczy były ciemne niczym burzowy horyzont.

- Znów się spotykamy, de Baideaux - wychrypiał Joscelin. - I znów jestem w pętach. Jak to się dzieje, że zawsze mnie upokarzasz, zawsze mnie zwyciężasz, a mimo to zawsze ja w końcu tryumfuję?

Gaston nie odpowiedział. W milczeniu ujął płonąca gałąź, podmuchał na płomień, by nie zagasła, i wolnym krokiem podszedł do gościa zakonu usiłującego odwrócić się na plecy. Podsunął mu żagiew pod nos. Templariusz cofnął głowę - jego oczy rozbłysły niczym u dzikiego zwierzęcia, ale pomarszczoną, przedwcześnie postarzałą twarz przeszył grymas przerażenia.

- Boisz się - wyszeptał de Baideaux. - Nie dziwi mnie to. Tak to już jest, Joscelinie, że gdy odbierze się człowiekowi jego broń i sprzymierzeńców, gdy obedrze się go z godności i pewności siebie, gdy skopie się go i opluje jak zwykle bydło, zaczyna on się bać. A ty, kanalio jedna, jesteś tylko człowiekiem. Bój się, masz prawo.

Podsunął żagiew bliżej twarzy, płomień skoczyły żywiej, jakby zachęcone bliskością ofiary. Templariusz zacisnął sine powieki, które zwały się z ciemnymi plamami pod oczyma.

- Będzie cię boleć, ale to też nic nadzwyczajnego - szeptał Gaston. - Każdy ma prawo do bólu. Każdy ma też prawo wrzeszczeć i błagać o litość. Czemuż nie? Jesteś człowiekiem jak my wszyscy. Cuchniesz, jakbyś od tygodni tarzał się w gnojówce, ale jesteś człowiekiem.

I nagłym ruchem dotknął mu żagwią policzka. Joscelin skulił się gwałtownie niczym żmija ukłuta włócznią, ale powstrzymał wrzask. Opanował się również wtedy, gdy Gaston podsunął płomień pod jego palce i musnął żagwią ucho, nie wytrzymał, dopiero kiedy ten złapał go za dłoń i z całej siły wbił sztylet pod paznokieć. Potępięcze wycie odbijało się od zboczy gór niczym monstualny, szalony nietoperz, aż znikło w oddali.

Ale potem pomknęło kolejne.

Gość zakonu templariuszy i członek kapituły, pasowany rycerz, szef wywiadu i dowódca oddziału zamachowców, był teraz bezradnym, czołgającym się po skalnym żwirze strzępem człowieka, którego wszelkie myśli, wszelkie odruchy stłumił zwierzęcy instynkt - uciec od źródła bólu. Gaston de Baideaux, z nieruchomą twarzą i czarnymi, nienawistnymi oczyma, postępował za nim, trzymając w jednej dłoni pochodnię, w drugiej sztylet.

I nie pozwalał, by ból opuścił Joscelina choć na chwilę.

Aż przestał. Wbił mu kolano w plecy, pochwycił za posiwiałe, tłuste włosy, przekreślił twarz ku sobie i wycedził:

- Chcesz, bym przerwał?

Usta de Royesa poruszały się nieznacznie, z kącika spływała krew przemieszana ze śliną. Choć półprzytomny, poruszył się gwałtowniej, gdy Gaston przesunął mu ostrze sztyletu przed oczyma.

- Dobrze, mogę przerwać - szeptał złowieszczo. - Jeśli zabawisz mnie jakąś ciekawą historią. Na przykład tą o Rogerze de Baideaux.

Joscelin otworzył przekrwione oczy, usta poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć.

- No, opowiadaj! - Młodzieniec nachylił się nad jego uchem. - Opowiedz mi o tym, jaką to krzywdę wyrządził waszemu zakonowi. Opowiedz mi o pierścieniu.

W oczach upadłego templariusza błysnął strach. Jego spojrzenie umknęło w bok, a wtedy niespodziewanie pomarszczone, pomazane krwią oblicze rozjaśniła radość.

A Gaston poczuł, że jego serce nagle lodowacieje, ciało zaś przeszywa dreszcz przerażenia. Powoli unióśł głowę.

Szczupły mężczyzna o ciemnej skórze i kruczonych, kręconych włosach stał nieruchomo niczym posąg z obsydianu. Jego czarne, przymrużone oczy wpatrywały się prosto w sparaliżowanego strachem młodzieńca, który widział w nich jedynie swą śmierć. Drobną cząstką jego duszy nawoływała, by stanął twardo, wyprostował się, ginał, jak na rycerza przystało, ale zdeptał ją strach. Gaston leżał skulony tuż obok Joscelina, dygotał, zakrywając głowę ramionami.

- To wprost nieprawdopodobne, że ty wciąż żyjesz - głos, który usłyszał przy uchu, ział chłodem niczym północny wichur. - Zdawać by się mogło, że trudno o lepszego psa gończego niż

ten kundel de Royes, a mimo wszystko udało ci się ujść pogoni. Gratuluje, de Baideaux. Obudziłeś we mnie podziw, a mnie trudno zachwycić.

Gaston szlochał, zakrywał dłońmi uszy, wił się, ale głos nie odstępował.

- Podziwiam cię tak bardzo, młodzieńcze, że aż zdecydowałem się zmienić co do ciebie plany Pełnię mej łaski poznasz niebawem, gdy de Royes i kilku jego kamratów z czerwonymi krzyżami wykonają dla mnie kilka prac, ale pewien jestem, że będziesz wniebowzięty. Dosłownie i w przenośni. Twemu bratu mogłoby się to co prawda nie spodobać, ale trudno. Martwi głosu nie mają.

I zapadła cisza, a echo głosu, który rozbrzmiewał w głowie Gastona, zdawało się cichnąć. Nadchodził spokój, wracały zmysły, odradzał się rozsądek. Młodzieniec wolno uniósł głowę, otarł policzki z drobinek żwiru, potrząsnął głową.

- Aha - szepnął głos z oddali - byłbym zapomniał. Bez względu na podziw, który do ciebie czuję, młody de Baideaux, poirytowałeś mnie swą krnąbrnością. A za to należy ci się kara. Ból, który przeszył jego ciało, był tak dotkliwy, że w jednej chwili odebrał mu świadomość. Obudziło go światło, przed którym broniły go tylko przymknięte powieki. W chwilę później dotarły doń inne doznania - twardość podłoża, gorące pieczenie policzka, czyjś głos z wielkiej oddali wołający jego imię. Oraz osobliwy, groźny niepokój przepelniający serce. Otworzył oczy. Natychmiast oślepił go blask listopadowego słońca, ale głos nagle stał się bliski i wyraźny.

- Bogu niech będą dzięki! - Światło słońca przesłoniła sylwetka wstającego człowieka. - Już się bałem, że coś ci się stało. Widywałem truposze, które miały więcej rumieńców niż ty.

- Jakub? - wychrypiął Gaston, usiłując się podnieść. - Jak mnie znalazłeś? Szpitalnik usiadł z westchnieniem na pobliskim gładzie i odpiął od pasa manierkę. Pociągnął głęboki łyk i rzucił naczynie młodzieńcowi, ten złapał je niezdarnie. Jakub wyglądał na zmęczonego, a tunikę miał poplamioną krwią, ale jego przenikliwe, niesamowicie niebieskie oczy jaśniały niczym wiosenne niebo.

- Jak cię znalazłem? - powtórzył. - Nie było to wcale trudne. Wystarczyło kierować się na wrzaski templariusza. Widzę, że postanowiłeś na moment zapomnieć o przykazaniu miłości do bliźniego?

- Templariusz? - Młodzieniec znieruchomiał, pusta już manierka spadła na ziemię między jego podkurczonymi nogami. Obejrzał się za siebie. Joscelin de Royes, nadal ze skrępowanymi nadgarstkami, leżał kilka kroków dalej na prawym boku. Był nieruchomy, ale jego szponiaste palce to zaciskały się, to rozprostowywały.

Wciąż walczył. Wciąż żył.

- Nie - szepnął Gaston, a w jego głosie mieszało się znużenie z niedowierzaniem. - Po prostu nie. Nie.

Sam nie wiedział, jak w jego ręku znalazł się długi sztylet. Nie miał pojęcia, jaka siła przeniosła go w jednej chwili nad skrępowanego Joscelina i jak wznosił broń, celując prosto w jego odsłonięte gardło.

„Tak!” - wrzasnął z niezmierzonej dali Diabeł.

- Nie! - krzyknął Jakub.

Świat zawirował. Wybity z dłoni sztylet potoczył się po ziemi, góry i słońce zatańczyły, a potem przed oczyma de Baideaux eksplodowały gwiazdy. W skroni buchnął wściekły ból.

- Co ty... Co ty wyczyniasz? - wycedził przez zęby oszołomiony bólem.

- To raczej ja powinienem cię o to spytać - warknął Jakub. Stał nad młodym rycerzem na szeroko rozstawionych nogach, rozwścieczony, purpurowy na twarzy. - Co ci do głowy przyszło, Gastonie?

Ten podniósł się, uklęknął, potrząsnął lekko głową, spojrzął na szpitalnika półprzytomnie.

- To Joscelin de Royes. Templariusz zdrajca. Judasz, który na czele bandy zbirów mordował bezbronnych podróżnych na szlakach! Nikczemny sukinsyn, który wyrząnął ludność Salib! Gad, któremu sam obiecywałeś śmierć, parszywy łajdak niewart tego guza, którego właśnie mi nabiłeś!

- To nieważne, Gastonie - odpowiedział Jakub. Jego oczy tym razem lśniły niczym zimowe niebo. - To naprawdę nieważne, kim on jest. Choćbyś spętał samego Lucyfera, nie pozwoliłbym ci go zarznąć niczym wieprzka na Wielkanoc.

- Podaj choć jeden powód, dla którego ta hiena ma wdychać to samo powietrze co ja. - Młodzieniec przymrużył oczy. - Podaj go, bo w przeciwnym razie, słowo honoru, wstanę, spętam cię tak jak jego, a potem zmuszę, byś patrzył, jak upuszczam z niego krew, a potem palę jego ścierwo, by się sępy nie potruły.

- Podam ci ten powód. - Szpitalnik wyprostował się. - Tak długo, póki istnieje reguła naszego zakonu, a ja stoję o własnych siłach, nie pozwolę, by ktokolwiek w mej przytomności zabił bezbronного człowieka. Gdybyś utłukł go w boju, Gastonie, uściskałbym ci prawicę, ale tak się nie stało i nic tego nie cofnie. Ten człowiek stanie przed obliczem kapituły mego zakonu i zostanie osądzony jako zdrajca i zbrojnik. Zresztą dla tego łajdaka zwykła śmierć to ciut za mało. A poza tym kłamstwo jest grzechem, Gastonie. Chyba nawet poważniejszym od pychy.

- Jakie kłamstwo? O czym ty bredzisz? - parsknął Pikardyjczyk.

- Nie dałbyś rady mnie spętać.

W drodze powrotnej do zamku Krak des Chevaliers żaden z nich nie powiedział ani słowa.

Gaston rozmasowywał bolące ciemię i starał się podsycać swą wściekłość na Jakuba, ale tylko po to, by odwrócić swe myśli od złowieszczonego przybyścia o kruczo-czarnych lokach. Jego słowa raz za razem rozbrzmiewały w głowie młodzieńca, pogłębiając zamęt, pielęgnując lodowaty strach, który zamieszkał gdzieś na dnie serca.

„Zdecydowałem się zmienić wobec ciebie plany. Obudziłeś we mnie zachwyty. Niebawem poznasz pełnię mojej łaski”.

„Co on chciał przez to powiedzieć? - myślał coraz bardziej przerażony de Baideaux. - Stokroć bardziej wolałem, gdy groził mi śmiercią... Czy to oznacza, że ja... Że stanę się taki jak on?”

Spojrzał na Joscelina, który siedział na luzaku prowadzonym przez Jakuba, nieruchomy, z martwą twarzą.

Myśl wydała mu się tak ohydna i odrażająca, że aż przeszył go zimny dreszcz. Zwiesił głowę i nie podniósł jej, aż znaleźli się u stóp wzgórza z potężnym, urągającym całemu światu zamczyskiem zakonu. Na skraju opustoszałej drogi siedziała samotna postać z twarzą ukrytą w dłoniach.

Bernard.

Gaston zamrugał oczyma z niedowierzaniem, a potem, zdjęty ukluciem nowego niepokoju, spał konia i pomknął ku niemu. Tętent kopyt spłoszył kilka kruków, które zerwały się z drżących gałęzi drzewa akacjowego i pomknęły ku niebu, nagle poszarzałemu i ponuremu.

Ogromny parobek uniósł głowę i przez moment patrzył na jeźdźca, a potem osunął się na kolana. Niepokój w sercu młodzieńca rozgorzał ze zdwojoną siłą - przez długie lata ich znajomości Bernard zawsze stanowił uosobienie posłuszeństwa, ale nigdy nie okazywał - bo i nie musiał - podobnej uniżoności.

Rycerz wrył konia tuż przed nim, zeskoczył na ziemię.

- Witaj, Bernardzie - rzucił sztucznie wesołym tonem. - Co się dzieje? Gdzie Usama? I nagle zrozumiał, jeszcze zanim palec giermka wskazał nieodległe góry.

- Uciekł ci? - szepnął zduszonym głosem i rozejrzał się w desperacji, jakby wciąż miał nadzieję, że wypatrzy gdzieś w oddali sylwetkę potężnego Saracena. - Przecież Anna... Bernard uśmiechnął się słabo, ze zrezygnowaniem i powoli pokręcił głową. Potem sięgnął za pazuchę, by wyciągnąć zwinięty pergamin. Gaston rozerwał go pospiesznie i zaczął czytać. W miarę jak jego wzrok przesuwiał się po kolejnych równo zapisanych liniijkach, świat zaczął ciemnieć.

Drogi przyjacielu

Nie będę prosić o wybaczenie, bo byłoby to skrajną bezczelnością. Twój kompan Vittorio miał rację, nie jestem warta niczyjego zaufania, a to, że każdą z moich krzywdzących decyzji podejmowałam z miłości, w żaden sposób mnie nie tłumaczy.

Ja kocham Usamę, Gastonie. Kocham miłością nieśmiertelną i niezniszczalną, miłością nienasyconą i pełną rozpacz. Gdy przybył jastrząb z wieścią, że ocaliłeś mego ukochanego, a twój giermek wiedzie go do zamku, moje serce o mało nie pękło z radości. Swą ofiarnością, swą rycerskością pomogłeś mi odzyskać największy klejnot mojego życia. Oddałeś mi szczęście.

A owo szczęście mąci mi jedynie to, że zostałeś przeze mnie skrzywdzony, skrzywdzony podwójnie. Boli mnie serce na myśl, że nigdy nie miałeś i już nie będziesz miał okazji wyznać mi swej miłości. Ujrzałam ją w twoim spojrzeniu i podziwiam za zdecydowanie, z jakim próbowałeś ją zamaskować. Żałuję, że cię unieszczęśliwiłam, choć wiedz, że tego akurat nie zaplanowałam. Zaplanowałam natomiast kłamstwo. Nie mam już władzy nad dżinami, Gastonie. Niecne intrygi, jakie knułam wraz z Vivienne de Grenier, całkiem wyczerpały cierpliwość tych odwiecznych bytów. Gdy ostatni raz próbowałam je zmusić do posłuszeństwa, skończyło się to dla mnie nieomal tragicznie. Żałuję, bo nie prosiłam o wiele. Poprosiłam je o pomoc na ulicach Askalonu, a nie przed murami miasta, jak ci z początku mówiłam. Chciałam jedynie, by zabrały nas oboje gdzieś daleko, gdzie moglibyśmy żyć w ciszy i spokoju.

Niestety, obróciły swą złość przeciwko mnie. Poturbowały mnie, pozbawiły przytomności, niemalże zabiły. Usama został wzięty do niewoli, a potem wcielony do wojska, a ja, gdy tylko wyleczyłam się z ran, zostałam sprzedana na targu niewolników. Resztę naszej historii znasz. Tak, gdyby nie kapryśność dżinów, zapewne nigdy byśmy się nie spotkali. Niemniej nie będę zrzucać winy na nikogo, bowiem to ja jestem winowajczynią. Zapomnij

Rozdział trzynasty

w którym nastaje spokojna noc i do wszystkich wreszcie uśmiecha się los. przynajmniej odrobinę
Słońce wyjrzało zza stalowych chmur, jesienne i blade, ale mimo to Anzelm de Fidou wystawił ku niemu twarz, ciesząc się ostatnimi strzępami ciepła. Naciągnął na ramiona wełnianą derkę i odetchnął głęboko. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze przyjdzie im wędrować.

Spojrzał na wąsatego rycerza z zieloną tarczą, ale ten obrzucił go jedynie zadumany spojrzeniem i uśmiechnął się.

„Równie dobrze mógłbym pytać Beduinów - pomyślał Anzelm. - Choć właściwie co mi tam!”

Ci akurat rozmowni byli zawsze, z tym że Anzelm nigdy nie wyuczył się więcej niż kilku słów w ich języku. Nagabywali go co chwila po kilku naraz, gadali hałaśliwie jeden przez drugiego, wskazywali jego lirę i szturchali go bezceremonialnie. Rycerz najczęściej kręcił głowę, ale na wieczornych postojach, gdy natarczywość Beduinów stawała się nie do zniesienia, ustępował. Siegał wówczas po lirę i grał, a jego muzyka wraz ze słowami pieśni, choć Beduini nie rozumieli z niej ani słowa, koła ich gwałtowne, gorące dusze. Ciemnoskórzy, wytrwali wojownicy pustyni siedzieli wówczas w milczeniu, nieruchomi, zapatrzeni w płomienie ognisk rozpalonych na suszonym wielbłądzim nawozie, a potem bez słowa układali się do snu.

Anzelm zastanawiał się niejednokrotnie, czy to naprawdę wpływ jego muzyki, czy może tajemniczej aury otaczającej rycerza z zieloną tarczą. Bo co do tego, że tylko jego obecności należało zawdzięczać przyjazne nastawienie Beduinów, wątpliwości nie miał żadnych.

„Co mi tam” - pomyślał raz jeszcze.

Niespodziewanie zerwał się wiatr, promienie bladego słońca, które delikatnie dotykały jego twarzy, szybko ochłodziły. Podmuch porwał bure dżelabije jadących przodem Beduinów, targnął rękawami ich burnusów, wprawił w tan kolorowe frędzle wplecione w uprząże wielbłądów. Któryś z jeźdźców pustyni krzyknął głośno niczym jastrzęb na pustynnym niebie, odpowiedzieli mu inni, zaryczał któryś z wielbłądów.

Rycerz z zieloną tarczą uśmiechał się.

- Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że zdejmę pas rycerski, ujmę wiołę i ruszę na tułaczkę w towarzystwie bandy muzułmanów, pękłbym chyba ze śmiechu - powiedział Anzelm. - A potem pewnie wpadłbym w szal. Tak dla zasady.

- A cóż złego w podróżowaniu wśród Saracenów? -wzruszył ramionami wąsacz. - Nie jedzą własnych dzieci, nie zieją ogniem, nie wywołują demonów dla zabawy, nawet nie cuchną bardziej od Franków.

Jak na zawołanie któryś z Beduinów odwrócił się ku nim i poruszył rękoma, jakby grał na niewidzialnej lirze, a potem zawołał coś głośno, ukazując nierówne uzębienie, i buchnął śmiechem. Anzelm pomachał do niego dłonią, choć nie zrozumiał ani słowa.

- Nic złego - przyznał. - Nic. Nie rozumiemy się, ale... Ale może to nawet lepiej?

- Z pewnością trudniej jest znaleźć powód do walki -odparł rycerz z zieloną tarczą. - A łatwiej się dogadać.

Poklepał skórzany futerał z instrumentem.

- I to jest chyba najdziwniejsze - powiedział rycerz--odmieniec. - Bo widzisz, ja jestem o wiele lepszym rzeź-nikiem niż minstrelem. Na wioli grywam kiepsko, śpiewam może nieco lepiej, ale na pewno nie na tyle, by być za to podziwianym. Jak to się dzieje, że im się to tak podoba? Przecież Beduini uwielbiają taniec i śpiew, a ci Beni Sakhr, czy jak tam się zwą, są wśród nich mistrzami! Słyszałem, jak grają na fletach i rebabach, widziałem, jak tańczą... Umiesz to wytłumaczyć?

- Nie - padła odpowiedź, której się zresztą spodziewał. - Nie umiem.

- Tego, dlaczego z nimi jedziemy, też nie umiesz wyjaśnić?

-Nie.

- A tego, dlaczego nas nie pozabijali?

- Też nie bardzo.

Anzelm westchnął ze znużeniem i odwrócił wzrok ku nieodległym wzgórzom na horyzoncie.

- Czy wiesz, że nigdy nie podałeś mi swego imienia? -zapytał nagle.

Rycerz z zieloną tarczą wyglądał na zaskoczonego.

- A potrzebne ci ono do czegoś? - odpowiedział pytaniem.

- Nie - pokręcił głową Anzelm. - Właściwie to nie. Ale to dziwne, że nigdy go nie podajesz.

- Nigdy?

- Nie marnowałem swego czasu w Tyrze. - Rycerz--odmieniec wpatrywał się we wzgórze. - Rozpytywałem to tu, to tam i dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy. Jak choćby tego, że w lecie ubiegłego roku obroną miasta u boku markiza de Montferrat dowodził pewien rycerz, który mówił w langue d'oïl z hiszpańskim akcentem i nosił zieloną tarczę.

Wąsacz milczał. Wiatr przybrał na sile. Słońce zniknęło za stalowoszarymi chmurami, po wyschniętej glinie stepu pędziły z furkotem zeschnięte liście, niczym małe, spłoszone zwierzątka.

- Dowiedziałem się, że ów rycerz, podziwiany za swą wielką szlachetność i waleczność, spotkał się pod Try-polisem z samym Salah ad-Dinem, by rozmawiać o ro-zejmie. Powiedział mu wówczas, że przyjaźń i sojusz z Saracenami jest możliwa, o ile ci wycofają się z Syrii i Palestyny.

Wiatr pogwizdywał z cicha. Konie obu Franków pochrapywały, Beduini coś pokrzykiwali. Najmłodszy chłopcy, którzy siedzieli na wielbłądach objuczonych namiotami i sprzętem obozowym, zeskoczyli na ziemię i pogonili za jedną z kóz, która uwolniła się z powroza.

- Tak było - westchnął po chwili wąsacz. - Przesadziłem wówczas.

- Dlaczego? - zdumiał się Anzelm. - Czegoż innego mielibyśmy się spodziewać?

- Nie o tym myślę - uśmiechnął się rycerz z zieloną tarczą. - Nie powinienem w ogóle porywać za miecz, Anzelmie. Przesadziłem. Sądziłem, że uczynię dobrze, przyłączając się do walki o Ziemię Świętą, ale popełniłem błąd. Nie było mi wolno.

- Chyba... - Anzelm przelknął ślinę. - Chyba cię nie rozumiem.

- Nie musisz. Wiedz tylko, że odbywam teraz pokutę podobnie jak ty.

- Podróżując wraz z bandą Beduinów? Ty to nazywasz pokutą?

- Tak. - Rycerz z zieloną tarczą spoważniał. - Nie modlimy się, nie biczujemy, nie pościmy, ale mimo wszystko odbywamy pokutę.

Odmieniec milczał przez moment. Przyglądał się grupce chłopców zaganiających przestraszoną kozę, słuchał wybuchów śmiechu wśród mężczyzn, smakował wiatr i w końcu się uśmiechnął.

- To dość przyjemna pokuta - powiedział w końcu. - Tak naprawdę to powinienem ująć mą myśl w inny sposób: gdyby ktoś kiedyś powiedział, że spodoba mi się włóczęga z bandą Beduinów, pękłbym chyba ze śmiechu, a potem dla porządku wpadł w szał.

Rycerz odpowiedział uśmiechem.

- Już to mówiłeś. Lecz nie wpadłeś w szał od paru tygodni - powiedział cicho. - Uspokajasz się. Dobrzejesz. Służysz ci towarzystwo Beduinów.

Anzelm skrzywił się i dotknął piersi.

- Ale to nadal we mnie siedzi - warknął. - I nie odejdziesz tak łatwo. Żadna pokuta nie usunie klątwy tej przeklętej Ormianki. Żadna pokuta nie wymaże tego, co zrobiłem pod jej wpływem.

- Przeszłości nie zmienisz, to prawda - stwierdził rycerz z zieloną tarczą. - Patrz więc w przyszłość. W przyszłości upatruj nadziei.

- W jakiej przyszłości? O czym ty właściwie gadasz?

- Nie wiem, Anzelmie, w jakiej przyszłości. Wiem tylko, że na pewno nie odbywamy tej podróży na marne. Wiem, że do czegoś nas doprowadzi.

- Mam nadzieję - szepnął Anzelm i opuścił głowę.

Beduini ucichli, wielbłądy znów uformowały długą linię. Wiatr się wzmaczał. Dawne grzechy piekły jak nigdy-

Kilka chwil później, gdy jesienne niebo zaciągnęło się granatem nadchodzącego zmierzchu, u stóp wzgórz Al-Dżaulana na znak dany przez Marco Guiscarda oddział zbrojnych zaczął rozbijać obozowisko. Kilku zabrało się do rozkładania zwiniętych płacht namiotów, inni gromadzili drewno na ogniska, jeszcze inni prowadzili nierozkulbaczone konie do płynącego nieopodal strumyka. Sam Guiscard chodził wśród swych ludzi i grzmiącym głosem wyznaczał warty. Nad poszarpanymi szczytami skał szybko ciemniało wieczorne niebo.

Vittorio Scozzi, od kilku dni w straży tylnej, wolno zsunął się z siodła. Przerzucił wodze przez koński kark i wolno poprowadził swego wierzchowca do wodopoju.

Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie obrzucić Gui-scarda choć jednym spojrzeniem.

Przywódca stał dumnie wyprostowany, z ramionami założonymi na piersi i przyglądał się swym ludziom surowym, karcącym wzrokiem. Co rusz marszczył brwi, gdy dostrzegł jakies

niedociągnięcie, i grzmiącym głosem napominał winowajców, aż jego uwagę przyciągnął krzyż stawiany w centrum obozowiska. Ruszył w tamtym kierunku, a srogi wyraz twarzy ustąpił osobliwemu uniesieniu.

W spojrzeniu Vittoria niechęć mieszała się ze znużeniem i trudną do okiełznania irytacją. „Miałem w kompanii błędnego rycerza, mnicha--jebakę i wilkołaka, to mi źle było - pomyślał po raz tysięczny. - Teraz trafił mi się obłąkaniec, który usiłuje przebić samego Godfryda de Bouillon”.

Jako rycerzowi i dowódcy nie mógł wiele Guiscardo-wi zarzucić. Utrzymywał w oddziale należytą dyscyplinę, wybierał najdogodniejsze szlaki i łatwe do obrony miejsca na nocleg, zawsze wystawiał silne warty i zakazywał rozkulbaczać konie na noc. Vittorio z wolna zaczynał wierzyć, że uda im się wrócić bezpiecznie pod Akkę, o ile wcześniej nie trafi go szlag, rzecz jasna.

Jako cyniczny oportunistą gardził bowiem wszelakimi przejawami sztuczności, a Marco Guiscard, jak na złość, postanowił udowodnić zarówno sobie, jak i całemu światu, że w jego sercu płonie prawdziwy ogień wypraw krzyżowych. Nie było dnia, by nie wspominał dokonań swego rodu podczas walk o Outremer, nie było dnia, by drżącym głosem nie wspominał utraconego Prawdziwego Krzyża czy upadłej Jerozolimy. Nie było noclegu, na którym nie kazałby wzniesić krzyża. Nie było świtu, którego nie powitaliby modlitwą.

A Vittorio zgrzytał zębami i w poszukiwaniu ulgi ciskał najbardziej wymyślnymi przekleństwami. Słyszał wystarczająco wiele o Guiscardach, by wiedzieć, że nie było wśród nich żadnego Marco. Znał się dostatecznie dobrze na ludziach, by wiedzieć, że Prawdziwego Krzyża nikt nigdy na oczy nie widział. Znał brewiarz na tyle, by poznać, że dowódca oddziału popełnia błędy w najprostszych nawet modlitwach.

I kłął najsoczysiej jak umiał. Nic nie pomagało.

Koń nachylił łeb nad strumykiem, pił łapczywie. Vittorio bezwiednie zanurzył palce w jego grzywie.

- Zdrożeniście, rycerzu Scozzi? - usłyszał za sobą pytanie.

Zamyślony nie zauważył nadchodzącego Marco Gui-scarda. Słumił przekleństwo i odwrócił się, przybierając obojętny wyraz twarzy, co ostatnio przychodziło mu z coraz większym trudem.

- Zdrożeniśmy, rycerzu Guiscard - odpowiedział. - Ale liczę na to, że parę zdrowasiek i jakiś psalm szybko postawią mnie na nogi. Adgloriam Dei!

Marco skinął głową z całkowitą powagą i odetchnął głęboko.

- Rad jestem, że nie zapominać, o co walczyliśmy, rycerzu Scozzi - oznajmił. Jak zwykle w podniosłych chwilach, jego italski zaczynał pobrzmiwać chrapliwym akcentem, by nikomu ze słuchaczy nie umknęło, że przemawia rycerz z rodu Normanów sycylijskich. - Nie o Outremer, a o Regnum Dei. Nie o sławę czy zaszczyty, a o zbawienie i łaskę Pana.

- Bezsprzecznie. - Vittorio uklonił się lekko, głównie po to, by ukryć szyderczy błysk oczu.

- A przyznać trzeba, że Bóg litościwy nie szczędzi nam swych łask - ciągnął dalej rzekomy Marco z Gui-scardów. - Udało nam się szczęśliwie przemierzyć wrogie tereny. Gdy tylko uda nam się zdusić opór Saracenów i zdobyć Akkę, bez wahania ofiaruję sto świec woskowych tamtejszemu biskupstwu, jak to jest w zwyczaju mego rodu.

„Bóg przewraca oczami z radości na samą myśl o tym!” - pomyślał Vittorio, z trudem utrzymując uprzejmy wyraz twarzy.

- Tak, ród Guiscardów ufundował już niejedną kościół na tej ziemi skropionej krwią chrześcijan - ciągnął Marco. - A ja, skromny kuzyn mych wielkich przodków, mam zamiar również zasłynać kiedyś hojnością. Nie mogę się doczekać chwili, gdy będziemy wśród naszych

braci pod Saint-Jean d'Acre! Już niebawem znów będziemy mogli szarżować na wroga pod sztandarem królewskim, niosąc pod niebiosa pieśń zwycięstwa!

- Ja też o niczym innym nie marzę - wycedził Italczyk. - A teraz, dobry rycerzu...

- Wiedziałem, że znajdę w was bratnią duszę, ledwie baron Ibelinu zdradził mi, że do mego orszaku dołączy dzielny rycerz ze świty markiza Montferratu. - Marco rozłożył ramiona. Vittorio cofnął się bezwiednie.

„Jeśli zrobi choć krok, to go kopnę - pomyślał. - Prosto w jaja, oczywiście największe w Outremer, jak przystało na potomka Guiscardów”.

- Mam nadzieję, że nigdy nie zapomnicie o naszej wspólnej misji - mówił dalej Marco. - A gdy uklękniecie przed markizem Montferratu, opowiecie mu o naszej drużbie.

„A więc tu cię, kurwa, boli! - pomyślał nagle Italczyk i przełknął ślinę, by zdławić spontaniczne parsknięcie. - Doskwiera ci, że służysz za ledwie baronowi Ibelinu, który wybiera królów, ale sam nigdy nim nie zostanie, tak? Wolałbyś walczyć o swoje zasrane Regnum Dei u boku pewnego kandydata do tronu?”

Uklonił się znów

- Wierzę w naszą przyjaźń równie mocno jak w odbicie Akki, rycerzu Guiscard - wygłosił z patosem. - I gdy tylko obłapię już markiza Montferratu za kolana i ukorzę się w pyłe przed jego majestatem, opowiem mu o niej w pierwszej kolejności. Dopiero potem o naszej misji.

- Przecież nie macie się czego wstydzić, rycerzu Scoz-zi! - Marco uniósł lekko brew ze zdumienia. - Niesiemy naszym suzerenom dobre nowiny!

„Ty wiesz” - pomyślał Vittorio i poczuł, jak na powrót ogarnia go zniechęcenie.

Przez ostatnie dni udawało mu się nie myśleć o tym, że jego własna misja - powód, dla którego markiz Montferratu nakazał mu przystać do Guiscarda - spaliła na panewce. Podczas krótkiego pobytu w Masjafie wychodził wprost ze skóry, by zaspokoić żądanie swego nowego mocodawcy, ale na nic. Czujni nizaryci nie spuszczała z niego oczu, a za każdym razem, gdy usiłował oddalić się od frankijskiego orszaku, zastępowali mu drogę uważni, nieugięci, złowieszczy. Nie zdołał wkupić się w niczyje łaski, zawiódł zarówno jego urok, jak i mieszek ze złotem. Nie napotkał na żaden, najdrobniejszy nawet ślad dziewczynki, którą opisał mu Konrad.

Dziewczynki, którą przecież doskonale pamiętał.

„Gdybym wiedział, że służba u markiza okaże się tak wymagająca, zostałbym z Gastonem - pomyślał. - Nawet jeśli ten uparłby się zabrać tę cholerną dziwkę Gisolvi”.

Wspomnienie Anny wbiło kolejną szpilę w jego serce. Odwrócił spojrzenie całkiem przygnębiony, a wtedy uświadomił sobie, że Marco przez cały czas do niego mówił, a teraz zadał nawet jakieś pytanie.

- A w dupie to mam! - burknął.

Marco Guiscard wybałuszył oczy z niedowierzaniem.

- Pielgrzymkę do Grobu Świętego? - wyjąkał.

- Ach, do Grobu Świętego? - odetchnął głęboko Vittorio. - Nie, skądże. Ta należy do moich ulubionych. A teraz, zacny rycerzu...

Niespodziewanie przerwały mu pokrzykiwania od strony, z której przybyli. Zewsząd rozlegał się szczeł oręża, po ścianach przemknęły wydłużone, groteskowe cienie biegnących wojowników. Zaalarmowany Marco biegł już w tamtym kierunku, wykrzykując rozkazy. Kilku jego ludzi cofnęło się, zajęło pozycje dookoła obozowiska z kuszami gotowymi do strzału, inni już prowadzili konie.

- To Frank! Nasz! - wykrzyknął jeden ze strażników, biegnąc ku Guiscardowi.

Ten skinął głową i machnął dłonią na znak, że alarm odwołany. Potem skupił uwagę na przeraźliwie wychudłym mężczyźnie w strzępach odzieży, prowadzonym właśnie przez strażę.

Ledwie powłóczył odzianymi w sandały nogami, ale na jego twarzy widniał wyraz uwielbienia, gdy patrzył ponad głowami rycerzy na drewniany krzyż stojący pośrodku obozowiska.

- O najświętszy, doskonały, wspaniały - bełkotał.

A Vittorio poczuł, jak po jego plecach spływa dreszcz ekscytacji.

- Witajcie, święty mężu! - rzekł z czcią Marco Guiscard, kalecząc łacinę.

- Taki on święty jak i wy, zacny rycerzu! - zakpił Vittorio i przekrzywił lekko głowę, wpatrując się w prowadzoną postać. - Naprawdę krzyż was tu przywabił czy szansa na miskę tłustego jądła? Bo brzusek coś wam zmarniał, a tonsura całkiem zarosła. Nijak poznać, żeście nadal wiernym sługą Pana i podporą Kościoła, Adalbercie!

- To wy, Genuńczyku? - Adalbert odgarnął posiwiałe włosy z czoła i przyjrzał się Italczykowi. - Bogu niech będą dzięki... Mam wieści, wielkie wieści dla naszych przywódców, dla królów i baronów...

- Tedyście dobrze trafili, święty mężu - powiedział dowódca oddziału, siląc się na normański akcent. - Jam bowiem Marco Guiscard, mówię z baronami jak z równymi...

- ...gdy zanadto pochleją - dokończył Vittorio, odpychając prowadzących Adalberta strażników i ujmując braciszka pod ramię. - A jam Vittorio Scozzi, wielki grzesznik, kuszony przez szatana o wszelkich porach dnia i nocy z wyłączeniem posiłków. Bo wtedy jestem całkiem w jego mocy. Chodźże, Adalbercie. Będę ci się spowiadał długo, długo, ze wszystkich plugawstw mojej duszy...

I uśmiechnął się do siebie. Niespodziewanie spadła mu z nieba szansa, że jednak powie Konradowi coś, co temu może się spodobać.

Mimo wietrznego popołudnia noc okazała się pogodna. Nieznany z imienia wąż, który wybrała Anna Gi-scolvi, był od tysiącleci drażony przez rzeki wzbierające wściekle podczas ulewnych deszczy. Od dobrych paru dni z nieba nie spadła jednak ani kropla, a postrzępione chmury przemykające po rozgwieżdżonym niebie zapowiadały cichą, spokojną noc. Anna wygładziła suknię, usiadła na kamieniu i zapatrzyła się na tarczę księżycy, srebrzystą, otoczoną aureolą.

Usiłowała oczyścić swój umysł ze wszelkich myśli, co w takich momentach było niezwykle ważne, ale nie potrafiła. Niespodziewanie księżyc przesłoniła jej twarz Vivienne de Grenier, osobliwie uśmiechnięta, okolona rudymi lokami. Anna westchnęła ciężko i umknęła spojrzeniem w bok, kiwając lekko głową.

- Zaraz się okaże, czy mnie okłamałaś - powiedziała cicho do siebie. - Okaże się, czy jesteś podlejsza ode mnie.

Przymknęła powieki, a wtedy przed jej oczyma zaczęły przemykać obrazy z przeszłości. Po raz tysięczny przeżywała swą rozpacz po odkryciu, że jej ukochany utracił duszę, po raz tysięczny przeżywała swą wędrówkę od miasta do miasta w poszukiwaniu pomocy i ratunku, po raz tysięczny smakowała echo swego przerażenia, gdy zaczęła zgłębiać tajniki władzy nad dżinami.

- Zrobiłam tak wiele - szepnęła. - Zrobiłam tak wiele w imię miłości...

W imię miłości wydzieriała sekrety prastarej, zapomnianej już fenickiej magii. W imię miłości kradła, zabijała, dzieliła łoże z niekochanymi przez siebie mężczyznami, oszukiwała i upodlała się. W jej imię zawarła osobliwy pakt z Vivienne de Grenier, która zaofiarowała pomoc w zrzuceniu klątwy, o ile Anna wesprze ją w jej intrygach.

Ta nie wierzyła hrabiance - Vivienne nie należała do kobiet, którym można było wierzyć - ale nie miała wyboru. Wszystkie inne metody, łącznie z mocą dżinów, przecież zawiodły.

Księżyc o twarzy Vivienne uśmiechał się. Anna przymykała oczy.

Bywały chwile, gdy żałowała swej decyzji. Bywały chwile, gdy nienawidziła rudowłosej sojuszniczki i była przeświadczona, że wszystko skończy się dla niej tragicznie, zwłaszcza gdy jastrząb wysyłany z wieściami dla Is-maila wracał coraz bardziej wycieńczony.

Aż zdecydowała się zerwać pakt z Vivienne. Musiała.

Nie kosztowało jej to wiele, nawykła przecież do smaku zdrady, ale chwila, gdy wysłannik asasyków, sędziwy Kerim ibn Muhammad, opowiedział o człowieku, który pomoże jej zerwać klątwę, była początkiem kolejnej serii niepokojów i rozterek. Nie było dnia, ba, nie było godziny bez gorzkich rozważań o Vivienne. Skąd jej sa-raceńscy sprzymierzeńcy z Ismailem na czele wiedzieliby, jak przerwać klątwę, skoro ona sama nigdy tego nie odkryła? Czy mogła zawierzyć Vivienne? Czy nie odbywała tej podróży nadaremnie? Czy jedna zdrajczyni mogła zaufać drugiej?

Los jednakże okazał się intrygantem o niebo lepszym od obu kobiet i niemiłosiernie zakpił z Anny Dotarła do Askalonu, odnalazła czarodzieja wskazanego przez Keri-ma i poznała zaklęcie, ale nadzieje na rychłe szczęście pogrzebała jej chciwość. Nigdy nie przestała sobie wyrzucać, że była tak nierozważna.

„Po co ja wezwałam tego džina? - po raz kolejny zapytała sama siebie w myślach. - Cóż mi strześciło do głowy, by po tym wszystkim, przez co przeszłam za sprawą Vivienne, jeszcze wołać džiny na pomoc? I to po to, by zaniósł nas w jakieś ustronne miejsce?”

Potem nastąpiła rozpaczliwa walka z przyzwanym nieopatrnie džinem. Rany, niewola, targ niewolników, karawana. Atak chrześcijańskich najemników, próba gwałtu, wreszcie odsiecz, a potem znów długa, długa wędrówka, rozterki, rozmyślenia, nieprzespane noce.

I Gaston.

„Skoro nadal odczuwam wyrzuty sumienia, chyba nie jestem aż tak podła” - pomyślała gorzko. Westchnęła raz jeszcze i ostatecznie oczyściła umysł z wszelkich myśli. Potem powoli odwróciła się ku Usa-mie, który stał kilka kroków za nią, jak zwykle wyniosły i milczący niczym posąg.- Podniosła się cicho jak kot, podeszła, przesunęła dłoń po jego policzku.

- Przysięgam ci - szepnęła po arabsku. - Przysięgam ci, że tym razem nic nam nie przeszkodzi. Odpowiedział jej ostry, przenikliwy krzyk jastrzębia nad ich głowami. Matowe oczy mameluka nawet nie błysnęły, nadal wpatrzone gdzieś wysoko w gwiazdy.

Nabrała głęboko tchu i mocnym głosem wypowiedziała zaklęcie poznane w Askalonie.

Skrzydła jastrzębia, lśniące pyłem gwiazd, musnęły jej twarz. Rozkrzyczany ptak zatoczył koło nad ich głowami, zatrzepotał, jakby chciał usiąść na poskręcanej gałęzi akacji, i nagle zniknął.

Wyparował.

Usama zamrugał oczami, jakby się obudził.

Anna upadła na kolana.

Prosty drewniany krzyż nad ołtarzem, rozmazany w promieniach rzędów świec, wydawał się Gastonowi najpiękniejszą rzeczą na świecie. Patrzył nań z uniesieniem, nie mogąc nasycić serca bijącym od niego spokojem. Pożerał go wzrokiem, jakby chcąc nadrobić długie tygodnie, w trakcie których zupełnie o Bogu nie myślał. Co rusz wykonywał znak krzyża, pospiesznie, wręcz z lękiem, a święci z fresków nachylali ku niemu swe bizantyjskie oblicza i uśmiechali się dobrotliwie.

Podobny uśmiech - uśmiech, a nie złowieszczy grymas jak zwykle - wykwitł na twarzy Bernarda, który nie-spostrzeżenie podszedł do swego pana i uklęknął obok. Przeżegnał się zamazyście, po czym spojrzął na Gastona.

- Wiesz, chyba mam już tego wszystkiego dosyć - wyszeptał młodzieniec. - Tej ciągłej gonitwy, ciągłych rozczarowań, ciągłej wędrówki. Chciałbym już gdzieś osiąść, gdzieś przynależeć, gdzieś odkryć swoje miejsce. Może tu, wśród zakonników? Co powiesz, Bernardzie?

Zerknął na swego giermka, na co ten uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem gestem zupełnie niepasującym do służącego położył dłoń na ramieniu młodzieńca.

„Tam gdzie ty, tam i ja, panie”.

Gaston skinął głową.

- Dobrze - wyszeptał ochrypłym głosem. - A zatem pora na mnie.

Nad basztami zamku Krak des Chevaliers również rozciągało się bezchmurne, rozgwieżdżone niebo, a nieliczne chmury poganiane łagodnym wiatrem odbijały srebrne światło księżyca. W samym zamku jednakże panowało ożywienie kłójące się z ciszą jesiennej nocy. Migotały pochodnie, rżały konie, poszczekiwał oręż, a wielkie bramy zamczyska raz za razem rozwierały swe podwoje, by wypuścić kolejną grupę ludzi prowadzoną przez konnych wojowników.

Mimo zamieszania panującego na dziedzińcu Gaston wypatrzył kasztelana natychmiast po wyjściu z kaplicy. Henryk de Treviere gestykulował żywo, wydając polecenia kilku rycerzom i braciom służebnym, podczas gdy inni odpychali rozwrzeszczane, lamentujące kobiety z dziećmi uczepionymi ich kiecek.

Dobrze wiedział, co jest przyczyną zamieszania. Gdy tylko gruchnęła wieść o pojmaniu szalonego templariusza, setki uchodźców natychmiast zapragnęły porzucić gościnę zakonników i ruszyć w dalszą drogę. De Treviere bynajmniej ich nie powstrzymywał, ale gdy szło o ludzi, którzy przed falą napadów zamieszkiwali okolice zamku, musiał zainterweniować, i to stanowczo.

Ci bowiem postanowili wykorzystać pierwszą dogodną okazję, by wybrać sobie najwygodniejsze domostwa w opustoszałym Salib i zatroszczyć się o porzucony, nikomu już niepotrzebny dobytek ofiar masakry... Kasztelan zdarł sobie głos, próbując wyperswadować im osiedlanie się w miejscu zagrożonym atakami sara-ceńskich podjazdów, a kiedy uświadomił sobie bezsens swego działania, rozkazał podzielić uchodźców na kilka grup i przydzielić im zbrojne eskorty na czas powrotu do Salib.

I znów rycerzom z trudem udało się opanować oburzenie tych ludzi. Wściekli i rozjuszeni nie rozumieli, że pomimo pojmania szalonego templariusza szlaki nadal są niebezpieczne i zagraża im emir Baruh al-Malik, którego nadejścia spodziewano się lada dzień. Nie uświadamiali sobie, że tylko obecność zbrojnych może powstrzymać ich przed bijatykami o domostwa i porzuconą chudobę, a także zmusić do pogrzebania zwłok. Za gościnę dziękowano zakonowi obelżywymi słowami i wyrażaniem pięściami.

Gaston szedł w kierunku kasztelana, a rozwrzeszczane kobiety milkły na jego widok i usuwały mu się z drogi. Dzieci patrzyły na niego szeroko otwartymi oczyma. Był przecież tym, który pokonał i spętał szalonego templariusza. Był kimś wielkim.

Uśmiechnął się lekko.

„Zabawne - pomyślał. - Uważają mnie za bohatera. Mnie, który znowu stracił wszystko, na co miał nadzieję”.

W myślach jego nie było jednak goryczy - wytracił ją podczas kilkugodzinnej modlitwy w kapliczce, modlitwy, która przybrała formę rozmowy z samym sobą, a Bóg był jedynie milczącym, lecz obecnym świadkiem. Szedł ku kasztelanowi z odwagą i pewnością siebie. Niósł w sobie decyzję.

Na dziedzińcu cichło i naraz usłyszał głos Henryka, zdarty po całym dniu wykrzykiwania rozkazów i klótni z rozwścieczonymi uchodźcami.

- Ilu ich jeszcze zostało?

- Kilka tuzinów, bracie kasztelanie - odpowiedział błady ze zmęczenia brat służebny w brązowej tunice. - Głównie kobiety i dzieci. Są przekonane, że ich mężowie już dawno dotarli do Salib i wybrali dla nich nowe sadyby. Chcą jak najszybciej do nich dołączyć.

Kasztelan skinął głową i odkaslnął kilkakrotnie.

- Niech czekają - wychrypiał. - Lada chwila wróci podjazd brata Rajmunda. Uff, będziemy mieli to zamieszanie z głową. O, witajcie, rycerzu de Baideaux.

- Witajcie, bracie kasztelanie - odparł Gaston. - Czy zechcecie poświęcić mi chwilę? Jakaś nowa nuta w jego głosie, a może nowy, nieznany błysk w spojrzeniu sprawił, że de Treviere skinął głową pozostałym braciom, ujął młodzieńca pod ramię i odprowadził go na stronę.

- Cóż was trapi, rycerzu? - spytał.

- Sypialiście z Anną - oznajmił ten spokojnym głosem, nie spuszczać zeń wzroku. Zakonnik z trudem opanował odruch cofnięcia się o krok.

- Co... - wykrztusił purpurowy na twarzy. - Co wy wygadujecie?

- Nie wiem, jak długo - ciągnął Gaston - bo i skąd. Jestem jednakże pewien. Jakżeby wydostała się z twierdzy w środku dnia, jeśli nie za waszym przyzwoleniem?

- Ale... Ale czy to ma od razu oznaczać...

- Nie - pokręcił głową de Baideaux - ale na dowód mam rozbawione spojrzenia waszych giermków i rycerzy, które ścigały mnie niemal od pierwszego dnia w Krak. Oto młody rycerzyk przywiódł damę, za którą wodzi tęsknymi spojrzeniami a ta, siup! prosto do alkowy kasztelana! Zabawna historia, trzeba przyznać.

Henryk poczerwieniał tak bardzo, że krew groziła tryśnięciem z jego policzków.

- Za grzech odpowiem pokutą, a tę... - zaczął, lecz Gaston przerwał mu machnięciem dłonią.

- Dajcie spokój, bracie kasztelanie. Wykorzystała mnie, by odnaleźć swego ukochanego, wykorzystała was, by się do niego w porę dostać. Doprawdy nie ma o czym mówić, chyba że zaiste podczas spowiedzi. Ja nie z pretensjami czy z żalami, bracie kasztelanie. Ja tylko chciałem mieć jasność.

Stali naprzeciwko siebie, dostojnik zakonny zmieszany i poczerwieniały niczym sztubak oraz młody rycerz spokojny i opanowany. I to on zaczął znów:

- Nie o to zresztą chodzi, bracie, by rany rozgrabiąć czy ogień podżegać. Bo... - przełknął ślinę - bo ja was o błogosławieństwo prosić chciałem. Czy przyjmiecie mnie do zakonu?

Joscelin de Royes cierpiał.

Prowadzący go giermkowie nie szczydził mu kuksańców, a gdy ostatecznie wepchnęli więźnia w mrok celi, przyskoczyli doń i skopali niemalże do nieprzytomności. Nie miał do nich pretensji. Cierpienia cielesne wydawały się zaledwie urozmaiceniem przy katuszach, jakich doznawała jego dusza, bez względu na to, czy udawało mu się zachować przytomność, czy też nie.

- Zawiodłem - szeptał bezgłośnie. - Zawiodłem. De Baideuax żyje, co gorsza, ja również. Czeka mnie powolna, długa śmierć, niepowstrzymane gnicie...

Nie czuł głodu czy pragnienia, nie miały do niego przystępu wilgoć czy zimno, zapomniał o swych połamanych żebrach i powybijanych zębach. Żył cierpieniem. Cierpiał życiem.

Aż powietrze w celi zgęstniało i z mroku wyłonił się ten, do którego stóp już nigdy nie miał nadziei przypaść.

- Zawiodłem... - wyjęczał, kuląc się w oczekiwaniu na straszliwy ból.

Ten, którego nazywał swoim panem, patrzył na Joscelina bez wyrazu na ciemnej twarzy okolonej czarnymi lokami. Wreszcie jego cienkie wargi rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

- Tak - powiedział. - Zawiodłeś. Zawiodłeś jak jeszcze nikt przed tobą, choć dałem ci to, czego pragnąłeś.

Dałem ci władzę nad padlinożercami, by niepostrzeżenie zbierały dla ciebie wieści, by nosiły listy i chodziły na przeszpiegi. Dzięki nim stałeś się najlepiej poinformowanym człowiekiem w

całym Outremer, prawdziwym królem wywiadowców. A teraz? Spójrz tylko na siebie. Wszystko zepsułeś, de Royes, wszystko. Ale nie będę cię karał, de Royes, nie. Straciłem już do ciebie cierpliwość, robaku. Jest tylko jedna rzecz, którą możesz sobie zasłużyć na szybką śmierć.

- Zrobię... - wychrypiał bezzębными ustami. - Zrobię wszystko! Zabiję tego pyszałka, choćbym miał...

Przybysz uciszył go, unosząc palec.

- Nie zabijesz go - rzekł. - Nie życzę już sobie, byś go zabijał. Natomiast potrzebuję więcej siły. Jak najwięcej siły. Rozumiesz mnie? Ci wszyscy nieszczęśnicy, którzy schronili się pod skrzydłami jakże dzielnych szpitalni-ków, opuścili wczoraj twierdzę. Udali się do Salib, miasteczka, którego ludność nie tak dawno wyróżnąłeś. Udali się tam, by kłócić się o domy, o porzucony dobytek, o nową pozycję w stadzie. Zaczynasz rozumieć?

- Tak, zaczynam, zaczynam, panie! Zrobię, co zechcesz! Zrobię to!

- Dobrze. A teraz przypomnij sobie dobrze, de Royes, jak daleko swego czasu sięgały twe macki.

Nim okaleczony templariusz zdołał otworzyć usta, przybysz zniknął, a wraz z nim strach.

Pozostała pustka, a tę wypełniło zdecydowanie.

Krótko po północy Joscelin de Royes umarł.

Parobek, który o świcie przyniósł mu dzbanek z wodą i kilka kromek czerstwego chleba, ujrzał pozbawione życia, przedwcześnie postarzałe ciało. Natychmiast zawiadomił swego przełożonego, a ten, zmęczony i poirytowany, nakazał wywlec trupa z celi i pogrzebać u stóp wzgórza. Większość załogi odsypiała jednak nocną wyprawę do Salib, więc nikt nie miał ochoty zrywać się z posłania, by kopać grób dla zniechęconego templariusza, tak że to niewdzięczne zadanie przypadło parobkowi, który zastał Joscelina martwego. Ten, rozwścieczony do granic, wciągnął go na drewniany wózek, wywiózł z zamku i porzucił przy drodze, przywaliwszy ledwie kilku kamieniami. Obrażony na cały świat wrócił do Krak de Chevaliers i zajął się swoimi sprawami.

O trupie zapomniał.

Ten zaś leżał przy drodze aż do samego wieczora, kiedy to przyciągnął uwagę kilku hien.

Wystraszone ludzkim zapachem krążyły przez jakiś czas wokół ciała, a potem największa z nich zebrała się na odwagę, doskoczyła i kłapnęła szczękami tuż nad twarzą trupa.

Wtedy oczy Joscelina otworzyły się raz jeszcze, a jego usta wydały ostatnie polecenie.

Wkrótce hieny popędziły na wschód, ku Damaskowi, niosąc nową misję. Gnały z entuzjazmem i energią, bo dawno nie miały takiej uczyty.

Tej nocy pod zimnym syryjskim niebem pędził krzyk. Wyrwany z wielu ust i gardeł gwał nad pustyniami, wzgórzami i bezlistnymi gajami, zwiastował nadejście ciemnych dni.

Krzyczała z rozkoszy Anna Giscolvi i darła paznokciami plecy Usamy, którego potężne mięśnie drżały jak podczas najsroźszej z bitew.

Wyła z bólu Vivienne de Grenier i toczyła się po podłodze swej celi, objając o ściany, wpadając na sprzęty. Przewrócony kubek, z którego wypila środek poronny, wpatrywał się w nią swym ciemnym okiem jako niemy świadek tragedii.

Darł się pijany Vittorio Scozzi, wyśpiewując do zachrypnięcia sprośne genueńskie piosenki, w które w dowolny sposób wplatał imię Marco, i przyciskał do siebie brata Adalberta. W swym uniesieniu zupełnie nie zwracał uwagi, że zaginiony i cudownie odnaleziony kapelan duchem jest zupełnie gdzie indziej.

Krzyczeli z furią templariusze, którzy zmiażdżyli oddział saraceńskiej lekkiej jazdy, a teraz krążyli wokół niedobitków i bez litości dobijali rannych i poddających się. Brat Rupert unosił ręce ku niebu i śpiewał psalm ochrypłym głosem.

Wrzasnął Gaston de Baideaux, budząc się i siadając na pryczy. Czarny jeździec w jego snach machał ku niemu, wabił ze śmiechem.

„Czego pragniesz?! - wołał. - Powiedz mi, czego pragniesz, de Baideaux! Powiedz mi!”

Rozdział czternasty

w którym spotykają się żywioły

Zamieszanie na czele kolumny przerwało zadumę Anzelma. Odmieniec uniósł głowę, zamrugał oczyma i spojrzął na jadącego u swego boku rycerza z zieloną tarczą.

Ten uśmiechnął się lekko, jakby od paru dni nie podróżowali w całkowitym milczeniu, nie patrząc nawet na siebie, jakby jedynymi słowami wymawianymi z rzadka przez Anzelma nie były stłumione przekleństwa wywołane szczególnie dotkliwymi wspomnieniami.

„Kim ty, u licha, jesteś?” - zapytał sam siebie po raz tysięczny i popędził konia piętami.

Po chwili wmieszał się w rozgadany, podekscytowany tłum Beduinów. Panował taki ścisk, a wrzawa była tak ogłuszająca, że nie od razu ujrzał powód zamieszania.

Traktem zbliżał się silny oddział jazdy. Jeźdźcy byli jeszcze daleko, niemniej Anzelm od razu się zorientował, że to chrześcijańscy rycerze. Mówił mu o tym przyciężkawy chód masywnych wierzchowców, wysokie kopie dzierżone przez giermków i niespotykane na Wschodzie wysokie hełmy garnckowe. Zmrużył brwi i dostrzegł również czarne tuniki przecięte białym krzyżem.

- Szpitalnicy - szepnął sam do siebie.

Na twarzach kilku Beduinów Anzelm dostrzegł przestach, ale ich przywódca, siwobrody starzec w białym burnusie, parsknął gniewnie, uderzył się pięścią w udo i wykrzyknął kilka ostrych słów. Odmieniec nie rozumiał go, ale intencje i plan muzułmanina były widoczne jak na dłoni. Jego najbliżsi już sięgali po szablę, inni wydobywali łuki z sajdaków.

- Zaraz dojdzie do niezłej awantury! - zawołał półgłosem odmieniec i rozejrzał się bezradnie, zupełnie nie wiedząc, co począć. Na widok orszaku szpitalników uświadomił sobie, że kilkutygodniowy okres spokoju właśnie dobiega końca. Zaciśnął dłoń na rękojeści miecza.

- Nie - wyszeptał z żalem. - Nie zabierajcie mi tego...

- Nikt ci niczego nie zabierze - odezwał się ktoś tuż za nim.

Ujrzał rycerza z zieloną tarczą, który niespostrzeżenie zatrzymał rumaka tuż obok. Ciemne oczy wąsacza jaśniały niebiańskim wprost spokojem, który wydawał się nie na miejscu pośród gniewnych wrzasków jeźdźców pustyni.

- Nikt ci nic nie zabierze - powtórzył. - Przeciwnie, niebawem coś otrzymasz.

- Co takiego?

- Nie wiem. Wiem tylko, że twoja pokuta właśnie weszła we właściwą fazę.

Starczyło, by uniósł dłoń, a najgłośniejsi z Beduinów, łącznie z siwobrodym starcem, natychmiast zamilkli. Potem spojrzął na Anzelma, ruchem głowy nakazał mu, by podążył za nim, i spiął konia.

Ruszyli ku nadciągającym szpitalnikom, którzy już sprawili szyk bojowy i ujmowali kopie z rąk giermków, ci zaś łapali za kusze. Ale nie drgnęli z miejsca, stali żelaznym murem najeżonym ostrzami kopii, czekali. Gdy od zakonników dzieliło ich ledwie kilkanaście kroków, rycerz z zieloną tarczą wypuścił wodze i rozłożył ręce w geście powitania.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - zawołał.

- I my go chwalimy! - zadudnił jeden z braci, którego twarz przesłaniał potężny hełm. - Jak brzmi wasze imię, dobry rycerzu, i cóż za nieszczęście sprawiło, że podróżujecie wśród pogan?

- Nie nieszczęście, a łaska pańska, bracie. - Wąsaty rycerz zatrzymał rumaka, który opuścił łeb i parsknął zdyszany. - Dzięki niej mogłem się przekonać, że choć inną wyznają wiarę, nie hodują w duszach zła.

- Hodują za to nienawiść! - zakrzyknął szpitalnik w odpowiedzi. Anzelm, który zatrzymał konia tuż za wąsaczem, odniósł wrażenie, że gdzieś już słyszał jego głos. - Nienawiść wobec wszystkich tych, którzy przyszli odbić z ich rąk Ziemię Świętą.

- Nie nienawiść, a gniew - odparł spokojnie rycerz z zieloną tarczą. - Gniew na wszystkich tych, którzy niesłusznie podnoszą na nich zbrojną prawicę.

- To muzułmanie!

- To Beduini. Hodowcy koni, pasterze, ludzie wolni jak wiatr, obojętni na sprawy ziemskie. Nie oni są waszymi wrogami.

- Nie przejdą tym szlakiem.

- Tedy przejdą innym - wzruszył ramionami rycerz z zieloną tarczą. - Darujcie im, bracie.

Nie zawinili nam ani wam.

Ciężki hełm garnczkowy pochylił się lekko, jakby rycerz chciał się skłonić przed argumentami, lecz potem znów hardo podniósł głowę.

- Przekażcie im więc, by wrócili do Wadi Al-Rahib -zagrzmiał. - Potem niech skierują się na południe i przy wyschniętym lesie cedrowym niech znów skręcą na wschód. Jeśli nie posłuchają mych słów...

- Zginą, a jakże - przerwał mu rycerz z zieloną tarczą. - Dziękuję wam za waszą szlachetność. Bracie Anzelmie - spojrzął na swego towarzysza - wróć do Bedu-inów i przedstawię im wolę szpitalników, a ty zabawiaj naszych nowych przyjaciół rozmową, dobrze? Odmieniec zmarszczył gniewnie czoło i już otwierał usta, by zaprotestować, gdy rycerz siedzący po prawej stronie dowódcy podjazdu, równie wysoki, ale nie tak potężnie zbudowany, z jasnymi kędziorami widocznymi spod hełmu, poruszył się nagle i wyjechał z szeregu.

- Anzelm? - zapytał głosem Gastona de Baideaux. - Anzelm de Fidou?

- Wciąż nie mogę się nadziwić, że cię widzę! - powtarzał rozpromieniony Gaston. - Tyle się wydarzyło, tyle mam ci do opowiedzenia!

- To akurat widzę - uśmiechnął się Anzelm i dotknął palcami czarnej tuniki bojowej, którą de Baideaux narzucił na kolczugę. - Wszystkiego bym się spodziewał, Gastonie, ale że zostaniesz zakonnikiem?

Młodzieniec odpowiedział uśmiechem, choć smutniejszym, i przez chwilę patrzył w niebo szarzące wraz z nadchodzącym zmrokiem.

- Tak wyszło - powiedział w końcu. - Wreszcie odnalazłem miejsce, gdzie zapragnąłem zostać. Miejsce, gdzie...

I urwał. Czy naprawdę chciał opowiadać komukolwiek o rozstaniu z Vittoriem? O masakrach, które za jego sprawą urządził Joscelin de Royes? O zdradzie Anny i jego miłości, która musiała zgasnąć, zanim jeszcze wy-pączkowała? Wszystkich tych dziwnych zajściach, które doprowadziły do tego, że Krak des Chevaliers stało się jego nowym domem?

Z niezręcznej sytuacji wybawił go krąg niespokojnych, migotliwych ognisk. Ujrzeni je, gdy orszak rycerzy szpitalników zjechał z niewysokiego wzgórza i oczom dwójki towarzyszy ukazało się obozowisko na równinie. W drżącym blasku ogni widać było konie, ludzi oraz niewielkie namioty. Oraz jeden o wiele od nich większy i dostojniejszy w samym środku.

- A to co znowu? - zapytał zdumiony Anzelm.

- Po tej stronie rozstawione są namioty szpitalników, którzy przybyli tu jako eskorta barona Ibelinu i markiza Montferratu. - Gaston wskazał prawą część kręgu. -A tam... Cóż, tam jest obozowisko nizarytów.

- Kogo? - zachłysnął się Anzelm.

- Nizarytów. Asasynów. Wyznawców Starca z Gór -objaśnił młodzieniec.

- Obozują tu asasyni?!

- Tak, ale wierz mi, nie ma powodów do obaw. Ludzie gadają, że ponoć Starca z Gór zawsze poprzedza ob-woływacz, który dzierży topór na długim trzonku z wbitymi weń nożami i krzyczy: „Rozstąpcie się przed tym, który wziął w swe ręce śmierć królów!” Nic podobnego, Anzelmie. Aż rozczarowany byłem.

- A po co tu przybyli?

- By naradzić się z baronem Balianem i markizem Konradem. Po to właśnie rozbiliśmy ten namiot pośrodku obozowiska.

Rycerz-odmieniec pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Bywało, że nasi panowie kumali się z muzułmanami, ale żeby wchodzić w komitywę z asasynami?

- Nie nam to oceniać - wzruszył ramionami Gaston. - Chodź, zaprowadzę cię do mojego namiotu.

Obrócił się w poszukiwaniu Bernarda. Ogromny parobek jechał obok rycerza z zieloną tarczą. Milczeli, rzecz jasna, ale patrzyli na siebie tak, jakby rozmawiali.

Młodzieniec uśmiechnął się rozbawiony tą myślą, a potem raz jeszcze spojrzał na centralny namiot. Jego uśmiech przygasł.

Płachty namiotu falowały pod naporem zimnego wichru niczym boki ogromnego, zdyszanego zwierzęcia. Promyki nielicznych niezagaszonych jeszcze świec oraz frędzle na skraju jedwabnych poduszek drgały w tym samym rytmie, ale twarze trzech mężczyzn, którzy na nich zasiadali, były niczym wykute ze skały.

- Radzi jesteśmy, że zechcieliście się z nami spotkać, efendi - przełamał milczenie Balian z Ibelinu i powstrzymał odruch podrapania się po zabandażowanej głowie. Mówił poprawnym, choć kiepsko akcentowanym arabskim, co wywołało lekkie skrzywienie na obliczu Konrada z Montferratu.

Rashid ad-Din Sinan dostrzegł to, ale przemówił bez cienia grymasu na wyschniętym, zniszczonym od słońca i wiatru obliczu:

- Obudziliście moją ciekawość, baronie. - Jego langue d'oïl był równie kiepsko akcentowany jak arabski Baliana, lecz wyraźny i płynny, a błędy łagodził głos, miękki i melodyjny, niepasujący do człowieka tak potężnego. - Gdy pod bramami Masjafu stanęli wasi posłańcy, sądziłem, że zebraliście się na kpiny. My, nizaryci, jesteśmy nieszczęsnym ludem i wielokrotnie doznawaliśmy krzywd z rąk waszych, Al-Farandż.

- Nam również zdarzało się opłakiwać dobrych rycerzy, którzy padli ofiarą nieznanym skrytobójców - rzekł Konrad. Mówił obojętnym tonem, lecz zmarszczył lekko brwi, jakby chciał zamaskować drapieżne spojrzenie.

- Zapewne macie na myśli nieszczęsnego hrabiego trypolitańskiego Rajmunda? - zapytał uprzejmie Starzec z Gór. - Tak, jego śmierć okryła żałobą cały świat chrześcijański. My również odżałowaliśmy jego stratę.

Konrad przygryzł wargę, jakby w ostatniej chwili powstrzymał poważny zarzut, który mógłby zrujnować rozmowy, nim się jeszcze na dobre zaczęły.

- Ciekaw jestem, czy i po mnie byście płakali. - Oczy Baliana z Ibelinu błysnęły stałą. - Bom i ja raz o mało co nie padł ofiarą zamaskowanego zabójcy.

- Zatem macie poważnych wrogów, baronie - głos Starca również ochłódł. - Co gorsza, nieznanymi wrogów. Nasz lud nigdy nie podniósł na was ręki. Nigdy.

Przekonanie w głosie nizaryty sprawiło, że zmieszany baron na moment odwrócił spojrzenie.

- Wręcz przeciwnie - ciągnął Starzec. - Wynosimy was ponad resztę gjaurów jako uczciwego i walecznego wojownika, prawdziwy klejnot wśród emirów Outremer. Nie masz ci

nad wami wyższego - mówił, ignorując urażoną minę Konrada - i tylko dlatego zdecydowaliśmy się z wami spotkać.

Balian pochylił lekko głowę, na co nizaryta odpowiedział tym samym.

- Jednakże - dodał - gdyby miało dojść do kolejnego spotkania między nami, nigdy nie proponujcie zamku zakonników ani jakiegokolwiek innego miejsca, które kiedykolwiek kałały ich stopy. Łudzę się w skrytości ducha, że pomysł nie wyszedł od was, człowieka, który zna Outremer na wskroś i słyszał wiele o nieszczęściach, jakie dotknęły mój lud ze strony rycerzy z krzyżami na płaszczach.

Konrad przygryzł wargę i odwrócił spojrzenie, ale pąsu na policzkach zamaskować nie potrafił.

- Każdy, kogo cera ogorzała od syryjskiego słońca, pamięta o zbrodni, jakiej dopuścili się templariusze na naszych posłańcach wracających od króla Amalryka - odezwał się dobitnie Starzec z Gór.

Balian odetchnął ciężko, markiz ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Obaj doskonale wiedzieli, o czym opowiada asasyn. Za panowania Amalryka nizaryci wysłali do króla jerozolimskiego poselstwo, zapewne z propozycją sojuszu przeciwko muzułmańskiemu przywódcy Nur ad-Dinowi. W zamian zapewne zażądali zniesienia trybutu, który templariusze z Tortosy narzucili ich wioskom. I pewnie z tego powodu w drodze powrotnej opadli ich zakonnicy pod wodzą Waltera z Mesnil i wyrznęli do nogi. Nikt w królestwie nie wątpił, że działali za cichym przyzwoleniem mistrza. Nikt w królestwie się nie łudził, że kiedykolwiek o tym zapomną.

- Każdy, kto przemierzał te strony, wie, że Krak des Chevaliers leży ledwie kilkanaście mil od Al-Kadmusu, a z murów Al-Markab szpitalników widać wieże Masja-fu - ciągnął Starzec. - Rycerze z białymi krzyżami niejedną raz nakarmili tę ziemię naszą krwią.

- Nie chcieliśmy was urazić, efendi - rzekł pojednawczo Balian. - Rad jestem, że nie przeszkadza wam, iż to właśnie szpitalnicy tworzą naszą eskortę.

- Nie przeszkadza. - Starzec z Gór odsłonił równe, mocne zęby w drapieżnym uśmiechu. - Nie przeszkadza, póki mam swych fida'i w zasięgu głosu. A ci, wierzcie mi, wodzą ślepiami za zakonnikami niczym głodne psy.

Konrad znów w porę ugryzł się w język. Baron zachował obojętne oblicze.

- Wiedźcie też, że wszystko, co tu ustalimy, czcigodni emirowie, nie dotyczy templariuszy - dodał nizary-ta. - Co do tego chciałbym mieć całkowitą jasność, jeszcze zanim przejdziemy do dalszych rozmów.

Przez twarze obu Franków przemknęła cała gama uczuć: od zdumienia przez dezaprobatę i wzburzenie aż po zrezygnowanie.

- Nie występujemy jako obrońcy zakonu ubogich Rycerzy Chrystusa, ale obrońcy Outremer - powiedział w końcu Balian.

Starzec z Gór uśmiechnął się. Pierwsze zwycięstwo należało do niego.

Spojrzenia wszystkich co rusz uciekały ku namiotowi obrad rozświetlanemu od środka migotliwym blaskiem świec. Jedyńm, którego rozmowy chrześcijańskich przywódców z otoczonym złą sławą Starcem z Gór zdawały się nie obchodzić ani trochę, był Anzelm z Ar-Ramli. Dla ochrony przed nocnym chłodem narzucił na barki podarowany mu pled i zasiadł przy ognisku tuż obok Gastona. Na jego twarzy malowała się obojętność, której młodzieniec mógł mu tylko pozazdrościć.

- Kim jest twój towarzysz? - zapytał de Baideaux. - Ten rycerz z długimi wąsami. Pamiętam go z naszej pierwszej wyprawy pod Akkę, ale nie znam nawet jego imienia.

- Ja też nie - wzruszył ramionami Anzelm wyrwany nagle ze swoich rozmyślań. -

Niechętnie się nim dzieli, innych swych tajemnic też skąpi, choć te, które każdy z nas skrywa, zna na wylot.

- Nadal utrzymuje, że to ja uwolnię cię z przekleństwa?
- Nadal.

Nagły podmuch wiatru przydusił płomienie, pchnął kłęby gryzącego dymu prosto w twarze obu rycerzy. Zakaszleli, zamachali dłońmi.

- Chciałbym móc ci rzec, Anzelmie, że to prawda - powiedział Gaston, gdy dym znów skierował się ku niebu. - Rozumiem, czym jest takie brzemie...

- Łajno tam rozumiesz! - przerwał mu nagle Anzelm. - Do tej pory moje życie toczyło się szybko, zbyt szybko, bym mógł wniknąć w konsekwencje tego nieszczęsnego przekleństwa. Przez te kilka tygodni u boku Beduinów przemyślałem sobie wszystko dokładnie. Wspominałem każdego człowieka, którego życie przerwał mój szal, każdą kroplę krwi, którą pozostawiłem na piasku. Dopiero teraz widzę, jakim potworem się stałem.

- Wielu z tych ludzi było nieprzyjaciółmi Krzyża - próbował oponować de Baideaux.

- Wszyscy byli ludźmi! Każdy z nich miał prawo do życia, do decydowania o sobie samym, a moja klątwa im to prawo odebrała. Zamieniła ich w parujące, wybebeszone trupy, w bezkształtne sterty mięsa, w okrwawione strzępy szmat.

Zapatrzony w płomienie objął swą lirę. Po nieogolonym policzku spływała wolno łza, odbijając rdzawy blask ognia. Gaston ze zdumieniem uświadomił sobie, że nie wywołał jej dym.

- Pamiętasz tę noc w opustoszałej wiosce, kiedy opowiedziałem wam historię mojego rodu?

- zapytał Anzelm. - Gdy skończyłem i wszyscy układali się do snu, podeszła do mnie owa bezimienna, niema dziewczynka, przyklękła i zapytała: „Dlaczego nie opowiedziałeś im wszystkiego?”. Nie wypowiedziała ani słowa, ale usłyszałem jej pytanie w głowie równie wyraźnie, jakby wyrzekła je na głos. I odeszła zaraz, dzięki Bogu, bo doprawdy nie wiedziałbym, co jej rzec.

Młody rycerz wpatrywał się w odmienca szeroko otwartymi oczyma. Skądś wiedział, że nadeszła chwila szczególna, chwila wielkich wyznań i zwierzeń, chwila, po której nic już nie będzie takie samo. Gwiazdy nad ich głowami migotały z przejęciem, wiatr ucichł jakby zażenowany.

- Niedługo po tym, gdy opuściłem klasztor, wdałem się w bijatykę z kilkoma ormiańskimi rzeźmieszkami - mówił cicho Anzelm. Samotna łza zastygła na jego policzku i mieniła się niczym klejnot wrosnięty w skórę. - Tych akurat nie żałowałem, bo ludzkie życie mieli za nic, ale łatwo mi nie poszło, bo strachu nie znali, a robić mieczem i ciskać sztyletem potrafili jak mało którzy. No i wyszedłem ze starcia z przerąbanym ramieniem i nożem w plecach. Bolało jak cholera, co rusz mdlałem, leżałem godzinami na trawie nieprzytomny, krwawiący. Raz, gdy otworzyłem oczy, ujrzałem obwążującego mnie szakala.

Milczał przez moment.

- I szkoda, że nie przegryzł mi gardła, Gastonie. Bo ledwie wstałem, ujrzałem niewielki klasztor na zboczu góry. Nie wiedziałem, co czynię, ból odebrał mi resztki rozsądku. Ostatkiem sił przypełzłem pod jego wrota i zastukałem.

Odłożył lirę i spojrzał młodzieńcowi prosto w oczy.

- Wiem tylko tyle, że był to klasztor żeński. Poznałem to po trupach, które ujrzałem zaraz po tym, jak się ocknałem. Dużo trupów, mnóstwo. Kobiety, od staruszek po młodzieńkie dziewczęta, dzieci nieledwie.

- Co się stało? - spytał zduszonym szeptem de Baideaux.

- Nie domyślasz się? Siostrzyczki opatrzyły me rany, ułożyły mnie do snu, ale ból najprawdopodobniej nie dał mi spać. I w którymś momencie ogarnął mnie szal.

Zasyczało jakieś drowidło, inne strzeliło. Giermkowie zakonnicy przekomarzali się głośno, jakby krzykami chcieli dodać sobie odwagi. Gaston nie spuszczał oczu z towarzysza.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że ci z krzyżowców, o których dzisiaj śpiewa się pieśni w Europie, również dokonywali mordów, to lepiej mi tego oszczędź. - Głos Anzelma nabrał mocy. - Oni przynajmniej wiedzieli, co robią. Byli mordercami z wyboru, nie walczyli z wyrzutami sumienia. A ja? Cóż, ja nie odpowiadam za nic. Ja tylko niszczę i zabijam, a potem żyję ze wspomnieniami tego, co uczyniłem.

Jego twarz naraz wydała się stara i znużona, w oczach znów błysnęły łzy.

- Nie wiem, kim jest ten wąsacz, ale modłę się do Najwyższego, by się nie mylił. Modłę się, byś uwolnił mnie od tej klątwy, Gastonie, obojętnie jak.

- Jedno pozostaje do dodania, efendi - rzekł pochmurnym tonem Konrad z Montferratu. - Nie wiem, w jaki sposób chcecie pokarać zakon templariuszy, ale nalegać będę, byście za zemstę zabrali się po wojnie, gdy przepędzimy Salah ad-Dina. Bez względu na okrutne czyny, jakich dokonali, templariusze są nam potrzebni. Wszyscy.

- To prawda. Są. - Starzec z Gór kiwnął głową. -Wiem o waszych rozpaczliwych bojach pod Akką, Al--Markish. Nie stać was na utratę choćby najpodlejsze-go ciury obozowego, a co dopiero hufca ciężkozbrojnych wojów.

- Akka to potężna forteca - zacisnął zęby Balian. -Ale prędzej czy później padnie, efendi, i lepiej, by w chwili jej upadku łączył nas silny pakt. Upadek Akki będzie początkiem walk o odzyskanie Jerozolimy! Początkiem odbudowy naszej potęgi!

- I zważcie siły naszych zastępów, efendi - wyprostował się Konrad. - Prócz stronników króla oraz obu zakonów, hufców moich i barona Ibelinu walczą tam również dzielni krzyżowcy z Francji, Italii, Niemiec i Anglii, a każdy z nich na czele bitnego hufca. Swe armie zbierają Ryszard angielski oraz król Filip, władca Francji, a przez ziemię Rumu idzie ku nam cesarz rzymski Fryderyk Bar-barossa. Mówią, że z każdym dniem Salah ad-Dina ogarnia coraz większy lęk, efendi. A wy? Ile hufców wy wystawicie przeciw temu wściekłemu Ajjubicie? Balian posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, ale uniesiony własnymi słowami Konrad nie spuszczał wzroku ze Starca. Ten jednakże uśmiechnął się szyderczo.

- No właśnie, ile? - zapytał. - Ile, Al-Markish? Jak mniemacie, ilu ludzi mi służy? Ilu broni Al-Kadmusu czy Masjafu? Ilu przybyło ze mną lub siedzi po okolicznych wioskach? Ilu ukryło się w Tyrze, w Trypoli-sie, w Antiochii, pod Akką, ba, nawet w samym Krak des Chevaliers? Ilu z nich przybyło tu w waszej świcie, Al-Markish?

Konrad przypomniał sobie ostrzeżenie, jakie wygłosił Adalbert - cudem odnaleziony kapelan rodu de Baideaux, który ponoć przez kilka tygodni przebywał w Al-Kadmusie - i poczuł, że po jego plecach spływają ciarki. Mimo to zmarszczył brwi, wbijając wzrok w nizarytę.

- Nie próbujcie mnie zastraszyć, efendi - rzekł. - Sam dobieierałem swych ludzi i ufam im, a wasze słowa...

- Wzburzyły was, czyż nie, Al-Markish? - uniósł brew Starzec z Gór. - Bo przecież waszych koniuchów, ciurów obozowych czy zwykłych żołnierzy werbował ktoś inny, nie wy. A wielu z nich to przecież pulanie, zaś inni to Ormianie, Turcy, Arabowie, Beduini...

- Każdy z nich ochrzczony! - Konrad drżał od z trudem hamowanej wściekłości. - Na mszę chodzi, sakramentom się poddaje, Pater noster zna...

- Na bazarze w Damaszku widziałem papugę, która klepała chrześcijańskie modlitwy lepiej od niejednego z waszych imamów - przerwał mu nizaryta. - W życiu się tak nie uśmiełem. Mówią o was, żeście sprytni i mądrzy jak mało który z frankijskich wodzów. Brońcie swej sławy, Al-Markish. Ja się ze słabymi nie układam.

- Ze słabymi? - poczerwieniał Konrad. - Nie pomnicie już, co wam rzekłem, efendi? Nie pamiętacie już, że żelazne hufce zmierzają do Outremer, by odbudować dawny porządek? By

odzyskać Jerozolimę? Nie pomnicie, żem już sam dwakroć Salah ad-Dina spod murów Tyru przepędził?

- Jam też to raz uczynił - uśmiechnął się złośliwie Starzec z Gór. - Broniąc fortecy słabszej od Tyru, z załogą o wiele mniejszą od waszej, przeciwko wrogowi, który nienawidzi nas, uczniów Nizara, tysiącokrotnie bardziej niż was. A zabrało mi to niecały tydzień. Pamiętacie? Pamiętali, a jakże. Ledwie kilkanaście lat temu przez spokojne jeszcze ziemie Outremer przeszła lotem błyskawicy wieść, że Salah ad-Din postanowił rozprawić się z buntowniczą sektą i na czele wielkiej armii wkroczył w góry Al-Ansarija, by oblec Masjaf. W chwilę później pojawiła się wieść kolejna - iż sułtan zwinął swe hufce równie szybko, jak je rozstawił, a potem gruchnęły opowieści o przyczynach tak raptownej i niespodziewanej decyzji. Jedne opowiadały o wierszowanych listach z ostrzeżeniami, które niewidzialni zabójcy zostawiali w namiocie Salah ad-Dina razem z ciepłymi jeszcze ciasteczkami, w niepojęty sposób przedostawszy się przez kordon straży. Inne mówiły o negocjacjach sułtana z przywódcą nizarytów, w trakcie których okazało się, że nawet najbliżsi, najwierniejsi słudzy Salah ad-Dina tak naprawdę są powolni jedynie woli Starca. Nikt też nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób Sinan, który w chwili rozpoczęcia oblężenia był nieobecny w zamku, zdołał się do niego przedostać. Zarówno Balian, jak i Konrad potrafili sobie wytłumaczyć decyzję sułtana względami polityczno-strategicznymi, ale teraz, gdy spoglądali w pooraną bruzdami, nieprzeniknioną twarz sędziwego przywódcy, odkrywali, że logiczne wnioski przychodzą im coraz trudniej.

- Wyście stawili czoło sułtanowi i wygrali - odezwał się wreszcie Balian. - Ja broniłem przed nim Jerozolimy i przegrałem. Usłuchajcie więc głosu tego, który nie ma powodów szczyścić się swym męstwem i przemawia z pokorą zwyciężonego, i zaprzestańcie swych sporów. Jesteśmy sobie potrzebni nawzajem, bez względu na to, czy cesarz Fryderyk i obaj królowie w istocie zmiernają nam z pomocą. Lada dzień strach Salah ad-Dina przerodzi się w determinację, a wtedy rozgniecie naszą armię pod Akką, odeprze obie krucjaty, zaś gdy zdobędzie niepodzielną władzę, rozdepcze i Masjaf.

- Nie umniejszajcie swego męstwa, Balianie synu Barzana - powiedział Starzec. - Wam jedynemu w całej Syrii nie wolno tego czynić. A co do waszych lęków, rzekłbym, że są próżne. Salah ad-Din nie postąpi tak, jak się tego spodziewacie.

- Dlaczego? Skąd ta pewność?

- Bo wasz kalif Fryderyk nie żyje.

Gdyby ziemia rozstała się pod nogami obydwu Franków, a z czeluści wyrzął smok o siedmiu łbach, nie byłiby tak przerażeni i wstrząśnięci. Pierwszy odzyskał głos Balian.

- Nie wolno wam urządzić takich żartów, efendi - wycedził. - Nawet wam.

- Od początku naszych rozmów nie zażartowałem ani razu, Balianie synu Barzana - odparł nizary-ta. - Z wyjątkiem papugi. Fryderyk utonął dwa dni temu w wodach rzeki Salef. Jego syn objął dowództwo, ale zdaje się, że daleko mu do ojca. Armia Niemców idzie w rozsypkę, czcigodni rycerze.

- Skąd to wiecie? - wykrztusił Konrad.

Oczy Starca z Gór błysnęły chytrze.

„Nigdy się tego nie dowiesz” - mówiły.

„Ja już to wiem” - pomyślał w odpowiedzi markiz.

Po zapadnięciu ciemności twierdza Al-Kadmus przypominała skalnego olbrzyma, który zastygł w bezruchu, chcąc zmylić niewinnych podróżnych i pochwycić ich z zaskoczenia. Nieruchoma i cicha, a zarazem groźna niczym uśpiony ul forteca rysowała się wyraźnie na tle nocnego, rozgwieżdżonego nieba. Tu i ówdzie na jej murach migotała pochodnia na znak, iż bynajmniej nie została opuszczona i wciąż czuwa.

W oczach Adalberta, który przyglądał jej się intensywnie, nie było jednak strachu. Dłoń, którą wykonał znak krzyża, nawet nie zadrżała, co bynajmniej nie uszło uwagi Vittoria.

- Mówią, że tylko szaleńcy nie czują strachu - mruknął. - Pewnie trzeba by było dodać do tej grupy świętych, choć nie widzę specjalnej różnicy między jednymi a drugimi. Natomiast ciebie, mój kochany ojczulku, nie uznałbym za żadnego z nich. A mimo to się nie boisz. Zdradzisz dlaczego?

- Co? - Kapelan rodu de Baideaux zamrugnął oczyma, jakby właśnie odzyskiwał przytomność. - Co mówiliście?

- Nieważne! - Italczyk machnął ręką ze zrezygnowaniem. - Pamiętasz nasz plan? Adalbert pokiwał niecierpliwie głową i ujął swój kostur.

Rozdział enasty 39

- Na wszelki wypadek ci go powtórzę! - Vittorio złapał duchownego za ramię, kiedyś pulchne, teraz wręcz kościste. - Wchodzisz do twierdzy, odnajdujesz smarkulę i...

- I wychodzę - przerwał mu kapelan. - Wiem. Znam ten plan. Sam go wymyśliłem.

- Co jednak kwalifikuje cię do kategorii szaleńców - stwierdził Italczyk. - Wraz z markizem Montferratu. Nie mogę uwierzyć, że przystał na coś tak idiotycznego. Naprawdę nadal twierdzisz, że ci nizaryci po prostu pozwolą wam wyjść?

- Nikt nie jest w stanie podnieść na nią ręki - rzekł Adalbert z przekonaniem. - Widziałeś ją, to wiesz. Co więcej, dla tych asasynów ona jest Ukrytym Imamem, obojętnie, co o tym mówi sam Starzec. Ludzie najczęściej wolą wierzyć w to, w co wierzyli ich ojcowie i dziadkowie, aniżeli w to, co mówią ich przywódcy.

- A skąd pewność, że znajduje się w Al-Kadmusie?

- Starzec na pewno chce ją mieć pod ręką, ale za nic w świecie nie narazi jej życia. Al-Kadmus zaś leży najbliżej miejsca spotkania z baronem Balianem.

- Jakże to wszystko logiczne i sensowne! - burknął niezadowolony Genuńczyk. - No to ruszaj, klecho. I nie zamarudź zbyt długo, czeka nas długa jazda do Trypo-lisu!

Adalbert uśmiechnął się lekko. Potem ujął swój kostur i postukując nim cichutko, ruszył w dół zbocza, ani razu nie spoglądając za siebie - ku miejscu, gdzie pozostawił Italczyka z trzema końmi. Na jego ongiś puciołowatym obliczu wykwitł uśmiech niecierplivej tęsknoty.

- Boże miłosierny, czyż nie wycierpieliśmy już dosyć? - szepnął Balian, kryjąc twarz w dłoniach. - Czy nie doświadczyłeś nas dość srogo?

Starzec z Gór milczał, odwróciwszy spojrzenie. Konrad przełykał ślinę, jakby dusił w sobie wściekły wybuch.

- Rozumiem wasz żal, Balianie synu Barzana - odezwał się w końcu nizaryta. Mówił niemalże ciepłym głosem. - Któż lepiej ode mnie poznał gorzkość zawiedzionych nadziei? Może i utraciliście cennego sojusznika, ale właśnie zawieracie pakt z innym. Mieliśmy przecież rozmawiać o przyszłości, czyż nie?

- Gdy świat dowie się o tym, z kim przyszło nam się jednać, sam sobie uplotę stryczek - rzucił gniewnie baron. - Wstyd mi będzie kata prosić o naostrzenie topora na mój zdradziecki kark.

- Szczęściem, że ja nie muszę przed nikim odpowiadać - błysnął bielutkimi zębami Starzec z Gór. - No, czcigodni emirowie, może napijemy się wina przed dalszymi rozmowami? Całkiem zaschło mi w gardle.

Konrad obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem, ale wzruszył ramionami i wstał, by zawołać któregoś ze swoich służących.

- Stój! - osadził go w miejscu Balian. W oczach barona Ibelinu lśnił chłód. - Nie słyszałeś, co właśnie powiedziałem? Chcesz zawołać tu jakiegoś sługę, żeby potem wypaplał w pierwszej lepszej gospodzie, o czym fran-kijscy baronowie rozprawiają sobie z przywódcą asasynów?

- Kasztelan de Treviere wybrał najpewniejszych, naj-karniejszych ludzi i zobowiązał ich dodatkowo przysięgą milczenia - uniósł brwi Konrad. - Nie rozumiem, z jakiego powodu...

- Uważasz, że przysięga powstrzyma kogokolwiek przed wypaplaniem sekretu za kilka bizantów?

- A co? - zwięził oczy rycerz z Montferratu. - Mam osobiście nalać wam wina, Balianie?

- Jeśli twoja duma tego nie zniesie, to zawołaj Bernarda, pacholka dobrego rycerza de Baideaux - polecił mu baron. - To niemowa, na piśmie też się nie wyznaje.

- De Baideaux? - zapytał z nagłym ożywieniem Starzec z Gór. - Czy to ktoś z rodu Rogera de Baideaux?

- Tak, jego młodszy brat - odparł Konrad. - Skąd znacie to miano?

Gdy potężny Bernard wsunął się do namiotu, Starzec z Gór ciągnął już swą opowieść o rycerzu de Baideaux -rad, że odwrócił uwagę Baliana z Ibelinu od śmierci cesarza. Było nie było, chciał załatwić kilka spraw z oboma Frankami. i

Podczas gdy baron Ibelinu, markiz Montferratu i przywódca asasynów popijali wino, targowali się, klócili i na powrót dogadywali, a Anzelm z Ar-Ramli i Gaston de Baideaux drzemali przy dogasającym ognisku otuleni wełnianymi derkami, Vittorio Scozzi walczył ze snem ledwie niecałą milę od nizaryckiej twierdzy Al-Kadmus. Znużenie wzięło górę nad niepokojem i zdenerwowaniem. Skryty wśród skał Italczyk kołysał się w przód i w tył, otulał płaszczem dla ochrony przed coraz częstszymi dreszczami, a rozmytym wzrokiem próbował przebić mury twierdzy, którą raz po raz przesłaniały senne widziadła. Gdy więc ujrzał dwie postacie, jedną drobną i wiotką, a drugą szczupłą, podpierającą się kosturem, z początku uznał je za majak. Skupiony, z bijącym mocno sercem śledził ich kroki, jakby obawiał się, że lada chwila znikną na zawsze w mroku niczym setki innych szans w jego życiu. Gdy już był pewien, że to Adalbert i nieznamiona niema dziewczynka, na której tak bardzo zależało markizowi Konradowi, z trudem opanował chęć, by wybiec zza skał i popędzić oboje, aby jak najszybciej wsiedli na konie. Oni jednak szli przerażająco powoli, a ciemne kształty twierdzy majaczyły daleko w tyle, niby uśpione, a jednak grożące wypluciem gromad jeźdźców.

- Chwała Bogu! - sapnął, gdy ujrzał wreszcie twarz Adalberta pośród skał. Dawny kapelan rodu de Baideaux nie zareagował, w pełni skupiony na prowadzeniu drobnej dziewczynki w porwanej opończy, z kapturem przesłaniającym twarzyczkę. - Już myślałem, że ci się nie uda, a w podzięce markiz powyrywa mi flaki z brzucha -dorzucił, wstając.

- Rad jestem - odrzekł spokojnym głosem Adalbert.

- Jak ci się to udało, klecho? - zapytał Italczyk, w pośpiechu odwiązując konia.

- Mam to, czego ty nigdy nie miałeś. - Twarz mnicha była nieodgadniona.

- Co, szczęście? - zakpił Vittorio. - No cóż, z prawdziwą radością pragnę cię poinformować, że aniołowie chroniący przystojnych a pechowych zajęli się kimś innym. Markiz Konrad obsypie nas obu złotem, nie minie tydzień, a znów będziesz się obnosił z godnym brzuszyskiem jak dawniej. No, chodźcie. Dawaj małą!

- Strzemiona są nieco za długie - zmarszczył brwi kapelan. - Mógłbyś je nieco skrócić?

- Pewnie, żaden problem.

Odwrócił się do konia nieco za szybko, nieco za nerwowo. Adalbert uniósł swój kostur i z całej siły spuścił go na potylicę Italczyka. Rozległ się suchy trzask, Vittorio upadł nieprzytomny pod kopyta zaniepokojonego konia.

- Szybko - zakomenderował kapelan, odrzucając kostur. Pochwycił dziewczynkę i posadził ją w siodle, a potem wsunął wodze do jej rąk. - Uciekajmy, póki czas.

Rycerz z zieloną tarczą, który dotąd siedział na czubku najwyższej ze skał, całkiem niewidoczny dla Vittoria, wreszcie znalazł się na ziemi. Począł, aż sylwetki Adalberta i jego podopiecznej zniknęły na horyzoncie, a potem podszedł do Italczyka. Nachylił się nad nieruchomym rycerzem, przewrócił go na plecy i pokręcił z dezaprobatą głową, widząc jego zalaną krwią twarz. Potem wymierzył mu kilka siarczastych policzków, aż Genuńczyk rozchylił lekko usta i jęknął cicho. Wtedy uśmiechnął się, pobłogosławił go i zniknął.

Gdy Vittorio wreszcie usiadł, na nocnym niebie widać już było pierwsze jaśniejsze smugi świtu, które z każdą chwilą nabierały wyrazistości. Podobnie jak ogromny tuman kurzu na horyzoncie. Jeźdźcy. Setki, może nawet tysiące jeźdźców. - O kurwa - szepnął cicho Vittorio i bezwiednie pochwycił konia za uzdę.

Rozdział piętnasty

w którym wszyscy czegoś żalują: brat jakub, że w pobliżu nie ma żadnych templariuszy, vittorio, że nie przywłókł ze sobą trubadura, a Gaston, że w wieśniaków wstąpił duch bojowy. i z tego ich żalu świat zaczyna dygotać

Wtargnął między obozowiska niczym zwiastun zagłady, blady, zakrwawiony, straszny.

- Saraceni! - wrzasnął ochryplym głosem. - Sara-ceni! - krzyczał, a koń pod nim tańczył zdjęty przerażeniem nie mniejszym niż jeździec. Śledziły ich setki oczu, zarówno przestraszonych, jak i wątpiących czy niewzruszonych. Odziani w powłóczyście, jasne szaty asasyni, zbrojni jedynie w zakrzywione miecze i tarcze, wznosili nieprzyjazne okrzyki i wymachiwali orężem, a szpitalnicy błyskawicznie, bez słowa składali swe namioty i sprawiali szuk.

- Co się, do ciężkiej cholery, dzieje?! - wykrzyknął blady z niewyspania Konrad z Montferratu, stanąwszy w progu namiotu. - Scozzi, bywaj tu!

Mimo widocznego zmęczenia umysł markiza pracował jak należy. W jego oczach błysnęła wściekłość, gdy nie ujrzał przy Italczyku ani dziewczynki, ani kapelana, natychmiast oprzytomniał jednak, gdy pojął sens słów Vittoria i dojrzał zaschlą krew na jego twarzy.

- Saraceni ku nam bieżą! - wysapał Genuńczyk. - Całe mrowie! Nie zdzierżymy, uciekać trza jak najdalej! Do zamku, do zamku najlepiej!

Konrad obejrzał się na zaniepokojonego Baliana, który stanął tuż za nim, gdzieś w półmroku mignęła twarz Starca z Gór.

- Jacy Saraceni?! - zawołał baron Ibelinu, dopinając pas rycerski. - Jesteś pewien, że to muzułmanie? A jeśli tak, to w jakiej liczbie? Pod jakimi sztandarami?

Trzeźwe słowa Baliana bynajmniej nie uśmierzyły zamieszania, które coraz bardziej ogarniało obozowisko. Vittorio przygryzł wargę, rozejrzał się dookoła i rozłożył bezradnie ręce.

- Ujrzałem jedynie kłęby kurzu i... - zaczął.

- I nie pomyślałeś, że to może być karawana? - w głosie Baliana pojawiła się wściekłość. - Albo stada bydła czy koni prowadzone na handel?

- Nie pospieszyles się aby z tym ostrzeżeniem? - zadrwił Konrad, lecz w jego spojrzeniu nie było ani śladu wesołości. - Nie wypadałoby najpierw przyjrzeć się owym jeźdźcom? Balianie, tyś go pasował na rycerza?

Baron Ibelinu nie słuchał. Ze stężoną twarzą odwrócił się ku wnętrzu namiotu, ale ze zdumieniem odkrył, że Starzec z Gór zniknął. Jednocześnie wrzawa dobiegająca od strony obozowiska nizarytów przycichła, a ponad ich głosy wzbil się inny, sterany wiekiem, ale donośny. Zadrżała ziemia pod końskimi kopytami.

- Nizaryci uciekają! - zawołał. Gdy odwrócił się ponownie, w jego spojrzeniu pojawiła się czarna nienawiść. - Módl się, by to byli Saraceni! - wycharczał, mierząc w Vittoria drżącym palcem. - Módl się o to. Kasztelanie!

Henryk de Treviere, już w zbroi, z hełmem pod pachą, przedzierał się przez tłum niespokojnych rycerzy, otaczających centralny namiot.

- Do usług, Wasza Wysokość - powiedział spokojnym, wyważonym głosem, kłaniając się lekko.

- Pchnijcie szybki podjazd na spotkanie wroga! - przykazał Balian. - Chcę wiedzieć dokładnie, kto nadjeżdża, w jakiej sile i jakie są jego zamiary!

- A obecny tu rycerz Scozzi pokaże wam drogę - dorzucił złośliwie Konrad. - I zrobi to z radością.

Wskazał kasztelanowi Vittoria, który rozwarł usta ze zdumienia. Szpitalnik otaksował Genuieńczyka wzrokiem i skłonił się raz jeszcze.

- Będzie, jako rzekliście - obiecał.

- A zatem ruszajcie w imię Boże - rzucił Balian. -

Mój koń! Wracamy do Krak des Chevaliers!

Pomimo że Gaston spędził wśród szpitalników ledwie kilka tygodni, zdążył już wykształcić w sobie umiejętność błyskawicznego budzenia się i zrywania z łoża. Nim przebrzmiały pierwsze krzyki w zimnym powietrzu świtu, już przytracał sobie miecz do boku i ujmował tarczę całkiem rozbudzony, gotowy do działania. Dopiero wtedy rozejrzał się w poszukiwaniu przyczyn niepokoju.

Dostrzegł ją od razu, choć rozpoznał dopiero po chwili. Przyczyna owa siedziała w siodle przygarbiona, zgaszona, z rozwichrzonymi włosami i twarzą brudną od zakrzepłej krwi.

Przypominała piękną ongiś rzeźbę, której ktoś wymierzył kilka celnych kopniaków i przewrócił w błoto.

- Vittorio? - wyszeptał zdumiony. - Vittorio! Vittorio!

Italczyk uniósł głowę, rozejrzał się z niedowierzaniem, a potem go dostrzegł. I osłupiał.

Wykrzyknął kilka słów, które utonęły w ogólnej wrzawie, a potem ześlizgnął się z siodła i już biegł w błocie, roztrzając rycerzy zakonnych i ich giermków. Jego twarz jaśniała szczerą radością, biegł i śmiał się jakże rzadkim, prawdziwie serdecznym śmiechem.

- Gaston! - krzyknął, miażdżąc młodego Pikardyjczyka w objęciach.

- Vittorio! - wołał Gaston, poklepując Italczyka po plecach. - Co ty tu robisz, stary draniu?

- To co zwykle! - parsknął Genuieńczyk i cofnął się o krok, by obejrzeć sobie młodzieńca od stóp do głów. - Pracuję na ludzką pogardę, własną niedolę i niechęć wszystkich świętych. W przeciwieństwie do ciebie, jak widzę. Mój Boże, wstąpiłeś do zakonu?!

Gaston pokiwał głową i przewrócił oczyma.

- No, nie wybrałem jeszcze sobie imienia ani nie stanąłem przed kapitułą, ale... Ale tak, w głębi serca jestem już szpitalnikiem. To długa historia - odparł wymijająco w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Italczyka.

Ten już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język i wydał wargi.

- Wszystko jasne - powiedział, kiwając głową ze swym zwyczajnym, złośliwym, choć nieco wymuszonym uśmiechem. - Nie będę o nic pytał. Nie będę mówił: „A nie mówiłem?”. Ba, pogratuluje ci nawet. Zawsze uważałem, że jak mężczyzna już naprawdę chce przez kobietę iść do zakonu, to niech przynajmniej wybierze sobie rycerski.

- To nie przez Annę. - Gaston pokręcił gwałtownie głową. - Nie do końca, w każdym razie. Słuchaj, to naprawdę długa historia i na pewno ci ją opowiem...

- Nie będzie już okazji - odparł Italczyk, a blask w jego brązowych oczach nagle przygasł.

- Jak to?

Brat Jakub wrył konia ledwie kilkanaście kroków od nich.

- Bracie Stefanie! - wykrzyknął imię dowódcy pododdziału turkopolii, zagłuszając wrzawę zwijanego obozowiska. - Bracie Rajmundzie! Rycerzu Gastonie! Ruszamy na zwiad! Gotować się do drogi!

- Wybacz, chyba muszę cię opuścić - usprawiedliwił się de Baideaux. - Gdzie się spotkamy?

- Nigdzie. Jadę z wami.

Ciężki rycerski wierzchowiec załomotał kopytami tuż obok. Z siodła patrzył na nich Jakub, jego niewiarygodnie błękitne oczy lśniły rozbawieniem.

- O, czcigodny rycerz Scozzi! - zauważył. - Jestem wam winien parę kopniaków w pysk, o ile pamięć mnie nie myli. Niestety, ktoś już mnie wyręczył, tak więc poczekam, aż się zagoi.

- Jak przeżyję tę kabałę, z przyjemnością sam nadstawię gębę - burknął Italczyk.

- Pozwolisz, że też walnę raz czy dwa? - zapytał Anzelm, który niespostrzeżenie znalazł się tuż przy nich. - Nie żebym coś do ciebie miał, ale po prostu nie lubię Italczyków.

Przez brudną od zakrzepłej krwi twarz Vittoria znów przemknął uśmiech.

- A wal już teraz, zwierzaku! - Odwrócił się, demonstracyjnie nadstawiając policzek. - Tylko porządnie. Oby jak najmniej zostało dla tego sodomity w czarnej tunice.

I padli sobie w ramiona z ulgą i radością.

Wschodni horyzont zapłonął zimnym, nieziemskim blaskiem wstającego słońca, który natychmiast zagasił krótką wesołość. Białe światło odbiło się od hełmów i kopii rycerzy dosiadających swych rumaków. Baron z Ibelinu krzychał coś z furją, co rusz odwracając głowę w kierunku znikających już w oddali asasynów, markiz Konrad z twarzą ściągniętą gniewem wyklócał się z kasztelanem de Treviere, łajani bez litości giermkowie kończyli składanie ostatnich namiotów.

Cała trójka - Gaston, Vittorio i Anzelm zrozumieli, że jeśli mają sobie cokolwiek do powiedzenia, zostało im na to bardzo niewiele czasu.

- Kiepsko ci wychodzą te twoje inwestycje - rzekł de Fidou, otaksowawszy Italczyka wzrokiem. - Podobnie jak mnie moja pokuta.

- A mnie miłość - wyznał Gaston w przyplwywie nagłej szczerości. - Nic nam, cholera, nie wychodzi.

- Ty przynajmniej znalazłeś dla siebie zakon - stwierdził Anzelm. - Mnie się to nie udało, a nikt mi nie powie, że nie próbowałem. Poza bagdadzkim zwierzyńcem nie widzę miejsca, do którego mógłbym pasować.

- Ja dla siebie widzę - przerwał mu sucho Vittorio - cmentarzysko. Tam przyjmą mnie chętnie, i to pewnie już niebawem. Mamy wyjechać naprzeciw całej chmarze Saracenów, kamraci.

- Cmentarzysko? - Odmieniec uniósł brwi. - Może być. Może być i cmentarzysko. Powiedziano mi, że ty, Gastonie, uwolnisz mnie od klątwy. Wiecie, nie spotkaliśmy się tu przez przypadek. Może to ten dzień właśnie. Jadę z wami.

Młodzieniec już miał się uśmiechnąć i ucisnąć prawicę małowównego rycerza z Ar-Ramli, gdy ktoś dotknął jego ramienia.

Gaston odwrócił się i ujrzał ogromną postać Bernarda prowadzącego dwa konie - własnego oraz destriera ze stajni Krak de Chevaliers. Giermek był już gotowy do drogi - miał na sobie kolczugę okrytą brązową tuniką, a kudłatą czuprynę nakrył poobijanym hełmem z nosalem - stał jednak nieruchomo, obojętny wobec panującej wokół wrzawy. Wpatrywał się w Gastona z uwagą, a na

jego ustach błdził ciepły, serdeczny uśmiech, zupełnie niepodobny do dzikich grymasów, z jakich sływał.

Niespodziewanie wyciągnął dłoń i dotknął ramienia swego rycerza zupełnie jak w kaplicy zamkowej w dniu, gdy ten zdecydował się wstąpić do zakonu.

- Co się stało? - spytał szeptem poruszony de Baideaux. - Co, drogi Bernardzie?

Ten uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokręcił głową i podał mu strzemię.

- Niech miłosierdzie boskie nigdy nas nie opuszcza! - mruknął brat Jakub. - A więc spotkaliśmy się, jak ongiś na pokładzie galery. Niech Allah strzeże swe nieszczęsne owieczki... W drogę! Pędzili przez bezludną równinę niczym zły sen grzesznika, skupieni, milczący, gotowi żądlić, gdy zajdzie potrzeba. Prowadził Vittorio, obok niego galopował Jakub z Rajmundem, dalej Gaston z Anzelmem, Bernard, pozostali szpitalnicy, turkopole i garść giermków, razem dwadzieścia mieczy. Rumaki, dobrane pośpiesznie spośród najsmiglejszych w całym hufcu, niosły ich ręczo, śmigające kopyta zdawały się wręcz nie dotykać ziemi, gdy przemykali obok zrujnowanych domostw w dawno opuszczonych wioskach czy wyniszczonych jesiennym chłodem gajów oliwnych. Bez wysiłku niosły zbrojnych po kamienistych zboczach wzgórz czy przez wzburzone, brunatne wody strumieni.

Gaston de Baideaux co chwila unosił głowę i wciągał w płuca zimny oddech wiatru. Jego serce biło żywiej z rozkoszy, ostrożność drzemała w ciemnym kąciku zapomniana i obrażona. Brat Jakub powiedział, że wyjeżdżają na zwiad, ale młodzieniec czuł podskórnie, że na tym się nie skończy, że lada moment coś odmieni jego los po raz kolejny. Co rusz stawał w strzemionach i patrzył ponad hełmami towarzyszy ku horyzontowi skrywającemu tajemnicę tego dnia.

Albo i tajemnicę jego życia.

Drogę zagrodziło im niewysokie wzgórze. Brat Jakub, który wysforował się przed Vittoria, bez namysłu popędził po zboczu na płaski szczyt, a cały oddział podążył za nim. Ziemia grzmiała pod kopytami, bryzgi błota strzelały na boki, wiatr świstał przenikliwie.

Błade słońce, które wisiało niewysoko otoczone stalowo-srebrnymi, postrzępionymi chmurami, napełniało ten dzień zimnym, niespokojnym blaskiem. Ze szczytu wzniesienia daleko na południowym zachodzie widać było wyrastający pośród mgieł Krak de Chevaliers, a gdy Gaston zmrużył oczy, wydawało mu się, że dostrzega sylwetki rycerzy ze świty barona Baliana i markiza Konrada. Długo jednakże nie patrzył na zamczysko, gdyż uwagę jego, jak i wszystkich innych, przyciągnęła ciemna, ruchliwa masa, która rozlała się na równinie niedaleko masywu skalnego kryjącego nizarycką twierdzę Al-Kadmus.

Brat Jakub założył ramiona na piersi i przez długą chwilę nie odrywał wzroku od doliny.

- No, na karawanę to nie wygląda - oznajmił w końcu. - Na hodowców bydła również.

Słowa te skierował do Vittoria, ale jedyną odpowiedzią Genuńczyka było pogardliwe wydęcie warg. Powiał wiatr, chłodny, przenikliwy, zagłuszający wszelkie rozmowy. Konie zwieszały łby i prychały, jakby wyczuwały niepokój gromadzący się w powietrzu.

- Widzicie jakieś sztandary? - zawołał szpitalnik, mrużąc oczy.

Anzelm pokręcił głową, Vittorio, Gaston i pozostali zakonnicy nie odezwali się ani słowem skupieni na obserwacji. Wiatr wyciskał łzy z oczu, zamazywał widok.

- Są za daleko! - odkrzyknął w końcu brat Stefan przewodzący oddziałkowi turkopoli. - Jeśli zechcecie, bracie, wezmę swoich i pojedę na bliższy zwiad!

- Po co? - warknął rozzłoszczony Vittorio i szarpnął za wodze, aż jego koń się cofnął. - Po co, do ciężkiej cholery? Nie widać wystarczająco wiele?

- A cóż takiego widzicie, dobry rycerzu Scozzi? - głos Jakuba był zimniejszy od wiatru.

- Widzę tyle, co i wy - parsknął Genuńczyk. - Kilka setek lekkobrojnych jeźdźców, którzy z całkowicie logicznych powodów muszą należeć do armii muzułmańskiej. I na razie, z

całkiem nielogicznych powodów, stoją w miejscu, zamiast ruszyć prosto na nas. Czy chcielibyście sobie jeszcze trochę na nich popatrzeć, czy możemy już wracać?

- Baron kazał stwierdzić, z kim mamy do czynienia - rzucił szpitalnik. - I wypełnię jego polecenie, żeby ktoś mi potem nie wytknął, że posłuchałem trzęsącego portkami Italczyka.

- Daruj sobie - usłyszeli głos rycerza z zieloną tarczą. - To jeźdźcy emira Baruha.

Zdumienie pojawieniem się wąsacza było tak ogromne, że Vittorio nie zdążył nawet wybuchnąć gniewem. Cofnął prychnającego konia i spojrział z osłupieniem na przybysza, który wbijał wzrok w dal obojętny na otaczających go ludzi.

- Co... Co ty tu robisz? - wyjąkał wreszcie Anzelm. - I gdzieś ty się, u licha, podziewał?

- Miałem coś do załatwienia - oznajmił zapatrzony w dal rycerz. - To jeźdźcy Baruha, Jakubie, wierz mi. Jakieś sześć setek. Nie masz co ryzykować.

- Skąd ta pewność? - warknął równie zaskoczony szpitalnik.

- Poprosiłem cię, byś mi uwierzył. - Wąsacz uśmiechnął się ciepło. - Po co miałbym cię okłamywać?

- Po co miałbyś jechać za nami? - zapytał ostro Jakub. - Przecież nie wybraliśmy się na łowy, dobry panie, a na zwiad, niebezpieczny zwiad!

- Wcale nie taki niebezpieczny, jak wam się wydaje, bracie - westchnął rycerz z zieloną tarczą i na nowo skierował wzrok na masy jeźdźców czerniejące na równinie. - Przynajmniej na razie.

Wszyscy powiedli wzrokiem za wąsaczem i dostrzegli pierwsze niewielkie grupki, które oderwały się od głównych sił i niczym watahy wilków skoczyły na wschód, gdzie ciągnął się szereg łagodnych wzgórz. I skąd wiodły ścieżki w wyższe partie gór, które do niedawna nawiedzała krwiożercza banda Joscelina de Royes.

I gdzie znajdowała się niewielka osada Salib, od paru dni znów zasiedlona przez rzesze uchodźców z Krak des Chevaliers.

- Nie - wyszeptał Gaston, patrząc, jak rozpedzeni jeźdźcy, wlekąc za sobą warkocze pyłu, zmiernają ku bezbronnej osadzie. - Nie! Jakubie! Jakubie, te łotry pędzą na Salib!

- Na litość boską! - mruknął poruszony szpitalnik, patrząc w tamtym kierunku. - Może kogoś szukają, może...

- Nikogo nie szukają - szepnął de Baideaux i ścisnął wodze. Już wiedział, co ma się odmienić w jego życiu. Już wiedział, dokąd zmierzał ten dzień.

I znów nie czuł lęku, a ostrożność chrapała cichutko, zapomniana.

- Tam są setki bezbronych ludzi, Jakubie - powiedział. Jego oczy płonęły, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. - Setki. Kobiety, dzieci, chorzy i ubodzy.

- Mieliśmy tylko dokonać zwiadu - rzekł sucho szpitalnik, czytając w myślach młodego towarzysza. - Mieliśmy...

- Po co?! - wrzasnął niespodziewanie de Baideaux. - By zamknięty w bezpiecznych murach baron miał o czym myśleć?

- Gastonie, ty chyba postradałeś...

- Nie o mnie mówmy, a o nich! - Drżąca dłoń młodzieńca wskazała osadę i zbliżających się do niej zbrojnych. - Przygarnęliście ich pod własne skrzydła, karmiliście, broniliście, leczyliście, a odpłacili się wam złym słowem! Chcieliście, by nie skoczyli sobie do gardeł w Salib, to rzucali w was kamieniami. Chroniliście ich na szlakach, to wam uciekali! Matki chowały dzieci na widok naszego krzyża! Ale tak właściwie to co z tego? Nie są to dalej ludzie, których przysięgaliście bronić? Czyż nie podoba się Panu, gdy jego rycerze zło dobrem zwyciężają? Na nieruchomej, śmiertelnie bladej twarzy brata Jakuba nie drgnął ani mięsień, jedynie jego niesamowicie błękitne oczy żarzyły się mocno.

- Nie wydolimy przeciwko takiej ćmie - stwierdził z trudem.

- Ale damy im chociaż trochę czasu! - wołał de Bai-deaux łamiącym się głosem. Rumak pod nim tańczył, wiatr unosił jego grzywę. - Jak szybko biegnie kobieta z dzieckiem na rękę, Jakubie? Jak szybko biegnie mała dziewczynka czy schorowana starowina? Anzelm odetchnął, spojrział najpierw na Zielonego Rycerza, a potem na Gastona i Bernarda, który czuwał przy swoim panu jak zwykle potężny i groźny, jak zwykle pozbawiony wątpliwości. Kopnął piętami konia, a ten, chyba odgadnąwszy myśli swego jeźdźca, natychmiast znalazł się przy wierzchołku rycerza.

- No właśnie, Jakubie? - zapytał ten drżącym głosem. Po jego policzku płynęła łza, nie wiadomo, szczęścia czy wzruszenia. - Jak szybko? Podpowiem ci, że powoli. Bardzo powoli. Każdy cios twego miecza doda jej kilka chwil życia. Czyli jest o co walczyć. Szpitalnik zerknął ku osadzie, ku coraz bliższym najeźdźcom, a potem odwrócił się do Stefana.

- Obejńcie, bracie, dowództwo nad resztą oddziału i wracajcie do zamku - rozkazał donośnym głosem. -Przekażcie meldunek bratu kasztelanowi oraz naszym gościom, a potem nasze błogosławieństwo. Niech Bóg strzeże Grób Święty!

- Ale... - próbował zaoponować zakonnik, lecz Jakub już się odwrócił.

- Jeszcze zdążymy na czas - ocenił. - Anzelmie, chętnie użyłbym ci jakiejś kolczugi...

- Nie trzeba - uśmiechnął się rycerz z Ar-Ramli. -Poprułbym i na nic by się potem zdała. No to w drogę?

- Zaczekajcie! - wykrzyknął Vittorio, który przysłuchiwał się krótkiej rozmowie z szeroko otwartymi oczyma. - Wyście się chyba haszyszu napalili! Chcecie we czterech...

- W pięciu - wtrącił rycerz z zieloną tarczą.

- ...stawić czoła takiej hordzie? Gastonie! - Z prawdziwym przerażeniem Italczyk pochwyił młodzieńca za rękaw. - Przecież to szaleństwo! Samobójstwo! Proszę, zaniechaj, odpuść sobie, wróć z nami do zamku! Po co ci to? Po co ta ciągła pogoń za rycerskimi ideałami? Co ty próbujesz sobie udowodnić, szaleńcze?

- Niczego nie chcę udowodnić! - Uwolniwszy swój rękaw, de Baideaux jednym szarpnięciem wodzy zawrócił konia. - Ja chcę uratować kilka dusz, Vittorio! I nie zapomnij o tym podczas swoich kolejnych inwestycji!

W chwilę później jego rumak wałnął kopytami o zbocze i pomknął w dół, prosto ku osaczanemu z wolna miasteczku. Za nim runął ciężki wierzchołek Bernarda, potem konie Jakuba, Anzelma i Zielonego Rycerza.

- Poczekajcie - wyjąkał osamotniony Vittorio. -Przecież to szaleństwo, Gastonie! Największe, tysiąc razy większe od wszystkich, w które wpakowałeś się do tej pory! Zginiesz marnie, ty nieszczęsny idioto! Zginiesz! Zginiesz beze mnie! I spał rumaka.

Gnali uliczkami Salib niczym rozchukane demony wichru, a gliniane ściany chatynek i przerażone twarze ich nowych mieszkańców zlewały się w rozmazany ciąg.

- Saraceni! - grzmieli. - Saraceni! Uciekajcie ku góróm! Uciekajcie!

I galopowali dalej, zaś wiatr świszczący im w uszach zagłuszał okrzyki grozy. Gnali, aż na ich drodze pojawił się niewysoki kamienny murek wyznaczający granicę osady. Jeden po drugim przesadzili go, a wtedy ich oczom ukazały się rozległe, zapomniane pola uprawne obramowane z jednej strony wzgórzami.

Na ich skraj dotarły już pierwsze sfory konnych wojowników.

Przyjaciele powściągnęli zdyszane rumaki, wyprostowali się w siodłach, każdy instynktownie pochwyił za broń. Patrzyli ku nadciągającym nieprzyjaciołom spokojni jak nigdy. Konie

parskały, rzucały łbami, grzebały kopytami w ziemi, zupełnie jakby chciały dać do zrozumienia jeźdźcom, że ci do reszty postradali rozum.

Zaden nie zwrócił na to uwagi.

- No, tośmy się, kurwa, doegrali - ocenił w końcu Vittorio. - Sześciu przeciwko sześciu setkom. Czy nikt się nie obrazi, jak po obaleniu przynależnej mi setki przyjdę komuś z pomocą?

- Zamknij się, Scozzi! - warknął Anzelm de Fidou.

- Bo co?

- Bo psujesz nastrój.

Niebo ciemniało, wiatr zagłuszał wrzaski uciekających wieśniaków. Pierwsze oddziały muzulmańskie zawahały się, zwolniły, jakby dowodzący nie dowierzali własnym oczom. Do uszu chrześcijańskich rycerzy dobiegły chrapliwe pokrzykiwania, które naraz przerwał ostry odgłos trąbki.

- Powiedz mi, Gastonie, czego tak naprawdę pragniesz - poprosił niespodziewanie rycerz z zieloną tarczą.

Młody de Baideaux drgnął i powoli przeniósł spojrzenie na towarzysza.

- Słyszałem już to pytanie, dobry panie - rzekł powoli, ostrożnie. - Nie chcecie wiedzieć, z czyich ust. W każdym razie nie kojarzy mi się ono dobrze.

- Wiem, kto wam je zadał. - W uśmiechu rycerza pojawiła się nutka smutku. - Doskonale wiem. Dlatego ja również muszę to zrobić. By świat pozostał w równowadze.

Muzulmańskiej trąbce odpowiedziała kolejna, a potem jeszcze inne. Ziemia zagrzmiała pod kopytami rozpędzających się koni ze stepów Anatolii, zaświstało powietrze rozcinane saraceńskimi włóczniami i mieczami. Na czoło wysforował się ogromny, strojny w czerń mąż z błyszczącą szablą wzniesioną nad głową.

Gaston westchnął, przymknął oczy i wymówił swe życzenie.

- Gotuj się! - krzyknął brat Jakub, choć było to zbyt późno. - Wesprzyj nas, Panie, Boże nasz, bo Tobie ufamy i w Twoim imieniu wystąpiliśmy przeciwko temu mnóstwu! Panie, Ty jesteś naszym Bogiem! Nie daj się zwyciężyć nikomu!

- Dobry cytat! - krzyknął Vittorio poskramiający roztańczonego, niespokojnego rumaka. - Tylko chyba za cicho żeś go wymówił, braciszku, bo...

Ale szpitalnik już nie słyszał. Jego oczy skryte w cieniu hełmu skrzyły lodem, kopia uniosła się ku nadciągającej ćmie, pięty uderzyły w bok ogiera.

- Deus le volt! - zagrzmiał i ruszył do szarży.

Za nim pomknął Anzelm de Fidou, roześmiany, z twarzą promieniejącą nadzieją, i klnący Vittorio Scozzi, a chwilę później Gaston z nieodłącznym Bernardem u boku. Jedyne rycerz z zieloną tarczą zmarudził nieco.

- No? - zapytał cichutko, wznosząc oczy ku niebu. - To jak będzie?

Po czym spał konia.

Zdarzało się niejednokrotnie w dziejach Królestwa Jerozolimskiego, że szczupłe siły krzyżowców rozgramiały o wiele liczniejsze wojska wroga. Na czele jedynie stu pięćdziesięciu rycerzy król Baldwin rozgromił wojowników emira Damaszku, którzy zaczęli się nań u przelomu Rzeki Psiej. Ten sam król ledwie w kilkaset kopii regularnie gromił wielotysięczne zastępy Fatymidów pod Ar-Ramlą. Hrabia Tankred z Tarentu, prowadząc jedynie kilkuset rycerzy, rozpędził Seldżuków pod Tizinem. Trzystu rycerzy hrabiego Rajmunda Saint Gilles, zwanego przez Arabów Sandżilem, położyło pod Trypolisem siedem tysięcy muzulmańskich wojowników.

Nigdy jednak sześciu nie wyruszyło przeciwko sześciuset. Przynajmniej nie z własnej woli.

Szarżowali pod ciemniejącym niebem pochyleni w siodłach, pijani swym szaleństwem. Z każdym uderzeniem serca byli coraz bliżej.

„No, tego się po tobie nie spodziewałem - powiedział nieoczekiwanie Diabeł. - Ciekawe, jak...”

„Odejdź! To moja bitwa”.-

I wtedy Gaston dostrzegł, że tuż obok kopyt wierzchowca, którego dosiadał wódz nieprzyjacielskiego zastępu, niezgrabnymi susami pędzi hiena niczym wierny ogar podczas polowania. Jeśli de Baideaux miał do tej pory jakiegokolwiek skrupuły, jakiegokolwiek wątpliwości, wyparowały one w jednej chwili.

„A więc macki Joscelina de Royes sięgały aż tak daleko - pomyślał. - Pora mu je poodrąbywać, raz a dobrze...”

Nawet nie uświadamiał sobie, jak nedorzecznie zabrzmiałyby ta myśl, gdyby ją wypowiedział. Po prostu pochylił włócznię i niczym uosobienie sztormu wpadł w szeregi saraceńskie.

I parł przez nie jak niszczycielska fala. Pierwszy z jego przeciwników spadł z konia z twarzą ąalaną krwią, drugi z nieludzkim wrzaskiem obejmował strzaskane ramię, trzeci, gdy ostrze włóczni przebiło kolczugę i weszło w jego trzewia, z rozdzierającym jękiem pochwyił za drzewce, a wtedy Gaston spuścił mu miecz na głowę. Nie odwracając się, ciął do tyłu, rozorał czyjeś gardło, kątem oka dostrzegł zbrozonego krwią Bernarda i wzniesiony nad jego głową topór - wychylił się w tamtą stronę i pchnął celnie. Giermek zresztą dostrzegł już zagrożenie, grzmotnął tarczą w bok, strącając ranionego Sara-cena pod końskie kopyta, a potem jednym zamasytym cięciem miecza uczynił wokół siebie miejsce.

„Jesteśmy chyba kwita” - pomyślał Gaston.

Ogłuszający szcęk oręża, dzikie rzenie koni i wrzaski po arabsku otoczyły go całkiem - był teraz okiem cyklonu, sercem bitwy. Jego rumak, jakby naraz pojał mechanizmy ludzkich starć, pisał i tańczył, nigdy się nie zatrzymując i umożliwiając swemu jeźdźcowi kolejne śmiertelne uderzenia. Za plecami młodego rycerza czuwał niewzruszony, straszliwy Bernard, niedaleko szaleli Jakub i Vittorio zwróceni do siebie plecami, gdzieś mignęło jasne gieżło Anzelma, gdzieś walczył rycerz z zieloną tarczą, spokojny jak zawsze, uśmiechnięty jak nigdy.

A wrogowie, przerażeni samobójczym atakiem szóstki Franków, zaczęli się chwiać.

Jakub przypadł do ogromnego Saracena w ciemnych szatach, który stał w strzemionach i wykrzykiwał rozkazy. Serią błyskawicznych, niemalże niedostrzegalnych pchnięć przerąbał sobie drogę przez jego przybocznych, wreszcie zgasił życie olbrzymiego męża pojedynczym sztychem. Muzułmańscy wojownicy zakrzyknęli z grozy, ze wszystkich stron rzucili się na bezczelnego szpitalnika, lecz wtedy na ich drodze wyrosli Vittorio i Anzelm.

Wysoki Genuńczyk stracił gdzieś hełm, jego mokre od krwi długie kędziory strzelały na boki za każdym ruchem głowy, za każdym uniesieniem miecza. Walczył jak oszalały, warczał, ciskał klątwy, ale nawet jego męstwo nie było w stanie powstrzymać wściekłego naporu przeciwników. Za którymś ciosem stracił tarczę, czyjeś ostrze przebiło jego ramię, wtedy odwrócił się przerażony w poszukiwaniu Anzelma.

I dostrzegł go. Tuż obok siebie.

- Chryste! - wrzasnął i spiął konia, machinalnie odbijając jakiś przypadkowy cios.

Złapał za ramię szpitalnika parującego uderzenia kilku wrogów jednocześnie, ten odwrócił się i natychmiast zrozumiał powagę sytuacji. Zrozumiał ją również Gaston, który przypadkowo spojrział w ich kierunku.

- Bywaj tu! - ryknął przerażony, usiłując przekrzyczeć gwar starcia.

Usłyszeli, rzucili się naprzód, z furją wyrabując sobie drogę jak najdalej od wykrzywionego zwierzęcą furją pyska Anzelma i jego skrzących szaleństwem ślepi. Jak najdalej od paniki, która właśnie zaczęła się rodzić.

Niektórzy z wojowników saraceńskich, choć przerażeni do granic, potrafiliby zapewne się opanować i wystąpić przeciwko odmieńcowi, a ich odwaga bez wątpienia podziałałaby na innych. Nic jednak nie było w stanie przygotować na ten widok rumaków. Ledwie Anzelm, cięty na odlew przez klatkę piersiową, wydał z siebie pierwszy ryk, w którym cierpienie zmieszało się z narastającą wściekłością, a najbliższe konie już pochylały łby i zaczęły się cofać, za nic mając bijących je piętami jeźdźców. Gdy spotężniały nagle rycerz z Ar-Ramli rozwarł czerwone ślepie, oblizał kły i pazurzystą łapą odrzucił niepotrzebny już miecz, panika buchnęła niczym ognista iskra wśród suchych snopów.

Nikt, nawet najsprawniejszy jeździec, nie potrafi opanować rumaka przerażonego pojawieniem się potwora z najmroczniejszych koszmarów. W ostatnim przebłysku świadomości Anzelm zeskoczył z wierzchowca, a potem rzucił się naprzód. Ryczał, toczył pianę z pyska i uderzeniami mocarnych łap przewracał jeźdźców wraz z końmi, a ci, którym dopisało szczęście i znajdowali się dostatecznie daleko, zawracali i usiłowali umknąć. Na ich drodze stawali jednak kolejni Saraceni, nieświadomi jeszcze zagrożenia, i na polach pod osadą Salib zapanował niemilośmierny ścisk.

- Miserere nos Deus! - zagrział Zielony Rycerz.

On jeden był w stanie zapanować nad swym wierzchowcem, on jeden gnał teraz ku wrogom, a nad swą głową wznosił srebrną monstrancję, która odbijała blade promienie słońca. Widok świętego artefaktu świata chrześcijan jeszcze spotęgował panikę wśród muzułmanów, jeszcze bardziej zageścił ścisk.

- Teraz! - wrzasnął ochryply Gaston. - Bij!

Spadli na plecy uykających niczym kruki szarpiące ciało śmiertelnie ranionego wołu. Cięli i rąbali, siekli, strącali z siodeł, blade, zimny blask jesiennego słońca plamiła purpurowa mgiełka. Anzelm, a raczej potwór, w którego się przeistoczył, wył i ryczał.

Po raz pierwszy w historii Królestwa Jerozolimskiego sześciu gnało sześciuset.

- Co?! - Balian z Ibelinu ryknął z taką mocą, że brat Stefan aż się cofnął o krok.

Krzyk barona, odbity echem od murów Krak des Chevaliers, zaalarmował markiza Montferratu i kasztelana de Treviere, którzy wstrzymali swe konie i odwrócili się.

- Co powiedziałeś? - Balian powtórzył spokojniejszym tonem, ale jego oczy migotały groźnymi błyskami.

Stefan, niezrównany jeździec i nieustraszony rycerz, szczerze pożałował, że miał jechać z meldunkiem do kasztelana, który prowadził orszak, zatrzymał się przy baronie Ibelinu.

- Brat Jakub i dobry rycerz Gaston de Baideaux przesyłają swe błogosławieństwo -

wyrecytował z przymkniętymi oczyma - i meldują, że uderzają na wroga... eee... samoszóst.

- Co? Samoszóst?! Na sześć setek Saracenów?

- Tak, panie. Kazali nam wracać.

- Na litość boską... - Baron zasznurował usta, ale jedynie na moment. - Konradzie, wzywaj nasze poczty! - wrzasnął ku markizowi. - Kasztelanie, wy też zbierajcie swoich! Do ostatniego ciury obozowego! Ruszamy na odsiecz tym durniom! Szybko, póki jeszcze jest kogo ratować! Wytrzymaj, de Baideaux, błagam cię... - wyszeptał, spinając konia.

Zatrzymali się daleko za poletkami okalającymi osadę. Zdyszani, zakrwawieni, na poranionych koniach, patrzyli półprzytomnie za zmykającymi jeźdźcami muzułmańskimi wzywanyymi rozpaczliwymi tonami trąbki. Anzelm przyklęknął, przytulił czoło do ubłoconego głazu i trwał tak dłuższą chwilę, a jego ciało zdawało się marnieć. Gdy wreszcie uniósł głowę, jego twarz na powrót przybrała ludzki wygląd. Jedyne spojrzał za siebie, ale nawet nie dostrzegł licznych, rozrzuconych bezwładnie ciał, które stanowiły ponurą pamiątkę po szaleńczej szarży szóstki krzyżowców. Patrzył ku zabudowaniom Salib, na tle których zamajaczyły ludzkie sylwetki.

- Mielście uciekać - wychrypiał. - Daliśmy wam czas, mieliście uciekać...
 - Ci, co powinni, to już uciekli, Anzelmie - odezwał się rycerz z zieloną tarczą. On jeden nie wyglądał na rannego, ani nawet poturbowanego, choć miecz, który wsunął do pochwy, miał kilka szczerb. - Ci na skraju wioski to mężczyźni, zbrojni w co popadnie, ale gotowi drogo sprzedać swe życie.
 - To chyba... - odkaszlnął krwią Vittorio. - To chyba zbytnia fatyga... Jak się rozpędzimy, to pojutrze będziemy w Bagdadzie. W niecały tydzień zetrzemy muzułmańską zarazę. Brat Jakub wpatrywał się ze zgrozą w klęczącego Anzelma, a potem pokręcił głową z niedowierzaniem, przeżegnał się i odwrócił ku Gastonowi.
 - Jeśli przyjdzie nam dziś umrzeć - powiedział ochrypłym głosem - co chyba nie budzi niczyich wątpliwości, umrę jako człowiek niespełniony.
 - Niespełniony? - Młodzieniec uniósł brwi i aż syknął z bólu, bo na nowo rozerwał ranę na czole pozostawioną tam przez wrogi miecz.
 - Tak. - Szpitalnik na powrót utkwiał spojrzenie w przegrupowujących się Saracenach. - Bo żaden templariusz nie widział tego, czego przed chwilą dokonaliśmy. Trąbki nieprzyjaciół zagrzmiały raz jeszcze, tym razem niżej, bardziej złowieszczo. W szeregach lekkich jeźdźców zapanowało zamieszanie, z którego lada chwila na powrót miał się wyłonić ład. Jakub raz jeszcze nakreślił znak krzyża i spojrzał na klęczącego Anzelma. Ten pokręcił przecząco głową.
 - Nie sędzę - wyszeptał. - Nie wiem. Gaston westchnął ciężko, aż poobijane żebra ozwały się ćmiącym bólem, potem zaś otarł zakrwawione czoło.
 - Swoje zrobiliśmy - stwierdził. - Szkoda, że ci wieśniacy zdecydowali się zostać, ale... Ale to już chyba nie nasza rzecz. Kto miał uciec z Salib, ten to zrobił. Pora na was. Uciekajcie, póki jeszcze możecie.
 - To nie jest takie proste - uśmiechnął się blado szpitalnik. - Po tym, co tu urządziliśmy, ci Saraceni będą bez litości ścigać i zabijać wszystkich ludzi, jacy nawiną im się pod ostrza. Nasze zadanie jeszcze nie dobiegło końca.
 - Ale... - Gaston spojrzał bezradnie na Anzelma. -Ale przecież drugi raz nie zdołamy ich odrzucić.
 - Może nie - wtrącił Vittorio. - A może tak. Ostatnio nie przestaję zadziwiać samego siebie.
 - Poza tym trzeba pokładać wiarę w Bogu - pouczył ich rycerz z zieloną tarczą.
 - No właśnie, jest jeszcze Bóg! - roześmiał się Italczyk, lecz jego śmiech przeszedł w kaszel. - Wiedziałem, że ktoś mi o tym przypomni. Od razu poczułem się lepiej. Rycerz z Ar-Ramli zdołał wreszcie stanąć na nogi, wyłuskał miecz z ręki jakiegoś trupa, przeciął nim powietrze i rozejrzał się za koniem. Bernard zeskoczył z siodła i najpierw Gastonowi, a potem Jakubowi podał nową włócznię. Vittorio, niczym nader wybredna hiena cmentarna, przewracał ciała poległych, szukając dla siebie nowej tarczy. Nie minęła chwila, a znów byli gotowi -zakrwawieni, znużeni, ranni, lecz wciąż niepokonani.
 - Przydałby się jakiś trubadur - oznajmił Italczyk. -Jakikolwiek, choćby najpodlejszy wierszokleta. Sama świadomość, że nikt nie ułoży na ten temat choćby prostego wierszyka, boli bardziej niż wszystkie moje rany naraz.
 - Zamknij się, Vittorio - warknął Anzelm, z trudem dosiadłszy jakiegoś saraceńskiego rumaka.
 - Co, znów ci nastrój burzę?
 - Nie, tylko o tym samym pomyślałem.
- Oddziały saraceńskie nabierały pędu, ziemia drżała,

kruki, które już krążyły nad polem bitwy, wzbily się wyżej przerażone wrzawą. Trąbki zaryczały, słońce odbiło się od ostrzy włóczni.

- Bismallah ar-Rahmani ar-Rahim\

Jakub już otwierał usta, by wydać rozkaz, ale pomiar-kował się i spojrzał na Gastona. Ten zrozumiał, że po raz drugi w życiu, zapewne też ostatni, przyszło mu dowodzić.

- Bij! - zakrzyknął, stanąwszy w strzemionach.

Szóstka krzyżowców spięła konie i runęła ku wrogowi. Na tle nadsciągających mas rozwiniętej w półksiężyc jazdy wydawali się zaledwie złotym okruszkiem, ale pędzili z wiarą i nieustępliwością. Słońce napełniało świat platynowym blaskiem, czas zwolnił nieco, jakby rozkoszując się wspaniałością tej chwili.

Rycerz z zieloną tarczą znów spojrzał ku niebu i wyszeptał kilka błagalnych słów.

I wtedy ziemia zadygotała.

Pierwsze szeregi jazdy saraceńskiej zachwiały się, jakby uderzył w nie pocisk z niewidzialnej katapulty, a potem szyki pękły i zapanował wśród nich chaos. Dzielne rumaki anatolijskie znów straciły opanowanie, stawały dęba, wpadały na siebie, w dzikim szale strząsały jeźdźców. Pieśń trąbek urwała się gwałtownie, proporce się chwiały, niebo ciemniało.

Gaston spojrzał pytająco na Jakuba, ale wtedy i do nich dotarło pierwsze drzenie, również ich rumaki niespokojnie zastrzygły uszami. W chwilę później tuż za kopytami wierzchowca Anzelma z młaśnięciem rozwarła się czarna szczelina, a rycerz omal nie spadł z siodła.

- Co się dzieje?! - wrzasnął Vittorio.

- Trzęsienie ziemi! - odkrzyknął rycerz z zieloną tarczą, znów unosząc monstrancję.

- To nasza szansa! - zawołał de Baideaux i mocniej ujął włócznie. - Bij! Bij!

Ziemia drżała, pękała, rozwierała swe czeluście, które pochłaniały saraceńskich jeźdźców, to znów wyrzuszała się, jakby chciała zrzucić z siebie muzułmańskich wojowników. A sześciu szalonych krzyżowców znów nacierało. Pozbawieni lęku, jak i zdrowego rozsądku, zmuszali swe przerażone rumaki do ślepej szarzy, przeskakiwali nad szczelinami, wpadali w największe gromady nieprzyjaciół, cięli i rąbali. Saraceni znów rzucili się do ucieczki, z początku pojedynczo, a potem coraz większymi grupami, niczym stada ptaków na widok drapieżnika. A sześciu krzyżowców nadal nacierało, aż uniesieni pościgiem, odurzeni szałem bitwy przestali się widzieć nawzajem. Że nie ma wśród nich Gastona ani Bernarda, dowiedzieli się dopiero po starciu, gdy przybyła już odsiecz z baronem Ibelinu i kasztelanem de Treviere na czele.

Rozdział szesnasty

w którym pojawia się całkiem nieoczekiwany gawędziarz

Qaston zerwał się gwałtownie i aż jęknął, gdy jego głowę niemal rozłupał straszliwy ból. Złapał obiema dłońmi skronie, potem zamrugał ostrożnie, aż wzrok nabrał ostrości. I zmarszczył brwi ze zdumieniem.

Leżał na baranich skórach w kącie niewielkiej pieczary, której wejście przesłaniały właśnie kłęby jasnego dymu znad ogniska. Nachylony Bernard dmuchał mocno w niesforne płomyki skaczące pod zawieszonym na trójnogu saganem, lecz jedynym rezultatem jego starań były coraz gęstsze kłęby dymu. Na przebudzonego rycerza nie zwracał uwagi zupełnie.

Młodzieniec raz jeszcze przymknął oczy i znów ujrzał niekończące się szeregi saraceńskiej jazdy, szal bitewny Anzelma oraz zakrwawione miecze, znów usłyszał rzenie koni i wrzaski rannych.

- Boże, przecież przed chwilą walczyliśmy o Salib... - wyszeptał. - Gdzie ja jestem?

- Właściwie to nie wiem - powiedział Bernard, z trudem dobierając słowa - ale ma się na ulewę, a ta pieczara jest jak znalazł. Nie zmokniem, a i guz się na waszym łbie rychlej zagoi, panie.

I uśmiechnął się najszerzej jak potrafił.

Gaston poczuł, że jego krew krzepnie na łód, a wszelkie myśli zamierają. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywał się w swego giermka, który jak gdyby nigdy nic znów powrócił do rozdmuchiwania ognia. W sercu rycerza przerażenie walczyło o lepsze z radością.

- Bernardzie! - wykrztusił w końcu. - Czy ja aby jestem przytomny?

- Jesteście, panie, chociaż nieźle was rąbnął, suczy syn - odparł giermek. - W przepaść zem go ciepnał, ale chwacko wam wprzód przywalił, za wybaczeniem.

- Bernardzie, ty mówisz?

- Jeno troszkę - wyprostował się sługa i poskrobał ogromną, poznaczoną świeżymi szramami ręką po czuprynie. - Będzie, że do świtu, panie.

- Ale dlaczego? Skąd? Jak to możliwe? Przecież przez całe życie ani słowem się nie odezwałeś! Przecież ty nie potrafisz!

- Juści, że nie - pokiwał łbem Bernard. - Nic a nic. Jeno ów możny pan z zieloną tarczą mi pozwolił.

-Co?

- Spytał się, czego w życiu mi trza. Się znaczy czego najbardziej pragnę czy coś. Jakoś tak wykwinnie gadał, gdzie mnie to powtórzyć. No i pomyślałem se: pogadać z mym panem mi trza. A on na to, jakby do łba mi zajrzał, bo od razu wiedział...

- Rycerz z zieloną tarczą? - powtórzył Gaston. Niespodziewanie przed oczyma stanęła mu scena powrotu do obozowiska szpitalników i asasynów, gdy ujrzął Bernarda oraz rycerza z zieloną tarczą jadących strzemię w strzemię. Rzeczywiście wyglądali wówczas, jakby rozmawiali.

- Więc spytał cię, czego pragniesz? - zapytał cicho.

- Tak było, jako rzekliście, panie.

- I wybrałeś te kilka godzin rozmowy ze mną? Przecież mogłeś poprosić o wieczne życie, wielką władzę, bogactwo...

- Eee tam! - Bernard wzruszył ramionami. - A bo mi źle tak, jak jest? Zresztą coś mi mówi, panie, że gdyby wam takie pytanie ów możny pan zadał, też byście o sobie nie pomyśleli, co?

- Tak - uśmiechnął się lekko de Baideaux.

•Irfsr

- Nie mogę w to uwierzyć - rzekł po raz setny Vitto-rio i uniół spojrzenie.

Przez moment przyglądał się pobojuwisku - dziesiątkom trupów rozrzuconym między pierwszymi chatynkami Salib a horyzontem - potem zaś zerknął ku górze, gdzie od dawna kołowały już sępy, niecierpliwie wyczekując, aż zbrojni odejdą. Niestety, pachołkowie barona Ibelinu oraz czeladź szpitalników skrupulatnie przetrząsali pole bitwy w poszukiwaniu jakichkolwiek kosztowności i posłusznie znosili je w jedno miejsce.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział do Anzelma, który pokiwał głową, nie mówiąc ani słowa. - Powinniśmy leżeć wśród tych Saracenów. Powinniśmy być martwi. Słuchasz mnie, Anzelm?

- Słucham cię - odparł rycerz z Ar-Ramii, choć jego mętne, rozmyte spojrzenie sugerowało coś całkowicie przeciwnego. - Powinniśmy być martwi.

- Ale nie jesteśmy! - Genuńczyk pokręcił głową. - Spójrz na siebie. Kilkanaście siniaków, rozcięć, może pęknięte żebro czy dwa, parę szram na łbie...

- Jakub ma rozrąbane ramię. - Anzelm wskazał rycerza zakonnego, który klęczał w pyle kilka kroków dalej, od godziny zatopiony w modlitwie. - I wciąż nikt nie znalazł Gastona ani Bernarda. >

- Znajdą się - oznajmił Vittorio z ogromną pewnością siebie. - Dopóki Gaston ma tego wielkiego przygłupa przy sobie, dopóty jest absolutnie bezpieczny. A to, że żyjemy, to cud, Anzelmie, wiesz? To prawdziwy, cholerny cud.

- Prawdziwym cudem jest to - Anzelm spojrział Italczykowi prosto w oczy - że stałem się wolny. Prawdziwie wolny. Jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Italczyk spojrział mu w oczy - zielone, bardzo ludzkie i bardzo, bardzo uśmiechnięte oczy - i uśmiechnął się sam w odpowiedzi.

- Jesteś pewien? - zapytał.

- Tak - rzekł Anzelm z jeszcze większą pewnością siebie niż przed chwilą Vittorio. Spojrzął ku blademu słońcu, które naraz wydało się o wiele cieplejsze. - Absolutnie. I nie pytaj, skąd to wiem. Rycerz z zieloną tarczą się nie mylił. Gaston wyzwolił mnie od tej przeklętej klątwy. Jestem wolny.

- A ja, o ile sprawiedliwość barona Baliana to coś więcej niż jedna z legend Outremer, jestem bogaty. - Wzrok Italczyka uciekł ku stosom zdobyczej broni układanej przez pachołków w tunikach z herbem Ibelinu i zaganianym przez nich koniom Saracenów. - Ba, i co teraz? Wszystko było dobrze, dopóki człowiek za fortuną się uganiał. Co zrobić, gdy się ją nagle zdobyło?

- Ja chyba wiem. - Oczy Anzelma zapłonęły dziwnym blaskiem, gdy patrzył na odległe zabudowania Sa-lib. - Tu pozbyłem się swej klątwy, tak więc tu powinienem dokonać żywota, prawda? Wyobrażasz sobie mnie jako rolnika?

- A ty mnie jako księdza?

- Czyżbyś pokładał we mnie tak niewiele zaufania? Przecież gospodarzyłem na swych włościach jeszcze przed...

- Wiem, przyjacielu. - Vittorio zachował poważny wyraz twarzy, ale jego oczy się śmiały. - Lecz przecież ja nie żartuję! Co, nie sprawdziłbym się w roli duchownego? Mam gładkie lico, wrodzony dar do liczenia pieniędzy, zwłaszcza cudzych, i donośny głos, a co więcej, umiem czytać i pisać, czym na przykład taki patriarcha Herakliusz już się poszczycić nie może. Tak, zarobię jeszcze trochę i kupię sobie wygodną prebendę, o ile oczywiście baronowie i królowie raczą mi wprzódy Królestwo Jerozolimskie odbić. Ani mi się śni brać się z szatanem za bary na niespokojnych ziemiach, ha, ha, ha!

Naraz uświadomił sobie, że Jakub przerwał modlitwę i spogląda w jego kierunku z niedowierzaniem. Natychmiast zmienił ton:

- Tak, wygląda na to, że dzięki Gastonowi ty wyzwoliłeś się z klątwy, Anzelmie, a ja zakończyłem sukcesem swą pierwszą inwestycję. A jak Bóg da - spojrzenie Italczyka utkwiło w odległej postaci Konrada z Montferratu, który siedział już na koniu i skrzykiwał swój orszak do odjazdu - drugą zakończę sukcesem jeszcze tej nocy.

Bernard przestał dmuchać w nieśmiałe płomyki, a te, jakby zachęczone, od razu strzeliły wyżej, ogarniając stos chrustu. Dym rozwiął się i w blasku coraz wyższych płomieni widać było zarumienioną, poważną twarz sługi. W wąskim wejściu do pieczary, kilka kroków za jego plecami, czerniało wieczorne niebo.

- Ale... - zawahał się Gaston. - Ale kim jest ten człowiek? Skąd jego moc sprawiania cudów? Bo to, że mówisz, to cud, Bernardzie, cud prawdziwy!

I naraz zerwał się, chcąc zarzucić ręce na szyję swego giermka, ale ten zatrzymał go wyciągniętą dłonią.

- Pohamujcie się, panie! - burknął zażenowany. - Jako rzekłem, jeno do świtu gadać będę, potem znowu przyjdzie mordę zawrzeć. Na resztę życia pewnie. A wiele mam rzec wam, panie. I mus mi to rzec.

- Mów tedy. - Rycerz usiadł po drugiej stronie ogniska i objął ramionami kolana.

- Gdyście spali zeszłej nocy, przyszedł Ernoul, Ba-lianowy giermek, i rzekł mi, cobym się zbierał, by możnym panom usługiwać. Że ja niemowa, to nie wygadam, o czym tam sobie prawią. No i polazłem, co nie? Gdy wszedłem do namiotu, okazało się, że ten Saracen, co go możne pany gościły, ten tam... No, jak go zwali...

- Starzec z Gór - podpowiedział Gaston.

- Tenże sam! - ucieszył się Bernard. - No i ów Starzec, pies go trącał, możnym panom historię opowiadał. Ledwie co zaczął, tedym się na prawie całą załapał. A prawil, jucha, o templariuszach i waszym bracie.

- O Rogerze? - zachłysnął się de Baideaux.

- Nie inaczej, panie. Oba barony siedziały zasłuchane, a ten bajął, bajął i bajął bez końca. I tak oto, panie, dowiedziałem się wszystkiego o bracie waszym. I o tym, czemu was te juchy z czerwonymi krzyżami ciągiem ściągaj*

- Od Starca z Gór? - pokręcił głową młodzieniec. - A skąd ten stary grzyb wie cokolwiek o moim bracie?

Wyniosłe mury i wieże twierdzy Al-Kadmus przez całe stulecia ze wzdgarą opierały się wściekłym ulewom, burzom piaskowym, hordom najeźdźców, a nawet trzęsieniom ziemi. Wszystko wskazywało jednak na to, że nigdy dotąd nie przyszło im stawić czoła żywiołowi tak straszliwemu jak gniew Starca z Gór.

Drogę z dziedzińca do komnaty na najwyższym piętrze wieży znaczył ciąg trupów z rozplatanymi czaszkami lub wyprutymi jelitami. Byli wśród nich zarówno dowódcy wojskowi odpowiedzialni za bezpieczeństwo twierdzy, jak i zwykli żołnierze, a także mieszkańcy twierdzy, których złośliwy los postawił na drodze szalejącego Starca. Al-Kadmus spowiała martwa cisza, nawet najwierniejsi z nizarytów, bezgranicznie oddani sekcie, gotowi w każdej chwili oddać życie na życzenie swego przywódcy, kulili się z przerażenia pod ścianami.

Już w swej komnacie Starzec cisnął zakrwawioną szablę w kąt, po czym przypadł do stoliczka, gdzie stała flaszka wina oraz cynowy kubek. Napełnił go drżącymi rękami i wychylił duszkiem, nie bacząc na to, że większość wylał na szatę. Cisnął kubek przez okno, napił się prosto z flaszki, a potem rzucił również i ją.

- Głupcy! - wycedził przez zaciśnięte zęby. Furia na jego twarzy, wściekłość w przekrwionych oczach mogłyby osadzić w miejscu tłum upojonych szalem bitwy Franków. - Głupcy! Pozwolili jej odejść! Pozbawili mnie jej wsparcia...

Świadomość, że dziewczynka, którą nazywano Ukrytym Imamem, wymknęła się z jego rąk i poszła w świat w towarzystwie kapłana niewiernych, niespodziewanie przekuła gniew w rozpacz. Starzec z Gór osunął się na kolana, zaszlochał.

- Dlaczego? - wychrypiał. - Dlaczego odeszłaś? Dlaczego odeszłaś teraz, gdy cię najbardziej potrzebuję, gdy zbliża się wojna z Salah ad-Dinem, gdy przyszłość synów Nizara zawisała na włosku? Potrzebuję cię, potrzebuję twych rad i twych wizji... Ty jedna dałaś nam nadzieję na zwycięstwo, ty jedna dałaś nam przewagę zarówno nad tym przeklętym Ajjubitą, jak i nad Al-Farandź!

Szlochał przez chwilę, aż jego bezsilne dotąd palce zakrzywiły się niczym drapieżne szpony, aż w przymrużonych oczach zaśniła wściekłość.

- Ale nie mogłaś odejść daleko! - wysyczał. - W końcu jesteś tylko dzieckiem, a za jedynego towarzysza masz zwykłego klechę. Roześlę ludzi na wszystkie strony świata, niech szukają. Niech szukają, aż padną!

Do wnętrza jaskini niczym delikatne tchnienie nocy wpadł lekki powiew wiatru. Płomienie ogniska pochyliły się, dym zakłębił. Bernard odgarnął kędzior z czoła i pokręcił wielką, ciężką głową.

- Nie wiem, panie - rzekł. - Wiem jeno to, com usłyszał. A usłyszał żem wiele. Pono wszystko zaczęło się wiele lat temu, gdy możny pan Hugon de Payns i jego towarzysze złożyli przed wielebnym patriarchą Jerozolimy śluby czystości i obiecali, że będą bronić pańników.

- Templariusze? - mruknął mściwie Gaston.

- Tak samo rzekł markiz Montferratu, jeno dodał parę udatnych przekleństw. No, gdy już zakonniki złożyły swe przysięgi, miłościwy król Baldwin dał im meczet Al-Aksa, coby mieli się gdzie podziąć. I to, jak rzekł Starzec, był błąd, bowiem dobry pan de Payns wraz ze swymi kamratami zaczęli grzebać w podziemiach i znaleźli coś, czego lepiej nie ruszać. A był to pierścień Salomona.

- Pierścień? - powtórzył zaalarmowany de Baideaux. - Słyszałem o pierścieniu! Najpierw w Dar il-Hasan od umierającego mistrza, a potem w Tyrze od komandora Jerozolimy! Mówże, mów dalej!

- Mówi się, że król Salomon miał pierścień, który dawał mu władzę nad demonami, nawet tymi najmocniejszymi. Pono służył mu ów pierścień do pieczętowania lakiem butelek, w których upychał buntujące się dziny, a potem wrzucał je do Morza Czerwonego. Takie mocne były te pieczęcie, że nijak dzin jeden z drugim wy-leźć nie potrafił. Dzięki niemu okiełznał nawet wielkiego Asmodee - giermek z trudem wymówił nieznanne sobie, złowieszcze słowo - który odtąd służył mu wiernie jak pies. Pono nawet wielką świątynię w Jerozolimie dla króla pobudował. Jeno gdy zmarło się królowi, pierścień gdzieś zaginął i Asmodee pozostał uwięziony na wieki. Uwolnili go dopiero templariusze juchy, a demon od razu kusić zaczął. Obiecał zakonnikom, że wielką mocą ich obdarzy i zakon zyska potęgę, jaka nikomu do łba nawet nie przyszła. I tak też się stało. Gdy braciszkanie wyruszyli do Europy błagać możnych o wsparcie, zebrali wielkie skarby, a wszystko przez to, że demon do ucha im szeptał, jak gadać trza.

- Bzdura! - fuknął Gaston. - Hrabiowie i królowie sami czerpali hojną ręką ze swych skarbców, wdzięczni i zarazem zawstydzeni, że ktoś za nich świętą wojnę toczy.

- Tak samo rzekł baron Ibelinu, panie, jeno go Saracen wyśmiał. „Wy, Al-Farandż, szatana w sercu macie, nie wdzięczność czy wstyd”, rzekł. Pono, jak prawił, bez pomocy Asmodee niewiele by templariusze juchy wskórali. A tenże kusiciel podpowiadał, czego francuscy hrabiowie pragną, czego się boją i o czym marzą, a templariusze słuchali podszeptów i bez pudła wiedzieli, jak takowych podejść. No i wrócili do Ziemi Świętej z bogactwami niesłychanymi, a zakon ich się rozrósł w okamgnieniu.

- Wiedział, czego pragną... - powtórzył szeptem Gaston. - Mówże, proszę.

- Przyszedł jednak taki czas, że się Asmodee rozsierdził i zażądał zapłaty. Zapłaty z krwi, panie.

Rupert klęczał na gołej ziemi w swym namiocie. Z przyzwyczajenia złożył ręce do modlitwy, ale nawet nie pomyślał o wykonaniu znaku krzyża, jego wzrok też omijał wielki krucyfiks postawiony na wypadek nieoczekiwanej wizyty, lecz uciekał ku ciemnym kątom namiotu. Tam, gdzie zwykle pojawiał się on.

Wyłaniał się z mroku, przyglądał swymi czarnymi oczyma klęczącemu zakonnikowi, mówił, a każde jego słowo było dlań cenne niczym złoty kamyczek. Czasami pozwalał Rupertowi mówić, chwalić się zwycięstwami oraz ilością przelanej krwi, a wtedy unosił dłonie i nagradzał.

Pozostawiał starego templariusza w stanie bezgranicznej euforii, gotowego puścić się do samotnej szarzy na mrowie nieprzyjaciół.

Tak przynajmniej było kilka tygodni temu. Bo od tego czasu jego pan nie ukazał się ani razu.

- Zalibyśmy nie służyli ci dość wiernie? - Rupert zapytywał obojętną ciemność. - Zalibym nie składał ci wystarczających ofiar, panie? Wiem, że trudno mi będzie przebić Gerarda de Ridefort.

Trudno mi będzie okazać większą skuteczność niż ten, który najpierw pociągnął naszych i szpitalników do masakry pod Cresson, a potem swymi intrygami doprowadził do rzezi pod Hit-tinem, w której sam zresztą oddał życie. Tak, jego już nie przebiję. Królestwo już nigdy nie wystawi tak silnej armii, panie, miejże więc dla mnie litość! Przecież moja ofiara wielokroć przewyższa tę, którą ongiś złożył ci mistrz de Tremelay pod Askalonem, pomnisz, panie?

Wdarł się w wyłom w murze i poświęcił ci czterdziestu rycerzy, ledwie czterdziestu! A ja?! Machnął ręką z goryczą.

- A ja dwoję się i troję - szeptał z opuszczoną głową. - Czuwam dzień i noc, nie pamiętając o śnie i o jadle, szukając każdej okazji, by zaspokoić twe pragnienie... Ileż to razy wstrzymałem odsiecz, by Frankowie i Saraceni wykrwawili się jak najbardziej? Ileż to wiosek wyrznęli moi rycerze w poszukiwaniu zapasów żywności? Ilu wrogów ubiliśmy w polu, ilu jeńców ci poświęciliśmy, ilu poddających się położyliśmy trupem? Ba, sam de Sabie, który ośmielił się stawić ci czoła, padł z mojej ręki! A ty wciąż milczysz. Zapomniałeś o nas. Nie odwiedzasz nas, choć niegdyś nie skąpiłeś nam swych łask. Choć nigdy dotąd nie miałeś wierniejszych niewolników.

Ciemność milczała obojętna jak zawsze.

Templariusz wstał ciężko i kłaśnięciem dłoni przywołał swego służącego. Ten bezszelestnie wślizgnął się do namiotu, sprawnie zapalił świece i stanął za plecami templariusza, by pomóc mu ściągnąć płaszcz, tunikę i kolczugę. Płomyki świec zrazu paliły się słabo, ale ledwie sługa zdjął kolczugę z barków swego pana, wewnątrz namiotu wypełniło światło, ukazując twarz Ruperta.

Twarz tak różną od oblicza męża, który wbił sztylet w plecy Roberta de Sabie. Nadal była to twarz starca, lecz jego zmarszczki nie przypominały już głębokich bruzd, a oczy, spod których znikły fioletowe sińce, płonęły nie-wzruszonością. W brodzie tu i ówdzie wciąż mieniły się srebrne nitki, ale dłonie, choć nadal pokryte plamami wątrobowymi, nie drżały już jak kiedyś.

Wielu ludzi w zakonie i poza nim dziwiło się osobliwej przemianie starego templariusza i na różne sposoby próbowano ją sobie wytłumaczyć, ale sługa Ruperta takich pytań nie zadawał sobie wcale. Był bowiem ciepłym, dyskretnym człowiekiem, który poprzysiągł, aż nadejdzie odpowiednia chwila, służyć wiernie templariuszowi, a na ten czas zapomnieć nawet o swoim prawdziwym imieniu.

A brzmiało ono Ismail.

Na zewnątrz rozpętała się ulewa. Szum deszczu przytłoczył wszelkie inne dźwięki, nawet ogień nieco przygasł, a oblicze Bernarda oblekły dłuższe cienie.

- Zapłaty z krwi? - dopytywał się Gaston.

- Mieli mordować i mordować - wyjaśnił niechętnie giermek - coraz to okrutniej. Pono z początku się zakon-niki burzyły, widno, że im resztki ludzkich uczuć zostały, ale szybko ich Asmodee przekabacił. Rzekł, że krew przelana w jego imieniu uczyni go mocniejszym, a wtedy obdaruje ich tym, czego pragną. Najwspanialszymi darami, o jakich śnili. No i się zakonniki przestały opierać.

- Co to były za dary?

- Nie wiem, panie, bo mi markiz Montferratu po wodę kazał iść. Kiedy wróciłem, Starzec gadał już o czymś innym, czego żem nie zrozumiał. Coś o hołdach gadał i o...

- Mordy! - Gaston uniósł nagle spojrzenie, a jego ciało przeszył dreszcz. - Mój Boże, zgadza się... Joscelin de Royes przecież mordował ludzi na szlakach, potem wyrznął Salib, a na samym końcu pojawili się Saraceni prowadzeni przez hienę. Bernardzie, on szykował wielką ofiarę dla tego swojego Asmodeusza!

- Szczęściem tedy, żeśmy go powstrzymali - skrzywił się ponuro olbrzym - bo Bóg jeden raczy wiedzieć co temu czartowi we łbie siedziało. Podług słów Starca z Gór jeno templariuszy mógł łatwo omotać. Z ludźmi spoza zakonu gorzej mu szło, mnóstwo swych sił na to tracił, które potem musiał odbudowywać dzięki onym ofiarom. A z mnogimi pono próbował...

- A czy... - zawahał się lekko młody rycerz. - Czy Starzec z Gór mówił coś o tym, jak ów Asmodee wyglądał?

- A mówił, mówił - przytaknął giermek. - Pono młody z niego mąż, ciemne ślepia ma i ciemną skórę, a włosy czarne, kręcone.

- Zatem markiz Montferratu musiał mieć nietęgą minę, słysząc te słowa - powiedział z uśmiechem Gaston.

Konrad otworzył szeroko oczy i poderwał się z fotela, strącając na podłogę skórę, która go okrywała. Przez moment wodził dookoła przestraszonym wzrokiem, usiłując uspokoić bijące szybko serce, a wtedy walenie do drzwi się powtórzyło.

- Kto tam?! - zawołał ochryplym głosem.

- Rycerz Scozzi! - odpowiedział strażnik. - Mówi, że się go spodziewacie, panie.

- Gówno prawda - warknął markiz - ale niech wejdzie, pyszałek.

Ciężkie dębowe drzwi otwarły się ze skrzypnięciem, aż ogień w kominku buchnął wyżej ożywiony przeciągiem. Vittorio wszedł powolnym, nonszalanckim krokiem człowieka, który przeżył własną śmierć, ale ukłon, jaki złożył Konradowi, był pełen szacunku. Markiz opanował się już na tyle, by przyjąć to z obojętną, wyniosłą miną i dobrać odpowiednie słowa.

- Nie brak ci tupetu - powiedział cicho. - Przychodzisz do mnie sam w środku nocy, miast w pokorze czekać, aż cię wezwę.

- Gdy wreszcie namaszczą was w katedrze Świętego Grobu w Jerozolimie, będę czekał w pokorze - wyprostował się Vittorio. - Jednakże póki co, panie, jesteście tylko jednym z baronów Outremer, tak więc przychodzę, gdy mi to pasuje.

Twarz Konrada pociemniała.

- Może i jestem tylko baronem - wycodził - ale wierz mi, Scozzi, nie chcesz poznać granic mego gniewu. Dawno temu zaciągnąłeś u mnie dług, którego nie spłaciłeś. Potem podjąłeś się zadania, któremu nie podołałeś. Teraz nachodzisz mnie po nocy i ubliżasz. Czyś ty swój rozum wysrał, Italczyku?

- Nie, panie. - Vittorio uśmiechnął się pobłaźliwie. - Ani rozumu nie wysrałem, ani nie chcę poznać granic waszego gniewu. Wręcz przeciwnie, pragnę, byście byli wiecznie szczęśliwi. I by was namaszczono, bym mógł się was należycie obawiać.

- Jeśli naprawdę ci na tym zależy, jedną szansę już straciłeś - warknął Konrad, odsłoniwszy zęby niczym drapieżnik. - Nie masz pojęcia, jak zależało mi na tej smarkuli, która potrafi czytać w przyszłości! Wiesz, że Barbarossa nie żyje? A wiesz, od kogo się tego dowiedziałem?

- Od Starca z Gór? - Italczyk uniósł brwi najwyraźniej nieporuszony wieścią. - Wierście mi, panie, gdybym mógł, tobym smarkulę przywłókł. Nie wyszło. Mam więc inną propozycję, która być może ukoi wasz żal.

Konrad z Montferratu założył ramiona na piersi.

- Słucham.

- Obejmę komendę nad waszym rycerstwem.

- Precz, Scozzi. Idź precz.

- Oczywiście, że pójde precz. - Genuńczyk uśmiechnął się szeroko. - Nie spodziewam się przecież, by taki wytrawny gracz jak wy, panie, podejmował decyzje bez należytego przemyślenia. Choć z drugiej strony to nad czym się tu zastanawiać? O, mam pomysł! Jak zareaguje świat chrześcijański na wieść o tym, że bohaterowie bitwy pod Salib garną się pod skrzydła pretendenta do korony Królestwa? Albo co zrobić, by cały świat przebieg bitwy pod Salib poznał, i jak powiązać ów incydent z postacią markiza Montferratu? Lub też w jaki sposób wykorzystać człowieka, który nie dość, że ma szansę stać się żywą legendą, to na dodatek posiada talent do wychodzenia cało z najgorszej nawet opresji i ma obsesję na punkcie zarabiania pieniędzy? Cóż, owocnych przemyśleń wam życzę, markizie. Przyjdę rano na śniadanie. Deszcz szumiał, ogień przygasał, bierwiona strzelały cicho. Na policzkach Bernarda rozlewał się rdzawy poblask rozżarzonych węgla.

- Gdzie tam mi wiedzieć, ani spojrzałem na markiza. - Wzruszył ramionami. - Łapska mi się trzęsły, musiałem uważać, żeby czego nie rozlać i nie wylecieć z namiotu. Bo Starzec zaczął właśnie gadać o waszym bracie, panie.

- Mówże! - Gaston wychylił się do przodu, naciągając koc na plecy.

- Pono wasz brat, panie, zrazu dostrzegł, że w zakonie jakieś zło się lęgnie. Niedługo po tym rozkochał w sobie tę dziewczę, Sarę, co to o niej i ten parch w Tyrze prawil. I ona mu wszystko opowiedziała. Bo Żydzi... -Bernard spojrzał z niepokojem na rycerza - od początku świata zawsze z nieczystym się kumali, tak też było i w jej rodzie. Sara opowiedziała waszemu bratu wszystko o pierścieniu Salomona. I tak oto dowiedział się brat wasz, panie, że pierścieniem można Asmodee przyzwać i uwolnić, ale też można go na powrót uwięzić.

- Czekaj, chyba wiem, co się stało później - uniósł wzrok Gaston. - Porwał pierścień, tak? Bernard kiwnął głową.

- Walczył dla zakonu i był jego najprzedniejszym rycerzem, ale widział jego grzechy i wiedział, skąd one się biorą. W głębi ducha nienawidził templariuszy coraz bardziej. I tak po klęsce pod Hittinem z kopyta pognął do Tyru, gdzie pierścień był trzymany, i... I tak jak mówicie, ukradł go wszetecznikom.

- I co było dalej? - Młody rycerz wychylił się do przodu. - Gdzie udał się później? Do Damaszku?

- Do Damaszku - przytaknął giermek. - Jak nam ów Żydowin w Tyrze swego czasu powiedział. Przebrał się za żebraka, wkradł do miasta, porwał Sarę i uciekli
8 Marcin Mortka

we dwójkę. Czas to był najwyższy, albowiem Asmodee zwąchał już jego zamiary i kusić począł. Szczęściem jego luba, jak wszyscy z plemienia Dawidowego, na nieczystym się wyznawała. Rzekała mu ona, że zwykły człek nie wydoli przegnać czy uwięzić Asmodee, nawet jeśli ma pierścień Salomona. Potrafią to tylko wielcy czarodzieje, a jeden z nich w Askalonie mieszka. Zdecydowali tedy, że popędzą do Askalonu co koń wyskoczy.

- Do Askalonu, powiadasz - powtórzył Gaston i zamyślił się.
Anna nie mogła zasnąć.

Wierciła się na posłaniu, co rusz zmieniała pozycję, aż w końcu sapnęła, odrzuciła otaczające ją ciężkie ramię Usamy i usiadła na łóżku, instynktownie zasłaniając swą nagość. Wpatrywała się w półmrok komnaty, a jej ciemne oczy wzbierały niepokojem.

Usama drgnął. Usłyszała, jak siada, a potem znów poczuła jego ramię na swoich nagich plecach.

- Co się dzieje, piękna gazelo? - wyszeptał, jak to tylko on potrafił, subtelnym, cichym głosem, który nieodmiennie wywoływał u niej falę dreszczy. - Co obudziło twój niepokój, mój kwiecie lotosu?

Jego czar działał przez krótką chwilę. Anna niecierpliwie strząsnęła jego ramię po raz drugi.

- Daj mi spokój - powiedziała, nie odwracając się. - Spij, do Damietty jeszcze daleka droga. Nie usłuchał jej, jak zwykle. Milczał.

- Gaston? - spytał w końcu.

- Tak, Gaston - parsknęła.

- Skończ z tym - rzekł ostrzejszym tonem. - Skończ z tymi wyrzutami sumienia, Anno. Przypomnij sobie, dla kogo i dlaczego to zrobiłaś, a wtedy...

- Nie o to chodzi. - Pokręciła głową, aż ciemne włosy przesłoniły jej twarz. - Nie chodzi o wyrzuty sumienia, Usamo, bo z tymi już dawno dałam sobie radę. W twoich objęciach - dodała cieplejszym głosem. - Po prostu ostatnio nachodzą mnie jakieś dziwne przecucia...

- Jakie? - zapytał zaniepokojony mameluk.

- Że to wszystko się jeszcze na mnie zemści. Że los postawi mnie jeszcze kiedyś na drodze Gastona de Baideaux i gorzko tego pożałuję.

Gęste strugi deszczu zmieniły się w pojedyncze krople, spośród postrzępionych chmur wyjrzały migotliwe gwiazdy. Bernard mówił coraz szybciej i co rusz oglądał się za siebie jakby w obawie, że nie zdąży przed świtem.

- Jeno nie powiodło się. - Pokręcił kudłatą głową. - Pono Asmodee kusił, wabił i groził, aż wasz brat, panie, ledwie rozumu nie postradał. Jednak wytrzymał knowania diabła, a i ostrożności nie stracił. Wiedział, że czarodzieje to złośliwe szuje, i postanowił wprzód maga podejść. Zostawił tedy Sarę daleko za miastem i dał jej też pierścień, a sam wziął podobny, jeno bez żadnych mocy magicznych. No i dobrze począł.

- Co się stało? - zapytał zasluchany Gaston.

- Tego nam Starzec nie powiedział, ale po mojemu to ów czarodziej zabił waszego brata, panie. Zabił go, kurwi syn! A Sara czekała i czekała, aż pojęła, że wasz brat nie wróci. I odjechała.

- Dokąd?

- Tego nie wie nikt, nawet Starzec.

- Ale... - Młodzieniec potarł czoło. - Ale skoro ów demon Asmodeusz coraz bardziej urastał w siłę, dlaczego sam nie wytropił dziewczyny? Dlaczego sam nie odnalazł pierścienia?

- O to samo spytał baron Balian, panie, 'ale Starzec ino ramionami wzruszył. „Widno tak Salomon owego diabła urządził, że niczego sam w tym świecie załatwić nie potrafił”, rzekł.

- Czyli demon jest zależny od templariuszy? - Gaston pokręcił głową z niedowierzaniem. - Oni są jego uszami i oczami, oni wypełniają wszelkie jego polecenia? Nic więc dziwnego, że ścigali mnie z taką zaciętością... Cóż, znów ci przerwałem. Mów dalej.

- Ale gdy już nie ma co. - Bernard rozłożył ręce. - To wszystko. Starzec nie wiedział, co się stało z Rogerem ani gdzie się udała Sara z pierścieniem. Zresztą markiz Montferratu, któremu ta historyjka nie w smak była, wnet o innych rzeczach zaczął gadać. I przez resztę wieczoru nic z nim się już nie dowiedział.

- Mój Boże, Bernardzie... - westchnął de Baideaux. - Wszystko wreszcie jakoś mi się poukładało w głowie, nareszcie zacząłem rozumieć, co się wokół mnie dzieje. Wreszcie wiem, co powoduje templariuszami. Nie wiem, jak ja ci się odwdzięczę, doprawdy nie wiem.

- Nie trzeba, panie, nie trzeba - sapnął Bernard i spojrział ku odległym gwiazdom. - Grunt, że się nadał.

Po jego zarośniętym policzku spłynęła łza.

Rycerz z zieloną tarczą przerwał modlitwę i spojrział w dół ścieżki. Zza skalnych załomów wyłoniło się dwóch rozpędzonych jeźdźców na wychudłych koniach. Ich białe burnusy łopotały unoszone wiatrem, a szerokie miecze podskakiwały na biodrach. Nie widział ich twarzy

przesłoniętych płóciennymi woalami dla ochrony przed pyłem, ale dostrzegał oczy - niebezpieczne, lśniące nerwowo.

- Szybciej, niż myślałem - mruknął.

W chwilę później stał na skalnej ścieżce twarzą zwrócony w stronę nadciągających jeźdźców, plecami do rozległej kamienistej równiny, gdzie mała sylwetka dwójki innych podróżnych. Nie miał przy sobie broni, której zresztą rzadko potrzebował.

Uniósł dłonie i uśmiechnął się szeroko.

- Stójcie! - zawołał gromko. Mówił po łacinie, ale wiedział, że rozumieją. Gdy tego chciał, wszyscy go rozumieli.

Obaj jeźdźcy wryli swe wierzchowce ledwie kilka kroków od niego, aż trącone kopytami kamyczki odbiły się od butów wąsacza. Zbrojni obrzucili go nienawistnymi spojrzeniami, jeden z nich nawet zacisnął dłoń na rękojeści miecza, ale nie odważył się zaatakować.

Trwali naprzeciwko siebie - dwóch muzułmańskich wojowników, napiętych niczym dzikie koty na łowach, na niespokojnych, zdyszanych rumakach, i samotny frankijski rycerz bez broni, stojący niczym posąg z uniesionymi dłońmi. Wreszcie opuścił dłonie, a uśmiech na jego wąsatej twarzy stał się jeszcze serdeczniejszy.

- Nie tędy droga - rzekł. - Nie znajdziecie tu tych, których poszukujecie. Wróćcie do Al-Kadmusu i powiedzcie Starcowi z Gór, że wam się nie powiodło.

Jeden z wojowników otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale rycerz z zieloną tarczą pokręcił tylko głową.

- Uwierzy wam - zapewnił.

Zawrócili. A on stał jeszcze chwilę, póki nie zniknęli za skałami, po czym odwrócił się ku równinie, gdzie nikły drobne już sylwetki Adalberta i jego niemej podopiecznej.

- Niech was Bóg prowadzi - wyszeptał - bo ja dłużej już nie będę w stanie. Swoje zrobiłem, czas mi wracać do siebie.

Otarłszy łzę, Bernard zaczął gadać jak najęty. Mówił o rodzinnej wsi, o swym ojcu koniuchu i matce, która pomarła na skrofuły, o bijatykach ze swymi braćmi, o poborcy podatkowym, który napastował co też-sze dziewczyny we wsi, o starym baronie de Baideaux i jego bacie, o wyprawach na ryby i letnich tańcach wokół ognisk, gdzie zawsze go wyśmiewano jako niemowę. Jego głos stawał się coraz mniej wyraźny, w pewnym momencie przeszedł w bełkot przerywany szlochem. Mówił coraz szybciej, coraz mniej zrozumiale, jakby chciał się w pełni nacieszyć hojnym darem rycerza z zieloną tarczą, aż w końcu legł na posłaniu skulony, zapłakany, nieszczęśliwy.

Gaston usiadł przy nim i w milczeniu gładził rozczochraną czuprynę, do chwili gdy szloch giermka urwał się, a zastąpiło go ciche, miarowe pochrapywanie. Troskliwie nakrył Bernarda baranią skórą, po czym wstał i wyszedł z zadymionej pieczary na świeże, wypłukane deszczem powietrze. Odetchnął głęboko zapatrzony w zarysy nagich wzgórz.

„I co teraz? - pomyślał. - Tak oto poznałem wreszcie prawdę o Rogerze i templariuszach, wiem już, dlaczego stałem się zwierzyną, na którą wszyscy polują. Ale czy zyskałem w ten sposób cokolwiek? Nadal nie wiem, gdzie jest pierścień. Nadal nie wiem, jak umknąć templariuszom i ich demonowi. Nie wiem, co ze sobą począć. Czy po tym wszystkim, co usłyszałem, wolno mi będzie po prostu wrócić do rycerzy świętego Jana?”

„Wolno ci będzie - odezwał się Diabeł - ale nic w ten sposób nie osiągniesz”.

„Wiem - parsknął w myślach Gaston. Po tym, przez co przeszedł ostatnio, niespodziewane pojawienie się dawnego towarzysza nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. - Wiem to doskonale. Ale czy mam inne wyjście?”

„Zawsze możesz posłuchać mojego kuszenia. Przypomnij sobie, czy kiedyś wyszło ci ono na złe?”

„Wygląda na to, że moja dusza stała się wymarzonym łupem dla diabłów i demonów wszelkiej maści”.

„Nie jestem diabłem, mówiłem ci wielokrotnie. Chciałem ci powiedzieć, Gastonie, że znam drogę do miejsca, gdzie mieszka Sara. I gdzie ukryty jest pierścień”.

Młodzieniec przymknął oczy. Z zachodu gnał zimny wiatr, zapowiadając rychłą zmianę pogody. Komnata mistrza zakonu, którą kasztelan de Treviere przydzielił baronowi Balianowi ku ledwie skrytemu wzburzeniu Konrada z Montferratu, była wspaniałym pomieszczeniem. Umieszczona na najwyższych kondygnacjach południowo-zachodniej baszty, wolna od nieprzyjemnych przeciągów, a w dodatku z jej okna rozciągał się widok na wiele, wiele mil. Harmonijnie wykonane sklepienie żebrowe, smukłe, wtopione w ścianę pilastry i fryz w kształcie pięciopłatkowych kwiatów dodawały jej przepychu, podobnie jak miękkie łożo z baldachimem i sekretarzyk z libańskiego cedru.

Baron Ibelinu miał wszelkie powody do zadowolenia, tymczasem nawet nie zwrócił uwagi na te dowody gościnności zakonu.

Przeгнаwszy służących i giermków, nawet wiernego Ernoula, ujął dzban z winem, usiadł pod ścianą na rozrzuconej byle jak skórze antylopy i pograżył się w ponurych rozmyślaniach. Nie zadał sobie nawet trudu zapalenia świec, siedział w ciemnościach niczym skarłaty olbrzym z dziecięcych bająn, a jego myśli tłukły się w mroku jak krwiożercze nietoperze. Obrazy w jego umyśle uparcie powracały do nieudanych negocjacji ze Starcem z Gór.

- Czy wróci, jeśli wyślę posłów jeszcze raz? - zapytał sam siebie i pociągnął tęgi łyk. - A może trzeba mi samemu pojechać do Masjafu? Odprawić tego pajaca z Montferratu pod Akkę, wsiąść na koń, skrzyknąć kilku chłopu i po prostu pojechać?

„A kto wówczas powiadomi papieża o tym, co się dzieje w zakonie templariuszy? - zapytał jakiś głos w jego umyśle. - Przecież zakon tylko papieżowi podległy, on musi się o tym dowiedzieć”. Niespodziewanie przypomniał sobie opowieść niza-ryty, a wypite wino sprawiło, że każdy jej szczegół nabrał przerażającej ostrości.

- Gdybym wiedział... - wybełkotał. - Gdybym wiedział, de Baideaux, przez jakie piekło przyjdzie ci wędrować, pojechałbym razem z tobą. Niech szlag trafi godności! Wsiadłbym na konia jak zwykły rycerz i pojechałbym z tobą do Askalonu! I na miły Bóg, nie pozwoliłbym temu magowi wyrządzić ci krzywdy!

„Gdy de Baideaux jechał do Askalonu, tyś bronił Jerozolimy” - przypomniał mu głos sumienia.

- I co z tego?! - ryknął wściekły baron. - I co z tego nam przyszło? Jerozolima i tak padła, królestwo zostało zagrabione przez wroga, a jego najpotężniejszy zakon toczy zło! Boże, Boże... Skrył twarz w dłoniach. Trwał w bezruchu, póki na zewnątrz nie zawył wiatr, zaś o okiennice nie uderzył deszcz. Wtedy Balian zadrżał, pociągnął jeszcze jeden, ostatni już łyk wina, wreszcie czknął i cisnął dzbanem o ścianę.

- Pies trącał Starca z Gór! - warknął. - Pora rozprawić się z twymi prześladowcami, de Baideaux. Twymi i twego młodszego brata, na mój honor, równie prawego jak i ty sam. Jutro z rana napiszę list do papieża.

Bernard całą noc spał jak dziecko. Gaston, który przebudził się pierwszy, cicho osiodłał oba konie, przygotował śniadanie i zebrał cały ich ekwipunek. Potem przykucnął przy posłaniu giermka i potrząsnął lekko jego ramieniem.

- Bernardzie - odezwał się półgłosem. '

Olbrzym natychmiast otworzył oczy. Zerwał się, mrugając, i potoczył dokoła zaskoczonym wzrokiem.

- Niczym się nie przejmuj, wszystko już przygotowałem - powiedział łagodnie Gaston. - Zjedź coś, zaraz ruszamy. Czekają nas daleka droga. Nie, nie do Krak de Chevaliers - rzekł w odpowiedzi na pytające spojrzenie sługi. - Dalej. O wiele dalej.

Bernard skinął głową i uśmiechnął się lekko. Potem szerzej i wskazał na swoje usta.

- Dar Zielonego Rycerza jednak się skończył? - uniósł brew Gaston. - Trudno. Nie wiem, czy cię to pocieszy, Bernardzie, ale wykorzystałeś go doskonale. Nigdy nie przestanę być ci wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś. Dziękuję.

Rozdział siedemnasty

W KTÓRYM DOWIADUJEMY SIĘ TYCH WSZYSTKICH RZECZY, KTÓRE TRWAJĄ DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE, PONIEWAŻ JEDNAK NIE TOWARZYSZY IM SZCZĘK BRONI, NAS - MIŁOŚNIKÓW RYCERSKICH OPOWIEŚCI - ZWYKLE NUŻĄ. DLATEGO JEST TO ROZDZIAŁ NAJKRÓTSZY

Płatki śniegu wirowały w powietrzu niczym pióra aniołów, troskliwie otulając szarą, znękaną jesienią syryjską ziemię. Jak okiem sięgnąć, wszędzie zalegała kojąca oko warstewka bieli. Czerwone róże, które otoczyły ciasnym wieńcem wbity w ziemię miecz, odcinały się od bieli niczym krople krwi na obrusie.

Gaston de Baideaux patrzył na ów krzak róż jak urzeczony, wzruszenie całkiem odebrało mu mowę. W końcu powoli przyklęknął na jedno kolano, pochylił głowę i wykonał znak krzyża. Stojący za nim Bernard uczynił to samo.

„A więc to tu znalazłeś swój kres” - pomyślał młodzieniec.

„Nie, nie tu - rzekł cicho Diabeł. - W Askalonie. W tej mogile nie ma mego ciała, a jedynie kilka osobistych pamiątek. No i miecz. Nie chciałem, by zwrócił czyjąś uwagę, więc przed wejściem do miasta zostawiłem go Sarze. Ona zabrała go ze sobą”.

Rycerz uniósł głowę. Przez moment przyglądał się rzędom niewielkich, ubogich chatynek przytulonych do zbocza gór oraz opustoszałym, zaśniewanym pastwiskom, a potem uniósł wzrok ku ostrym szczytom zabarwionym odległym zachodem słońca.

„A więc to ty” - westchnął w myślach. Czuł, że powinien okazać zdumienie, może nawet oburzenie, ale po tym wszystkim, przez co ostatnio przeszedł, po prostu nie potrafił.

„To ja. Mówiłem ci, byś nie nazywał mnie diabłem”.

„Nawet jeśli nie jesteś diabłem, to tak się właśnie zachowywałeś, Roger. Od samego początku, od chwili gdy zabiłem Maurycego de Souhait. Twoje podszepty, knowania, obelgi... Po co to wszystko? Po co wcieliłeś się w rolę mojego osobistego szatana, bracie? Dlaczego nie przedstawiłeś mi się z imienia?”

„Czy stałbyś się wówczas tym, kim jesteś?”

„Nie rozumiem”.

„Nie wiem, co by się stało, gdybym nawiedził cię jako Roger de Baideaux, twój starszy brat, którego mogłeś w ogóle nie pamiętać. Może uznałbyś, że popadasz w obłąd, i z czasem rzeczywiście tak by się stało. Być może słuchałbyś mnie i rozkładał bezradnie ręce, że nie umiesz, nie potrafisz, to nie dla ciebie... Być może uciekłbyś przed moimi podszeptami do zakonu, jak ci to ojciec obmyślił... Nie znałem cię, nie wiedziałem, na co cię stać.

Zdecydowałem, że objawię się jako złowieszczy kusiciel, obarczę wyrzutami sumienia i w ten sposób zmuszę cię do krucjaty”.

„To nie ja wpadłem na ten pomysł z Ziemią Świętą, tylko Adalbert”.

„To prawda, bo nim zająłem się nieco wcześniej”.

„Kusiłeś Adalberta?! Po co? Po co to wszystko? Dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, bym przybył do Ziemi Świętej?”

„Bo nie znałem nikogo, komu mógłbym tu zaufać. Bo nie znałem nikogo, kto mógłby dokończyć to, co zacząłem”.

„Chodzi o pierścień Salomona, templariuszy i Asmo-deusza? - zapytał w myślach Gaston i bezwiednie otaksował nagie górskie przełęcze w poszukiwaniu postaci samotnego czarnowłosego jeźdźca. - A zatem oplotłeś mnie swymi intrygami, obciążylesz wyrzutami sumienia i pognałeś do Ziemi Świętej - ciągnął, nie słysząc odpowiedzi. - Wyszkoliliś mnie w walce i uczuliś na wiele niebezpieczeństw, które czekają pielgrzymów, za co jestem ci wdzięczny. Ale dlaczego nie wyjawiliś mi celu tej misji? Dlaczego nie zdradziś mi, czego się po mnie spodziewasz, a miast tego skazałeś na niekończącą się wędrówkę po Outremer?”

„Z początku obawiałem się, całkiem zresztą słusznie, że wpadniesz w sidła templariuszy, a wierząc mi, oni znają sposoby na wyciąganie z ludzi tajemnic. Gdybyś wiedział cokolwiek o pierścieniu, wydobyliby to z ciebie, a potem torturowali bez końca, chcąc poznać dalsze szczegóły. Mógłbyś zginąć, a w najlepszym razie zostać ciężko okaleczonym. Nie zasłużyłeś na ten los. A potem... Cóż, potem to nie wiedziałem, czy słusznie uczyniłem, wybierając cię na przyszłego powiernika mej tajemnicy”.

„Dlaczego?”

„To nie ja wpadłem na ten pomysł z Ziemią Świętą, tylko Adalbert”.

„To prawda, bo nim zająłem się nieco wcześniej”.

„Kusiś Adalberta?! Po co? Po co to wszystko? Dlaczego tak bardzo zależało ci na tym, bym przybył do Ziemi Świętej?”

„Bo nie znałem nikogo, komu mógłbym tu zaufać. Bo nie znałem nikogo, kto mógłby dokończyć to, co zacząłem”.

„Chodzi o pierścień Salomona, templariuszy i Asmo-deusza? - zapytał w myślach Gaston i bezwiednie otaksował nagie górskie przełęcze w poszukiwaniu postaci samotnego czarnowłosego jeźdźca. - A zatem oplotłeś mnie swymi intrygami, obciążylesz wyrzutami sumienia i pognałeś do Ziemi Świętej - ciągnął, nie słysząc odpowiedzi. - Wyszkoliliś mnie w walce i uczuliś na wiele niebezpieczeństw, które czekają pielgrzymów, za co jestem ci wdzięczny. Ale dlaczego nie wyjawiliś mi celu tej misji? Dlaczego nie zdradziś mi, czego się po mnie spodziewasz, a miast tego skazałeś na niekończącą się wędrówkę po Outremer?”

„Z początku obawiałem się, całkiem zresztą słusznie, że wpadniesz w sidła templariuszy, a wierząc mi, oni znają sposoby na wyciąganie z ludzi tajemnic. Gdybyś wiedział cokolwiek o pierścieniu, wydobyliby to z ciebie, a potem torturowali bez końca, chcąc poznać dalsze szczegóły. Mógłbyś zginąć, a w najlepszym razie zostać ciężko okaleczonym. Nie zasłużyłeś na ten los. A potem... Cóż, potem to nie wiedziałem, czy słusznie uczyniłem, wybierając cię na przyszłego powiernika mej tajemnicy”.

„Dlaczego?”

„Bo w całej historii Outremer nie było krzyżowca, który dorównywałby ci naiwnością i beztroską”.

„Dzięki, bracie”.

„Szczęściem udało ci się przeżyć i nabrać nieco rozumu. A potem, gdy już jako pasowany rycerz przybyś do Tyru po raz drugi, zacząłem słabnąć”.

„Jak to? Dlaczego?”

„Nie wiem. Widzisz, ja właściwie nie powinienem istnieć. Nie wiem, jak wytłumaczyć to, że mój duch przetrwał śmierć ciała. Być może ma to jakiś związek z pierścieniem Salomona, który nosiłem na palcu przez kilka dni przed śmiercią. W końcu Asmodeusz też powrócił dzięki niemu. W każdym razie zacząłem zanikać. Musiałem zacząć oszczędzać siły. Wciąż cię widziałem,

wciąż za tobą podążałem, ale tym razem byłem jedynie niemym świadkiem twych czynów, szczęściem coraz mniej naiwnych".

„Moja przygoda z Anną Giscolvi nie była dla ciebie szczytem naiwności?"

„Nie, w każdym razie nie aż tak jak zadurzenie się w tej zdzirze de Grenier. Wybacz, braciszku, ale... No, nieważne. Tak czy owak, do wielu rzeczy doszedłeś sam, a to sprawia, że nawet najgłupsze z twych czynów umykają w niepamięć. Nie pomyliłem się co do ciebie. Wyrosłeś na wspaniałego rycerza, Gastonie".

Młodzieniec odetchnął zimnym powietrzem gór i przytknął oczy, nagle zwilgotniałe. Purpura odbijająca się od ośnieżonych szczytów przechodziła z wolna w fiolet, śnieg padał coraz gęściej, gdzieś szczekał pies.

„I co teraz? - zapytał młody de Baideaux. - Gdzie jest ten pierścień? Co mam z nim zrobić?"

„Sara zagrzebała go pod tym krzakiem róż. Nie ruszaj go na razie, przynajmniej póki nie wymyślisz, co z nim zrobić. Bo ja nie mam pomysłu".

„Jak to?"

„Trzeba na powrót spętać Asmodeusza i wyzwolić zakon templariuszy spod jego wpływu. Problem w tym, Gastonie, że nie mam bladego pojęcia, któż mógłby to uczynić. Ten czarodziej w Askalonie - głos Rogera lekko zadrżał - zrobi wszystko, by zatrzymać go dla siebie. Nie jedź do Askalonu, zaklinam cię!"

„Nie zrobię tego. Co więc wolno mi zrobić?"

„Zostań tu. Nawet jeśli moi dawni konfratry nadal składają Asmodeuszowi sute ofiary, nie będzie on w stanie cię tu odnaleźć. Nawet będąc u szczytu swej potęgi, jest zależny od templariuszy, którzy są jego oczami i uszami. Jeśli żaden z nich nie dotarł tu w ślad za tobą, możesz być pewien, że pozostajesz poza zasięgiem demona".

„Po co miałbym tu zostawać? - obruszył się Gaston. - Ściągnąłeś mnie tu, bym zakończył twą osobistą krucjatę, Roger, więc muszę ją zakończyć! I to możliwie najszybciej, skoro zakonnicy nadal poją demona krwią niewinnych".

„Masz rację. Jednak nie spiesz się, proszę, a w każdym razie przemyśl swe kroki. Bo pierścień Salomona nie jest jedynym powodem, dla którego cię tu sprowadziłem, braciszku".

Jeden z koni parsknął i młodzieniec odwrócił się gwałtownie, to samo uczynił Bernard. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na to, że ledwie kilka kroków dalej stoi samotna kobieta. Odziana w ciemne wełniane suknie, z czarnym szalem okalającym szyję i rozsypanymi, muskanymi wiatrem włosami, przypominała bardziej postać ze złowrogiego snu aniżeli materialną osobę. Choć żadna zjawy nie miałyby takiego wyrazu niedowierzania w szeroko otwartych ciemnych oczach.

I raczej nie towarzyszyłby jej drobny, zaciekawiony dwuletni może chłopczyk, który wysuwał główkę zza sukni matki. Rycerz dobrze znał tę buzię, choć dawno jej nie widział - ostatni raz, gdy w dzieciństwie pochylał się nad tonią jeziora czy misą z wodą.

„To o nich mi chodziło - szepnął cicho Roger. - O Sarę i... I o małego Rogera, którego nigdy nie miałem okazji utulić. Zaopiekuj się nimi, bracie. Proszę cię".

„Tak będzie" - odpowiedział Gaston.

Wiatr powiał raz jeszcze, liście na krzaku różanym zaszeleściły na pożegnanie, jedynie miecz nadal tkwił nieporuszony, twardy niczym dusza Rogera de Baideaux.

A Gaston poczuł, że jego droga dobiegła końca.

Spełnił wolę swego brata. Został z Sarą i bratankiem.

Z początku z trudem znosił spojrzenie tej kobiety - wiedział, że desperacko usiłuje dojrzeć w nim Rogera. Nie cierpiał też długich chwil ciszy, które poprzedzały każde pytanie, nienawidził płaczu po nocach i milczenia za dnia. W jej chacie czuł się nieswojo, wręcz obco. Miał wrażenie, że

wdarł się przemocą w życie Sary i rozgrzebał ledwie zaschłe rany, że bez powodu udaje kogoś, kim nie jest i kim nigdy nie zostanie.

W głębi duszy przeklinał Rogera i jego zamiśl, który teraz uznał za naiwny i nieprzemyślany. Z goryczą wyrzucał mu nieznajomość kobiecej natury, wyszydzał naiwność, z jaką założył, że Sara poczuje się na powrót szczęśliwa, mając przy sobie kogoś, kto tylko przypomina jej ukochanego. Pewnego dnia o świcie osiodłał nawet konia i przygotował się do drogi. Byłby wyjechał, gdyby przez uchylone drzwi stajenki nie zajrzał z niepokojem jego malutki bratanek.

Mały Roger w przeciwieństwie do swej matki pokochał gościa od pierwszej chwili. Jego czarne oczka śmiały się na widok Gastona, zwykł podbiegać do niego i wyciągać rączki ku górze, prosząc, by stryj nosił go na barana. Gaston nie umiał się oprzeć takim prośbom, tym bardziej że śmiech dziecka był jedynym znanym mu sposobem na przegnanie smutku z twarzy Sary. Bawił się więc z Rogerem często, być może nawet za często, gdyż ujrzawszy go tego poranka w stajence, zwątpił w sens swoich działań.

„Dokąd pojedziesz? - westchnął w duchu. - Wrócisz do szpitalników? Udasz się pod Akkę? A może będziesz przemierzał trakty Outremer i w każdym karawanseraju pytał o maga zdolnego poskromić Asmodeusza?”

I został.

Tego samego dnia Sara uśmiechnęła się do niego po raz pierwszy. On zaś, nie chcąc być niewdzięcznikiem, zapytał, czy pomóc przy owcach.

I tak jak kiedyś uczył się robienia mieczem i składania kopii, teraz zabrał się do poznawania tajników wypędzania owiec na pastwisko, ścinania ich bujnego runa, a także wyrabiania sera i twarogu. Bernardowi, dla którego taka robota nie była nowością, wszystko szło jak z płatka, a że drugiego podobnego osiłka próżno było szukać w okolicy, rychło stał się po prostu niezbędny. Gastonowi raz przemknęło nawet przez myśl, że jego giermek nie przewyższa go tylko w mowie. Tak, najwyraźniej przestał się czuć jego panem.

Pograżony w ciężkiej pracy, która wypełniała codzienność w małej górskiej wiosce, z wolna zapominał o zamęcie, jaki panował w Outremer. Nie pamiętał już o Saracenach i templariuszach, o Balianie, Konradzie i Gwidonie de Lusignan, nawet o swoim własnym zakonie, a co najważniejsze - nie myślał już o Asmodeuszu. Z czasem zarzucił nawet codzienną modlitwę przy krzaku róż, całkiem odżegnując się od swej przeszłości.

Wkrótce zimny górski wiatr, chałupa z kamieni przetkanych mchem, wesoły śmiech Rogera i zagadkowe spojrzenia Sary stały się jego nowym szczęściem. Sam nie wiedział, kiedy je pokochał.

Nie wiedział też, kiedy pokochał Sarę.

Być może nastąpiło to tego dnia, gdy po raz pierwszy wspólnie wybuchli śmiechem. Może innego, gdy opatrywała mu zranioną rękę. A może gdy odnalazł zabłąkaną owcę i wrócił z nią do obejścia, a ona stała z latarnią przed chatą i czekała - jedyny jasny punkt w świecie pograżonym w mroku.

Bo tego wieczoru, gdy ich usta zetknęły się w pierwszym pocałunku, kochał ją już od dawna. Gaston odkrył wówczas, że prawdziwa miłość niewiele ma wspólnego z porywającymi, dramatycznymi pieśniami trubadurów i wcale nie muszą jej towarzyszyć trudy, wyrzeczenia czy morze cierpień. Odkrył również, że z dala od dworów, orszaków i uczt wyrasta czystsza i piękniejsza niczym owe róże przy mieczu ostatniego prawego templariusza. Cieszył się nią z całego serca, polerował niczym najszlachetniejszy diament, żył nią i dla niej. Twarze Anny Giscolvi i Vivienne de Grenier zamazywały się w jego pamięci, wspomnienia z nimi związane traciły ostrość, a w ich miejsce z głębin pamięci niczym refren wypływało zdanie, które wyrzekł Roger--Diabeł zaraz po pasowaniu Gastona na rycerza:

„Pamiętaj o miłości”.

Pamiętał. Był szczęśliwy jak nigdy wcześniej, a czas mijał.

Trwało to do chwili, gdy rok później wiosną do wsi przybyło kilku pasterzy z sąsiedniej doliny, przynosząc wieści z nizin. Z entuzjazmem opowiadali, jak to król Francji Filip August wylądował pod Akką z licznymi hufcami i szykował maszyny oblężnicze, a na horyzoncie lada chwila miały pokazać się żagle floty króla angielskiego Ryszarda zwanego Lwim Sercem. Tego dnia serce Gastona zmaćcił niepokój.

Naraz malutka wioska stała się dlań za ciasna, miłość Sary zbyt prosta, a wspomnienia z dawnych czasów nazbyt niepokojące. Miotał się w rosnącej bezsilności, zaniedbując zarówno swe obowiązki, jak i swą nową rodzinę. Trwało to przez kilka tygodni, aż Sara pochwyciła go za ramię, odwróciła ku sobie i powiedziała cichym głosem:

- Jedź.

- Jak to? - próbował protestować, udawać oburzenie, ale nie brzmiało to przekonująco, bo Sara wyduła jedynie wargi i dodała:

- Wiedziałaś, że ta chwila kiedyś nastąpi. Wiedziałaś, że wdasz się w swego brata i któregoś dnia obudzi się w tobie zapal rycerski. Jesteś krzyżowcem, a nie pasterzem. Jedź choćby i jutro. Dłużej już nie zniosę tego niepokoj.

Niespodziewanie jej głos zadrział, a ciemne oczy wezbrały łzami.

- Ale wróć, Gaston. Proszę cię, wróć.

Postanowił wyruszyć po kryjomu, nie zwracając niczyjej uwagi. Wedle wiejskich plotek, z ochotą powtarzanych przez Sarę, młoda pastereczka, która od pewnego czasu wodziła oczyma za Bernardem, obnosiła się już z okazałym brzuszkiem. Gaston przeczuwał, że jego giermek nie pozwoliłby mu odjechać samemu, a nie chciał pozbawiać dziewczątka opiekuna. Pod osłoną nocy wyszykował więc swego wierzchowca, spakował juki, wyczyścił broń, a następnego dnia o świcie, jeszcze nim zeszyły mgły, pożegnał się z Sarą i Rogerem i odjechał.

Nie popędzał rumaka, jechał powoli, chcąc nacieszyć się górkami krajobrazami, które przez półtora roku były mu domem. Jego myśli nadal krążyły wokół Sary i bratanek, ale coraz częściej wybiegały ku przyszłości. Zastanawiał się, czy szpitalnicy przyjmą go z powrotem na łono zakonu i czy zdoła odzyskać przyjaźń Jakuba. Rozmyślał, gdzie się podziwiewa Vittorio i co tym razem trapi Baliana z Ibelinu. Oczyma wyobraźni widział powiewające sztandary, słyszał skrzypienie trebuszy miotających pociski na niezdobyte mury Akki, czuł uniesienie, które rodzi szarża rycerstwa. Z trudem powstrzymywał się, by nie pogonić rumaka.

Wtedy za kolejnym zakrętem ujrzał, że ktoś na niego czeka.

Przerażony szarpnął za wodze, choć wiedział, że to na nic. Półmaterialny jeździec zbliżał się do niego galopem, de Baideaux już widział okrutny uśmiech na śniadej twarzy i rozwiane kruczoczarne loki. Jadąc, uniósł dłoń w parodii radosnego powitania, a wtedy umysł przerażonego Gastona wypełniły ciemne słowa:

„Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o obietnicy, którą ci swego czasu złożyłem, bo wreszcie jestem na tyle potężny, by ją zrealizować. Okazujesz się godnym następcą swego kmiębrnego brata, de Baideaux. Przydasz mi się. No to otwórz przede mną swe serce, młodzieńcze! Czego pragniesz?”

- Precz! - wrzeszczał Gaston, a echo niesło jego przerażenie.

„Niczego nie pragniesz? Naprawdę? No cóż, tym lepiej dla mnie...”

I zapadły ciemności.

Koniec tomu drugiego

